

HARLEQUIN®
na życzenie

HARLEQUIN®
na życzenie

3 powieści
tylko 14,99

Niecodzienna umowa

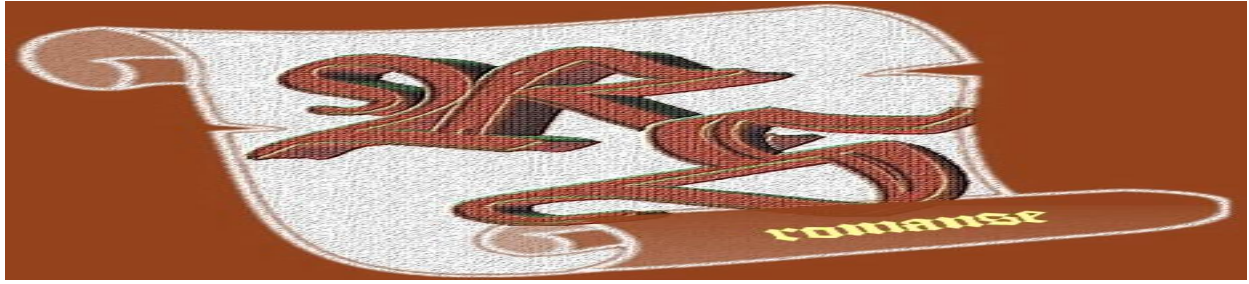
DIXIE BROWNING
JESSICA STEELE
LUCY GORDON

HARLEQUIN SPECIAL NR 5 10-12 INDEKS 37279X CENA 14,99 ZŁ W TYM 0% VAT

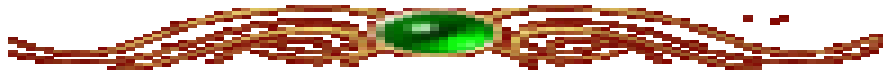
Niecodzienna umowa

DIXIE BROWNING
JESSICA STEELE
LUCY GORDON





Dixie Browning



*Kusicielka
Becketta*

Beckett's Convenient Bride

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Carson Beckett zdjął z kostek ciężarki i opadł na matę do ćwiczeń, kompletnie wycieńczony. Coś za długo tym razem odzyskiwał siły. Cholera, przecież wciąż jeszcze był silny i młody. Przynajmniej według metryki. Znał kilku facetów, którzy dożyli emerytury bez jednego urazu. On mógł być pewien, że jak tak dalej pójdzie, będzie się nadawał wyłącznie do wycierania własnym siedzeniem krzesła biurowego.

Każdy gliniarz może od czasu do czasu oberwać. Ale wstrząśnienie mózgu, podbite oko, jedenaście złamań kości rąk, nóg, palców i żeber w ciągu niecałych trzech lat? Igranie z losem.

Pomyślał, że chyba przyjdzie mu rozważyć na nowo ofertę posady wykładowcy na uniwersytecie. Zdaniem Margaret - kobiety, którą zamierzał poślubić, gdy tylko wróci do normalnego życia - jako zwykły policjant marnował dyplom z kryminologii.

Nalał sobie szklanekę wody. Wody z kranu, nie jakiejś tam mineralnej. Lepszy wróg znany, mówił tak często Margaret, która nigdy nie ruszała się z domu bez butelki wody markowej. „Wiesz chociaż, skąd jest ta woda?”, żartował.

Dziewięć razy na dziesięć krzywiła się i spoglądała na nalepkę. Margaret miała wiele atutów - urodę, talent, ambicję - ale jej poczucie humoru pozostawiało wiele do życzenia.

Mniejsza z tym: pora się ożenić i już. Ani on, ani ona nie byli coraz młodsi. Margaret była od niego o półtora roku starsza, chociaż

wyglądała pięć lat młodziej. Dała mu jasno do zrozumienia, że dzieci nie wchodzi w grę, bo zależy jej na karierze zawodowej, ale jego matka byłaby wystarczająco uszczęśliwiona, gdyby doczekała się ich ślubu. Nie przestałaby marzyć o wnukach, dopóki byłaby w stanie marzyć o czymkolwiek, ale z czasem. ..

W łazience, którą zrobił już po kupieniu starego domu na przedmieściach Charleston, Carson zdjął mokry od potu dres i wszedł pod prysznic. Nic nie dawało takiego kopa jak silny strumień zimnej wody tłukący w czaszkę.

Dopiero po kilku minutach zorientował się, że słyszy nie tylko wodę. Ktoś walił do drzwi.

Owinął się ręcznikiem i bosy poszedł otworzyć, spodziewając się, że to dostawca pizzy.

- Hej, stary, już chciałem odpuścić. Mam wiadomość od szefa. - Głos był ochrypły, twarz znajoma.

Carson wzdrygnął się, gdy niesiony wiatrem strumień deszczu sieknął go po torsie. Cofnął się, żeby wpuścić do środka swojego partnera i przyjaciela.

- O rany, Mac, ale ty wyglądasz!

- Spójrz na siebie - wychrypiał młodszy mężczyzna.

- Właż, mam gorącą kawę.

Obaj w tym samym roku wstąpili do policji, rozpracowali razem wiele spraw, dzieląc zbyt dużo stresu i podłej kawy.

Potężny rudowłosy policjant strzepnął krople deszczu z kapelusza. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego kichnął.

- Przepraszam...

- Sto lat! Zdaje się, że potrzebujesz czegoś mocniejszego niż kawy.

- Nic z tego. Jestem na służbie. - Mac McGinty wydmuchał czerwony nos w moką chustkę. - Przyjechałem powiedzieć, że szef przedłuża ci zwolnienie o następny tydzień. Wszyscy mają gripę, zresztą cholera wie, co to jest. Czuję się, jakby mnie ktoś skopał po łbie.

Gliniarz spojrzał na świeże blizny na nogach swojego kumpla i zaklął.

- No tak... więc chodzi o to, że gdybyś wrócił teraz, położysz się do łóżka i masz następny miesiąc z głowy.

- Nie zaszczepiłeś się na jesieni?

- Wiesz, jaki mam stosunek do igieł. Myślałem, że jak wszyscy to robią, nie będę miał się od kogo zarazić.

Carson pokręcił głową.

- Stary, jak ty zaliczyłeś badania lekarskie? Kiedy prześwietlali ci czaszkę, nie zauważyli, że jest pusta?

- Dobra, dobra, kichnąłem na ciebie, ale ja jestem tylko przeziębiony. Powinieneś uważać na resztę chłopaków. Eddie jest na zwolnieniu od zeszłego czwartku, z wysoką gorączką i strasznym

kaszlem. - Rudy policjant włożył z powrotem kapelusz i położył rękę na kłamce.

- Wygląda na to, że jestem potrzebny.

- Wybij to sobie ze łba. Ci, którzy zachorowali pierwsi, zaczynają wracać do roboty. Szef mówi, że twój układ odpornościowy jest zagrożony czy coś w tym rodzaju.

- Czy coś w tym rodzaju - powiedział oschle Carson Beckett, patrząc, jak jego kumpel przemyka do samochodu.

Zerknąwszy na szare marcowe niebo, zamknął drzwi i poszedł do kuchni, sprawdzić, czy została mu jakaś zupa w puszcze. Pizza, gdyby się jej doczekał, byłaby na śniadanie.

Czuł się trochę winny z powodu długiego przymusowego urlopu, ale szef miał chyba rację. Grypa, nie grypa, nie powinien ryzykować. Nie miał pojęcia, w jakim stanie jest jego układ odpornościowy, ale pojedynkę z dealerem narkotyków uzbrojonym w dwutonową ciężarówkę, a kilka miesięcy później wypadek, w którym jego auto zostało zmiażdżone przez naćpanego dzieciaka - zdecydowanie go nadwreżyły.

Brakowało mu jednak pracy. Tęsknił za nudą rutynowych wezwań i papierkowej roboty, skokiem adrenaliny, gdy udawało się zamknąć trudną sprawę, przede wszystkim jednak za towarzystwem kolegów, z którymi pracował od lat, nawet za tymi, których specjalnie nie lubił.

To było jego życie. To było to, czym się zajmował - czym był.

Znalazł puszkę zupy z kurczaka z makaronem, otworzył i wlał zawartość do garnka. Cały czas zastanawiał się, co zrobić. Mógł się jutro zameldować w pracy i zabrać do jakiejś papierkowej roboty.

Mógłby też pożytecznie wykorzystać resztę przestoju. Miał do załatwienia kilka pilnych prywatnych spraw, które zbyt długo odkładał. Poczynając od Margaret.

Było rzeczą zrozumiałą w obu rodzinach - jej mieszkała w sąsiednim domu przynajmniej od pokolenia - że jeśli ani jednemu, ani drugiemu nie trafi się nic lepszego, kiedyś się w końcu pobiorą. Dla Beckettów rodzina była świętością. Silne więzy, głębokie korzenie. Margaret była córką chrzestną jego matki, Kate, a matka, z wczesnymi objawami Alzheimera, coraz marniej się czuła. On i Margaret zgodnie doszli do wniosku, że powinni wziąć ten ślub, dopóki matka jest w stanie świadomie uczestniczyć w uroczystości.

Carson miał pewien zwyczaj, który z biegiem lat przeszedł w rutynową strategię. Na swoich listach rzeczy do zrobienia, składających się z ponad trzech pozycji, jako pierwszą odhaczał tę, z którą mógł sobie poradzić najszybciej.

Co znaczyło, że przed zabraniem się do przygotowań weselnych - w jego rodzinie małżeństwo było wielką sprawą - musiał spełnić obietnicę, którą złożył swojemu dziadkowi, zanim staruszek umarł. Obietnicę spłacenia pokoleniowego długu, który Beckettowie zaciągnęli u rodziny Chandlerów.

Od dnia, w którym pewien kowboj z Oklahomy przekazał przodkowi Beckettów jakąś sumę pieniędzy z prośbą o ich

zainwestowanie, a potem zniknął, dług pozostawał niespłacony. Beckettom powiodło się znakomicie. Nikt nie wiedział, co stało się z owym Chandlerem, ale plik akcji przekazywany był z pokolenia na pokolenie, wraz z niewypełnionym zadaniem odnalezienia spadkobierców Chandlera i wyrównania rachunków.

Najwyżej trzy dni i mogło być po sprawie. Kolejna pozycja z jego listy byłaby odpfajkowana. Potem trzeba byłoby oficjalnie zapowiedzieć ślub i zaopatrzyć jego mamę w stos magazynów ślubnych, puste albumy na zdjęcia i tępo zakończone nożyczki. Ceremonie ślubne były jej konikiem.

Bosy, w dżinsach i rozpiętej flanelowej koszuli, Carson zjadł zupę prosto z garnka. Sztukę zachowania przy stole miał doskonale opanowaną od czasów, kiedy został dopuszczony do rodzinnych posiłków w jadalni, ale jako kawaler żyjący w pojedynkę pozwalał sobie na pewną swobodę.

Zdawał sobie sprawę, że znowu będzie musiał stosować się do obowiązujących zasad - ale jeszcze nie teraz. To mogło poczekać, dopóki nie wróci na służbę. Tymczasem planował dwudniową wyprawę do Nags Head, żeby odnaleźć tę kobietę, oddać jej pieniądze i wrócić do domu. Nie wiedział, jak zniosą podróż jego kolana, ale chciał mieć to wreszcie z głowy.

Akcje były bez wartości, jako że Beckettowie mieli skłonność do odkładania wszystkiego na później. Historię długu przekazywali sobie tylko ustnie, a Papaja, który mógł zapamiętać jakieś szczegóły z relacji swojego ojca, zmarł w styczniu tego roku, w wieku stu dwóch

lat po przejściu kilku zawałów. Z różnych powodów żaden z jego synów nie był w stanie podjąć się takiego zadania, więc wszystko spadło na Carsona i jego kuzyna Lance'a Becketta.

To Lance wpadł na pomysł, żeby do wytropienia potomków Chandlera wynająć genealoga. Podzielili się kosztami, a potem umówili, że każdy wyłoży z własnej kieszeni dziesięć tysięcy, odszuka jedną z dwóch spadkobierczyń, wręczy jej pieniądze i uzna sprawę za zakończoną. Lance spełnił obietnicę i oddał swoją część długu. Zrobił coś więcej - ożenił się z tą kobietą.

Teraz przyszła kolej na Carsona. „Jego” spadkobierczyni pochodziła z Wirginii, była córką znanego adwokata Christophera Dixona i niejakiej Elizabeth Chandler - oboje zginęli - oraz wnuczką emerytowanego sędziego znanego jako Żelazny Dixon oraz osoby z wyższych sfer o niespotykanym imieniu Flavia. Dziadkowie ze strony matki nie żyli.

Wyglądało na to, że ród Chandlerów wygasa.

- No, dzięki Bogu - mruknęła pod nosem Kit Dixon, zakręcając swoje atramentowe pióro do szkicowania.

Dwaj kretyni, którzy kłócili się na całe gardło po drugiej stronie kościoła, wreszcie zamilkli - albo przenieśli z awanturą w bardziej stosowne miejsce.

Jednym z powodów, dla których tak bardzo lubiła ten stary cmentarz, był panujący na nim spokój. Kit nienawidziła kłótni. Od zawsze. Jeszcze po tylu latach głośne, wściekłe głosy przyprawiały ją o skurcz żołądka.

Kiedy wokół na nowo zapanowała cisza, oparła się o omszały nagrobek i powiodła wzrokiem po wysmukłych cyprysach, cedrach i poskręcanych przez wiatr dębach. Kredowobiałe marmurowe nagrobki, najróżniejszych rozmiarów i kształtów, wyrastały z ciemnego poszycia. Małe z barankami, te wyższe - z aniołami. Wołała baranki.

To budziło zachwyt. Z łatwością wyobrażała sobie duchy wylaniające się jak dym ze starych grobów. Teraz, kiedy ostatni szkic był gotowy, mogła zacząć nanosić akwarele. Nastrój był o wiele ważniejszy od perfekcyjnej kreski, a podczas tych ulotnych chwil przed zmierzchem mogła operować barwami i cieniami, używając stonowanych kolorów - piętnaście, dwadzieścia minut na każdą ilustrację i koniec pracy. Potem jeszcze ostatni szlif, oddałaby projekt do druku, i „Duch Gretchen” byłby gotowy.

Otrzeputując z ubrania liście, Kit zatrzymała się i dotknęła przekrzywionej tablicy z nieczytelnym napisem.

Imiona, które znajdowała na płytach nagrobnych, często wykorzystywała w swoich opowieściach. Dawało to jej poczucie łączności z przeszłością. Bo choć nie chciała się do tego przyznać, rozpaczliwie potrzebowała poczucia przywiązania - do kogoś albo czegoś.

Tylko że większość znanych jej ludzi gdzieś tam kogoś miała.

Kit też kogoś miała. Dziadków ze strony ojca. Gotowa była nawet pokazać się na ich pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Od dawna miała zwyczaj odwiedzać ich bez zapowiedzi co kilka miesięcy,

trochę z poczucia obowiązku, ale głównie dlatego, że tak bardzo irytowało to jej dziadka. Wpadała na pół godziny, po czym dawała nogę. Dawanie nogi było w tym wszystkim najprzyjemniejsze, bo po prostu mogła sobie na to pozwolić.

No i wiedziała, że doprowadza tym do furii swojego dziadka. Nie zależało mu na niej samej - chodziło o to, że dla niego była ostatnim ogniwnem wiążącym go z jego jedynym synem. Powinna mu współczuć, naprawdę powinna, ale nie była w stanie. Zbyt dobrze go знаła.

Pomyślała, że może daruje sobie rodzinne przyjęcie i kupi psa. Może kupi psa i zabierze go na przyjęcie.

A może zaprosi Keefera, zapalonego surferowca, z którym zeszłego lata dzieliła dom. Dobrze by mu to zrobiło. Dziadkowi, nie Keeferowi, który nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby sędzia mu powiedział, że jest autentyczną księżniczką. Trzy rzeczy robiły wrażenie na Keeferze. Dobra trawka, dobry surfing i wielkie cycki.

Kit nie miała wielkich cycków. Właściwie w ogóle ich nie miała, ale jakie to miało znaczenie? Autorka i ilustratorka dwóch wydanych książek dla dzieci i jednej prawie na ukończeniu. Jej pierwsza książka, „Nur o imieniu Klara”, miała szansę na ekranizację telewizyjną. W pierwszej chwili, kiedy doszła do niej ta wieść, nie uwierzyła. Potem przez cały tydzień była wniebowzięta.

Oczywiście nic z tego na razie nie wyszło. I wszystko wskazywało na to, że nigdy nie wyjdzie. Jej agent powiedział, żeby nie robiła sobie wielkich nadziei, bo dużo innych książek przeszło

eliminację wstępną, więc poza tym, że zafundowała sobie mammografię, badanie oczu i wielką porcję lodów, nie wydała ani centa z zaliczki na poczet honorarium. Ulokowała pieniądze w banku na śmiesznie niski procent.

Na swój chleb powszedni, nie mówiąc o czynszu i materiałach plastycznych, zarabiała jako kelnerka.

Świetna robota. W sezonie za napiwki mogła się z łatwością utrzymać, poza tym godziny pracy pozwalały jej wygospodarować mnóstwo czasu na pisanie. A że w sezonie na przybrzeżnych wyspach Karoliny Północnej nie brakowało wakatów dla kelnerek, mogła zmieniać lokale tak często, jak chciała.

To była jedna z rzeczy, których nie akceptowali jej dziadkowie. Brak stałego adresu. Taki styl życia nazywali niedojrzałością, dokładając to do wielu innych mało pochlebnych o niej sądów. Może i mieli rację, ale z jej punktu widzenia była to raczej swoista klaustrofobia. Jak zwał, tak zwał, Kit miała głęboko zakorzenioną potrzebę udowodnienia swojej niezależności i od siedmiu lat była w tym niezwykle konsekwentna.

Inaczej niż jej matka, nadużywająca alkoholu i kochanków. Dziadkowie nigdy nie tracili okazji, żeby przypomnieć o jej słabościach wyrodnej wnuczce. A ta była przekonana, że wszystkiemu winne było małżeństwo z człowiekiem, który miał w sobie równie dużo ciepła jak puste igloo. Jak na ironię, Kit wzięła wystarczająco dużo po ojcu - nie okrucieństwo, ale jego żelazną determinację - żeby stawić opór dziadkom i żyć własnym życiem. I choć czuła się dumna

ze swoich skromnych wydawniczych osiągnięć, w jej pragmatycznym, samodzielny, opartym na ciężkiej pracy stylu życia nie było miejsca na artystyczny temperament.

Owszem, z przyjemnością ubierała się w niekonwencjonalnym staromodnym stylu. Lubiła stare cmentarze. Po ośmiu godzinach pracy w wypełnionej zgiełkiem restauracji znajdowała w nich kojący spokój. I natchnienie. Obie jej wydane książki były historiami o duchach, pojawiali się też piraci, żeglarze, rozbitkowie, dzieci i zwierzęta. To była jej specjalność. Jej działka, jak mawiał Keefer. Zacząć od jakiejś pokręconej postaci zwierzęcej, dorzucić porcję lokalnego kolorytu, szczyptę fantazji, i gotowe. „Duch Gretchen” miał przebić wszystkie książki, które napisała do tej pory.

Spakowała plecak i ruszyła w stronę parkingu, który znajdował się po przeciwnej stronie cmentarza. Doszła do starej bramy z kutego żelaza, kiedy panującą wokół ciszę zmącił odgłos pojedynczego wystrzału.

Zdrętwiała. Myśliwy? W marcu? O tej porze, wieczorem?

Poza tym kto polowałby w takim miejscu?

Usłyszawszy, że ktoś odjeżdża, zaczęła z powrotem oddychać. To było to - odpalenie silnika. Taki dziwny świszczący dźwięk oznacza, że gaźnik wymaga regulacji. Najwyraźniej skutkiem ubocznym pisania książek o duchach jest to, że każdy niezrozumiały hałas w jednej sekundzie staje się atakiem piratów albo inwazją Marsjan.

Nikłe światło latarni padało na wysypany żwirem parking, pusty - jeśli nie liczyć jej Biedronki, pomarańczowo-czarnego garbusa, z ręcznie wymalowanymi detalami. Była w połowie drogi do samochodu, gdy wypatrzyła coś, co wyglądało na cień albo kępę chwastów.

Nie. W pobliżu nie było niczego, co mogłoby rzucać tak duży, dziwny cień. Chwasty też nie, mają zbyt zwarty kształt.

Torba ze śmieciami? Wielki zraniony pies? Sarna?

Och, nie - ktoś zastrzelił sarnę!

Może to biedactwo jeszcze żyło - może strażnicy przyrody mogliby...

Skamieniała po pierwszych kilku krokach, ale podeszła bliżej.

- O mój Boże, nie, błagam... - szeptała, cofając się.

To był starszy człowiek, z całą pewnością martwy. Miał czarną dziurę w czole, a z lewej dziurki nosa sączyła się, ciemna strużka krwi.

Dyszząc ciężko, Kit wymruczała pod nosem, że musi wezwać pomoc. Ale skąd? Do kogo się zwrócić? W takim miejscu jak Gilbert's Point nie zdarzają się morderstwa.

Ale jednak zdarzyło się. I nagle zdała sobie sprawę, że ktokolwiek to. zrobił, musiał widzieć jej samochód. Nie mogło być drugiego identycznego w całym hrabstwie - możliwe że na całym świecie.

Spojrzała na tablicę rejestracyjną, tak zwaną indywidualną, którą kupiła za część swojej pierwszej zaliczki: KITSKIDS. Gdyby ktokolwiek chciał ją znaleźć...

Ominawszy łukiem ciało, wskoczyła do samochodu. Rzuciła plecak na drugie siedzenie, zablokowała drzwi i włączyła stacyjkę.

Nie panikuj.

Komórka. Dlaczego, do diabła, nie kupiła sobie tego cholerstwa i nie nauczyła się go używać?

Ale nawet gdyby miała telefon, nie znała numeru szeryfa. Czy przypadkiem telefony komórkowe nie mają jakiegoś automatycznego przycisku, który wciska się, żeby wezwać pomoc w nagłych wypadkach?

Dziewięćset jeden, głupolu! Każde dziecko wie, jak wybiera się dziewięćset jeden. Nie panikuj, nie panikuj.

Mogła wrócić do domu, wykręcić dziewięćset jeden i powiedzieć, że przy starym kościele na Cypress Mill Road leży martwy człowiek. Wtedy zapytają ją o nazwisko i będzie musiała się stawić na policji, i złożyć zeznanie, i jej dziadek...

O cholera...

Nie widząc w pobliżu żywej duszy, wbiegła po schodach i zamknęła się w starym domu z muru pruskiego, który wynajęła zaledwie kilka miesięcy temu. Błyskawicznie zrzuciła plecak, a potem chwyciła telefon i zaczęła wybierać numer.

Niech ktoś odbierze, do cholery!

Ktoś odebrał. Kobieta, której głos sugerował, że nie lubi być niepokojoana.

- Na cmentarzu jest martwy człowiek - to znaczy na parkingu przed kościołem na Cypress Mill Road!

- Nazwisko?

- Nazwisko! Nie znam jego nazwiska! On nie żyje! Ktoś go zastrzelił! Och... - Złana zimnym potem, z trzaskiem odłożyła słuchawkę. W porządku, zrobiła swoje. Zawiadomiła o zbrodni policję. Reszta nie należała do niej.

Nazwisko. Ta kobieta pytała o jej nazwisko!

Czy powinna zadzwonić jeszcze raz i powiedzieć, kim jest? Pewnie wezwaliby ją na przesłuchanie, potem cała ta historia dostałaby się do gazet i znów miałyby na karku Żelaznego Dixona, który usiłowałby jej przemówić do rozumu. Nie, tylko nie to.

Z drugiej strony...

Katherine, choć raz w życiu pomyśl logicznie.

Czy zrobiła wszystko, co było w jej mocy?

Oczywiście. Zawiadomiła o zbrodni. Jej nazwisko nikomu by nie pomogło w znalezieniu sprawcy.

Czy groziło jej niebezpieczeństwo?

Niby z jakiego powodu? Spełniła tylko swój obywatelski obowiązek.

Ale na parkingu był tylko jej samochód. Łatwy do zidentyfikowania. Zabójca mógł przypuszczać, że była świadkiem całego zdarzenia.

Może powinna pomieszkać z dziadkami, dopóki go nie złapią? Wyrównując oddech, Kit rozważała wszystkie opcje. Mogła gdzieś zniknąć, wystarczyło się spakować. Ale sprawiłaby kłopot swojemu szefowi, no i musiałyby zacząć nową serię ilustracji do „Gretchen” gdzie indziej.

Mogłaby wrócić do Nags Head. Znała tamte okolice, wiedziała, gdzie szukać najlepszej pracy i gdzie znaleźć w miarę tani pokój, może nawet ten sam, co poprzednio. Sezon dopiero się zaczynał.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i z bólem serca rozejrzała się po swoim skromnym, na wpół umeblowanym domu. Właśnie zaczynała się w nim czuć jak w prawdziwym domu. Nadała nawet imiona szopom, które regularnie przegrzebywały jej pojemnik na śmieci.

Spójrz prawdzie w oczy, Katherine - cygański żywot zaczyna tracić urok.

Wyciągnęła walizkę i pudła po bananach, których używała do pakowania przyborów malarskich, egzemplarzy swoich książek i rozmaitych drobiazgów składających się na jej dobytek. A może przesadzała z tym niebezpieczeństwem? Na zdrowy rozum, zabójca był w tej chwili setki mil stąd. Po co, do licha, miałby wracać na miejsce zbrodni, wiedząc, że mógł być widziany?

Myślała logicznie. Co nie oznaczało, że równie logicznie myśli morderca.

Z drugiej strony, naprawdę polubiła Gilbert's Point. Było tu o wiele spokojniej niż w Nags Head, które w szczycie sezonu

zamieniało się w istny cyrk. Lubiła żyjących tu ludzi. Miała przyzwoitą pracę i mnóstwo wolnego czasu na pisanie i rysowanie. Nie wszyscy pracodawcy są aż tak wyrozumiali, a Jeff Matlock był z niej wręcz dumny. Mimo że nie miał rodziny, kupił obie jej książki. Poza tym opłacała czynsz do końca marca.

Stała przed otwartą szafą, gapiąc się na eklektyczny zestaw ciuchów w stylu grunge - farbowane nierównomiernie i ręcznie haftowane dżinsy, których tak nie znosili jej dziadkowie - i kilka przyzwoitych sukienek na wyjątkowe okazje. Śluby, pogrzeby, spotkania autorskie i bankiety urodzinowe. Kiedyś z niesmakiem odkryła, że z tym swoim niestosownym ubieraniem się na oficjalne okazje za bardzo wdała się w ojca.

Westchnęła z rezygnacją i zamknęła szafę. Zdecydowała, że zostanie, ale będzie się miała na baczności. A jeśli w jutrzejszej gazecie nie ukaze się nic, co wskazywałoby na to, że morderca został schwytany, zadzwoni do szeryfa i powie, że jest gotowa zgłosić się na przesłuchanie. Choć tak naprawdę nic więcej nie miała do powiedzenia. Słyszała głosy, słyszała strzał, widziała ciało.

I uciekła.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jesteś pewien, że jej tu nie ma? - spytał Carson jasnowłosego chłopca o mahoniowej opaleniznie.

Przyjechał do Nags Head poprzedniego dnia tuż przed zmrokiem i spędził upiorną noc w hotelu, zastanawiając się, czy bierze go grypa albo inne świństwo, którym łaskaw był się z nim podzielić McGinty.

- Kit? Człowieku, ona wyjechała stąd dawno temu. Dostałem od niej kartkę świąteczną z jakiegoś Gilbert's Point.

- A wiesz, gdzie to może być?

- Chyba za mostem

- Którym mostem?

- Hej, facio, z geografii to ja mocny nie jestem. Niestety. Fajna była, szkoda, że się wyniosła, ale wiesz, zdarza się.

Facio wiedział. Był w końcu glina. Jeśli chodzi o edukację, dyplom z kryminologii był niczym w porównaniu z trzynastoma latami służby policyjnej w wielkim mieście. Ignorując widok stolika skleconego z puszek po piwie i zawalonego brudnymi ubraniami, jak też smród nieumytych naczyń i starej pizzy, Carson miał ochotę zapomnieć o całej sprawie. Rano otworzył oczy z uczuciem, że się rozpada, ale skoro zrobił już tyle, powinien załatwić rzecz do końca.

„Facio“?, myślał wracając do samochodu piaszczystą, wysypaną pokruszonym cementem ścieżką. Retro czy też ta odzywka nigdy nie wyszła z obiegu? W zaawansowanym wieku trzydziestu siedmiu lat zaczynał zauważać niektóre powracające trendy.

Na pewno styl życia Kit Dixon w niczym nie przypominał stylu życia jej kuzynki Lizy. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Nie musiał akceptować tej kobiety, miał ją tylko znaleźć, wręczyć jej pieniądze i plik bezwartościowych akcji na wypadek, gdyby się okazała kolekcjonerką bezużytecznych staroci.

Zbliżało się południe, kiedy - wspomagając się w drodze aspiryną — dotarł do miejscowości Gilbert's Point, na którą składało się kilka starych domów z muru pruskiego, kilka nędznych knajpek, zakład przetwórstwa krabów i kilkanaście łodzi zacumowanych przy drewnianym pomoście. Zasłaniając oczy przed rażącym słońcem, zastanawiał się, gdzie zacząć poszukiwanie.

I czy w ogóle zaczynać.

Na dobrą sprawę mógł włożyć te papiery do koperty, z czekiem na dziesięć kawałków, i wysłać je Katherine Dixon, podając tylko nazwę miejscowości i stanu. Poczta zrobiłaby resztę.

O, nie. Koniec z rodzinną tradycją, która polegała na zrzucaniu odpowiedzialności na innych. Poza tym połowę zadania miał za sobą. Jeszcze jeden drobny wysiłek i sprawa zamknięta. Szkoda tylko, że o sto lat za późno.

Ale czas, który na to przeznaczyl, uciekał. Przy takim tempie nie miał co marzyć o powrocie do domu przed weekendem. Gdyby chociaż nie czuł się tak podle. Było mu gorąco i zimno jednocześnie, zlewał się potem i od rana pękała mu głowa.

Pomyślał o jakimś normalnym posiłku. Nie był specjalnie głodny, ale na to coś, co złapał od Maca, nałożyło się mnóstwo

wypitej w drodze kawy, tłuste jedzenie w fast foodach i niedospanie. Poza tym w miejscowej restauracji miał szansę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Trafił w dziesiątkę, zatrzymując się przy pierwszej z brzegu. Zamówiwszy zupę z owoców morza i kanapkę ze świeżym tuńczykiem w nadbrzeżnej knajpcie rybnej „U Jeffa”, zadał pytanie:

- Nie zna pani przypadkiem kobiety, która nazywa się Katherine Dixon?

Zamiast odpowiedzieć, kelnerka zwróciła się do właściciela - wysokiego mężczyzny z podkreconymi do góry wąsami, który wolnym krokiem przemierzał pustą salę, sprawdzając nakrywane do lunchu stoliki.

- Jeff, ten facet pyta, gdzie może znaleźć Kit.

- Jesteś jej przyjacielem? - Jeff odpowiedział po chwili, po tym, jak zmierzył go wzrokiem od góry do dołu.

- Przyjacielem rodziny. Byłem w tych okolicach, więc pomyślałem, że do niej wpadnę.

Minęła kolejna minuta. W innych okolicznościach Carson zadbałby o swoją wiarygodność, pokazując dowód tożsamości albo coś innego - cholera, znał mnóstwo sztuczek, ale teraz rozsadzało mu głowę, coraz bardziej bolało go gardło, kości, każdy mięsień.

- Pracuje od piątej do dziewiątej - powiedział w końcu właściciel. - Nie upoważniła mnie do podawania komukolwiek jej adresu. Zresztą pewnie nie wróciła jeszcze do domu.

Korciło go, żeby wyjąć odznakę policyjną, ale mogłoby to wywołać złe wrażenie. Nie chciał przysparzać kobiecie kłopotów, chciał tylko ją znaleźć, wrócić do domu i w jakiejś przewidywalnej przyszłości położyć się do łóżka.

- Dobrze. Więc... tak jak powiedziałem, nasze rodziny się znają, ale ja jej nigdy nie widziałem, więc czy mógłbyś mi powiedzieć, jak ona wygląda, na wypadek gdybym sam się na nią natknął?

Jeff spochmurniał i przejechał palcem po wąsach.

- Jest mniej więcej takiego wzrostu. - Podniósł rękę do wysokości swojego ramienia, co oznaczało jakieś metr sześćdziesiąt sześć, siedem. - Dużo włosów, brązowe z rudym odcieniem. Szare oczy, piegi. To naprawdę miła dziewczyna i bardzo pracowita. - Facet był w swoim żywiole, więc Carson pozwolił mu mówić. - Mądra. I do tego ładna. Chodzi prawie wszędzie na piechotę, ale możesz też trafić na jej samochód. Rzuca się w oczy. Stary garbus, pomarańczowy w czarne kropki. Sama go pomalowała - dodał z podziwem w głosie. - Też taki miałem, ten sam rocznik, jak byłem w średniej szkole.

Sądząc najwyraźniej, że Carson nie stanowi dla nikogo zagrożenia właściciel przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, jakby szykował się do dłuższej pogawędki.

- Próbowałem ją namówić, żeby sprzedała grata, ale powiedziała, że to jak członek rodziny. Dała mu nawet imię. Biedronka. Kit pisze książki dla dzieci, ale własnych dzieciaków nie ma. Z tego, co wiem. Hej, Bambi, Kit wspominała ci o jakiejś rodzinie?

Ładna kelnerka z czarnymi akrylowymi paznokciami potrząsnęła głową.

- Chyba żeby policzyć te zabłąkane zwierzaki. Kit karmi wszystkie stworzenia, które nie rzucają się na człowieka z zębami.

Do chwili, kiedy Bambi przyniosła miskę parującej zupy i ogromną kanapkę z tuńczykiem, Carson stracił apetyt. To, co wydawało się krótką sprawą do odfajkowania, zaczynało go przyprawiać o solidny ból głowy. Dosłownie.

- Ten facet prosił, żeby ci to dać. - Bambi wyjęła z kieszeni kartkę. - Rasowy byczek. Gdybyś nie była zainteresowana, to może ja spróbuję szczęścia?

Kit przyszła wcześniej, żeby spytać Jeffa, gdzie jest biuro szeryfa.

- Tutaj? Chcesz powiedzieć, że ktoś mnie tu szukał? Czy on... czy powiedział, czego chce?

- Zdaje się, że ciebie. Mówił, że jest przyjacielem rodziny. Zadał kupę pytań, no wiesz, gdzie mieszkasz, kiedy przyjdiesz. Jeff mu powiedział. Hej, dobrze się czujesz?

- Chyba nie powiedziałaś mu, gdzie mieszkam?

- Zwariowałaś, obcemu gościowi? Nic z tych rzeczy, kotku. Chociaż to kawał przystojniaka, jeśli lubisz ten typ facetów.

Nie zapytała, jaki typ. Świadomość, że ktoś mógł ją tak łatwo znaleźć, była dostatecznie przerażająca. Może gdyby zachowała się właściwie i pojechała na policję zamiast dzwonić na dziewięćset

jeden, szeryf zrobiłby do tej pory co trzeba i nie musiałaby się bać własnego cienia.

Z drugiej strony, gdyby zgłosiła się teraz, szeryf mógłby zapytać, dlaczego nie zrobiła tego od razu. Musiałaby podać swoje nazwisko, dostałaby się do gazet i jej dziadkowie by to zobaczyli, bo Chesapeake leżało tuż za granicą stanów, i wszyscy w tej okolicy czytali te same gazety i słuchali tych samych stacji radiowych.

A wtedy dziadkowie zażądałoby, żeby zamieszkała z nimi, z wszystkimi tego konsekwencjami, co po prostu nie wchodziło w grę.

Opuszczając restaurację „U Jeffa”, Carson wiedział, że nie ma szansy załatwić sprawy do wieczora. Ból głowy trochę zelżał, ale piekły go oczy, gardło i potwornie bolały mięśnie. Połamane kości dokuczały dwa razy bardziej. Jedyne, czego potrzebował w tej chwili, to znaleźć się w łóżku i spać przez rok, ale jeśli w najbliższej okolicy był jakiś hotel, to go nie zauważył.

Kichnął, złapał się za głowę i mruknął pod nosem:

- Dzięki za prezent, McGinty.

Był na jednopasmowej szosie prowadzącej do Gilbert's Point, kiedy zobaczył we wstecznym lusterku pomarańczowego garbusa. W czarne kropki. Taka biedronka na steroidach. Zapominając o osobistych kłopotach, zaczął się zastanawiać, czy ta kobieta jedzie za nim celowo. Czyżby wymusnęło mu się w knajpie, że chce jej wręczyć dziesięć kawałków?

Mało prawdopodobne, choć jego umysł rzeczywiście nie był w szczytowej formie.

Zwalniając, rozglądał się za miejscem, w którym mógłby zjechać na bok. Droga była wąska, z rowami odwadniającymi po obu stronach. Żadnego miejsca na postój. A potrzebował tylko pięciu minut. Powiedziałby swoje i wręczył należność. Potem mógłby się gdzieś zaszyć i umrzeć z czystym sumieniem. Sądząc po tym, jak wzbijała za sobą kurz, strasznie jej było spieszno, żeby go dogonić.

Zwolnił, zatrzymał się i zaciągnął ręczny hamulec. Obiecał sobie, że to nie potrwa długo. Wsiadł, przez moment opierając się o swoją ciemnozieloną terenów-odzyskiwał równowagę, i kiedy garbus zatrzymał się kilka metrów za jego tylnym zderzakiem, ruszył ku niemu na drżących nogach.

Dzieliło ich ze trzy metry, gdy zobaczył, że kobieta zamyka szybę. Zablokowała drzwi, a potem przechyliła się na bok i zrobiła to samo z drzwiami od strony pasażera.

Cholera. I co teraz? Poszukać najbliższej dziupli w drzewie, zostawić w niej pieniądze i papiery, potem napisać list z instrukcją, gdzie je znaleźć? Jeśli pisała książki dla dzieci, mogła mieć upodobanie do dziecięcych zabaw.

Wciąż się zastanawiał, co zrobić, gdy opuściła na kilka centymetrów szybę, krzyknęła, żeby przestawił samochód, i zasunęła szybę z powrotem.

Przestawić samochód? To znaczyło, że Katherine Dixon nie dostała wiadomości, że ktoś jej szuka, i wcale go nie goniła, tylko chciała wyprzedzić. Pewnie wzięła go za turystę podziwiającego kluczkormoranów.

Więc co dalej? Próbować do niej przemówić przez zamknięte okno? Postaw się na jej miejscu, Beckett. Jest sama, zaczepia ją na drodze obcy facet. Wystarczający powód do strachu, nie? Świat przestał być bezpiecznym miejscem, jeśli kiedykolwiek nim był. Któż mógł o tym wiedzieć lepiej niż gliniarz?

Na rozstawionych nogach, żeby się nie osunąć do rowu, Carson uniosł otwarte dłonie w uniwersalnym geście pokoju.

- Hej, proszę pani, jestem porządnym facetem. Ostrożnie uchyliła szybę, mierząc go podejrzliwym wzrokiem. Z miejsca, w którym stał - pomijając rażący zestaw kolorów: pomarańczowy samochód, rude włosy, czerwoną sukienkę, czy co tam miała na sobie - wydała mu się cholernie atrakcyjną kobietą.

Wściekłą jak diabli, ale ładniutką.

Raczej przestraszona. Gorzej, śmiertelnie przerażona.

Niech to szlag. I co teraz?

- Posłuchaj, załatwmy to szybko, dobrze? W naszym wspólnym interesie. - Powolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni zamszowej kurtki, żeby pokazać jej policyjną odznakę.

- Nieee! - wrzasnęła. - Zejdź mi z drogi!

Zły ruch. Znow podniósł ręce, jakby na dowód, że jest całkowicie nieszkodliwy. Na próżno. Wcisnęła gaz. Próbował uskoczyć z drogi, ale jego świeżo zrekonstruowane kolano odmówiło posłuszeństwa. Zachwiał się i upadł, nurkując głową w plątaninę chwastów porastających malaryczny rów.

Cofnęła się i ostro zahamowała. W ułamku sekundy znalazła się przy nim, z szopą rozwianych rudych włosów, w czerwonej długiej koszuli i kolorowych legginsach. Trzymała żelazny pręt w sposób, który nie wróżył niczego dobrego.

- Otwórz oczy - zażądała drżącym głosem.

Nic z tego, panienko. Bezpieczniej będzie udawać trupa.

Przysunęła się bliżej. Carson zacisnął powieki w nadziei, że dziewczyna da się nabrać i zostawi go samego. Nic z ustaleń genealoga nie wskazywało na to, żeby Chandlerowie byli obciążeni dziedzicznym szaleństwem, ale w końcu specjalistka od genealogii nie zagłębiała się w osobiste szczegóły.

- Ty żyjesz. Widziałam, jak drgnęła ci powieka. Przecież ledwie cię potrąciłam.

W ogóle go nie potrąciła, ale tylko dzięki temu, że w porę uskoczył z drogi. Wahala się, wciąż jednak słyszał, jak dyszy. I dalej nad nim sterczała z tym cholernym prętem w ręku. Właściwe narzędzie w niewłaściwych rękach może być śmiertcionośne.

- Cholera, otwórz oczy! - wyszeptała z dziką pasją. A była tak blisko, że czuł bijące od niej ciepło, jej oddech muskał mu twarz. - Prawie cię nie dotknęłam. Nie mogłeś umrzeć.

Miał trudności z utrzymaniem miarowego oddechu. Nie zdziwiłby się, znając swojego pecha, gdyby nagle zebrało mu się na kichanie. Czuł jej kolana przyciśnięte do jego boku, czuł dotyk jej zimnych palców na szyi, a potem na torsie.

O tak, żyję, miał jej ochotę powiedzieć. Dotykaj mnie tak dalej, to pokażę ci, jaki potrafię być żywotny, z bólem głowy czy bez.

Nic z tego. Walczył na zbyt wielu frontach, żeby pozwolić sobie na jeszcze jeden. Pachniała jak... cynamon? Jabłka?

Coś równie niewinnego... i równie kuszącego.

Dotknęła jego czoła i cofnęła rękę. Chciał jej palców z powrotem. Były chłodne, kojące i, Boże drogi, potrzebował tego. Co on, do diabła, miał zrobić? Niczego takiego nie było w scenariuszu. Gdyby otworzył oczy, rąbnęłaby go prawdopodobnie tym przeklętym prętem.

- Ty żyjesz, jestem pewna. Nie widzę żadnej krwi, nie możesz być ciężko ranny. Posłuchaj, ja niczego nie widziałam, naprawdę, więc nie musisz się mną przejmować. To, że przypadkiem mój samochód był na parkingu, nie znaczy, że widziałam, co zrobiłeś. Byłam na drugim końcu cmentarza. Nawet nie słyszałam, o co się kłóciliście.

O czym ona, do licha, mówi? Cmentarz? Jakaś kłótnia? Co tu jest grane?

- No tak... - powiedziała niepewnie. - Chyba nie powinnam cię tu zostawiać, mógłby cię potraćić następny samochód. Poza tym blokujesz drogę.

Ostrożnie podniosła jego rękę i pociągnęła. Czuł, że coś łaskocze go w policzek, i miał nadzieję, że to nie jakiś robal.

- Posłuchaj, wiem, że nie jesteś nieprzytomny, przecież widzę, w jaki sposób oddychasz.

Mógłby jej powiedzieć, że miałby o wiele bardziej przekonujący oddech, gdyby nie była tak blisko... tak piekielnie kobieca.

Czuł, jak badawczo mu się przygląda, jak gdyby był jakimś preparatem mikroskopowym. Całe szczęście, że nie był uzbrojony. Czasami nosił pistolet po służbie, ale nie kiedy był tak daleko poza granicą swojej jurysdykcji. Poza tym to nie był ten rodzaj sprawy. Przynajmniej nic na to nie wskazywało. Ale kto wie, z jakąś szaloną kobietą...

Zabierz ręce od mojego ciała, panienko, naruszasz prywatną własność.

Jej włosy łaskotały go po twarzy. Mruczała pod nosem coś o broni. O czym ona, do diabła, mówi? Przecież nie wiedziała, że on jest gliną - nie doszli tak daleko we wzajemnej prezentacji.

Kit szukała jego pistoletu. Musiał go mieć przy sobie, bo niby po co ubierałby się w tak ciepły dzień w skórzaną kurtkę? Może miał go w rękę, kiedy upadał? Jeśli tak, mógł być gdziekolwiek, na przykład w rowie -choć nie słyszała żadnego plusku.

Narzędzie morderstwa. O Boże, litości!

Musiała to znaleźć, zanim facet dojdzie do siebie, i trzymać go na muszce, dopóki nie uda jej się wezwać pomocy. Krzyknąć na całe gardło do jednego z mężczyzn na pomoście, żeby zadzwonił po szeryfa.

Przykucnęła u jego boku i wsunęła palce pod drugą połę kurtki. Mężczyźni praworęczni nosili chyba broń z lewej strony? I na odwrót. Nie mogła się dowiedzieć, czy ten jest prawo-, czy leworęczny.

Niektórzy trzymali pistolety z tyłu za paskiem spodni, ale ten facet leżał na plecach i był zbyt ciężki, żeby go przekręcić.

I nagle wyczuła pod palcami coś, co przypominało w dotyku skórę. Za płaskie na kaburę... Krzywiąc się z wysiłku, wyjęła dziwny przedmiot z wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Odznaka?

- Zadowolona?

Wydała stłumiony okrzyk i upuściła odznakę, cofając się raptownie i usiłując zrobić dobrą minę do złej gry.

- Słuchaj, kimkolwiek jesteś, musimy cię stąd zabrać, jeśli nie chcesz wpaść do rowu i utonąć. Ale nie próbuj żadnych sztuczek, bo patrzą na nas ludzie. - Nie miała pojęcia, czy któryś z pracujących na przystani mężczyzn, dobrych kilkaset metrów dalej, zwrócił na nich uwagę, czy miał w ogóle szansę widzieć, co się dzieje.

- Nie mam zamiaru niczego próbować - wychrypiał. -

- Możesz się ruszać? - Znów się nad nim pochyliła i dokładnie przyjrzała jego twarzy. - Możesz otworzyć oczy?

Nic z tego, panienko. Dopóki miał zamknięte oczy, mógł sobie wmawiać, że to jakiś zły sen. To wszystko razem... kolorowa zjawa, zapach cynamonu i jabłek, jej bełkot - te chłodne ręce obmacujące jego ciało.

Nie próbuj żadnych sztuczek? Kim ona była? Postacią z jakiegoś komiksu?

Jęknął, a kobieta wstrzymała oddech.

Rany, na diabła mi ten cały bigos, pomyślał z rezygnacją. Kobieta chwyciła go za rękę i kilka razy szarpnęła na próbę. Gdyby miał trochę rozsądku, po-dźwignąłby się na kolana, wrócił do samochodu i prysnął stąd w tej samej minucie, w której zorientował się, że ma do czynienia z wariatką.

Gdybym miała odrobinę rozsądku, pomyślała Kit, zostawiłabym go tam, gdzie upadł, i zadzwoniła do szeryfa, który wezwałby karetkę. Mogłaby przy okazji zasugerować, żeby zabrali ze sobą kajdanki, bo mężczyzna leżący przy drodze jest prawdopodobnie mordercą, choć w kieszeni kurtki ma odznakę policyjną.

Albo jeszcze raz zadzwonić pod dziewięćset jeden, powiedzieć, że przed skrzyżowaniem Landing z Waterlily Road leży jakiś człowiek, a potem uciec do Chesapeake. Ale gdyby go tu zostawiła, mógłby stracić przytomność, stoczyć się do rowu i utonąć.

- Co ja mam zrobić? - wyszeptała.

Wtedy otworzył oczy i Kit zdała sobie sprawę, że wgapia się w najbardziej niesamowite niebieskie oczy, jakie widziała w swoim życiu. Bardziej kobaltowe niż błękitne, ale teraz jakby pociemniałe z bólu.

- Dobrze... się czujesz? - spytała niepewnie. Koniec świata! Zadaniem tego faceta było zamknąć jej usta raz na zawsze, a ona przejmując się jego zdrowiem?

Znów miał zamknięte oczy. Oddychał ciężko, jakby naprawdę cierpiał. Nie wiedziała, czy stracił przytomność, ale musiała jeszcze

raz zerknąć na jego odznakę, a to mogła być jej ostatnia szansa. Taka „blacha” mogła pochodzić ze sklepu z zabawkami, i pewnie tak było.

Ale nie broń. Nie miała upośledzonego słuchu; pistolety dla dzieci wydają inny dźwięk niż ten, który usłyszała na dziedzińcu kościoła.

Wyciągnęła rękę do jego kurtki. Otworzył oczy, skupiając wzrok na jej twarzy, a nie na ręce, która zawisała nad połą kurtki.

- Jest prawdziwa - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Jestem kawał drogi od swojego rewiru, ale... - Zasłonił ręką usta, kichnął, a potem jęknął.

- Sto lat - Kit mruknęła odruchowo. - Kogo tu... czy szukasz kogoś konkretnego? Na przykład mnie?

Jeśli był z posterunku szeryfa, mógł ją wysledzić dzięki jednemu z tych urządzeń, które podłącza się do telefonów. Możliwe, że policja namierza nimi takich ludzi jak ona; ludzi, którzy nie chcą być w nic wplątani.

- Posłuchaj, pomogę ci się podnieść i dojść do samochodu, ale naprawdę nie wiem nic więcej poza tym, co powiedziałam przez telefon. Słyszałam jakieś głosy - nawet nie jestem w stanie powiedzieć, o co się kłócili. Potem usłyszałam strzał, ale pomyślałam, że to gaźnik strzelił, a potem...

Stała za nim i chwyciła go pod pachy. Był potężny. Ogromny, doskonale zbudowany facet, zauważyła mimowolnie. Miał czarne potargane włosy, które prosiły się o fryzjera, pociągłą bladą twarz z kilkudniowym zarostem. Był w kowbojskich butach, wytartych

dżinsach, w czarnej koszuli i zamszowej kurtce, która wyglądała, jakby przeżyła kilka bójek.

Skup się na tym, co robisz, idiotko!

- Spróbuję cię posadzić, ale pomóż mi, ważysz chyba tonę.

- Zaczekaj, po prostu zapało mi dech.

- Wciągnę cię do samochodu, a reszta należy do ciebie. Jeśli jesteś prawdziwym policjantem, możesz wezwać swoich ludzi. Jeśli nie - powiedziałam ci już, że niczego nie widziałam. Poważnie.

Zanim pomogła mu stanąć o własnych nogach, dotykała go w takich miejscach, w jakich nie dotykała od lat żadnego mężczyzny. Żar bijący od jego ciała przyprawiał ją o ciarki na dłoniach. Gdyby się okazało, że naprawdę jest policjantem, powtórzyłaby po prostu wszystko to, co powiedziała przez telefon. I tym razem odpowiedziała na wszelkie możliwe pytania. A gdyby nalegał, żeby złożyła oficjalne zeznanie w biurze szeryfa, mogłaby z nim pojechać, czemu nie. Dopóki byłaby pod opieką policji, żaden drań nawet by się do niej nie zbliżył.

Przynajmniej tak to działało w powieściach kryminalnych.

Chyba że policjant okazałby się łajdakiem.

Cóż, nie było sensu martwić się na zapas. Zresztą ten typ wyglądał raczej na bohatera. Nie żeby był klasycznie przystojny, nic z tych rzeczy. Miał mimiczne zmarszczki przy ustach, jakby się często uśmiechał - kiedy był w lepszej formie. Ta zawadiacka nieogolona broda i łuki ciemnych brwi nad pięknymi niebieskimi oczami.

U kobiety dopatrywałyby się kolorowych szkieł kontaktowych, ale ten facet, kimkolwiek był, wyglądał zbyt surowo. Sprawiał wrażenie, jakby guzik go obchodziło, czy się komuś podoba, czy nie.

Wróć; akurat w tym momencie sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Czy boli cię coś konkretnego? - spytała ostrożnie. Ostatnią rzeczą, która powinna jej się przydarzyć, była sprawa sądowa, to by dopiero była woda na młyn jej dziadka!

Odetchnął głęboko, pokręcił głową i skrzywił się.

- Nic konkretnego. Moja babcia nazwałaby to czuciem na całym ciele.

Nie interesowała ją jego rodzina, miała dość kłopotów z własną. Spojrzała na swój samochód, potem na jego większą terenówkę.

- Jesteś w stanie prowadzić? Może zawiozę cię do domu, a potem wrócę po swój samochód?

- Daleka droga - wychrypiał.

Miała rację co do jego ust. Zmarszczył je w krótkim uśmiechu, który sprawił, że stopniała w niej resztką oporu.

- A może pojedę za tobą, żeby mieć pewność, że bezpiecznie dotarłeś do domu. Jeśli naprawdę jesteś policjantem, nie powinieneś mieć nic przeciwko temu.

- Katherine Chandler Dixon?

- Wiesz, jak się nazywam? - Cofnęła się gwałtownie. - Kim ty jesteś? Czy to mój dziadek cię nasłał?

- Nie, mój - odpowiedział i nagle zgiął się wpół. Złapał go tak przeraźliwy atak kaszlu, że od samego słuchania rozbolało ją gardło.

- Jesteś chory - powiedziała beznamiętnie. - Jeden szpital jest w Elizabeth City, a drugi bliżej plaży. Są też pewnie w okolicy jakieś przychodnie.

Powoli dochodząc do siebie, pokręcił głową.

- Niepotrzebny mi szpital. Miałem kilka pogruchotanych kości, wylizywałem się z tego, a teraz złapałem grypę. Nic wielkiego - głównie ból głowy. Muszę to po prostu przespać.

- Posłuchaj, jeśli mi powiesz, gdzie mieszkasz, dopilnuję, żebyś tam dotarł, w ten czy inny sposób, dobrze? Reszta to twoja sprawa.

- Charleston - powiedział, znów z tym swoim rozbrajającym uśmiechem.

- Gdzie to jest? - I wtedy zrobiła wielkie oczy. - Masz na myśli Charleston w Karolinie Południowej?

- Aha. Tak było, kiedy stamtąd wyjeżdżałem.

- Na pewno nie zawiozę cię do Charleston, ale może zatrzymasz się gdzieś tutaj?

- Dzisiaj rano wymeldowałem się z Nags Head. - Wymienił nazwę hotelu, który znajdował się jakieś pięć kilometrów od miejsca, w którym pracowała zeszłego lata.

Kręcąc wolno głową, podjęła decyzję. Boże, gdyby kiedyś napisała autobiografię, nikt by w nią nie uwierzył. Swoją drogą nikt nie byłby zainteresowany kolejami jej życia.

- Pojedziesz do mnie - powiedziała stanowczo. W końcu przygarniała pod swój dach znacznie niechlujniej wyglądające stworzenia. Czworonożne. Poza tym jej dom leżał w zasięgu słuchu praktycznie wszystkich mieszkańców osady. - Luksusu tam nie ma, ale przynajmniej się wyśpisz - na tyle, żeby dojść do siebie i powiedzieć mi, o co w tym wszystkim chodzi. Możesz zająć rozkładaną kanapę.

Carson chciał odmówić. Cholera, marzył o własnym łóżku, o tym, żeby wyłączyć na tydzień telefon i nic nie robić, tylko spać. Był jednak w takim stanie, że gdyby zaproponowała mu miejsce na wycieracze, z wdzięcznością przyjąłby zaproszenie.

- I tak musimy porozmawiać. - Mógłby kilka minut odpocząć, załatwić sprawę i potem się zmyć.

- Zaczekaj tu. Usunę z drogi swój samochód - nikt go tu nie tknie. I nie przejmuj się, potrafię zmieniać biegi.

- Automatyk - powiedział, krzywiąc się z bólu.

- Wszystko jedno. Po prostu nie chcę cię mieć na sumieniu. Nie jesteś w stanie prowadzić, a mojemu samochodowi nic się tutaj nie stanie. W tej okolicy nie zdarzają się...

Chciała powiedzieć: przestępstwa, ale ugryzła się w język. A morderstwo? Zresztą tylko na pozór Gilbert's Point było takim spokojnym miejscem, bo słyszało się o przemyśle narkotyków, nie mówiąc o okazjonalnych sobotnich imprezach, które wymykały się z ręki. Z tego, co wiedziała, straż przybrzeżna wyłapywała handlarzy

narkotyków, a pijacy lądowali na jedną noc w areszcie. Ale morderstwo - to już było przerażające.

- Daj mi kluczyki - burknęła. - Pomogę ci wsiąść i... Sam wsiadł, ruszając się, jakby wyszedł z sali tortur.

Ale zrobił to o własnych siłach, co było pocieszające.

- Możesz się zdrzemnąć, jeśli chcesz, do pracy idę na piątą, a jest dopiero dwadzieścia po czwartej. Nie jesteś uczulony na aspirynę? A zjadłbyś zupę z kurczakiem? To popisowe danie Jeffa, mojego szefa.

Prawie słyszała teraz słowa swojej matki.

- Katherine, czy ty musisz sprowadzać do domu każdą przybłądę, którą spotkasz na drodze? Ja nie prowadzę zoo - mówiła, kiedy nie była zbyt pijana. I kiedy była w domu. Może gdyby bywała w domu częściej i gdyby częściej bywała trzeźwa, Kit nie przygarniałaby wszystkich bezdomnych kotów, jaszczurek bez ogonów, ptaków ze złamanymi skrzydłami.

Nie na długo, swoją drogą. Jej ojciec potrafił tego dopilnować. Kiedyś na jej oczach upchnął do worka cały miot porzuconych kociaków i utopił je w zatoce.

Potem za złamanie jego zakazu zawsze musiała odsiadzieć kilka godzin w szafie wnękowej. Kiedyś, gdy jedno z jej podopiecznych przyniosło do domu pchły, kara przeciągnęła się do dwunastu godzin. Płakała rozpaczliwie, a potem zaczęła wymyślać różne historie.

Właściwie powinna być wdzięczna swojemu ojcu za to, że zaczęła pisać książki.

- Gorąca herbata też jest dobra na przeziębienie. I cebula.

Oczywiście nie razem, ale...

Nie przerywał jej paplania. Jedyne, o czym marzył, to położyć się i zamknąć oczy. Dotąd nigdy nie chorował, nigdy. Potłukł się kilka razy, ale nigdy nie łapał żadnych zakaźnych chorób. Aż w końcu padło i na niego.

Kiedy podjechała pod dom, równie mało okazały jak jego własny, Carson był tylko w stanie wygramolić się z samochodu. Torbę podróżną miał w bagażniku, ale brakowało mu motywacji, żeby po nią sięgnąć.

Kit weszła na frontowy ganek, zastawiony niezliczoną ilością misek i spodeczków, i otworzyła szeroko drzwi.

- Tam jest łazienka. - Pokazała palcem ostatnie drzwi po lewej stronie korytarza. - Kanapa w tamtym pokoju. Rozgość się. Wstawię wodę i zapytam przez telefon Jeffa, czy zrobił już zupe.

W jej głosie było coś kojącego. Zadziwiające, bo należał do kobiety, która w najgorszym razie była niebezpieczną psychopatką, a w najlepszym - litościwą dziwaczką. Ledwie zniknęła w kuchni, mruczając coś pod nosem o kocu do przykrycia, Carson już leżał, na wpół przytomny. Chwilę później czuł jej obecność, choć miał zamknięte oczy. Przestań gadać, chciał powiedzieć, pęka mi od tego głowa.

- Przestaję gadać, pewnie chcesz się przespać. Pójdę teraz po swój samochód, wstąpię po drodze do restauracji i przywiozę ci zupe.

Pa, pa, aniele. Obudź mnie za kilka tygodni, dobrze?

ROZDZIAŁ TRZECI

Kit drżącymi palcami wykręciła numer restauracji Jeffa.

- Słuchaj, Jeff, mogę się kilka minut spóźnić na swoją zmianę, ale przedtem wpadnę na chwilę i... czy mógłbyś mi przygotować porcję zupy z kurczakiem na wynos? Uhm, tak, znalazł mnie.

Jakiś facet o nią wypytywał? A ona była na tyle głupia, żeby przywlec go do swojego domu.

Ale ten człowiek znał jej pełne imię i nazwisko...

Wcisnęła do kieszeni kluczyki i prawie wybiegła na drogę. Szła coraz szybciej, w miarę jak kolejne złe myśli tłoczyły jej się do głowy. Jak mogła wyjść sobie tak po prostu i zostawić w domu całkiem obcego człowieka? W takich okolicznościach?

Nawet w normalnych okolicznościach nigdy nie zapraszała do siebie mężczyzn na nocleg. To zawsze sugeruje jakieś zaangażowanie, a co do angażowania się w związki z mężczyznami, Kit miała całą serię zasad, począwszy od „Nie ma mowy”, a skończywszy na „Po prostu powiedz nie”.

Dorastanie w rodzinie, która była nieskazitelna na pokaz, a kompletnie dysfunkcyjna za zamkniętymi drzwiami, pozostawiło urazy, które wciąż starała się przewycięzać - a jeśli nie przewycięzać, to przynajmniej ukrywać.

Tak czy inaczej, drwiła w cichości ducha, jesteś nieodrodną córeczką swoich starych.

We wczesnym dzieciństwie nie było to aż tak bardzo oczywiste, że gdy jej ojciec wychodził do biura, cały dom oddychał z ulgą. Wtedy jeszcze matka nalewała sobie pierwszego drinka dopiero przed kolacją. W dzień zawsze dokądś wychodziły, tylko we dwie. Do kina, muzeum, na zakupy... do zoo. W deszczowe dni bawiły się, wycinały papierowe lalki z kolorowych magazynów. Uwielbiała to wymyślanie historyjek o każdej z nich.

Na swoje osiemnaste urodziny dostała od matki lalkę w stroju panny młodej. Potem zawsze kojarzyła ją w myślach z wielkim, oprawionym w złotą ramę portretem ślubnym, który wisiał w salonie matki. Panna młoda, o klasycznie pięknej twarzy i rozpromienionych oczach, była w rozłożystej koronkowej sukni i welonie przetykanym perłami. Stojący u jej boku, ale nie obejmujący jej, pan młody, Christopher Dixon, wyglądał atrakcyjnie i miał porażająco obojętny wyraz twarzy. Dopiero kilka lat później picie jej matki wymknęło się spod kontroli.

Zdaniem dziadka Kit, Betty Chandler postanowiła upolować bogatego męża, a jedynak sędziego w chwili słabości dał się złapać. Z tego, co wiedziała Kit, jej ojciec nigdy, w całym swoim życiu, nie miał chwili słabości. Jeśli jej dziadek był znany jako Żelazny Dixon albo po prostu Żelazo, to ojciec z pewnością zasługiwał na przydomek Nierdzewna Stal.

Trzy dni po pogrzebie rodziców - zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy miała osiemnaście lat - zaczęła myśleć o wyprowadzeniu się z domu. Mieszkali zaledwie kilka mil od domu starszych Dixonów -

przestronnej willi z białej cegły położonej nad zatoką Chesapeake. Jej dziadkowie nie mieli najmniejszych kłopotów z utrzymaniem posiadłości. Nawet gdyby ośmieliła się im zaoferować swój udział w kosztach, z pewnością by na to nie poszli.

Biedna babcia była zrozpaczona po śmierci swojego jedyne­go dziecka, ale pod zimnym, karcącym spojrzeniem męża szybko się pozbierała. W dniu pogrzebu sprawiała wrażenie takiej jak zwykle, a zewnętrzne pozory były tym, co się dla Dixonów liczyło najbardziej. Chłodna, uprzejma i stosowna do okoliczności maska.

Następnego dnia sędzia Dixon posłał po Kit, żeby porozmawiać o testamencie jej ojca. Zamiast stawić się na wezwanie, wróciła na górę do swojego pokoju i zaczęła się pakować, ładując do pudeł książki, farby, ubrania i fotografię ślubną swojej matki. Potem zaniknęła dom na klucz i ruszyła na południe ze stu trzydziestoma siedmioma dolarami, bez żadnych perspektyw.

I jakoś sobie poradziła. W drodze zdarzało jej się nie dojechać i dobrych kilka nocy spędziła w samochodzie, ale szybko się uczyła i miała szczęście. Zanim jej dziadek zdążył postawić na nogi całą policję w Wirginii, powiadomiła ich przez telefon, że nie muszą się o nią martwić. Nie powiedziała, gdzie jest, ale od tej pory dzwoniła regularnie i od czasu do czasu składała im krótką wizytę.

W gruncie rzeczy sama nie wiedziała, po co zadawała sobie ten trud, bo dziadków stać było tylko na to, żeby ją krytykować i namawiać do powrotu na łono rodziny. Łagodne połajanki babki wcale nie były lepsze ód cierpkich słów dziadka. Zdaniem sędziego,

Kit była taka sama jak jej matka - słaba, lekkomyślna i pozbawiona zasad moralnych. Choćby jej strój, jak można tak wyglądać" - przez co, oczywiście, ubierała się coraz bardziej ekstrawagancko. A praca kelnerki? Dotąd nikt w jego rodzinie nie był zawodowym sługusem.

Mimo wszystko byli jej jedynymi bliskimi. W głębi duszy może ich nawet kochała. W każdym razie nie potrafiła się zdobyć na zerwanie z nimi raz na zawsze. Nie wykluczała, że kiedyś będą jej potrzebować, i gdyby nadeszły takie czasy, nie odmówiłaby im wsparcia. Ale za nic by nie wróciła i nie pozwoliła, żeby traktowali ją tak, jak kiedyś traktowali jej matkę.

Myśląc intensywnie, Kit zawsze przyśpieszała kroku. Była w połowie drogi, gdy zobaczyła, że ktoś próbuje otworzyć jej samochód.

- Hej, ty! - krzyknęła.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię. Kilku mężczyzn z przystani rybackiej podniosło głowy. Gil's Point było tego rodzaju osadą - nie więcej niż półtora kilometra drogi z jednego końca na drugi, dookoła z trzech stron moczary, z czwartej kanał. Kilkanaście rodzin, które mieszkały tam od zawsze, łączyły ciepłe sąsiedzkie stosunki. I głównie za to tak bardzo to miejsce polubiła.

- To mój samochód!! - wrzasnęła głośniejszym głosem. Jeśli zagradzał drogę, mogła go przestawić. Sama, bez niczyjej pomocy. Biedronka miała wrażliwą skrzynię biegów. Lepszym określeniem byłoby „poważnie niedomagająca”.

- Hej, Kit, wszystko w porządku?! - krzyknął jeden z rybaków.

Człowiek, który kręcił się koło jej samochodu, spoglądał przez moment to na rybaka, to na nią. Odwrócił się bez słowa i pognął do czerwonego pikapa zaparkowanego przy skrzyżowaniu z Waterlily Road. Wskoczył do środka, zatrzasnął drzwi i z rykiem silnika ruszył w kierunku szosy 158.

Kit patrzyła za nim przez chwilę bez specjalnych podejrzeń. Może pomyślał, że zabrakło jej benzyny? Może chciał tylko pomóc? Ale dlaczego uciekł?

I dlaczego ona tak nerwowo zareagowała na dźwięk jego silnika?

Nagle przeszył ją zimny dreszcz. To nie panika, powiedziała sobie. Prawdziwa panika ogarnęła ją na widok tamtego ciała z dziurą w czole. Od tamtej pory nie miała czasu na panikowanie.

Ale przecież był biały dzień. Żaden w miarę normalny człowiek nie próbowałby ukraść samochodu na oczach tylu ludzi. Może to był kolekcjoner starych volkswagenów. Miała już kilka propozycji. Może kiedy zobaczył przy drodze jej garbusa, pomyślał, że jest na sprzedaż, i oglądał go z ciekawości.

Ale dlaczego uciekł?

Bo rozpoznał Biedronkę z przycmentarnego parkingu i szukał sposobu na unieszkodliwienie potencjalnego świadka? Bo szukał jakiegoś dowodu tożsamości, żeby dowiedzieć się, gdzie ona mieszka, wkraść się nocą do jej domu i udusić ją w jej własnym łóżku?

Przekleństwo wyobraźni pisarskiej. Wystarczyły jej trzy mrówki w cukiernicy, żeby stworzyć na poczekaniu jakiś dramat.

Z drugiej strony, jednak zdarzyło się morderstwo -tego sobie nie wymyśliła. Zaciskając z wściekłości dłonie, wrzasnęła w kierunku, w którym odjechał pikap:

- A niech cię! Ja niczego nie widziałam!

Co teraz? Może i miała wybujałą wyobraźnię, ale też wystarczająco dużo rozsądku, żeby nie dotykać samochodu, dopóki ktoś go nie sprawdzi. Oglądała wiadomości. Czytywała drastyczne kryminały. Ten facet mógł grzebać przy jej hamulcach albo wmontować jakiś zapalnik, coś, co powoduje eksplozję przy uruchomieniu stacyjki. Nawet przy otwieraniu drzwi...

Boże, co za dzień! Zbierało jej się na płacz, ale ona nigdy nie płakała, więc co teraz? Otworzyć drzwi, ryzykując, że wyleci w powietrze, czy poczekać i pozwolić zaryzykować komuś innemu?

Może jej policjant wiedziałby, co zrobić. Jeśli naprawdę był policjantem. W drodze powrotnej próbowała ocenić trzeźwo sytuację - nie na darmo w jej żyłach płynęła krew wielu pokoleń prawników.

Po pierwsze, była świadkiem zabójstwa.

Niezupełnie. Nie widziała sprawcy. Co nie miało znaczenia, jeśli zabójca myślał, że ona może go rozpoznać.

Po drugie, zawiadomiła telefonicznie policję. Nie odpowiadała na żadne pytania - nawet nie poczekała, aż spytają ją o cokolwiek. Ale najważniejsze zrobiła, a reszta należała do szeryfa.

Po trzecie, na jej kanapie spał obcy człowiek, który mógł być albo mógł nie być tym, za kogo się podawał. Ktoś, kto prawdopodobnie nie miał nic wspólnego z tym, co wydarzyło się rano.

Słowem kluczowym było „prawdopodobnie”. Powiedział, że nazywa się Beckett, i wiedział, jak ona się nazywa i gdzie mieszka.

I była na tyle naiwna, żeby zaprosić go do domu.

Dziwne, jak na rzekomo trzeźwy umysł. Wystawianie resztek jedzenia dla zbłąkanych zwierząt to jedno; sprowadzenie do domu obcego człowieka i proponowanie mu noclegu to zupełnie inna sprawa. Najwidoczniej zdolności umysłowe odziedziczyła po rodzinie swojej matki.

Myśl, Katherine, myśl! Czy mogło istnieć jakieś powiązanie jej dziadków z Wirginii z policjantem z Karoliny Południowej? Odznaka mogła być albo mogła nie być prawdziwa. Tak samo z jego nazwiskiem.

To byłoby podstępne, perfidne ze strony dziadka -przysłać jakiegoś konia trojańskiego. Dla starych Dixonów kontrolowanie sytuacji było zasadniczą sprawą. W jej wypadku chodziło o kontrolowanie pieniędzy, które miała odziedziczyć. Zdarzyło im się, na krótko, stracić kontrolę nad swoim synem, kiedy ożenił się z kimś spoza ich sfery. Nie byli w stanie kontrolować synowej, a później wnuczki. Musiało to irytować człowieka, który potrafił wpływać na ławę przysięgłych znaczącym uniesieniem krzaczastych brwi.

Kit mogłaby im powiedzieć, dlaczego obie były odporne. W obu przypadkach pieniądze po prostu nie wystarczały. Jej matce zabrakło odwagi, żeby wyrwać się z chorego układu, ale Kit nie. Może brakowało jej rozsądku, ale miała odwagę.

Gdy odwiedziła kiedyś dziadków, poczuła się prawie rozbawiona odkryciem, że ona też miała potrzebę kontrolowania sytuacji. Podczas kilku ostatnich wizyt jej dziadek starał się wzbudzić w niej zainteresowanie swoim protegowanym, niejakim Elliottem Saddlerem. Kit zetknęła się z nim kilkakrotnie, zanim opuściła dom - był prawnikiem w tej samej kancelarii, której współnikiem był jej ojciec.

Nie ze mną takie numery, pomyślała od razu. Nie żeby zakładała z góry, że Elliott jest takim samym typem jak sędzia, znała jednak doskonale sposób myślenia dziadka. Miała dwadzieścia pięć lat. Z prawnego punktu widzenia nie miał żadnych możliwości narzucania jej czegokolwiek, ale gdyby wyszła za kogoś takiego jak Elliott, stary despota - przynajmniej tak sobie roił - miałby ją w garści. Trzymałby ją na krótkiej smyczy podobnie jak własną żonę i jak próbował trzymać swoją synową.

Zerknąwszy na zegarek, weszła na stary drewniany pomost i pognąła do restauracji, która znajdowała się na jego odległym końcu. Za dwanaście minut powinna zacząć pracę.

- Jeff, zupa jest gotowa? Mam w domu gościa, który naprawdę potrzebuje czegoś, co go postawi na nogi. Ma grypę czy coś.

- Ty też nie wyglądasz za dobrze. - Wysoki restaurator uśmiechnął się, a potem skrzywił. - Masz mi niczego nie złapać, rozumiesz? - Wręczył jej słoik zapakowany w szarą torbę. - Chciałbym, żebyś od przyszłego tygodnia wzięła przedpołudniową zmianę. Mamy coraz więcej klientów.

Kit i Bambi wymieniały się regularnie zmianami, dzięki czemu Kit mogła szkicować przed południem, a wieczorami pisać i kolorować swoje ilustracje akwarelami, Napiwki u Jeffa były niczym w porównaniu z tym, co zarabiała na wybrzeżu, ale życie było tańsze, lubiła to miejsce, lubiła tutejszych ludzi i odpowiadał jej elastyczny grafik pracy.

- Wracam za kilka minut, wtedy ci zapłacę - zawołała przez ramię.

Biegając przez pomost, pozdrowiła kilku rybaków myjących swoje łodzie i przygotowujących sprzęt na następny dzień.

- Masz jakieś kłopoty z samochodem? - spytał jeden z nich.

- Nie. Chciałam przyprowadzić Biedronkę pod dom, ale zapomniałam kluczyków.

Młody rybak pokręcił z uśmiechem głową, jakby chciał powiedzieć: „Jak to baba”, a Kit pognęła do domu. Zupa prawie parzyła jej ręce. Wiedziała z góry, że Jeff nie zechce za nią żadnych pieniędzy. Miała przeczucie, że przy odrobinie zachęty próbowałby przenieść ich znajomość na inny poziom, ale to nie miało szansy się zdarzyć. Był jednym z najmiłszych mężczyzn, jakich знаła, ale ona nie zamierzała wplątać się w coś, co choćby tylko pachniało romanssem.

Kiedy wchodziła na ganek, późnopołudniowe słońce zdążyło zmienić jej okna w kolorowe witraże. Mimo że martwiła się samochodem, postanowiła pozwolić swojemu gościowi spać tak długo, jak zechce, zostawiając mu kartkę z wiadomością, gdzie

znajdzie zupę i garnek do jej odgrzania. Gdyby zniknął, zanim ona wróci z pracy, tym lepiej.

Na wypadek gdyby wciąż tu był, pomyślała smętnie, przebijając się w kelnerski uniform, powinnam się przygotować do odpowiedzi na kilka pytań.

Zbierając się do wyjścia, zerknęła na swojego tajemniczego intruza. Litości, facet robił wrażenie. Mogłaby przysiąc, że jest całkowicie odporna na męski czar, ale ten typ miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że dorosłej kobiecie miękły kolana. .

Spokojnie, miała dość przygód jak na jeden dzień. W ogóle nie potrzebowała żadnych przygód. Życie bez przygód bardzo jej odpowiadało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Było zupełnie ciemno, kiedy Carson się obudził. Pierwszą jego myślą było to, że ma połamane kości. Drugą - że musi zlokalizować toaletę. Dopiero gdy rozejrzał się dookoła, wróciła mu pamięć. Wylądował w jakiejś rybackiej dziurze, w pościgu za kobietą o wyraźnych morderczych skłonnościach. Kobieta, która prowadziła pomarańczowy samochód w kropki i mówiła jakimś szyfrem zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych. Kobietę o twarzy anioła, której pod szopą rudych kręconych włosów musiało brakować kilku klepek.

Usiadł i korzystając z nikłego światła sygnalizacyjnego przy nabrzeżu, które odbijało się w oknie, wypatrzył lampę, włączył ją, a potem prostując uszkodzone kolano, wstał i wykonał kilka próbnych kroków.

Nie najgorzej. Powłókł się ostrożnie na koniec korytarza, spodziewając się, że zza którychś z zamkniętych drzwi wyskoczy jego gospodyni. Czy nie mówiła przypadkiem, że wybiera się do pracy?

Dopiero kiedy umył w łazience ręce i twarz pachnącym mydłem, poczuł się jak człowiek. Potem zerknął w lustro i skrzywił się z niesmakiem. Nic dziwnego, że była przerażona.

Trudno, wyglądał, jak wyglądał. Był tylko gliniarzem.

Chwilowo nie był nawet tym, był facetem, który miał do załatwienia osobistą sprawę, działającym jako emisariusz przeszłych pokoleń Beckettów. Zdecydowanym spełnić swoją misję i

natychmiast wracać do domu, by zabrać się do następnej sprawy. Małżeństwa z Margaret.

Swoją drogą, zabawne - nie myślał o tym tak niechętnie kilka dni temu, kiedy zdecydował się odłożyć ustalenie daty ślubu do czasu, kiedy zamknie sprawę rodzinnego długu. Podchodząc do tego zupełnie uczciwie - a na razie jego umysł nie był zdolny do niczego innego - ostatnią rzeczą, do której się palił, było dożywotnie skazanie się na wielkomięjskie życie, imprezy towarzyskie, cotygodniowe mecze w golfa i okazjonalne rejsy jachtem.

Co do imprez towarzyskich, piwo i grill w ogrodzie Maca, z jego żoną i dziećmi, kilka razy w roku, całkowicie zaspokajały potrzeby Carsona. W golfa nigdy nie grał i nie chciał grać. Jego ulubionymi dziedzinami sportu był baseball i wędkowanie, a każdy rejs oddałby za łapanie okoni na jeziorze Moultrie.

Z drugiej strony, jego matka liczyła dni do tego ślubu. Lada dzień mogła stracić rachubę, ale wciąż miała błysk w oczach, ilekroć Margaret zdarzyło się do niej wpaść. Kate - jego matka - całymi dniami wycinała zdjęcia par młodych z kolorowych magazynów, wklejała je do albumu i ozdabiała motywem kwiatu pomarańczy. Wciąż go rozpoznawała, ale wynajęta opiekunka powiedziała rodzinie, że wcześniej czy później może potrzebować stałej opieki w specjalistycznym zakładzie dla pacjentów cierpiących na Alzheimera.

Boże, na samą myśl o tym łzy cisnęły mu się do oczu. To pojawiło się tak podstępnie, bez żadnego ostrzeżenia. Dziwne objawy paranoi, nagłe luki w pamięci, urwane zdania w środku rozmowy, z

uśmiechem, jakby straciła tok myśli. I tak było w istocie. A zdarzało się coraz częściej.

Nie miał wyjścia. Ślub z Margaret, z tysiącem zdjęć, które jego mama wklejałaby potem do swojego albumu, mógł być ostatnią rzeczą, którą był w stanie dla niej zrobić i która sprawiłaby jej prawdziwą radość. Nie mógł tego dłużej odkładać. Po prostu nie mógł.

Wzdychając ciężko, Carson zgasił światło w łazience i poszedł do kuchni. Pierwszą rzeczą, na którą padł jego wzrok, była kartka na stole. Zgodnie z instrukcją gospodyni znalazł garnek i zabrał się do odgrzewania zupy. Dziesięć minut siedział na kanapie z miską najlepszej zupy z kurczaka, jaką jadł w swoim życiu.

Rozglądał się po skromniutkim pokoju, którego niemal jedyną ozdobą były dziecięce rysunki na niepomalowanych ścianach, i zaczynało mu się to miejsce dziwnie podobać - może dlatego, że czuł się znacznie lepiej. Gołe drewniane ściany, goła drewniana podłoga. Tu przynajmniej nie było stosów ubrań na stolikach z puszek po piwie.

Przeniósł wzrok na zbudowany z pustaków i desek regał z imponującą kolekcją książek. Powieści sensacyjne, atlasy przyrodnicze, kryminały, książki o sztuce i...

Książki dla dzieci?

Hm... Gaduła z restauracji nie wspominał o żadnych dzieciach. Może dlatego, że bardziej go interesował jej samochód. Może miała

dziecko, a to dziecko było z tatusiem, bo mamusia najwyraźniej miała do rozwiązania własne problemy.

W swojej pracy miał do czynienia ze zbyt wieloma takimi przypadkami. Zwykle, jeśli rodzina w ogóle funkcjonuje, lepiej zostawić dziecko w domu niż odbierać je i skazywać na przeciążony, kulejący z powodu niedoboru personelu system opiekuńczy. Niektóre dzieci nie adaptują się w rodzinach zastępczych. Carson oglądał złe skutki obu decyzji, również takie, które do końca życia miały w nim budzić rozdzierające wspomnienia.

On wychował się w cudownej rodzinie i był na tyle mądry, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Niewielu zostało Beckettów, ale ci nieliczni byli sobie bliscy, spotykali się na wakacjach, urodzinach i rocznicach ślubu. Wkrótce harmonogramu tych uroczystości mieli dopełnić Lance z Lizą.

To bliskie więzy rodzinne utrzymywały go przy zdrowych zmysłach, kiedy jako policjant przeżywał najgorsze dni. Pozwalały mu też zachować pokorę, bo doskonale wiedział, że nie wszyscy są takimi szczęśliwcami.

W każdym razie fakt, czy pani Chandler miała jakieś potomstwo, czy nie, niczego nie zmieniał. Jego pokolenie miało dług wobec jej pokolenia. Wyłącznie od niej zależało, co zrobi z tymi pieniędzmi. Dziesięć tysięcy nie było majątkiem w dzisiejszych czasach, ale sądząc po tym, jak żyła, mogło jej dać pewien oddech.

Carson skończył zupę i wtedy przyszło mu do głowy, że to doskonały moment, żeby zostawić na stole czek, stare akcje i

zwyczajnie dać nogę. Przydałoby się potwierdzenie odbioru, ale realizacja czeku byłaby dostatecznym dowodem, gdyby kiedykolwiek wyniknął jakiś problem.

Więc dlaczego tego nie zrobisz i nie wyjedziesz, Beckett?

Odpowiedź była równie mglista jak stan jego umysłu. Po pierwsze, ta kobieta go intrygowała, a nie był typem, którego łatwo było zaintrygować. Przyciągała wzrok, jeśli ktoś lubi bujne, ogniste włosy, kolorowe, ekscentryczne stroje i kolczyki przypominające raczej błystki na ryby niż biżuterię.

Mając w pamięci dyskretne srebrne kolczyki Margaret i perłowe łożki swojej matki, pokręcił głową. Wiedział, że Beckettowie nie mogli służyć za wzór nadażania za modą. Kobiety w jego rodzinie były typowymi przedstawicielkami swojej sfery sprzed pięćdziesięciu lat. Domowe suknie i kapelusze słomkowe do pracy w ogrodzie, kwieciste suknie i kwieciste kapelusze na popołudniowe wyjścia; ciemne jedwabie z perłami na bardziej oficjalne okazje. Jego mama nadal wychodziła do kościoła w białych rękawiczkach i kapeluszu, choć niektóre młodsze damy z kongregacji nosiły spodnie i nigdy nie używały kapelusza.

Próbował i jakoś nie był w stanie wyobrazić sobie reakcji swojej matki na Katherine Dixon. Szczęśliwie obu kobietom nie groziła okazja do spotkania.

Podgrzewając dzbanek z kawą, usiłował wydobyć z pamięci wszystkie szczegóły ich pierwszego kontaktu. Ta kobieta plotła coś

bez sensu po tym, jak próbowała go przejechać. Że czegoś tam nie widziała... Coś o cmentarzu? Jakichś strzałach?

Cokolwiek to było, dla niej musiało mieć jakiś sens. Była wystraszona i wściekła, a z tego, co pamiętał, nie zrobił niczego, żeby ją przestraszyć albo rozzłościć. No dobrze, podszedł do jej samochodu - nie bliżej niż na trzy metry.

Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna była kompletnie zwariowana. Ten jej wygląd i wdzięcznie niezdarny sposób, w jaki się poruszała - jak żreback zaczynający czuć, że ma nogi - wystarczyłyby, żeby przyciągnąć uwagę każdego zdrowego mężczyzny, ale gdy tylko otwierała usta, wszystkiego się odechciewało.

Więc dlaczego nie przestawał o niej myśleć i nie koncentrował się na sprawie, z którą tu przyjechał?

Wyszedł do samochodu, żeby przynieść teczkę, w której miał czek i papiery dłużne, gdy dostrzegł ruchomą sylwetkę Katherine oświetloną różowymi światłami przystani. Za późno, pomyślał, nie zastanawiając się nawet, dlaczego wcale się nie zmartwił.

- O, świetnie, obudziłeś się! Bałam się, że wyjedziesz. .. wcześniej... zanim skończę pracę - wysapała. - Muszę cię o coś spytać - jak poznać, że w samochodzie jest podłożona bomba albo coś w tym rodzaju? To znaczy... gdzie tego szukać i jak to wygląda?

Zatrzymała się kilka kroków przed nim. Pachniał smażoną cebulą i czymś owocowym i słodkim.

- Yyy... jesteś policjantem, prawda?

Miała na sobie czerwone tenisówki, białe dzinsy,

T-shirt reklamujący restaurację Jeffa i parę kolczyków, na które poleciałaby ślinka każdej rybie o szerokości pyska bassa wielkogębowego. Jeżeli na tym smukłym, długim ciele była jedna jedyna skaza, musiała zostać dobrze ukryta. Włosy miała zebrane - mniej więcej - w jeden długi warkocz.

W całej okazałości wydała się Carsonowi fascynująca, kusząca i tak nieprzyzwoicie młoda, że poczuł się przy niej jak starzec.

- No więc jesteś czy nie?

Jestem co, olśniony? O, tak. Wystawiony na pokusę? Jasne. Kiedykolwiek indziej, w każdych innych okolicznościach - powiedzmy, gdybyś ty miała kilka lat więcej, a ja kilka lat mniej - na pewno bym się tej pokusie nie oparł.

- Detektyw policyjny Carson Beckett, do twoich usług. Zupa była wspaniała, dziękuję. Naczynia zalałem wodą.

- Och, to dobrze... To znaczy... nie chodzi mi o naczynia. Cieszę się, że zupa ci smakowała, ale chciałam powiedzieć, że to dobrze, że jesteś prawdziwym policjantem. Detektywem, tak? Jeszcze lepiej. Wejźmy do środka, jest chłodno. Nie sądzę, żeby w ciągu najbliższych kilku minut ktoś zaczął się przy niej kręcić.

Chłód był ostatnią rzeczą, która mu doskwierała, ale ona mówiła dalej.

- Ciągle tam stoi, nie chciałam jej zostawiać, ale nie wiedziałam, co zrobić. Może wszystko jest w porządku. Czasami mam skłonność do dramatyzowania.

W to akurat nie wątpił.

- Nie sądzisz, że ktoś się zacznie kręcić przy czym?

- Przy Biedronce. Pijesz wieczorem kawę? Czujesz się na siłach rozmawiać, czy może wrócisz do łóżka? To znaczy na kanapę, ale dobre i to. W każdym razie zostawiłam ją na drodze wyjazdowej - to znaczy mój samochód. Musiałam iść do pracy. Jeff ma tylko dwie kelnerki, po jednej na zmianę. Byłam spokojna, że nikt go nie ruszy, ale...Zrobiła obrót i opadła na jedno z dwóch stojących w pokoju krzeseł. - O Boże, jest tyle rzeczy, o których nie mam pojęcia - jęknęła, a potem zrzuciła buty, żeby pomasować swoje bose stopy.

- Mogłabyś opowiedzieć od początku?

- Och, to się stało dziś rano. Wiesz, robię szkice, kiedy mam popołudniową zmianę u Jeffa, a akwarele nakładam zawsze wieczorami, gdy wypada mi ranna zmiana w pracy. Chodzi o właściwe światło. Wszystkie ilustracje do „Ducha Gretchen” wykańczam tuż po zachodzie słońca, wtedy są cienie i... No dobrze, to akurat nie musi cię interesować.

Interesować? Carson był zafascynowany. Autentyczne dziwactwa zawsze pobudzały jego wyobraźnię, a w słowach tej kobiety nie mógł się doszukać najmniejszego sensu - chyba że mowa była o zupie z kurczaka.

- Widzisz, zaczęło się wtedy, gdy usłyszałam kłótnię tych dwóch mężczyzn.

- Których dwóch mężczyzn?

Wyrzuciła w górę ręce. To też zauważył od razu -używała rąk, gdy nie potrafiła wyrazić czegoś samymi słowami.

- Ba, gdybym to wiedziała, powiedziałabym szeryfowi i nic takiego by się nie wydarzyło. Oczywiście, nie mówię o morderstwie, to stało się wcześniej, tylko o swoim samochodzie. Muszę wiedzieć, czy nie ma pod nim jakiejś bomby, ale nie miałam czasu, żeby sprawdzić, mówiłam ci - Jeff ma tylko...

- Zaraz, zaraz, wróć.

- Do ilustracji? Aha, do morderstwa. Więc najpierw usłyszałam kłótnię tych dwóch mężczyzn, tylko że niczego nie widziałam, bo byłam po drugiej stronie kościoła na cmentarzu, a potem usłyszałam ten strzał. Myślałam, że to strzelił gaźnik, przynajmniej na początku, kiedy usłyszałam, że ktoś odjeżdża z parkingu. Myślałam, że to silnik. Miał zabawny dźwięk, jakiś taki wyjący...

- Strzał?

- Nie, silnik. Ale jak wróciłam na parking, był tam mój samochód i to martwe ciało. Więc wróciłam do domu i zadzwoniłam do szeryfa. To znaczy, wykręciłam dziewięćset jeden i... i to właściwie wszystko.

- Rozumiem, że nie przyprowadziłaś jeszcze swojego samochodu.

Potrząsnęła głową. Teraz, kiedy zdecydowała się otworzyć, miała dziecięco ufny wyraz twarzy, który wzbudził w nim mnóstwo obaw.

- Jest zamknięty, a wszyscy tu wiedzą, że należy do mnie, więc byłam pewna, że nikt go nie ruszy.

Nie ufaj mi, chciał powiedzieć. Zaufanie prowadzi do zaangażowania, a on na zaangażowanie się nie miał czasu. W innych okolicznościach nie pogardziłby niezobowiązującym seksem - miał za sobą długi okres abstynencji, a musiał przyznać, że w tej dziewczynie coś było. Dopóki nie trzeba było doszukiwać się sensu w tym, co mówi.

Po jednej nocy szalonego seksu mógłby zostawić czek i odejść. Zmyć się. Rozpłynąć we mgle. Tylko że nie robi się tego komuś, kto człowiekowi ufa. W każdym razie Carson nie robił tego,

- Czyli możesz polegać na miejscowych. A co z obcymi?

- Rzadko tu trafiają. Nie o tej porze roku. Przybijają łodziami, ale głównie po to, żeby zatankować, zjeść obiad w restauracji. Zwykle nie ruszają się poza przystań. Szczerze mówiąc, nie bardzo jest po co. Nie ma tu nawet sklepu z pamiątkami. Jeff sprzedaje T-shirty i pamiątkowe kubki, jakieś tam drobiazgi. Ale większość ludzi zatrzymuje się dalej na południu, gdzie są lepsze warunki i więcej można zobaczyć.

Carson miał pewne pojęcie, do jakich innych celów służą takie małe, ukryte przystanie na szlakach wodnych, ale nie było sensu podejmować tematu. Z żalem wybił sobie z głowy seks i odsunął na bok sprawę, w której tu przyjechał. Czekala sto lat, mogła poczekać jeszcze jeden dzień.

- Gdzie masz książkę telefoniczną? Po pierwsze, musimy w kilka miejsc zadzwonić.

Wybieranie tarczowe. Dlaczego nie był zdziwiony? Całe to miejsce było jakimś anachronizmem. Kiedy czekał na połączenie, Kit spacerowała tam i z powrotem. Powiedziała, żeby mówił do niej Kit. Pasowało do niej, pomyślał, przyglądając się, jak krąży po pokoju, przystając od czasu do czasu, żeby spojrzeć w okno. Chodzący seks.

- Tato? Jak się czuje mama? - Długa przerwa, a potem: - Tak, znalazłem ją.

Potem jego ojciec spytał, czy nie zapomina o swoich ćwiczeniach i czy słyszał o epidemii, która rozłożyła połowę Charleston. Carson zapewnił ojca, który miał dość własnych zmartwień, że nie złapał żadnego wirusa. Uprzedził, że może wrócić do domu jakiś dzień później i po wysłuchaniu rutynowych rodzicielskich napomnień odłożył słuchawkę. Na litość boską, miał trzydzieści siedem lat. Mama wciąż mu przypominała o wizytach kontrolnych u dentysty. A przynajmniej robiła to, dopóki nie zaczęła zapominać, że jest jej synem.

A niech to.

Złapał książkę telefoniczną, znalazł numer posterunku szeryfa i zaczął kręcić. Wielkie, przejrzyście szare oczy Kit śledziły każdy jego ruch, z zaciekawieniem i czymś jeszcze, co uznał za wyraz niepokoju. Przedstawivszy się, powiedział:

- W sprawie zwłok znalezionych w... - Zerknął na Kit.

- Cypress Mill Road.

- Cypress Mill Road - powtórzył. - Chciałbym do was wpaść i...
- Zmarszczył czoło. - Jak to: jakich zwłok? Nie odebraliście telefonu o ofierze morderstwa, dzisiaj rano?

Kit podeszła bliżej, jej oddech muskał jego szyję. Uczucie było miłe, ale zdecydowanie utrudniało mu koncentrację.

- To nie był głupi żart, do cholery, to było...

Patrząc na Kit, słuchał, jak dupek po drugiej stronie linii przywołuje go do porządku, mówiąc z grubsza, że żadne ciało nie zostało znalezione, a policjanci tracili czas, sprawdzając fałszywe doniesienie.

Kit złapała go za ramię w chwili, gdy odłożył słuchawkę.

- I co?

- Mówią, że nie znaleźli żadnego ciała. Jesteś pewna. .. że coś widziałaś? Sama powiedziałaś, że wydawało ci się, że to mógł być jakiś cień.

- To nie był żaden cholerny cień! - Uwolniła jego ramię i zaczęła gestykulować. - W pierwszej chwili tak pomyślałam, ale nie było aż tak późno, poza tym cienie nie mają dziur w czołach. Cienie nie... - Wzdrygnęła się. - Cienie nie krwawią z nosa. Niech to szlag, przecież wiem, co widziałam!

- W porządku.

Boże, miał ochotę ją objąć, mniejsza o seks, po prostu chciał ją objąć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że nie ma się czego bać. Zabawne, ale zaczynał myśleć, że naprawdę mogła coś widzieć. Bo niby po co dzwoniłaby na policję? Coś musiało się wydarzyć, bo

dziewczyna miała strach w oczach, a gotów był się założyć, że nie należała do ludzi, których można wystraszyć czymkolwiek.

Co oznaczało, że oboje są zaangażowani. Tymczasowo zaangażowani. Nie mógł odjechać, dopóki nie będzie pewien, że ona jest bezpieczna. Dlatego że był gliniarzem i składał przysięgę, że będzie chronić niewinnych ludzi. Albo dlatego, że nazywał się Beckett, a mężczyźni z jego rodziny wierzyli w tę staromodną rzecz, która zwie się kodeksem honorowym. Uff. Tak czy inaczej, miał przerąbane.

- No więc zrobimy tak. Rano zaczniemy od sprawdzenia twojego samochodu. O której musisz być w pracy?

- Jak zwykle. Za pięć dziewiąta.

- Dobrze. Więc najpierw sprawdzimy twój samochód, potem pojedziemy do tego twojego kościoła i rozejrzemy się. Później może trzeba będzie wpaść na posterunek szeryfa. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, skorzystam jeszcze raz z twojej kanapy. To co? Pobudka o szóstej rano? Powinno być już widno, ale latarka może się przydać.

Skinęła głową, jakby z oszołomienia zabrakło jej słów.

- Czuję się jak na pędzących ruchomych schodach. Wcześniej czy później będę musiała z nich zejść albo się rozbiję. Problem w tym, że nie ma żadnego zejścia.

Carson chciał jej dotknąć, uspokoić ją. Uniósł rękę i natychmiast opuścił. Nie waż się, Beckett.

- Co jadasz na śniadanie? - spytała po chwili.

- Zimną pizzę. Albo kawę z czymkolwiek.

- To pewnie będzie cokolwiek - mruknęła, wzruszając ramionami. - Wyłącz światło, zanim się położysz, okej? Nie lubię marnować prądu.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudził go niehumaniczny krzyk. Carson usiadł i w ułamku sekundy przypomniał sobie, gdzie jest. Szybkie rozeznanie w sytuacji może uratować człowiekowi życie.

Po następnym przenikliwym wrzasku domyślił się, co to było. Cholerny kot. Gdyby potrafił zlokalizować swoje buty, cisnąłby oboma naraz w przekłete stworzenie miauczące wniebogłosy pod frontowym oknem.

Nie widząc innego wyjścia, pokuśtykał do drzwi i wpuścił wyjca do środka.

- Skąd wiedziałeś, gdzie śpię? - warknął, kiedy kocur o wyliniałych uszach otarł się o jego nagą łydkę.

- Wie, nawet jeśli wszystkie okna są pozamykane. Jak się go nie wpuści, wchodzi na dach, zwiesza się z okapu i śpiewa. - Kit wynurzyła się z sypialni, przecierając oczy.

- Ty to nazywasz śpiewem?

Zamiast odpowiedzieć, wsypała suchej karmy do miski na ganku, potem do drugiej miski nalała mleka.

- To nie jest mój kot, wpada tylko od czasu do czasu. Jesteś gotów na cokolwiek?

Otworzył szerzej oczy. Jeżeli „cokolwiek” znaczyło wskoczenie z powrotem do łóżka z tą kusicielką o anielskiej buzi, był więcej niż gotów. Wczesne poranki są trudne dla mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy mają za sobą długi post.

- Śniadanie - powiedziała oschle. Wyraz jej twarzy sugerował, że doskonale wie, co mu chodzi po głowie. - Powiedziałeś wieczorem, że zjesz cokolwiek. Masz do wyboru płatki zbożowe, resztę prażynek krabowych z restauracji, zobaczmy, co jeszcze... hm... - Wpatrywała się w otwartą lodówkę. - A zupa z kurczaka?

Z ciężkim sercem odwrócił wzrok od jej kształtnej pupy, wyraźnie zarysowanej pod cienkim workowatym T-shirtem.

- Wystarczy kawa. Chciałbym obejrzeć twój samochód, zanim zaczną się przy nim kręcić jakieś dzieciaki.

Wyprostowała się i westchnęła, odgarniając z oczu włosy, które wyglądały, jakby od tygodnia nie widziały szczotki. Swoją drogą jej włosy, uczesane czy nie, wyglądały podobnie.

Postanowili odłożyć śniadanie na później i przejść się do jej samochodu, zostawiając w spokoju jego terenówkę. Tym sposobem - oczywiście Carson nie powiedział tego głośno - cokolwiek by się wydarzyło, mieliby wciąż do dyspozycji jeden sprawny samochód.

- Na pewno wiesz, co robisz? - spytała, zwalniając kroku, gdy byli prawie na miejscu.

- Zaraz się przekonamy, prawda?

- Posłuchaj... - Zatrzymała się i chwyciła go nerwowo za ramię. - Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, zadzwońmy do szeryfa. Ma doświadczenie, będzie wiedział, co zrobić. Nie chcę, żeby ci się z mojego powodu coś stało.

Może gdyby był w lepszej formie, roześmiałyby się albo poczuł urażony, może nawet wycisnąłby Z kilka łez, zapominając na

moment o swoim kodeksie honorowym. Ale był w takiej formie, w jakiej był, i z góry sobie odpuścił.

- Pozwól, że sprawdzę kilka rzeczy, zanim wezwiemy fachowców. Odsuń się na bok - powiedział, kiedy wręczyła mu kluczyki.

Poruszając się jak starzec, uklęknął na szutrowej drodze, położył się na plecach i świecąc sobie latarką, sprawdził podwozie. Nic podejrzanego. Przez moment łapał ciężko oddech, wreszcie wstał i otrzepał kolana. Chciał powiedzieć, żeby się odwróciła i przestała na niego patrzeć w ten sposób, ale nie robił tego.

Bez słowa otworzył drzwi od strony pasażera i dokładnie przejrzał wnętrze garbusa. Właściwie nie spodziewał się niczego znaleźć, bo po pierwsze, dziewczyna była chyba paranoiczką, a po drugie, facet nie miałby czasu, żeby zmajstrować coś na oczach ludzi pracujących na przystani kilkaset metrów dalej.

Dlaczego jednak uciekł, kiedy go zawołała? Jeśli na przykład interesował go stary porzucony garbus, powinien był podejść i zapytać, czy jest do sprzedania...

- Wszystko w porządku. Odprowadzę go za ciebie do domu. Możesz jechać ze mną albo wrócić na piechotę, jak wolisz. Do szeryfa pojedziemy moim samochodem.

- Musimy?

- Co? Brać mój samochód?

- Rozmawiać z szeryfem. Skoro Biedronka jest czysta, nie mamy chyba o czym gadać... Ci policjanci i tak już myślą, że jestem szurnięta.

Zabawne, że znając ją krócej niż dobę, Carson był niemal pewien, że naprawdę coś widziała.

- Więc pojedźmy najpierw na ten twój cmentarz. Pokażesz mi, gdzie byłaś, kiedy usłyszałaś kłótnię i strzał, i gdzie leżały zwłoki.

- Więc ty mi wierzysz. - To było stwierdzenie, nie pytanie. A patrzyła na niego z taką miną, jakby miała wybuchnąć płaczem.

Poczuł bolesne ściskanie w dołku. I nie miało to nic wspólnego z jego stanem zdrowia. Przytrzymał jej drzwi, poczekał, aż usiądzie, potem sam wgramolił się do środka i popatrzył na jej profil. Ciekawe, pomyślał, że pewne twarze przyciągają wzrok mężczyzn jak magnes.

- Wierzę, że coś widziałaś. - Tylko tyle mógł na razie powiedzieć.

W domu, kiedy Kit poszła się przebrać, zjadł kilka prażynek krabowych. Podejrzewał, że trzyma je dla swoich kotów i innych przybłąd, ale był głodny, poza tym naprawdę mu smakowały. Na ogół wszystko mu smakowało, może poza wątróbką i truskawkami.

- Jestem gotowa.

Miała włosy zaplecione w warkocz i wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle. Carson powiedział sobie, że powinien się wstydzić swoich kosmatych myśli. Do diabła, był prawie żonaty i na tyle stary, że mógłby być jej... wujkiem.

Nie czekając, aż otworzy jej drzwi, wskoczyła do samochodu.

- To jest coś! - powiedziała, sadowiąc się w skórzanym fotelu i rozglądając po przestronnym wnętrzu jego terenówki. - Zmieściłabym w nim cały swój dobytek łącznie z Biedronką.

- Sprawdza się. Mieszkam poza miastem. - Jedna z rzeczy, które Margaret miała mu za złe. Przed ostateczną decyzją o ślubie musieli uzgodnić jeszcze wiele spraw. - Popilotujesz mnie?

Pochyliła się i włączyła radio.

- Moja matka jeździła mercedesem. To znaczy straciła prawo jazdy, ale wciąż go mieliśmy, kiedy... -Wbiła w niego wzrok, te swoje mgliście aksamitne, ostre jak laser szare oczy, które zdawały się przenikać go na wskroś. - Ten jest bardziej praktyczny. Pewnie mi nie uwierzysz, ale tak naprawdę jestem bardzo, bardzo praktyczna.

Jasne. Kobieta jeżdżąca trzydziestopięcioletnim samochodem.

- Powiesz mi, dokąd jedziemy?

I przestań się tak kręcić, pachnieć jak cukier i przyprawy korzenne i wszystko, co lubię. To mnie cholernie rozprasza, dodał w cichości ducha.

W ciągu dziesięciu minut, które zajęła im droga, opowiedziała mu o historii Gilbert's Point, które było kiedyś dużo większą osadą, o swojej pracy; nad „Duchem Gretchen” i o „Nurze o imieniu Klara”, książce, która miała szansę na adaptację telewizyjną. Carson był zafascynowany. Powiedział jej, że pewnie mogłaby spojrzeć na kamień i zrobić z tego opowiadanie.

Zamyśliła się na moment, ale nie zaprzeczyła.

I tak znaleźli się przed starym kościołem. Zabite deskami okna, pochyła wieża, chwasty porastające szutrowy parking. Carson celowo zostawił samochód przed wjazdem, gdyby znaleźli jakieś warte uwagi ślady. Mogli je nieumyślnie zatrzeć ludzie szeryfa i choćby dlatego nie wiązał z tymi oględzinami wielkich nadziei.

- Ładnie tu, prawda? Poza tym, że... no wiesz - dokończyła łamiącym się głosem.

Nie miał nawet cienia wątpliwości, że dziewczyna słyszała coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu, a że on był na razie jedynym człowiekiem, który w to wierzył, czuł się całkowicie odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo.

Z drugiej strony cały czas go korciło, żeby powiedzieć prosto z mostu, z czym do niej przyjechał. Mieć to z głowy. Wiedząc z grubsza, przez co musiał przejść jego kuzyn Lance, żeby przekonać Lizę o czystości swoich intencji i skłonić ją do przyjęcia dziesięciu tysięcy dolarów oraz pliku bezwartościowych papierów, Carson walczył z pokusą, żeby wykorzystać sytuację i zrobić to z zaskoczenia, gdy Kit była zbyt przejęta, żeby się kłócić.

Zmarnował już ile - dwa dni? Trzy? Kiedy dotarł do Karoliny Północnej, był w tak żalnym stanie, że stracił poczucie czasu. Fakt, że wciąż miał przed sobą tłumaczenie historii pożółkłych, zjedzonych przez mole papierów - wartościowych sto lat temu - mógł usprawiedliwiać w jakimś stopniu jego dekoncentrację.

Z pewnością by wiedziała, na co wydać te pieniądze. Cholera, nie miała nawet własnego telewizora. Więc może wcisnąć jej czek, ruszyć na południe i zająć się własnymi sprawami?

- Tam. - Kit wysiadła z samochodu i wskazała palcem środek zaniedbanego, zarośniętego terenu parkingowego, który mógł pomieścić około dwunastu samochodów. - Tam leżał ten martwy człowiek. Pomyślałam w pierwszej chwili, że to sarna albo duży pies.

Widział, jak się wzdrygnęła, i bezwiednie otoczył ją ramieniem. Znieruchomiała w pierwszej chwili, ale wyczuł, że opór zelżał. Nieco zelżał, jakby nie chciała się poddać swoim własnym najgorszym lękom.

Stali tak kilka minut, on przyglądał się domniemanej scenie zbrodni, notując w głowie szczegóły do późniejszej oceny. Nie było tak wiele do oglądania. Na pewno, niestety, nie było żółtej policyjnej taśmy.

Kit ruszyła w stronę parkingu, ale chwycił ją za ramię i przyciągnął z powrotem, nie chcąc, żeby zatarła jakikolwiek możliwy ślad. Tak jakoś się stało, że przyłgnęła plecami do jego torsu. Przez moment oboje stali bez ruchu, ale nie umknęło uwagi Carsona, jak gwałtownie Kit nabrała powietrza w płuca. Tłumaczył się w duchu, że przyciągnął ją tylko po to, żeby nie zdeptała żadnego potencjalnego dowodu.

Skoro już mowa o dowodzie, było absolutnie wykluczone, żeby nie poczuła dowodu mimowolnej reakcji jego ciała, którą można by

opisać jako entuzjastyczną, niewłaściwą, niechcianą i cholernie żenującą.

- Czy widzisz to samo co ja? - spytał, żeby rozładować napięcie.
- Przyjrzyj się dokładnie tamtemu miejscu i powiedz, co wydaje się dziwne. - Odsunął się, dając jej czas na pozbieranie się - dając czas i jej, i sobie.

- No więc... Część tego zielska jest położona, jakby ktoś je grabił albo...

- Ale tylko jeden wąski pas.

- Jakby ktoś coś ciągnął.

- No właśnie. Do miejsca, w którym teraz stoimy.

- Mogliśmy zdeptać jakieś ślady?

- Wątpię. Są tu świeże ślady przynajmniej dwóch samochodów.

- Mojego?

Pokręcił głową. Stali teraz obok siebie, w bezpiecznej odległości, oboje zwrócenii twarzą do starego kościoła baptystów. Kit, w lekkim rozkroku, oparła ręce na biodrach, jej warkocz coraz słabiej trzymał w ryzach rude kręcone włosy.

Do licha, nie potrzebował tego rodzaju wrażeń, nie teraz.

Nigdy, przypomniało mu gorliwe sumienie.

- Dwóch poza twoim. Jeden był standardowym sedanem. Pewnie patrolowy wóz policyjny.

- Dlatego byli tacy wściekli. Niczego nie znaleźli.

- Myślę, że drugim był jakiś pikap. W najbliższej okolicy nie może być ich więcej niż setka. Bez żadnych innych śladów nie da się ograniczyć kręgu podejrzanych.

- A ten dziwny dźwięk silnika?

- Słusznie. Rodzaj tłumika zawęży listę do kilkunastu samochodów.

Carson ruszył w stronę parkingu, Kit kilka kroków za nim. Musiałby mieć sporo szczęścia, żeby bez ekspertyzy laboratorium kryminalistycznego udowodnić coś więcej niż fakt, że fragment podłoża został naruszony, podczas gdy reszta pozostała prawie nietknięta, nie licząc śladu kół - prawdopodobnie Biedronki. Coś albo ktoś został wyciągnięty ze środka parkingu. Teren mógł zostać zgrabiony dla zatarcia ewentualnych plam krwi, ale kula, bez względu na kaliber, prawdopodobnie nadal tkwiła w głowie ofiary. Nie liczyliby specjalnie na znalezienie łuski, ale gdyby miał wykrywacz metali, mógłby trochę poszperać.

Cholera, nie on powinien to robić. Od tego była miejscowa policja. Przede wszystkim nie powinien był się w to w ogóle wplątywać.

Mierzyła go tym niespokojnym, wytrącającym z równowagi wzrokiem. Albo on doszukiwał się Bóg wie czego w zwykłym spojrzeniu, albo ona wysyłała mu sygnały, których nie był w stanie odebrać.

Albo ten przekaz był zaszyfrowany, a jemu brakowało klucza do jego odczytania.

- No dobrze, pokaż mi cmentarz - powiedział, bardzo żałując, że jest poza terenem własnej jurysdykcji. I że nie zna lepiej miejscowego prawa.

Żałując, że trafił na kobietę, która go tak cholernie rozprasza.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zbliżało się południe, kiedy skończyli obchód cmentarza. Carson chciał od razu pojechać na posterunek policji, ale dowiedział się, że szeryf i jego dwaj zastępcy wyjechali poza miasto na spotkanie Stowarzyszenia Szeryfów.

- Mówiłam ci, że to na nic. - Kit weszła do kuchni z dwiema owiniętymi w serwetki kanapkami. - Proszę. - Podała mu jedną. - Feta z mleczem na gruboziarnistym chlebie, z ostrym sosem i czarnymi oliwkami.

- Ja, eee... - Nieufnie odwinął serwetkę. - Nie jestem za bardzo głodny.

- Musisz jeść, żeby odzyskać siły. Przecież widziałam, jak mdlałeś. Dobrze, że przestałeś kichać na okrągło, ale nie powiesz mi, że nic ci nie jest. Dalej boli cię głowa?

Pokręcił nią. Nie odpadła, więc odpowiedział, że czuje się dobrze, znakomicie. Kit przeniosła wzrok na jego kolana.

- Na ogół nie jadam zielska.

- Nie wiesz, co tracisz. Spróbuj, może ci zasmakuje. Jeśli nie, możesz wyjąć zieleninę.

Spróbował. Kit usiadła na kuchennym krześle, on ugryzł drugi kawałek kanapki i usiadł naprzeciwko. Nie było takie złe, w każdym razie sos był na tyle ostry, żeby zabić inne smaki, nie mówiąc o wszelkich możliwych wirusach.

- Myślę, że to, co mnie rozłożyło, nie jest zaraźliwe. - Pod warunkiem, że nie przyjdzie mu do głowy ulec jakimś dzikim impulsom.

Podniósł się sztywno z krzesła i nalał im obojgu po szklance mleka, widząc kątem oka, że Kit znów przygląda się jego nogom.

- Wciąż utykasz. Nie potraçałam cię chyba tak mocno?

- Nie potraçałaś. To wcześniejsze sprawy, teraz mogłem sobie tylko coś skręcić.

- A co się stało wcześniej?

- Nic specjalnego, normalka. Ostatnio złapałem przeziębienie, kilka tygodni temu miałem wypadek. Nie jesteś ciekawa, skąd wiedziałem, kim jesteś?

- Jaka normalka? Lina do bungee była za długa?

- Dosyć o mnie. Słuchaj, przyznasz, że zdrećwiałaś ze strachu, kiedy użyłem twojego pełnego imienia i nazwiska? Nie zapytasz mnie, skąd je znam?

- Spanikowałam - zaczęła po chwili - myśląc, że przyjechałeś zamknąć mi usta. Teraz wiem, że chodzi o coś innego. Myślę, że to ma związek albo z moimi dziadkami, albo z książkami. Ale jesteś z Karoliny Południowej, nie z Wirginii, więc pewnie chodzi o książki. Nie jestem żadną sławą, ale miałam kilka spotkań autorskich i może...

- Zaczekaj, chcę ci coś pokazać.

Wiedział, jak długo Kit potrafi trajkotać, gdy się rozkręci, a on chciał mieć to wreszcie za sobą. Odłożywszy na bok kanapkę, wstał i poszedł do pokoju dziennego po swoją teczkę. Właśnie po nią sięgał,

gdy zadzwoniła komórka. Margaret. Nie po raz pierwszy żałował, że te telefony mają tak cholernie dobry zasięg.

- Tak, co się stało? - Rzadko do niego dzwoniła, chyba że chodziło o jakąś niespodziewaną zmianę planów.

I właśnie o to chodziło.

- Niech to szlag - mruknął, opierając się o framugę drzwi.

Z kuchni patrzyła na niego Kit, z niepokojem w oczach.

- Co się stało? - zapytała bezgłośnie.

- Posłuchaj, Maggie, czy to może poczekać do mojego powrotu?

Z mamą wszystko w porządku, tak? Nie powiedziałaś jej...

Kit stanęła obok, a on mimowolnie uniósł rękę i przyciągnął ją bliżej.

- Posłuchaj, nie rób żadnego ruchu, dopóki nie wrócę do domu, obiecaj mi to. Twój przyjaciel może jeszcze kilka dni zaczekać, prawda?

Kit nic nie mówiła, ale bliskość jej zadziwiająco silnego ciała była przyjemna. Cholernie przyjemna. Przerwał połączenie i powstrzymał się, żeby nie przekląć, Zbyt dobrze był wychowany, żeby używać dosadnego języka w obecności damy.

- Okej, chcesz usłyszeć odpowiedź na kilka pytań? Coś za coś. Masz może jakieś piwo w lodówce?

- Nie. Na wszelki wypadek nie trzymam w domu żadnego alkoholu, mogę być uczulona.

- Uczulona na piwo? To znaczy na chmiel?

- Moja matka była alkoholiczką - powiedziała z godnością. -
Podejrzewam, że jej ojciec tak samo. Prawie nie pamiętam jej rodziny.

- W takim razie poproszę o kawę. Mocną.

Zabrała się do parzenia, a on dreptał po kuchni, zastanawiając się, od czego zacząć. Potem usiadł okrakiem na krześle i zaczął mówić, kompletnie chaotycznie, co rusz gubiąc wątek.

To musiało być zaraźliwe.

- Poznałem całe twoje drzewo genealogiczne -a znalazłem cię głównie dzięki twojej kuzynce. A właśnie, powiedziała, że liczy na twój telefon, a przynajmniej na maila.

- Liza? Skąd ją znasz? Nie używam komputera.

- Powiedziałem ci już. Wyszła za mojego kuzyna. To znaczy, że my też jesteśmy kuzynami, prawda?

Całujący się kuzynowie. Ta myśl wpadła jej do głowy nie wiadomo skąd. Kit z całych sił opierała się czarowi jego szelmowskiego uśmiechu. Naprawdę powinna panować nad sobą i nad swoim życiem, a w tej chwili nie panowała nawet nad własną kuchnią.

- Nieprawda - powiedziała. - Nie znam cię. Nie mam pojęcia, co tu robisz, poza tym, że być może przeze mnie skreśliłeś sobie nogę i że na pewno jesteś chory i... no dobrze, zdaje się, że potrzebowałam czyjejś pomocy i trafiłeś się ty, ale nie jesteś mi już do niczego potrzebny.

Uśmiech nie zniknął. Nawet nie zbladł. Niesamowite oczy, pomyślała w rozkojarzeniu. Musiała się go pozbyć - był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

- Posłuchaj, jeśli masz mi coś do powiedzenia, wyrzuć to z siebie. Mam do zrobienia mnóstwo rzeczy, nie wiem nawet, od czego zacząć.

Uniósł brwi w taki sposób, że nie była w stanie zahamować potoku słów.

- Właściwie wiem. Najpierw muszę przekonać szeryfa, żeby mi uwierzył, potem wymyślić, jak ocalić głowę, no i ci moi dziadkowie.... - Klepnęła się dłonią w usta. - O rany, przyjęcie urodzinowe!

- Wszystko jasne jak słońce, jak zwykle. Dobrze wiedzieć, że nie straciłaś wątku.

- Och... bzdura!

- Na to wychodzi. - Jego uśmiech zbladł. Dwudniowy zarost musi być w modzie, pomyślała z rozpaczą. On wygląda zabójczo.

- Okej, więc znasz moją historię. Teraz twoja kolej. Po co mnie szukałeś?

- Żeby dać ci dziesięć tysięcy dolarów. Otworzyła szeroko usta, patrząc na niego jak na wariata.

- Jasne - parsknęła po chwili. - A ty nazywasz się święty Mikołaj albo chcesz mi powiedzieć, że wygrałam jakieś zakłady.

- Posłuchaj, będzie łatwiej, jeśli pozwolisz mi skończyć. Twoja kuzynka Liza też wyciągnęła pochopne wnioski i Lance zmarnował mnóstwo czasu, żeby ją przekonać, że nie jest oszustem.

On znowu o tym kuzynostwie! Gdyby miała wybierać, wolałaby jednak inny rodzaj więzi z detektywem Beckettem.

- Posłuchaj uważnie - mówił dalej - mam teraz na głowie mnóstwo spraw. Nie mam czasu na wymyślanie tysiąca sposobów na to, żeby cię przekonać. Po prostu uwierz na słowo, że jestem ci winien te pieniądze - może dużo więcej, ale dziesięć kawałków to wszystko, co mogę wskrobać bez zlikwidowania kilku inwestycji, a przy tym spiralnym spadku na giełdzie...

- Przestań! - Złapała się za głowę. - Nie wiem, co próbujesz mi wcisnąć, ale nie jesteś mi nic winien! Może i jesteśmy kuzynami, ale wczoraj po raz pierwszy cię zobaczyłam, więc proponuję, żebyś dał mi święty spokój i wrócił do swoich spraw. Moje życie jest w tej chwili wystarczająco skomplikowane bez jakiegoś... bez wolno chodzącego i gładko gadającego obcego faceta kuszącego mnie cukierkiem. Nie urodziłam się wczoraj, wiesz?

Wyglądał na tak onieśmiałego, że prawie się poddała. A to była ostatnia rzecz, na którą mogła sobie pozwolić. W niespełna dwadzieścia cztery godziny odkryła w sobie słabość, o jaką się nigdy nie podejrzewała.

Słabość do niebieskookich mężczyzn o mocno zarysowanych szczękach i krzywych uśmieszkach. O silnych szczupłych ciałach i łagodnie-kategorycznych sposobach przekonywania, które

jednocześnie wkurzały ją i intrygowały. To w ogóle nie trzymało się kupy. Ani myślała pozwolić, żeby ktokolwiek zapanował nad jej życiem, choćby był nie wiadomo jak atrakcyjny. Doskonale pamiętała, co dzieje się, gdy kobieta traci kontrolę, i mowy nie było, żeby to samo przydarzyło się jej. Za żadne skarby.

Otworzyła usta, ale on ją ubiegł.

- Kit, to nie jest tak, jak myślisz. Daj mi jeszcze minutę - poprosił ciepłym, romantycznym szeptem.

Opowiedział jej rodzinną historię o tym, z jakim trudem jego dziadek - którego rodzina straciła cały swój majątek podczas wojny secesyjnej - stawał na nogi. o tym, jak ich przodek, stary Lance, w dobrej wierze przyjął do zainwestowania pieniądze od pewnego kowboja z Oklahomy o nazwisku Chandler, który był prapradziadkiem Kit.

Słuchała z coraz mocniej bijącym sercem. I wiele by dała, żeby mógł to wszystko usłyszeć Żelazny Dixon, który zawsze twierdził, że Chandlerowie to hołota znikąd, a upokarzana przez niego synowa, matka Kit, nie znała tej strony swojej rodziny na tyle, żeby obalić jego zarzuty.

- Więc na czym to stanąłem? Chandler zdał się na starego Lance'a z ulokowaniem pewnej sumy pieniędzy, ale do czasu, gdy inwestycja się zwróciła, Chandler przepadł bez śladu. Interesy bankowe Beckettów kwitły, wiodło im się coraz lepiej, ale nie dowiedzieli się nigdy, co się stało z kowbojem. Nie dał żadnego znaku życia, a dług pozostał niespłacony. No i stąd te dziesięć tysięcy.

Ocalały stare akcje, jakieś listy, ale to wszystko jest bezwartościowe i prawie nieczytelne. Sto lat na strychu pod przeciekającym dachem zrobiło swoje. – Zamilkł i czekał.

Ona milczała. Potem zaparzyła kawę, naląła ją do dwóch filiżanek. Usiadła na stołku.

- Kim jest Margaret? - zapytała ni z tego, ni z owego. Zakrztusił się kawą i odstawił filiżankę.

- Jest, uhm... Jest moją narzeczoną. Tak jakby.

- Tak jakby?

- Posłuchaj, w tej chwili to nie ma znaczenia. Musimy załatwić dwie rzeczy i znikam ci z oczu. Po pierwsze, mam dla ciebie czek i te wszystkie papiery. Po drugie, wyjeżdżając stąd, wstąpię do szeryfa i spróbuję go przekonać, że naprawdę popełniono morderstwo i że dopóki nie wyjaśnią tej sprawy, potrzebujesz ochrony.

- Więc wyjeżdżasz?

Odległy głos syreny przemknął po pokoju jak zabłąkana bryza. Drzwi wejściowe były otwarte; taki to był dzień. Kapryśny marzec.

- Tak, mam taką sytuację w domu, która wymaga podjęcia pewnych kroków.

- Czy to ma coś wspólnego z twoją tak jakby narzeczoną?

I nagle, nie mając wcześniej takiego zamiaru, zaczął jej opowiadać, co się dzieje w Charleston. O swojej matce i jej fiksacji na punkcie ślubu, o tym, dlaczego zdecydował się ożenić.

- Mam trzydzieści siedem lat, nigdy nie byłem żonaty. Jestem gliniarzem - czyli bardzo kiepską partią. Ale Margaret to rozumie. Wychowywała się w sąsiednim domu i zwyczajnie kocha moją matkę.

- A ciebie?

Zamiast odpowiedzieć wstał i podszedł do okna.

- Coś się dzieje na przystani. Właśnie podjechała karetka i nieoznakowany samochód.

Odwrócił się do niej i od razu tego pożałował.

Wielkie szare oczy, piegi, zmierzwione włosy. Obiema rękami ścisnęła kurczowo filiżankę. Kombinacja odwagi i delikatności była wystarczająco niebezpieczna. Dorzucić do tego szczególnego rodzaju atrakcyjność seksualną, bo całkowicie niezamierzoną, i powstaje mieszanka wybuchowa.

- Nieoznakowany samochód - powtórzył. - Pewnie jednego z twoich policjantów. Zobaczmy, co się stało? To może mieć związek z morderstwem na cmentarzu.

- Włożę tylko buty.

Włożyła też niebiesko-pomarańczowy sweter na fioletową bluzkę, do tego zielone rajstopy. To musiała być jakaś demonstracja. Podejrzał, że to jej wersja Czerwonego Kapturka rzucającego wyzwanie światu. Oto jestem, ludzie - strzelajcie, jeśli chcecie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- To poławiacz węgorzy, stary Tank Hubble - powiedział cicho Jeff Matlock, nie odrywając wzroku od Kit, która obok zbiegowiska rozmawiała z drugą kelnerką. - Mieszkał sam. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia.

- Wiesz, co się stało? - spytał równie cicho Carson. - Utonął?

- Możliwe. Ale dziura w głowie mu nie pomogła.

- Więc został zastrzelony... Jednym strzałem?

- Z tego, co widziałem, jednym. Na pewno nie była to śrutówka.

Musiał być sporo czasu w wodzie, zaczęły się już dobierać do niego kraby.

- Kto go znalazł?

- Kilkoro dzieciaków. Kręciły się przy Zatoce Marty, kiedy zobaczyły, że coś wypływa spod wiecierza do połowu węgorzy.

Okazało się, że to koszula Tanka. Jeden z chłopaków zawołał swojego ojca i ten go wyciągnął na brzeg. Jakby trafiło na mnie, zadzwoniłbym po Billa albo Mooneya.

- Billa albo Mooneya - powtórzył Carson.

- To zastępcy szeryfa. Bill jest stąd. Mooney pochodzi z północy, jest tu od kilku miesięcy, ale też miły chłopak.

Miły to trochę mało. Przydałby się jeden mądry. Z miejsca, w którym stał, Carson widział dwóch umundurowanych policjantów rozmawiających z grupką dzieci w wieku szkolnym. Jeden z chłopców

coś mówił, drugi wyglądał, jakby przed chwilą wymiotował i zanosilo się na powtórkę.

Mewy krążyły ponad głowami, wzmagając skrzekiem gwar. Zapach oleju napędowego mieszał się z odorem stołów do czyszczenia ryb, zwałowiska skorup i przepalonego tłuszczu do smażenia. Carson chłonał to wszystko naraz - dźwięki, widok, zapachy. Korciło go, żeby precyzyjnie się przez tłum, błysnąć odznaką i spróbować się czegoś dowiedzieć. Ale władza w małych miasteczkach była bardzo przywiązana do swojej terytorialnej niezależności.

Swoją drogą, podobnie było w dużych miastach, a Carson miał przeczucie, że tę sprawę przejmie Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami.

I coś mu mówiło, że restaurator wie o wiele więcej, niż mówi. Bystry człowiek. Musiał tu żyć, nie narażając się miejscowym, a on był intruzem. Czy Kit zwierzyła się swojemu szefowi? Jeśli tak, do jakiego stopnia?

Carson naprawdę nie wiedział, co z nią zrobić. Wiedział, co chciałby z nią zrobić.

Och, tak.

Ambulans odjechał, bez syreny. Tłum wcale nie zbierał się do rozejścia. Carson wielokrotnie usłyszał słowo „narkotyki”. Wzdłuż wszystkich międzystanowych autostrad łączących północ z południem śródlądowe drogi wodne były wygodnymi kanałami przerzutowymi.

Czy Hubble był w to zamieszany? Czy tylko znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Widział albo słyszał coś, czego nie powinien był wiedzieć ani słyszeć?

Tak jak Kit. Wszystko wskazywało na to, że groziło jej realne niebezpieczeństwo, jeśli morderca miał choćby najlżejsze podejrzenie, że była świadkiem zajścia.

Cholera, tylko tego mu było trzeba. Z matką, która z dnia na dzień coraz bardziej traciła kontakt z rzeczywistością, z narzeczoną, która była w drodze do Nowego Jorku, żeby rozważyć podpisanie kontraktu z renomowaną firmą projektującą wnętrza, i z niezakończoną sprawą rodzinnego długu, naprawdę nie potrzebował kolejnego problemu.

Wyczuł w powietrzu delikatny korzenny zapach i zanim się odwrócił, usłyszał za plecami jej szept.

- Mówiłam ci. Teraz mi wierzysz?

- Wierzyłem ci od początku - skłamał. - Jesteś pewna, że nie chcesz porozmawiać z policjantami, zanim stąd odjadą? Pewnie teraz by cię wysłuchali.

- Mieli swoją szansę. Poza tym to się robi naprawdę obrzydliwe. Nie jestem pewna, czy chcę się w to mieszać.

- Każde morderstwo jest obrzydliwe. - A jednak nie mógł mieć jej za złe, że chciała od tego uciec. Była samotną kobietą, a wyraźnie nie mogła Uczyć na profesjonalną ochronę.

- Myślisz, że to w porządku? W końcu byłam świadkiem... w jakimś sensie. Czy jest prawo, które mówi, że powinnam chodzić do nich dotąd, aż mnie wysłuchają?

Carson zastanawiał się, gdzie leży granica jego własnej odpowiedzialności. Był oficerem policji. Miał wybór. Mógł jej powiedzieć to, co chciała usłyszeć - że zrobiła, co do niej należało, i została zlekceważona, co zwalniało ją z powinności obywatelskich w tej sprawie - albo mógł powiedzieć to, czego nie chciała usłyszeć, a powinna: że każdy, kto cokolwiek wie o zbrodni, ma obowiązek o niej zaświadczyć. Gdyby zostawiła swoje dane, mogliby ją znaleźć i wezwać na przesłuchanie.

Dotarli w milczeniu do domu, a on wciąż nie miał gotowej odpowiedzi. Do diabła z obowiązkami. Był na urlopie, nie mówiąc o tym, że daleko poza granicą swojej jurysdykcji.

Pomaszerowali do kuchni i kilka minut później siedzieli przy stole, każde z filiżanką gorącej kawy w ręku. Kit w wielkiej koszulowej bluzce wyglądała jak wiotka trzcinka. Wyjaśnił jej już, w jakim stanie są papiery dłużne, ale nie miał czasu pokazać listu, który, przekazywany z pokolenia na pokolenie, miał tłumaczyć całą sprawę. Niestety, armie insektów pracowały nad nim tak długo, że stał się prawie nieczytelny. Mógł jednak oderwać Kit od czarnych myśli.

Przyniósł teczkę i wyłożył wszystkie papiery na stół. Nawet pachniały starością.

- Mówiłem ci, że cała ta makulatura jest niewarta funta kłaków, ale czek jest w porządku. Wystawiłem go niecały tydzień temu, widzisz więc, że...

- Hej, jaki jest dzisiaj dzień? - spytała nagle.

- Piątek.

- A niech to szlag! - Zerwała się z krzesła, zostawiając na stole czek i dokumenty.

- Kit? Czy coś się stało? - Drzwi jej sypialni były otwarte. Wszedł za nią do środka.

- Ten tydzień to było czyste szaleństwo. - Stała przed otwartą szafą, nerwowo przeglądając jej zawartość. - A może to taka psychiczna samoobrona, co? Nie chciałam pamiętać, więc chociaż wciąż sobie przypominałam, kiedy nadszedł ten dzień, zapomniałam...

Znów jakiś bełkot, pomyślał, nieco zbity z tropu. Pewien był, że ta kobieta ma szare komórki w komplecie, ale albo to była sprawa zwarcia na linii, albo szwankował jakiś przełącznik.

- Zechcesz mnie oświecić?

- Oświecić? Ach, chodzi o przyjęcie. Mówiłam ci. Pokiwał głową, jakby doskonale zrozumiał.

- Jasne. Przyjęcie.

Powoli, jak gdyby hologram przybierał czytelną postać, zaczął widzieć szczegóły otoczenia. Ściany jej sypialni były oklejone staromodną wytłaczaną tapetą. W kolorze mocnej herbaty, na pewno nigdy nie widziały farby. Zamiast dzikich kolorów i wzorków, których mógł się spodziewać, wszystkie tkaniny były białe,

począwszy od płóciennych zasłon, poprzez narzutę, która przykrywała pojedyncze łóżko, do tanich dywaników na zdartej sosnowej podłodze.

I podczas gdy ten wystrój był dla niego kompletnym zaskoczeniem, unoszący się w powietrzu zapach nie mógł należeć do nikogo innego. Owocowy, trochę korzenny, z podmuchem czegoś, co przypominało mu rabatkę z ogrodu jego mamy.

Kit wyjęła z szafy sukienkę z błyszczącego kwiecistego materiału, w kolorach tak jaskrawych, że musiał zmrużyć oczy. Oglądała ją przez moment krytycznym wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiała, potem przyłożyła do siebie i pokręciła się przed lustrem, jak mała dziewczynka bawiąca się w przebieranki.

Tylko że Kit nie była małą dziewczynką. A on z rozkoszą by się z nią pobawił, ale nie w przebieranki, lecz rozbierania.

Czy złamanie nogi może się rzucić na mózg?

Widocznie może. Buzujące hormony byłyby jakimś usprawiedliwieniem dziesięć lat temu.

- Ostatnim razem, kiedy miałam na sobie czarną sukienkę, zawadziłam obcasem o brzeg i do tej pory go nie podszyłam - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Uciekając wzrokiem od jej odsłoniętych ud, spojrział w dół, na czerwone tenisówki, potem na sukienkę, którą wciąż przyciskała do piersi.

O, nie, pomyślał. Nie odważysz się...

Dlaczego nie. Pewnie się odważy. I na niej może to całkiem nieźle zagrać. Przypomniał sobie aktorkę, która w pomarańczowych tenisówkach i czarnej galowej sukni odbierała nagrodę Emmy.

- Posłuchaj, muszę wziąć prysznic. Pewnie nie wzięłeś ze sobą garnituru, co?

- Co? - Kompletnie zbity z tropu, pokręcił głową.

- Przykro mi. Czyste spodnie khaki, niebieska koszula i granatowy blezer.

- Może być. Ty idziesz pierwszy pod prysznic czy ja? Moje włosy dłużej schną, a suszarka robi z nich kopę siana.

- To idź pierwsza, poczekam. Co mam zrobić z twoim czekiem?

- Moim czym? Aaa, włóż go do lodówki. Muszę się zastanowić, czy go przyjmę, czy nie.

- Do lodówki.

- Jest metalowa i izolowana - na wypadek, gdyby spalił się dom, zanim wrócimy.

Zanim wrócimy. Oczywiście.

- Słuchaj, nie mam sejfu - powiedziała zniecierpliwionym tonem - więc jeśli boisz się o swój czek, włóż go do zamrażalnika.

To twój czek, do jasnej cholery! Ale nie powiedział tego na głos. Co by to dało? Była teraz nastawiona na nadawanie, nie na odbiór.

Z jednej z szuflad komody wyjęła garść bielizny. O dziwo, gładkiej i białej. Carson doszedł do wniosku, że przynajmniej co do jednego miał rację. Kit Dixon urządzała jakąś demonstrację. Nie

wiedział tylko, kto miał być jej odbiorcą - cały świat czy ktoś w szczególności.

Kilka godzin później miał pierwsze podejrzenie co do tego, kto mógł prowokować jej agresywno-obronną postawę. Jej dziadek był powszechnie znanym sędzią. Stronniczym, zadufanym w sobie. Człowiekiem z betonu. Prawo było tym, czym sędzia powiedział, że jest danego dnia. Biada temu, kto próbowałby się sprzeciwić.

- A pan jest... - Krępy starszy mężczyzna w trzyczęściowym garniturze ze staromodną kokardą pod szyją umyślnie przekroczył coś, co Carson uznawał za granicę swojej prywatnej przestrzeni. Kit została porwana przez trzy starsze kobiety, przedstawione mu jako przyjaciółki jej babki.

Sędzia Abner Andrew Dixon, nie wyciągnąwszy na powitanie ręki, lustrował go świdrującym wzrokiem.

- Carson Beckett, sir. Jestem przyjacielem pańskiej wnuczki.

- Karolina Południowa, hm? Skąd pan zna moją wnuczkę?

Nastawiając się na krzyżowy ogień pytań, Carson zdecydował, że nie będzie wtajemniczać starego despoty w sprawę pieniędzy.

- Kuzynka Kit wyszła zeszłego lata za mojego kuzyna. Może o tym wspomniała?

- To musi być rodzina ze strony jej matki - mruknął po chwili zastanowienia.

Carson potwierdził skinieniem głowy.

- Tak myślałem. - Jego kwaśna mina była aż nazbyt wymowna. I bez jednego słowa więcej sędzia odwrócił się i odszedł.

Trochę rozbawiony i trochę zirytowany, Carson został na kilka minut między holem wejściowym a ogromną kompozycją kwiatową, przyglądając się, jak dobrze ubrani i oczywiście dobrze obuci goście łączą się w grupki, rozchodzą, żeby trochę pokrażyć, tylko po to, żeby się znów połączyć i krażyć dalej. Poza jednym albo dwoma zaciekawionymi spojrzeniami mało kto zwracał na niego uwagę i bardzo mu to odpowiadało.

Dobrze znał takie przyjęcia z czasów, kiedy jego wuj Coley był aktywnym politykiem, może dlatego mimo niezbyt odpowiedniego stroju czuł się swobodnie. Skinął głową w stronę kilkorga ludzi, którzy posłali mu niepewne uśmiechy. Na pewno usiłowali sobie skojarzyć, kim jest, czy przypadkiem nie kimś ważnym.

Od czasu do czasu spostrzegął gdzieś Kit, zwykle w towarzystwie wysokiego, świetnie ubranego faceta. Raz pomachała Carsonowi palcem, z miną wyrażającą szczere współczucie. Wyglądało na to, że bawi się równie dobrze jak on - trochę lepiej niż podczas wizyty u dentysty.

Kim był, do diabła, ten facet, który nie odstępował jej na krok? Wisiał jej nad głową jak odziany u Armaniego anioł stróż.

Oparłszy się o ścianę, w jedynym miejscu nie zasłoniętym przez meble, kwiaty czy portrety ponurookich przodków, Carson oceniał tłum. Na oko, trzy czwarte prawników, nieliczna reprezentacja świata polityki, no i oczywiście małżonki. W monotennie stosownych kreacjach, w większości z czarnego jedwabiu, do tego obowiązkowe

perły. Tu i ówdzie odważniejsza czerwona suknia, nie umywająca się jednak do tego paskudztwa, które miała na sobie Kit.

Była niesamowita.

Tajemnica, jaką była Kit Dixon, zaczynała go wciągać jak śledztwo. Sędzia z pewnością nie akceptował jej matki - w takim razie sama lojalność mogła zmusić Kit do usamodzielnienia się po śmierci obojga rodziców.

A jaki był jej ojciec, syn sędziego? Jaką przyjął pozycję w układzie? Trzeba by założyć, że miał charakter; w końcu z własnej woli ożenił się z Elizabeth Chandler. Carson nie umiał myśleć inaczej niż z sympatią o Chandlerach, choćby tylko za to, co zrobili po wojnie, żeby pomóc stanąć na nogach Beckettom. Poza tym żona Lance'a pochodziła z tych samych Chandlerów.

Chętnie zapytałby Kit o jej rodziców, gdyby miał tu zostać trochę dłużej. Niewykluczone, że by mu odpowiedziała, choć pewnie byłaby to odpowiedź rodem z „Gwiezdných wojen”. Kimkolwiek była - cokolwiek nią powodowało - Kit Dixon żyła w jedynym w swoim rodzaju, całkiem własnym wszechświecie.

Nawet myśląc o niej, mimowolnie śledził ją wzrokiem. Była w ciągłym ruchu. Zauważył to już wcześniej - nawet kiedy stała, przynajmniej jedna część jej ciała musiała się ruszać. Ramiona, ręce - tupiąca stopa. Czy całe to przyjęcie mierziło ją tak jak jego?

W tej chwili rozmawiała z chudą jak kij od szczotki blondynką o zgrabnych nogach, które prawie dorównywały nogom Kit. Niewiele

myśląc, Carson oderwał się od ściany i ruszył przez zatłoczoną salę w ich kierunku.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam. - Był w połowie drogi, kiedy zauważył wysokiego przystojniaka stojącego kilka metrów dalej, w małej grupce gości. Kit w tym samym momencie podniosła głowę i pochwyciła wzrok Carsona. Albo całkiem oszalał, albo próbowała mu przesłać jakąś wiadomość. Spadamy? Zabierz mnie stąd!

Och, dobrze, szedł jej na ratunek. Niewiarygodnie zmęczona, Kit puszczała słowa mimo uszu. Była w tym dobra. Robiła to przez całe życie.

- Pamiętasz tamten film, prawda, Katherine? - spytała jej babcia.
- Musiałaś mieć jakieś dwanaście lat. Tłumaczyłam twojej matce, że jesteś za młoda, żeby go oglądać.

Nigdy nie była za młoda. Czasem miała wrażenie, że urodziła się stara. Uśmiechnęła się jednak i znów kiwnęła głową. Jeszcze pięć minut i będzie miała spokój na następne pół roku. Gdyby się nie pokazała nawet przez kilka lat, prawdopodobnie nikt by tego nie zauważył, ale ją dręczyłoby sumienie. Jej sumienie było jak pięcioletnia kotwiczka - zbyt mała, żeby się do czegoś przydać, ale wystarczająco duża, żeby być ciężarem.

- Kupiłam ją za pół ceny u Bergdorfa. Antoine powiedział, że to była ostatnia rzecz, którą zaprojektował przed śmiercią, wyobrażasz sobie? Oczywiście musiałam ją mieć. - Mówiąca kobieta była w czarnej sukni nie różniącej się od większości innych, a Kit śmiała się

w duchu z tego, jak znajome babci celowo unikały komentarzy na temat kreacji jej wnuczki.

Dlaczego wciąż to robisz?

Dlatego, że to doprowadza do białej gorączki mojego dziadka, odpowiedziała sobie z ponurą satysfakcją.

Przez tyle lat przyglądała się w milczeniu, jak obaj Dixonowie, ojciec i syn, szydzili z biednej Elizabeth Chandler, której jedynymi wadami były skłonność do uzależnień i spaczony gust w wyborze mężów. Szyderstwami wpędzili ją w alkoholizm, który wplątał ją - przynajmniej tak to oceniała Kit - w jawny romans, a to z kolei dostarczyło im jeszcze więcej amunicji.

I przez ten cały czas ich najdroższy, doskonały syn był, tak perfidnie okrutny wobec swojej żony i córki, że jeszcze dziś-Kit zdarzało się budzić w środku nocy i w przerażeniu szukać światła oraz powietrza. Zamykana na długie godziny w szafie, nie miała szansy wyjść z tego bez szwanku. Pewnego razu spędziła w swoim więzieniu ponad dobę, kiedy ojca zatrzymało coś w sądzie, a matka była pijana.

Teraz Kit przestępowała z nogi na nogę. Litości, chodzenie na takich obcasach powinno być zakazane przez prawo! Wzięła głęboki oddech, rozglądając się po znajomych ścianach rezydencji położonej nad samą zatoką, kilometr od miejsca, w którym spędziła dzieciństwo. Wszystko tu sprowadzało się do pieniędzy. Pieniądzy i pozycji. Babcia Dixon miała kiedyś jedno i drugie. Dziadek Dixon nie miał niczego. Gdy się pobrali, wszystko stało się jego własnością.

Nie potrzebuję ciebie i twoich pieniędzy, szepnęła bezgłośnie, zerkając na sędziego, który z poczerwieniałą twarzą, kciukami zaczepionymi o pachy kamizelki popisywał się przed grupką nieopierzonych prawników.

Jesteś mały, dziadku. Bardzo, bardzo mały. Carson Beckett, człowiek, którego znam od dwóch dni, przerasta cię pod każdym względem.

Naprawdę od dwóch dni? Chwilami miała wrażenie, że zna go od zawsze.

- Kupiłam twoją książeczkę, Katherine. - Do grupy kobiet przyłączyła się kolejna przyjaciółka jej babci. - Nie przeczytałam jej, naturalnie, ale pomyślałam sobie, że jako bliska przyjaciółka Flavii mogłabym zrobić chociaż tyle, żeby wspomóc jej jedyną wnuczkę.

- Dziękuję, pani Barnes. Doceniam pani gest.

Carson pochwycił jej wzrok i kiwnął brodą w stronę wyjścia. Kit uśmiechnęła się, ale dyskretnym gestem ręki przywołała go do siebie. Do usług, lady, pomyślał, a potem przeciskając się przez rozgadany tłum, zastanawiał się, co on, u diabła, tu robi - na łonie, jakby nie było, jej rodziny. Współudział w rodzinnym rewanzu?

Nic z tego.

Usiłował odzyskać swój obiektywizm, choć wiedział z góry, że to stracona sprawa. Być obiektywnym wobec takiej kobiety jak Kit Dixon to jak próbować zlekceważyć rój pszczół.

I oto był przy niej, wdychając jej niepowtarzalny zapach, coś między Chanel i Polo, i wątróbkami drobiowymi.

Kit chwyciła go za nadgarstek i przyciągnęła bliżej.

- Babciu, to jest Carson Beckett, mój... stary przyjaciel. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie, okraszone wątym, trochę nerwowym uśmiechem. - Car, to moja babcia, pani Dixon, a to Randolph Hart. Randolph jest przyjacielem mojego dziadka.

- Beckett. - Carson wymienił uścisk dłoni z przystojniakiem, który był chyba o rok, dwa lata od niego starszy, ale miał na swoim koncie znacznie mniej ciężkich przejść.

Babcia Kit, starsza niż myślał w pierwszej chwili, ale znakomicie zadbana, uraczyła go chłodnym uśmiechem. Na kilka minut oddali się uprzejmej, nieznaczącej konwersacji. Z zawodowego przyzwyczajenia Carson ocenił drugiego mężczyznę jako profesjonalistę, człowieka sukcesu, o orientacji raczej heteroseksualnej. Jego zachowanie wskazywało na nieco uzurpatorskie zainteresowanie Kit, którego ona zdawała się nie odwzajemniać.

Hm... Młody prawnik i wnuczka sędziego?

Bingo, pomyślał, gdy kilka minut później podszedł do nich sędzia.

- Widzę, że poznał pan już Harta. Właśnie został starszym współnikiem kancelarii, mówił panu o tym? Flavio, Sawyerowie o ciebie pytają, może podejdziesz do nich? - To był rozkaz, nie prośba.

Flavia Dixon mruknęła coś uprzejmego i oddaliła się, z przyklejonym do maskowatej twarzy uśmiechem. Sędzia zwrócił się do Carsona:

- Czy Randolph wspominał panu o przyjęciu, które wydają jego rodzice? Oczywiście zabiera na nie moją wnuczkę. Kit, postaraj się włożyć na siebie coś bardziej stosownego. Okazja do świętowania może być podwójna, prawda, synu? - Jego ton był jowialny, wyraz twarzy bynajmniej. - Zrób też coś z włosami. Zetnij je. Twoja babcia może ci powiedzieć, do kogo z tym pójść. Bóg wie, ile wydaje na siebie moich pieniędzy.

- Dziadku, obawiam się... - Kit zacisnęła dłoń na ramieniu Carsona.

- Kit chciała powiedzieć, sir, że raczej nie będzie mogła.

- Jak to: nie będzie mogła? - Obwisłe policzki sędziego raptownie poczerwieniały. Odwrócił się do Kit. - Nie znasz jeszcze daty, więc daruj sobie, dziecko, te głupie gierki.

Kit otworzyła usta, ale Carson przykrył jej zimne palce swoimi, i wziął to na siebie. Może nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale był cholernie wyczulony na wszelkie próby zastraszenia.

- Kit ma na myśli to, sir, że jedzie w odwiedziny do mnie. Nie jesteśmy pewni, jak długo one potrwać, ale moja mama choruje i bardzo lubi towarzystwo. Będą tam też Lance i Liza, mieszkają w pobliżu. Pamięta pan zapewne kuzynkę Kit, Lizę?

Stary sędzia wpadł w szal, ale szybko się opanował. Rzuciwszy wymowne spojrzenie swojemu protegowanemu, odwrócił się i odszedł.

- Gotowa? - spytał łagodnie Carson.

- Daj mi jeszcze minutę.

Podczas gdy Kit przedzierała się na drugi koniec sali, żeby porozmawiać z babcią, Carson ruszył do bufetu. Minąwszy stos porcelanowych talerzy, sięgnął po kilka serwetek i zapakował w nie solidną porcję przekąsek. Serwetki były lniane, co czyniło jego postępek małym złodziejstwem, ale miał to w nosie. Jeśli przyzwoite jedzenie mogło zdjąć z twarzy Kit tę zboląłą minę, gotów był ją karmić dotąd, aż przestanie się mieścić w swojej nieszczęsnej sukience.

Potem mógłby... Hola! Nawet o tym nie myśl.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Wiedziałam, że będzie źle - powiedziała Kit, gdy wjechali na obwodnicę. - Zawsze jest źle, ale... - Pokręciła głową. - Czy on się nigdy nie nauczy? Przecież nie jest głupi. Wiesz, to chodzi o władzę nad ludźmi. Mój ojciec był taki sam. Zawsze chodzi o władzę.

Chciał zapytać o jej rodziców, ale znając Kit, nieszybko by się dowiedział czegoś ważnego, gdyby pozwolił jej się rozgadać. Wiedział z doświadczenia, jakie metody działają na różne typy osobowości, ale kłopot polegał na tym, że Kit nie była typem, była po prostu Kit, wolną kobietą, która nie musiała mu udzielać żadnych odpowiedzi.

W ogóle nie musiała z nim rozmawiać. Nie było na to paragrafu.

- Nie jest ci zimno? - spytał, gdy po kilku kilometrach nic nie zapowiadało, że się jeszcze odezwie. Nie przeszkadzało mu milczenie jako takie, ale to szczególne milczenie pełne było niewypowiedzianych rzeczy, które wcześniej czy później musiały zostać wypowiedziane.

Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się.

- Zimno? Nie, nie jest mi zimno. Wiesz, co on knuje, prawda?

- Twój dziadek?

- Chce mnie wyswatać - powiedziała grobowym głosem. -

Powiedz, czy mój dziadek zrobił na tobie wrażenie sentymentalnego typa?

- Niespecjalnie. Myślisz, że chce cię wydać za tego, jak mu tam? Harta?

- Raczej zaaranżować fuzję, z sobą w roli partnera nadzorującego. Nie jest zbyt subtelny, co?

Subtelny jak młot pneumatyczny. Carson oglądał mroczny, płaski krajobraz i nagle zmniejszył prędkość.

- Dobijemy targu? - zażartował po kilku kolejnych minutach milczenia. - Powiesz swoje i ja ci powiem swoje.

- Randolph - nikomu nie wolno mówić do niego Randy, odkąd został współnikiem w firmie - w każdym razie jego ojciec i mój ojciec byli przyjaciółmi. Pan Hart zginął w tym samym wypadku lotniczym co moi rodzice. Pewnie pamiętasz, pisali o tym w prasie. Było wielkie dochodzenie, plotki o podłożeniu bomby i tak dalej. Jedna z teorii głosiła, że to było ostrzeżenie mafii, jej szef miał wytoczony proces, a mój ojciec był adwokatem powoda.

Znów zamilkła i trzęsąc się, skrzyżowała ręce na piersiach, jakby naprawdę było jej zimno. Carson zwiększył tylko ogrzewanie, nie próbując jej ponaglać.

- Myślał, że po ich śmierci może to przejąć, rozumiesz. To znaczy Żelazny Dixon. Mój dziadek.

- U-uuu - mruknął. Sędzia przejmujący praktykę adwokacką syna?

- Nie firmę, mnie - odpowiedziała na nie wypowiedziane pytanie. - Myślał, że może przejąć kontrolę nad moim życiem. Na początek miałam pójść do ekskluzywnego college'u, nie z troski o

moje wykształcenie, nie myśl sobie, tylko tak, na przeczekanie, dopóki on nie zdecyduje, co ze mną zrobić. Teraz już zdecydował, ale ja jestem za stara, a on się może tylko wkurzać.

- Za stara na co?

- Och, to ma związek z testamentem mojego ojca, ale dajmy temu spokój. Czy to wiatr tak kołysze samochodem? Nic dziwnego, że szczękam zębami. Co za ziąb!

- Służę swoją kurtką. Koszulą też, ale kompletnej zamiany na ubrania chyba ci nie zaproponuję. Szczerze mówiąc, fiolet nie jest moim ulubionym kolorem.

- To nie fiolet. To fuksja. - Po raz pierwszy się roześmiała, ale po chwili ciężko westchnęła. - Co za bagno. Carson, przepraszam, że cię w to wciągnęłam, ale to, że ze mną byłeś... nie masz pojęcia, jak mi pomogłeś. Mówię o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, nie tylko o przyjęciu. Gdybym tam pojechała dzisiaj sama, dostałabym napadu szału i pewnie by mnie aresztowali za przekroczenie prędkości.

Biedronką? Wątpił, czy była w stanie osiągać minimalną prędkość, ale z wrodzonego taktu nie powiedział tego na głos.

- Wątpię, żeby cię wsadzili, tutejsze prawo nie różni się tak bardzo od tego, które obowiązuje w Karolinie Północnej, ale mów dalej, jak już się rozkręciłaś...

- Okej, może trochę przesadzam - powiedziała z uśmiechem. - To twórcza strona mojej natury. Lubię robić z krótkich historii długie, a z nudnych - niesamowite.

- Niesamowite?

- Tak naprawdę... poza kilkoma drobnymi szczegółami, całkiem nieźle panuję nad swoim życiem.

- Poza drobnymi szczegółami. Takimi jak morderstwo.

Znowu zaczęła się trząść. Odmówiła włożenia jego kurtki za pierwszym razem, więc nie powtórzył propozycji. Zjechał na parking i zgasił silnik.

- Czy ktoś nas śledzi? - wyszeptała, zerkając przez ramię na ciemną autostradę.

- Zrobiło mi się gorąco - może zmienisz zdanie i włożysz to na siebie. - Carson zdjął kurtkę i otulił nią Kit szybkim, wprawnym ruchem, jakby bał się poparzyć. Czuł, że wiszące w powietrzu napięcie grozi jakimś niekontrolowanym wyładowaniem. Czy tylko on tak czuł? Raz, może dwa razy tego wieczoru wydawało mu się, że ona patrzy na niego w taki sposób, że...

Pobożne życzenie.

- O czym myślisz? - spytała ni z tego, ni z owego.

- O niczym. - Znał ją ile... dwa dni? Zdarzało się okazjonalnie, że przyływ testosteronu odbierał mu rozum. Ale nie z Kit. Cokolwiek między nimi było, zmierzało ku końcowi. Odda jej ten cholerny czek i sprawa skończona.

Poza tym była Margaret.

- Wiesz co? - Wtuliła się głębiej w jego kurtkę. - Wytłumaczę się jakoś przed Jeffem i zniknę na jakiś czas, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Podniosła kołnierz kurtki, a on w nagłym impulsie sięgnął do jej włosów i wysunął je na wierzch. Były ciepłe.

Muszę stąd wyjść. Kompletnie mi odbija, pomyślał.

- Jestem pewna, że mogę dokończyć ilustracje z pamięci - powiedziała w zamyśleniu, jakby całkiem nieświadoma, że jej rozmówca jest w dziwnym stanie. - Mogę się rozejrzeć za inną pracą w innym miejscu. Lubię Gilbert's Point, ale wiesz co? Wydaje mi się, że coś, albo ktoś, próbuje mi powiedzieć, że czas ruszyć dalej. Ja wierzę w przeznaczenie, naprawdę.

- Mam lepszy pomysł - usłyszał własny głos. - Może pojedziesz ze mną do mojej rodziny, tak jak powiedziałem twojemu dziadkowi.

- Och, nie, nie mogłabym. - Jej odmowa nie zabrzmiała zbyt przekonująco.

- Nie kłamałem, mówiąc, że moja mama uwielbia towarzystwo. Ale muszę cię ostrzec - ona może nie poznać nawet mnie. Jest w początkowym stadium Alzheimera.

Nie czekając na jej odpowiedź, uruchomił silnik i pojechał dalej. Obie ręce miał zajęte, więc tym razem, zamiast dotknąć jego ramienia, Kit położyła dłoń na jego udzie. Te same zimne palce; ten sam elektryzujący uścisk. Margaret nie uzewnętrzniała swoich uczuć dotykiem. Jego matka tak, podobnie jak ciotka Becky.

Dotyk Kit należał do całkiem innej kategorii.

- Carson, przepraszam. Naprawdę nie musisz tego ciągnąć przez to, co powiedziałeś mojemu dziadkowi. Żyję samodzielnie od siedmiu lat i nieźle sobie radzę. Przejechałam setki kilometrów w

poszukiwaniu odpowiednich scenerii - rozumiesz, zanim zacznę pisać, muszę wiedzieć, gdzie będzie się działa moja historia. Więc chodzi mi o to, że znam mnóstwo miejsc, w których mogę się zaszyć.

- Nie wątpię. Ale może byś się jednak zgodziła na moją propozycję? Widzisz, mam taki osobisty problem...

Zastanawiał się, czy opowiedzieć jej o obsesji swojej matki na punkcie ślubów i o Margaret, swojej „tak jakby” narzeczonej, która ostatnio zbyt często podróżowała do Nowego Jorku. Zanim się zdecydował, Kit pochyliła się gwałtownie do przodu, niemal dotykając czołem przedniej szyby.

- Co to za blask? Patrz, tam!

Zbliżali się do mostu w Coinjock. Trochę dalej na północ, mniej więcej tam, gdzie leżało Gilbert's Point, niebo było podejrzanie czerwone.

- To nie pora na zorzę polarną - mruknął. - Płonące zarośla? - Miał dziwne przeczucie, że to coś całkiem innego. W tamtej okolicy widział tylko wodę, moczary i kilka leśnych pagórków. Nic, co podtrzymałoby pożar.

- Boże, żeby to nie była restauracja Jeffa... Gdyby się okazało, że ten zdezelowany wentylator...

To nie była żadna restauracja. Kiedy dotarli do maleńkiej nadbrzeżnej osady, źródło ognia stało się oczywiste. Przecisnąwszy się przez tłum gapiów, karetki, wozy strażackie i policyjne, Carson zatrzymał się przy opuszczonym domu stojącym kilkaset metrów od tego, co zostało z domu, który wynajmowała Kit.

Nie odezwała się ani słowem, słyszał tylko jej urywany oddech. Trzęsąc się z wściekłości - co mogłoby się zdawać przesadną reakcją, zważywszy rodzaj przestępstw, z którymi miał do czynienia przez kilka ostatnich lat - Carson zaklął pod nosem. Tylko tego jej było trzeba. Straciła wszystko - dom, to, co w nim było, nawet samochód.

Dyskretnie przebiegł oczami po tłumie, potem skupił uwagę na zgliszcach. Ogień był prawie ugaszony. Nie strawił jedynie komina, instalacji hydraulicznej i lodówki.

Odwrócił się do Kit, ale żadne słowa pocieszenia nie przychodziły mu do głowy.

- Byłam umówiona na naprawę skrzyni biegów - powiedziała z godnością, jakby czując na sobie jego wzrok.

Odpiął pasy bezpieczeństwa, najpierw swój, potem jej. I w końcu zrobił to, co chciał zrobić przez cały wieczór, choć z zupełnie innych pobudek - a może nie. Przyciągnął ją i otulił ramionami.

- Ciii... zajmiemy się tym. Milczała, garnąc się tylko do jego ciepła. Jeśli potrzebowała więcej ciepła...

Nie teraz, cholera jasna!

Obejmując ją, czując dreszcze, które wstrząsały jej ciałem, Carson wydawał nieartykułowane dźwięki, które miały zastąpić słowa pocieszenia. Tymczasem jego myśli biegły trzema równoległymi torami.

To musiało być podpalenie, ale dlaczego? Wyłudzenie odszkodowania? Z łatwością mógł się dowiedzieć, kto jest właścicielem domu, ale to byłby dziwnie trafiony moment.

Ostrzeżenie?

Albo coś poważniejszego. Chłodna przezorność wzięła w nim górę nad emocjami. Niech to rozwiążą miejscowi policjanci. On zamierzał ją stąd zabrać, jak najszybciej.

Z trudem nad sobą panując, gdy kobieta, którą trzymał w ramionach, wtulała się w niego rozpaczliwie, próbował skupić uwagę na tym, co się działo na zewnątrz. Kit, jakby to wyczuwając, wzięła głęboki oddech i odsunęła się. Razem patrzyli, jak kilkunastu strażaków zalewa wodą pogorzeliśko, choć nie zostało w nim nic do uratowania. Carson wciąż się zastanawiał, czy Kit miała jakieś przeczucia, gdy kazała mu włożyć czek do lodówki. Dobrze, że jej nie posłuchał.

- Nie wiedziałam... - odezwała się wreszcie niskim głosem, ale bardziej opanowanym, niżby się spodziewał. - Do głowy by mi nie przeszło... Przykro mi z powodu twojego czeku. W takiej temperaturze nawet w lodówce mogło się wszystko spalić.

- To twój czek, nie mój. I jest w mojej teczce, nie zostawiłem go.

- Mój biedny samochód... - szepnęła.

- Tak mi przykro, skarbie. - Czułe słówko wymknęło mu się mimowolnie. W jego rodzinie było słowem pocieszenia. Na przykład: „Zjedz jeszcze kawałek kur czaka, skarbie, musisz się wzmocnić”.

- Nie stać mnie w tej chwili na nowy samochód, najbliższe honorarium dostanę dopiero w maju, a i tak nie będą to duże pieniądze. Niech to diabli!

Kiedy załamał jej się głos, jedyne co mógł zrobić, to zdobyć się na dość silnej woli, żeby nie przygarnąć jej z powrotem i nie obiecać, że kupi jej samochód. Samochód jej marzeń i wszystko, co tylko zechce.

- Posłuchaj, muszę porozmawiać ze strażakami, ale...

Ale nie chcę zostawiać cię tu samej, skończył w myślach, gdy ktoś zapukał w okno. Na widok znajomej twarzy opuścił szybę, ale nie odezwał się słowem. Wyraz jego twarzy mówił wszystko.

- Człowieku, to jakiś koszmar - powiedział Jeff. - Jak zobaczyliśmy samochód Kit, pomyśleliśmy, że... - urwał, kompletnie roztrzęsiony, potem pochylił się, żeby spojrzeć na Kit. - Dzięki Bogu, że cię nie było. Mam wolny pokój, mogę go sprzątnąć, żebyś miała gdzie mieszkać. Bambi też - ona tam jest... Mówi, że możesz zostać u niej, jeśli nie przeszkadza ci spanie na jednym łóżku.

- Dzięki, Jeff, ale...

- Ona to docenia - wyręczył ją Carson - ale jedź do mnie. Nie chciała cię zostawiać na lodzie, ale w takiej sytuacji... - Nie musiał nic dodawać. Facet był bystrzejszy, niż na to wyglądał, i na pewno głęboko przejęty.

Jeff kiwnął głową i wyprostował się, ale nadal trzymał obie ręce oparte o drzwi.

- Hej, Kit, nie martw się, jakoś sobie poradzimy. Jak będzie większy ruch, Bambi ściągnie swoją koleżankę. Jedź spokojnie i rób swoje. Za dużo tu się ostatnio dzieje, jak byś mnie pytała o zdanie.

- No właśnie - mruknął Carson. - Postój tu jeszcze chwilę, co? Chciałbym pogadać z jakimś strażakiem.

Powiedział Kit, że wróci za trzy minuty. Miał pewne podejrzenia, a gdyby ci chłopcy je potwierdzili, nie musiałby czekać na wynik badań laboratoryjnych.

Potem zabrałby ją z tego piekielnego miejsca. Im szybciej, tym lepiej.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwadzieścia minut później ruszyli w drogę, po tym jak najgorsze obawy Carsona zostały potwierdzone. Zastępca szeryfa zbył jego pytania o przyczynę pożaru, mimo że smród benzyny wciąż wisiał w powietrzu.

- Te stare domy idą z dymem jeden za drugim - odpowiedział mu świeżo upieczony stróż prawa. - Powinni sprawdzać instalację elektryczną, ale tym miejscowym trudno jest wbić coś do głowy.

Tym miejscowym? Co za palant, pomyślał ze złością Carson, ale nie miał czasu na słowne przepychanki ze smarkaczem, któremu woda sodowa uderzyła do głowy, zanim się czegokolwiek nauczył. Nie był odosobnionym przypadkiem.

Policjant zajął się przeganianiem stojących za blisko gapiów, a Carson pokręcił się jeszcze kilka minut, szukając czegoś, co podważyłoby jego podejrzenia. Na przykład śladu uderzenia pioruna. Ale gdyby przeszła tu burza, ktoś by o tym wspomniał. I po pożarze od pioruna nie śmierdzi benzyną. Strażak, który zechciał z nim rozmawiać, przyznał tylko, że nie podjęto żadnych kroków, żeby ustalić źródło ognia.

Najbardziej przerażające było to, że ktoś, kto rozlał wokół wszystkich czterech ścian domu benzynę i podpalił zapałkę - a widział zaparkowanego obok garbusa - musiał brać pod uwagę prawdopodobieństwo, że Kit jest w środku. Na samą myśl Carsonowi przeszły ciarki po plecach.

Na szczęście kiedy wrócił do samochodu, Kit o nic nie zapytała. Carson podziękował Jeffowi i obiecał, że się odezwą za dzień albo dwa. Instynkt mu podpowiadał, że człowiek jest godny zaufania, a on chciał mieć kontakt z kimś, kto zna w Gilbert's Point wszystkich i dużo wie. Bo bez względu na to, jak długo miało to potrwać, Carson nie miał zamiaru przywieźć tu Kit z powrotem, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona i zamknięta.

Dopiero po półgodzinie Kit po raz pierwszy się odezwała. W jego sportowej kurtce wciąż wyglądała, jakby trzęsła się z zimna.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić jeszcze raz do szeryfa i powiedzieć, co wiemy?

- Twoja decyzja, ale powinnaś to spokojnie przemyśleć. Słyszałaś klótnię, słyszałaś strzał, widziałaś ciało, tak? Wszystko to im opowiedziałaś.

Westchnęła, ściskając kolanami złożone dłonie.

Zbliżając się do skrzyżowania z autostradą 158, Carson zwolnił, jakby chciał się zatrzymać. Jedno spojrzenie w jej wielkie szare oczy i gotów był wziąć ją w ramiona, i trzymać dotąd, aż opadnie z niej poczucie nie-rzeczywistości, które w jej wypadku było całkowicie zrozumiałe. Dla mego takie rzeczy były chlebem powszednim, ale nie dla cywila, a zwłaszcza nie dla Kit.

Ona bardzo przypominała postaci z własnych książek. Nie czytał ich, co prawda, ale widział okładki, nie mogąc się nadziwić, że ta kobieta - ta postrzelona dziewczyna, która usiłowała go przejechać i

która nie zdradzała zainteresowania pieniędzmi, jakie chciał jej oddać - naprawdę tworzyła takie obrazy.

Nie płakała. A przypuszczał, że do tej pory się rozklei. Cholera, przecież nie miała domu. Straciła wszystko poza odjazdową, niepraktyczną sukienką i seksownymi klapkami na niebotycznych obcasach.

Ciekawa rzecz z tym płaczem, myślał sobie, pokonując w milczeniu kolejne kilometry drogi. Dzieci płaczą, kiedy je coś boli - czasami, kiedy się boją. Dorośli nie. Widywał kobiety znoszące niewiarygodny ból fizyczny bez uronienia jednej łzy. Jednak rany emocjonalne. ...

Kiedy to się zmieniło? Czy stało się elementem rytuału inicjacji? Koniec z mazaniem się, jesteś dorosły. Płacz, kiedy masz złamane serce - przeklinaj, kiedy sobie złamiesz cokolwiek innego.

Płakała czy nie, potrzebowała pocieszenia. Chciał ją przytulić i pocieszyć, ale nie śmiali nie teraz. Była tak krucha, że łatwo by się rozkleiła, a do czasu ustalenia kilku rzeczy powinna być w jako takiej formie.

Odezwała się wreszcie, odpowiadając na nie wiadomo już które pytanie.

- Pomyśl tylko. Zgłaszam znalezienie ciała, ciało znika, a potem się odnajduje. To musiał być ten sam człowiek, nie sądzisz? Gil's Point jest za małą dziurą, żeby znaleźć dwa ciała w tak krótkim odstępie czasu.

I zaraz potem płonie mój dom. Myślę, że ktoś celowo podłożył ogień, żeby mnie...

- Logiczne, ale nie możemy być pewni, dopóki nie znajdą się dowody.

- Jesteś policjantem. Co byś zrobił na moim miejscu?

Wjechał na autostradę 158, wiodącą prosto na zachód. Był policjantem, ale wolał działać z bezpiecznej odległości, na własnym terenie. Gdyby zgłosił się do miejscowej policji i próbował powtórzyć jej zeznania -a wiedząc, w jaki sposób funkcjonuje umysł Kit, mogłoby się w tym znaleźć sporo upiększeń - istniało prawdopodobieństwo, że zostałaby zatrzymana jako istotny świadek. Zwłaszcza gdyby to zależało od tamtego zarozumiałego smarkacza, którego zamroczyła nowa błyszcząca odznaka.

- Obywatele mają swoje obowiązki - powiedziała jakby do siebie.

- Posłuchaj, działałaś typowo, zgodnie z pewnymi niepisаныmi zasadami.

- Nie znam żadnych niepisanych zasad.

- Zasada numer jeden: usuwasz się na bok, nie dajesz się wplątać w sprawę. Po drugie, zawiadamiasz odpowiednie władze, mówisz tylko o tym, co widziałaś albo słyszałaś - ani mniej, ani więcej - i robisz to niezwłocznie.

- Zwolnij - powiedziała nagle, pochylając się do przodu. Zbliżali się do zjazdu na siedemnastkę. - Widzisz ten warsztat samochodowy? Mieszka tam jeden z zastępców szeryfa - ten nowy. Nie wiem, jak się

nazywa. Pewnie był przy pożarze. W każdym razie, kiedy chciałam wynająć dom - tam, po drugiej stronie, mały murowany - pośrednik z agencji powiedział mi, że właśnie go wynajął nowemu zastępcy szeryfa.

Carson zwolnił, ale nie widział powodu, żeby się zatrzymać. Zależało mu głównie na tym, żeby wywieźć ją jak najdalej stąd. Jak najszybciej.

- Pewnie wciąż jest przy pożarze.

- Poczekaj, widzę światło w oknie. Może powinnam.

Woląc się jej otwarcie nie sprzeciwić, włączył kierunkowskaz i w tej samej chwili poczuł, jak wbija palce w jego udo.

- Jedź, jedź! Nie zatrzymuj się!

Co jest, do diabła...? Zerknąwszy błyskawicznie we wsteczne lusterko, pojechał dalej prosto. Jedyne światła w zasięgu wzroku były daleko w tyle za nimi, coś jednak musiało ją wystraszyć.

- Powiesz mi, o co chodzi?

Czy zdawała sobie sprawę, że wciąż trzyma rękę na jego nodze? Pewnie nie miała pojęcia, jak to na niego działa. Cholera, to wszystko zakrawało na obłąd.

Przekroczywszy nieco dozwoloną prędkość, spoglądał co chwila we wsteczne lusterko, dokonując niehumanitarnego wysiłku, żeby nie myśleć o jej uścisku.

- Możesz mi powiedzieć, co tam takiego zobaczyłaś?

Cofnęła rękę, przeczesła nią włosy i odetchnęła głęboko, odwracając twarz do przodu.

- Ten pikap. Carson, to ten sam.

Czekał. Szczegóły wiadomości o jedenastej, zapraszamy.

Odpięła pas i uklękła na siedzeniu tyłem do kierunku jazdy.

Wytrzymał kilka minut.

- Usiądź i zapnij pas - warknął. - I nie rób tego więcej. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Powiedziałam. Nie słuchałeś mnie?

- To powiedz jeszcze raz. Może mam spowolnione reakcje.

- Wiem, byłeś chory i nagle zostałeś zamieszany w moje...

moje... - Zapięła pas i zaczęła się mościć w fotelu. - Nie masz pojęcia, jak mi przykro, że cię w to wciągnęłam, ale ten pikap za nami - to ten sam. Pamiętasz, jakiś facet grzebał przy Biedronce, a ja się bałam, że podłożył mi bombę. Wrzasnęłam na niego i uciekł.

Byli na wąskim, prostym jak strzała odcinku autostrady wiodącej przez rozległe pola uprawne. Carson bez uprzedzenia zjechał na pobocze.

- Posłuchaj, nim pojedziemy dalej, powiedz mi wszystko.

- Wszystko?

- Bez ozdobników, proszę pani, same fakty. Powiedziałaś, że facet, który grzebał przy twoim samochodzie, odjechał pikapem.

- To był ten sam. Byłam przestraszona, więc zapamiętałam. Czerwony z jednym niebieskim błotnikiem. I dźwięk silnika - pamiętasz, co mówiłam ci o samochodzie przed kościołem? Wrum wrum, a potem taki dziwny świst.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Jestem pewna, że to ten sam pikap, chociaż nie widziałam tablic rejestracyjnych. Ale za pierwszym razem też ich nie widziałam, więc to bez znaczenia. Carson, wiesz, o czym myślę?

Wiedział, o czym on myśli. Niestety nie miało to nic wspólnego z pikapami, z niebieskimi czy innymi błotnikami i nietypowymi tłumikami. Złożył to na karb podwyższonego poziomu stresu, wzmocnionego skutkami długiej abstynencji seksualnej. Dla równowagi dorzucił jej prowokacyjny zapach. Owocowy, korzenny, z lekką nutą dymu.

Znów zaczęła drzeć. Gdyby zwiększył jeszcze bardziej ogrzewanie, musiałby się rozebrać, a w tych okolicznościach nie byłoby to rozsądne. W środku nocy - zamknięci w ciasnej przestrzeni, rozemocjonowani... Wystarczyłaby jedna iskra.

Na miłość boską, miał czterdziestkę na karku, a nie siedemnaście lat! Widocznie wstrząśnienie mózgu, którego doznał pięć miesięcy temu, spowodowało poważniejsze szkody, niż myślał.

- Posłuchaj, nie jedliśmy nawet lunchu. Nie wiem, jak ty, ale ja na przyjęciu u twoich dziadków nie wziąłem nic do ust. Może zatrzymamy się przy jakimś barze?

U każdej innej kobiety spojrzenie, jakie mu rzuciła, nazwałby oburzonym. U Kit, było to... spojrzeniem Kit. Wyjątkowej kobiety z wyjątkowym bagażem kłopotów. Bagażem, który dobrowolnie wziął na swoje barki.

Zatrzymali się kilka kilometrów dalej. Tankując samochód, Carson przypomniał sobie o jedzeniu zapakowanym w serwetki, które

rzucił na tylne siedzenie. Cokolwiek było w tych apetycznych zawijasach z bekonu - pewnie kurze wątróbki - niewarte było ryzyka, poza tym i tak miał ochotę skorzystać z łazienki. Zbyt wiele się wydarzyło, odkąd się mył, golił i szykował na przyjęcie w ekskluzywnej rezydencji nad zatoką Chesapeake.

Kit pognęła do środka, stukając swoimi śmiesznymi obcasami. On, zanim wszedł do męskiej łazienki, zamówił dwie włoskie kanapki na wynos, z pełnoziarnistego chleba, wychodząc z założenia, że każda kobieta, która jada zielsko, gustuje w pełnoziarnistym pieczywie.

Gdy kilka minut później Kit wynurzyła się z łazienki, blada jak ściana, wydała mu się tak pociągająca, że wstrzymał oddech. Jak to możliwe, żeby kobieta wyglądała tak rewelacyjnie w paskudnej sukience, wielkiej męskiej kurtce, z włosami, które musiała chyba czesać grabiami do siana.

- Oddać ci kurtkę?

- Jasne, że nie. Pożyczyłbym ci buty, ale są pewnie pół numeru za duże.

- Aha. - Uśmiechnęła się krzywo. - Do pięciu. Chodźmy.

Chodźmy... Przepuścił ją w drzwiach, myśląc: Okej, Beckett, co zamierzasz z nią zrobić w Charleston? Po kazesz się mamie z obcą kobietą? Zareagował impulsywnie na przyjęciu - choć to nie było w jego stylu - żeby uratować z opresji Kit. I co dalej? Jeszcze rok temu mógłby sobie pozwolić na różne szaleństwa, ale nie teraz. Jego sytuacja życiowa była wystarczająco skomplikowana bez Kit Dixon.

Więc co teraz? Była prawie naga i bosa. Znaleźć hotel w pobliżu centrum handlowego, zapłacić za tydzień z góry i pożyczyć jej swoją kartę kredytową? Jedyne inne wyjście było zabrać ją ze sobą do domu. Do jego nieumeblowanego domu z dwiema sypialniami na przedmieściu Charleston.

- Bola mnie nogi. Dlaczego nie włożyłam tenisówek zamiast tego świństwa?

- Znajdziemy jakiś całodobowy hipermarket, taki, w którym sprzedają wszystko, od opon samochodowych po damską bieliznę.

Kiwnęła głową i odwinęła swoją kanapkę.

- Dzięki. Zawsze noszę wygodne buty - to znaczy zwykle. Możesz mi nie wierzyć, ale tak naprawdę jestem bardzo rozsądną osobą.

Wierzył. Kit mogła mieć nieco inne niż on pojęcie rozsądku, ale na przekór rodzinie urządziła sobie własne życie. I osiągała sukcesy, zważywszy, że była autorką publikowanych książek.

Ugryzła wielki kęs, zamknęła oczy i zaczęła żuć.

- Tego mi było trzeba - mruknęła, kiedy znów mogła mówić. - Nie mam też szczoteczki do zębów, pasty, szczotki do włosów ani dezodorantu. Może zrobię listę.

- Najpierw zjedz. Jeśli nie lubisz ostrej papryczki, wyrzuć ją.

- Uwielbiam.

Patrzył, jak mrużąc oczy, wgryza się w kanapkę, i zadawał sobie po raz kolejny te same pytania. Jak ją przyjmie jego rodzina? Czy ona

polubi jego rodzinę? A dlaczego to takie ważne? Nie znał odpowiedzi, wiedział tylko, że to ważne.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kit ugryzła jeszcze jeden kęs kanapki, resztę zawinęła w serwetkę i położyła na desce rozdzielczej w momencie, w którym błyskawica przeszła niebo. Policzyła sekundy przed grzmotem, potem ziewnęła i powiedziała:

- Z piętnaście kilometrów, Książka, nad którą pracowałam? Już po niej. Wszystkie trzy brudnopisy i wszystkie szkice diabli wzięli.

- Nie masz kopii zapasowej?

- Takiej z komputera? Nie, nie używam komputera. Piszę ręcznie, a ostateczną wersję przepisuje wynajęta maszynistka. - Prawda była taka, że zaczęła używać komputera, ale kiedy nawalił twardy dysk, nie stać jej było na nowy. Wszystkie swoje oszczędności wydawała na materiały plastyczne. - Wiem, wszyscy używają komputerów, ale jak tylko dotknę klawiatury, zaczynają się dziać przedziwne rzeczy. Wiadomości wyskakują znikąd. Głupie ikonki, których nie rozumiem, skaczą po ekranie, a złośliwy duszek wyświetla mi na czerwono wiadomość, że niby popełniłam jakieś przestępstwo i policja komputerowa jest już w drodze, żeby mnie aresztować.

Chichotał, jakby dokładnie wiedział, o czym ona mówi. Może wiedział.

- Ja z komputerami sobie nieźle radzę, gorzej z urządzeniami mechanicznymi.

- No, jeżeli już porównujemy swoje defekty, to ja nie potrafię nawet nastawić budzika w radiu tak, żeby nie musieć wyłączać go w środku nocy.

Następna błyskawica poprzedziła długi grzmot pioruna. Deszcz, pomyślała Kit, może dogasić ogień, ale to już nie pomoże mojemu biednemu staremu domowi.

Carson przykrył jej dłoń swoją, jakby odgadł jej myśli. Niemożliwe, żeby rozumiał, ale poza wszystkimi innymi zaletami - o czym nie powinna teraz myśleć - był miły i troskliwy. O wiele bardziej niż większość mężczyzn, których znała. Nawet Jeff odpadał w przed-biegach.

- Nie chodzi mi o rzeczy - powiedziała po kilku minutach. - Wszystko da się zastąpić nowymi. Ale moja praca... Kiedyś skończyłam kurs jubilerski. Chciałam zrobić parę kolczyków, tylko że kiedy skończyłam pierwszy, nie mogłam się zabrać do drugiego. Wiesz, nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Powinnam była zacząć od pierścionka. Ale mówię o tym po to, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie potrafię powtórzyć żadnej wymyślonej historii, nawet tej, którą już napisałam. Jakby mój umysł miał mnóstwo małych drzwi i kiedy próbuję otworzyć któreś po raz drugi, mówi mi „już tam byłaś i więcej nie wejdiesz”. Czy to trzyma się kupy? A szkice...

Carson długo nic nie mówił, a ona sobie myślała, że może mężczyźni nie są w stanie zrozumieć. Może po prostu ludzie, którzy nie piszą, nie są w stanie tego zrozumieć. Do tej pory Carson był

zadziwiająco wyrozumiały. Zadziwiająco oddany. Nie była do tego przyzwyczajona - żeby polegać na kimkolwiek poza samą sobą.

- Nie wiem nawet, dokąd jedziemy - powiedziała, bezskutecznie siląc się na uśmiech. - Jeśli myślisz o tym, żeby zawieźć mnie do moich dziadków, zostaję tutaj. Zadzwoń do kogoś z budki telefonicznej.

- Zadzwońisz do Matlocka?

- Hm. - Wiedziała, że tego nie zrobi. Jeff przyjechałby natychmiast, ale ona nie chciała mieć wobec niego żadnych zobowiązań. Ani wobec Carsona Becketta, ani nikogo innego. Zbyt ciężko pracowała na swoją niezależność, żeby ją stracić z powodu jednej komplikacji.

Więc dlaczego tu jesteś?

Bo tak wyszło. To była jedyna odpowiedź, na którą mogła się zdobyć. Każda inna wprowadziłaby ją w panikę, a jak na jeden dzień, dość miała mocnych wrażeń.

- Czy ten zegarek dobrze chodzi? Jestem potwornie śpiąca - powiedziała zmęczonym głosem. - Może postojmy tu jeszcze trochę i zdrzemniemy się... - ziewnęła - z pół godziny?

- Mam lepszy pomysł. - Carson odłożył swoją niedokończoną kanapkę i włączył stacyjkę. - Oboje powinniśmy się wyspać. Nad dalszą drogą możemy zastanowić się jutro, z jasnymi głowami.

Jego dalsza droga prowadziła do Charleston. Jej... sama musiała o tym zdecydować. Mógłby zasugerować, żeby wróciła do dziadka i skorzystała z jego pomocy w odtworzeniu wszystkich możliwych

papierów, które straciła w pożarze. Potem mogłaby zrealizować czek i zacząć wszystko od nowa.

Swoją drogą, to musiało być dla niej straszne. Stracić tak po prostu swoje książki. Niedokończone prace. Pamiętał, cd czuł, kiedy jakiś drań ukradł mu ulubioną wędkę spinningową i całą rodzinną kolekcję sprzętu wędkarskiego, łącznie z pięćdziesięcioma, co najmniej, ręcznie wiązаныmi muchami. Zajmował się tym z pasją jego ojciec, dopóki nie złamał go artretyzm.

Carson wyjechał z jasno oświetlonej, ruchliwej stacji, mając nadzieję, że kilka kilometrów jazdy opustoszałą autostradą pozwoli mu odzyskać dystans. Sprowadzić swoje rozterki do właściwych proporcji.

Tak, żeby jeszcze był na to choć cień szansy.

Kit otworzyła oczy, kiedy zatrzymali się na parkingu przydrożnego motelu. Wydało jej się, że widzi go po raz pierwszy, co oznaczało, że nie są w bliskiej okolicy domu jej dziadków.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Carson. - Dowiem się, czy mają wolne pokoje.

- Nie mam żadnego bagażu.

- Podobnie jak ja-powiedział oschle, przypominając jej, że jego podróżna torba spłonęła razem z domem. - Skarbie, ci ludzie nie są policją obyczajową.

- Nie to miałam na myśli - skłamała. Pomyślała też o tym, że rano obudziła się z kojącym uczuciem, że nie jest sama. I przez moment było jej z tym tak dobrze.

- Wracam za minutę.

Kiedy odwrócił się, przywołała go z powrotem i z zamkniętymi oczami wybąkała:

- Carson, mógłbyś zapytać... czy mają pokoje z dwoma łózkami?

- Chodzi ci o jeden podwójny pokój, tak? Zapytam.

Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak się oddala - nawet lekko utykając, miał chód prawdziwego macho. Nie napuszonego samca, ale bardziej jaguara niż króliczka. Tak by go przedstawiła w jednej ze swoich historyjek -jako wielkiego dzikiego kota. O złotym sercu, rzecz jasna.

O Boże, kobieto, jesteś żalosna!

Wyglądała jak flejtuch. Śmierdziała dymem. Wszystko śmierdziało dymem. Swoją piękną sukienkę zaplamiła sosem z kanapki. Nieważne, po dzisiejszym wieczorze nigdy więcej nie chciała jej widzieć.

Fakt, że Carson utykał, pogłębiał tylko jej poczucie winy. Patrząc przez okno, jak idzie przez hol, musiała sobie przypomnieć po raz kolejny, że jest obcym człowiekiem. Nieznajomym w kowbojskich butach, upapranych teraz mokrym popiołem i błotem, w zaplamionych sadzą spodniach khaki i niebieskiej koszuli, o kilka odcieni jaśniejszej od jego kobaltowych oczu, znużonych i pewnie też przykurzonych sadzą. Jego włosy prosiły się o grzebień, brodzie przydałoby się golenie, a ruszał się, jakby go wszystko bolało.

Cholera, taki facet nie miał prawa robić na niej wrażenia, jakby był Clintem Eastwoodem!

A ona powinna wylać sobie na głowę wiadro zimnej wody. Cały jej świat runął w gruzy, a ona myślała o jednym - jak by to było leżeć w ramionach pewnego nieznanego i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. O kłótni, a strzale, o tym biednym człowieku, którego znaleźli w Zatoczce Marty.

Zapomnieć o dziadku, który uparł się, żeby ją ściągnąć z powrotem na łono rodziny, nie dlatego, że ją kochał, tylko po to, żeby mieć nad nią kontrolę. Albo przynajmniej nad pieniędzmi, które zostawił jej w testamencie ojciec.

Babciu, nie mogłabyś raz w życiu stanąć po mojej stronie?

- Jesteś pewna z tym podwójnym pokojem? Mają też kilka pojedynczych. - Carson wśliznął się do środka, ale nie zamknął drzwi.

- A nie masz nic przeciwko temu? Ja nie chrapię - przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- A chrap sobie, jestem tak wypompowany, że usłyszałbym może pociąg towarowy przejeżdżający przez środek pokoju.

W przyjemnym, bezosobowym pokoju Kit zerknęła na dwa podwójne łóżka, potem otworzyła drzwi do łazienki. Oddałaby całe swoje następne honorarium za szczoteczkę do zębów i czystą koszulę nocną albo chociaż za duży T-shirt.

- Jeśli wytrzymasz w T-shircie, który nosiłem kilka-godzin, jest twój. - Jakby czytał w jej myślach.

-A ty?

- Wystarczą mi bokserki. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- To ja prosiłam, żebyś dzielił ze mną pokój. Nigdy nie znosiłam być sama w ciemności. - Zwłaszcza w czasach, kiedy za prawdziwe albo wyimaginowane przewinienia była zamykana na długie godziny w szafie. - W domu zawsze zostawiam zapaloną lampkę.

- Zostawimy światło w łazience i uchylone drzwi. Właż pierwsza pod prysznic. Wsadzę rękę i powieszę T-shirt na klamce od wewnątrz.

Kiedy usłyszał szum odkręcanej wody, zdjął koszulę, ściągnął podkoszulek i powiesił go tam, gdzie powiedział. Potem z powrotem włożył koszulę i nie zapinając guzików, wyciągnął się na jednym z łóżek. Mowy nie było, żeby się rozebrał wcześniej, niż ona zacznie chrapać. Sama myśl o spędzeniu kilku następnych godzin we wspólnym pokoju głużyła resztki jego zdrowego rozsądku.

Drzemał, kiedy Kit weszła na palcach do pokoju. Stojąc nad łóżkiem, w turbanie z ręcznika na głowie, przyglądała się mężczyźnie, który w niecały tydzień stał się tak ważną częścią jej życia. Tydzień? W niecałe trzy dni.

Gwałtownie otworzył oczy. Kit cofnęła się, potknęła o but, który zostawiła na środku pokoju przed wejściem do łazienki, i zaczęła machać rękami.

- A niech to, cholerny but! Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

Usiadł ze skulonymi ramionami, a ona zdała sobie sprawę, że wygląda na jeszcze bardziej wycieńczonego od niej.

- W holu są maszyny - mruknął szorstko. - Dopóki jestem ubrany, mogę przynieść ci coś do jedzenia.

Potrząsnęła głową. Już po kilku kęsach tamtej kanapki gniotło ją w żołądku.

- Dzięki, nie trzeba. Zostało mnóstwo gorącej wody, gorzej z mydłem. Zużyłam prawie całą kostkę. Nie było żadnego szamponu, a musiałam zmyć z siebie ten smród dymu.

- Nie ma sprawy. Z samego rana zrobimy zakupy.

- Nie wiem, czy się obudzę tak wcześnie. Możemy zamówić telefoniczne budzenie?

- Po co? Ten, kto wstanie pierwszy, budzi drugie, i spadamy stąd.

Wstał, przeciągnął się i potarł skronie. Kit cofnęła się jeszcze o krok, ale pokój był mały. Dym, świeży męski pot i czerwone ostre papryczki. Zamknąć to w butelce, i najskuteczniejszy afrodyzjak świata gotowy.

W popłochu, bojąc się, że palnie coś głupiego, odwróciła się i zdjęła z łóżka narzutę. Kopnięciem odsunęła na bok buty, wśliznęła się pod pościel i przykryła po same uszy. Tylko udając, że śpi, kiedy Carson wróci z łazienki, byłaby w stanie nie sprowokować żadnych kłopotów.

Zrzucił koszulę, zanim zamknął za sobą drzwi łazienki, odsłaniając opalone, barczyste plecy z kilkoma intrygującymi bliznami. Ziewnąwszy, zamknęła oczy, usiłując skupić się na odtworzeniu z pamięci „Ducha Gretchen”, od pierwszej linijki.

Przegrana sprawa. Obrazy, który wylaniały się na ekranie jej wyobraźni, przypominały wideo od lat osiemnastu.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdzieś w środku nocy rozległa się następna seria grzmotów. Ulewny deszcz bębnił w okno. Błyskawica rozświetliła pokój i huk pioruna w ułamku sekundy wyrwał Kit ze snu. Kiedy zerwała się z poduszki, Carson był już przy niej.

- Cii, śpij, skarbie, to tylko burza.

Sam nie spał od godziny, rozmyślając o całym bałaganie, który zostawili w Gilbert's Point, i usiłując odpychać od siebie myśli o kobiecie dzielącej z nim pokój - kobiecie, która po niespełna trzech dniach znajomości stała mu się o wiele za bliska.

Usiłując nie zrobić tego, co prawie zrobił teraz - nie wejść do jej łóżka.

- Wiem - szepnęła na bezdechu, choć jej serce biło z prędkością kilometra na minutę. - Nie boję się burzy, coś mi się śniło... jakiś wybuch... chyba tak.

Trzymając ją w objęciach, kołysał jak dziecko.

- No już, no już,.. - Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

On sam miewał koszmary nocne, w końcu był gliniarzem. Widział daleko gorsze rzeczy niż strzelaniny związane z biznesem narkotykowym. Był żywym trupem przez kilka tygodni, podczas których sprawy rodzinne nabrały niezwyklej wagi. Mógł stracić zdrowie.

Może po prostu stracił rozum.

Mijały minuty. Minuty, podczas których Carson stawał się coraz bardziej świadomy żaru bijącego od jej ciała, jej kruchości - świadomy innych rzeczy, które rozpaczliwie starał się ignorować. Zapachu hotelowego mydła i ciepłej zaspanej kobiety, i tego subtelnego owocowo-korzennego zapachu, który rozpoznałby na końcu świata.

Była w jego T-shircie. Nie wiedział, co ma pod spodem - nie chciał wiedzieć.

Boże, co za wyobraźnia! Może powinien spróbować sił w pisaniu. W grę wchodziła szczególnego rodzaju literatura, przy której chichotali dorastający chłopcy.

Spocznij, przyjacielu! Nie ta pora, nie ta kobieta, nie te okoliczności.

Jej zimne dłonie wędrowały w górę i w dół jego boków. Nie były w stanie oziębic jego rozpalonego ciała. Nie pomagał też fakt, że siedział w koszmarnej niewygodnej pozycji - tylko zmiana na horyzontalną przyniosłaby mu ulgę. Kit zdołała w jakiś sposób podwinąć nogi.

- Nie jest ci niewygodnie? - zaryzykował.

- Tylko zimno. Cała się trzęsę. Zawsze marznę, jak dzieje się coś złego. Kiedy policja przyszła mi powiedzieć o mamie i ojcu, myślałam, że już nigdy nie będzie mi ciepło.

Tak, rozmawiajmy o jej rodzinie, myślał gorączkowo. Jeszcze lepiej o pogodzie, o czymkolwiek. Czy nazwała swoich rodziców mamą i ojcem? To wiele mówiło o ich wzajemnych stosunkach.

Jej włosy łaskotały mu twarz. Odgarniając je na bok, dotknął jej ucha.

Mów coś, człowieku, mów! Dopóki mówisz, panujesz nad sytuacją.

- Dlaczego policja przyszła do ciebie? Dlaczego nie powiedzieli najpierw dziadkom? To oni powinni przekazać ci taką wiadomość.

- Byli na jakimś rejsie. Wrócili samolotem z Cozumell...i...

Tak, mógł sobie wyobrazić, jak potrafili ją pocieszyć. Pogładził jej włosy - miękkie, ciepłe, żywe - mrużąc łagodnie, i nim się zorientował, zmienił pozycję na mniej więcej horyzontalną.

Ona też. I już nie drżała z zimna.

Odsunął się ostrożnie, żeby móc pozbierać myśli, i niechcący wierzchem dłoni musnął jej drobną pierś, z sutkiem jak dojrzała wiśnia prosząca się, żeby ją zerwać.

Okej, to o niczym nie świadczy, upierał się jego ścisły, choć funkcjonujący na ostatnich obrotach, umysł. Ta kobieta obudziła się w środku nocy, dręczona jakimś koszmarem, a on przypadkiem był pod ręką, tak czy nie?

Nie. Na tarapaty zanosilo się od pierwszej chwili, w której zobaczył ją wyraźnie, pochylającą się nad nim żeby zobaczyć, czy go zabiła, czy tylko połamała trochę kości.

- Skarbie, myślisz, że...

- Nie chcę myśleć. Nie teraz... proszę. No to było ich dwoje. Do niemyślenia.

- Okej, rozumiem. - Czy to był jego głos? Zabrzmiało, jak gdyby o dwa numery za mały kołnierzyk ścisnął mu krtań. - Spróbuj tylko pomyśleć o....

O czym? O domu?

Nie miała domu.

O swojej karierze pisarskiej?

Z tego, co mu powiedziała, z dymem poszedł owoc jej trzymiesięcznej pracy. Nie miał pojęcia, czy to kończyło jej karierę. O zawodzie pisarskim wiedział tyle, co o balecie. Albo jeszcze mniej.

Mogli porozmawiać o rodzinie. Dla niego dom rodzinny był zawsze azylem, zwłaszcza kiedy pracował nad szczególnie paskudną sprawą. Jak tylko miał ją z głowy, kupował sześciopak piwa, jechał do rodziców, wchodził przez boczną furtkę do ogrodu mamy, w którym mógł posiedzieć i w spokoju się upić. Słuchanie ptaków, trzmieli i rzekotek przypominało mu, że są jeszcze na tym świecie oazy normalności.

Czasem dobrze było sobie przypomnieć.

Więc trzymał ją w objęciach. Jeśli potrzebowała ostoi, mogła na niego liczyć, przynajmniej do czasu, kiedy się pozbiera i stanie na własnych nogach. Mniejsza o jego skok testosteronu. Tu nie chodziło o tę kobietę w szczególności. Niemożliwe. Znał ją zbyt krótko. Wykluczone, żeby pozwolił sobie na wykorzystanie jakiegokolwiek kobiety tylko dlatego, że zdarzyło im się znaleźć w jednym łóżku. Nigdy.

Skąd Kit miała wiedzieć, że on był niehumanie wyposzczony? Tak się jakoś złożyło, a to, że przypadkiem poznał ją, nie...

- Jeśli ci zimno, możemy się przykryć - zaproponowała.

Zesztywniał. Cały.

- Kotku, to chyba nie jest dobry pomysł. Jest późno, mamy przed sobą ciężki dzień, poza tym...

- Och... Zapomniałam o twojej Margaret. - Jej wymuszony niby-śmiej był tak żalony, że aż bolał. - Ciągłe śmierdzące dymem.

Przepraszam. Zapomnij.

- Kit...

- Wracaj do swojego łóżka. Nic mi nie jest. Miałam po prostu zły sen.

Usiadł, choć tylko on wiedział, ile go to kosztowało.

- Chciałabym, żebyś nie był tak jakby zaręczony - powiedziała tak łagodnie, że w pierwszej chwili nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

I pomyślał: Ja też, kochanie. Och, Boże, ja też bym tego chciał!

W głębi duszy coraz bardziej się bał, że małżeństwo z Margaret będzie jednym wielkim nieszczęściem. Łączyło ich wspólne dzieciństwo i to, że oboje kochali jego matkę, choć nie kochali siebie nawzajem. Zaczął sobie zdawać sprawę, że przyjaźń nie wystarczy. Nie mogła wystarczyć, skoro inna kobieta wzbudzała w nim tak gwałtowne pożądanie.

- Właściwie nie jestem zaręczony - powiedział i poczuł się jak podły, oportunistyczny tchórz. - To znaczy... zawarliśmy jakby

wstępną umowę... dla dobra mojej matki. - Krętaacz! - Posłuchaj, Kit, nie będę cię okłamywał, w tej chwili nie chciałbym niczego bardziej na świecie niż spędzić resztę nocy - gdzie tam, resztę tygodnia - z tobą w łóżku. Chciałbym się z tobą kochać, Kit.

Kochać się? Stary, masz na myśli seks, co?

Miłość nie wchodziła w grę. Nie tak szybko. Jaka miłość, bzdura, mówił sobie, gdy żar spowijał ich splecione ciała; słodki, piżmowy, odurzający.

- Ja też - wyszeptała.

I to wystarczyło. Bo były tam jej usta i jego usta, a gdy się odnalazły, reszta była nieunikniona. Później mógł sobie mówić, że oboje byli w potrzebie, może z różnych powodów, ale teraz nie miał do tego głowy. Kierowało nim czyste, ślepe pożądanie.

Kit smakowała tak, jak pachniała, jak dojrzały owoc ze szczyptą korzennej przyprawy. W środku była ciepła i spragniona, jak on. Wwiercała się w niego, przeżyła jak struna, a on nie przestawał jej całować. To więcej niż pożądanie, przemknęło mu przez głowę, może nie miłość, ale o wiele więcej niż pożądanie.

-Kit...?

Wiedziała, o co chce zapytać. Czy jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna - odpowiedziała stanowczo, choć trzęsa się w środku jak galareta. Nie tylko ze zdenerwowania. Czytała o symptomach ostrego podniecenia, ale sama nigdy tego nie doznała, nie do tego stopnia. Swoją drogą niewiele miała okazji. Trzy razy była

z mężczyzną w łóżku i wtedy wydawało jej się to żenujące. I trochę nudne.

A teraz miała wrażenie, jakby wszystkie komórki jej ciała nagle ożyły. Jakby ocknęła się z długiego letargu.

- Jeśli chcesz, możesz się wycofać. - Czuła się zobowiązana to powiedzieć, bo to ona go uwiodła. A przynajmniej dołożyła wszelkich starań, żeby to zrobić. - Nie zranisz moich uczuć, w końcu jestem dorosła.

- Zauważyłem - zakpił delikatnie.

Mogła się sprzeczać, ale to była ostatnia rzecz, na którą miała teraz ochotę. Westchnęła, kiedy ujął ciepłą dłońią jej pierś, potem przekręcił się na bok i wolną ręką ściągnął z niej T-shirt. Wstrzymała oddech.

Gdyby chociaż nie był tak piękny. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek pomyślała o męskim ciele, że jest piękne. Właściwie prawie w ogóle nie myślała o męskich ciałach. A Carson Beckett był naprawdę piękny, ze swoimi bliznami i wszystkim innym. Z lekko siwiejącymi włosami, z ocienioną gęstym zarostem twarzą, z tymi niewiarygodnie niebieskimi oczami i bliźniaczymi pionowymi liniami, które żłobiły jego szczupłe policzki.

Odchyliwszy się do tyłu, patrzył na nią przez chwilę z wyraźnym zakłopotaniem.

- Kit, ty nie jesteś... chciałem zapytać... czy nie jesteś...

- Dziewicą? Nie, oczywiście, że nie. Carson, ja mam dwadzieścia pięć lat.

- Jasne. Po prostu chciałem mieć pewność.

Sam fakt, że brał pod uwagę taką możliwość, powinien ją chyba urazić, ale czując jego ciepły oddech we włosach, jego palce rysujące magiczne kręgi na brzuchu, postanowiła darować sobie urazy.

Nie wszyscy mężczyźni są tak wrażliwi. Ten, który pozbawił ją dziewictwa, nie był.

I nagle przeszłość odpłynęła, razem z wszystkimi wątpliwościami. Wciągnęła haust powietrza, kiedy wolnym ruchem zaczął zsuwać z niej majtki. Uniosła biodra i zamkniętymi oczami szeptała coś bezgłośnie, aż zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem. W gorączkowym podnieceniu dotykała go wszędzie, gdziekolwiek mogła sięgnąć ręką, przebiegała palcami paciorki kręgosłupa, gładziła biodra i pośladki, żałując, że nie ma odwagi dotknąć go w najwrażliwszym miejscu.

Stłumiony dźwięk - ni to jęk rozkoszy, ni lament - wydobył się z jej ust.

Carson wsparł się na łokciu. To była ostatnia próba myślenia. Wsunął palce między jej zaciśnięte uda, nie odrywając wzroku od twarzy - jak gdyby szukał w jej oczach śladu wątpliwości.

Siłą woli powstrzymała się od wybełkotania słów, których on na pewno nie chciał usłyszeć. Nawet jeśli nie była przekonana o tym wcześniej, to teraz wiedziała, że nigdy nie miałyby go dosyć. Jego bliskości, jego pieszczot - tego, jak starał się ją chronić, nawet kiedy podejrzewała, że nie mógł się doczekać chwili, w której pozbędzie się jej i jej problemów.

Albo to była miłość, albo coś niebezpiecznie podobnego.

I jeśli ten jeden raz miał być wszystkim, co mogła od niego dostać, chciała tego, a potem mogła żyć wspomnieniami.

- Kit? Gdzie jesteś, kochanie? Nie znikaj mi teraz.

- Jestem tutaj.

- Jeśli tego nie chcesz, powiedz. Przeżyję. Trochę potrwa, zanim się pozbieram, ale przeżyję.

Czy nie chciała? Czy Carson nie widział, co się z nią dzieje?

- Masz coś? - spytała z wymuszonym luzem.

- Co?

- No wiesz - kondom. - Boże, kobieto, tylko nie spiecz raka!

Opadł na poduszkę i przez moment myślała, że się śmieje. Ale wstał z łóżka, wyjął ze spodni portfel i po kilku sekundach był z powrotem.

- Kochanie, nie chcę cię popędzać, ale...

- Dalej, popędź mnie. - Otworzyła ramiona i roześmiała się, z lekką nutą hysterii w głosie.

Ułożył się nad nią, wsparty na rękach, znów szukając jej oczu, jak gdyby domagał się potwierdzenia, że nie zmieniła zdania. Za żadne skarby świata, chciała powiedzieć, ale miała dość rozumu, żeby ugryźć się w język.

- Jestem tak... wygłodniały, że trochę się boję, że zrobię ci krzywdę. Miałem... długą przerwę.

- Ja też. - Jakby na dowód tej deklaracji, przyciągnęła go i zachłannie objęła ramionami.

Musiła zacisnąć zęby, żeby nie wykrzyczeć własnego dzikiego głodu, kiedy rozsunawszy jej uda, ułożył się między nimi i na chwilę zamarł w bezruchu. To było silniejsze od niej: wśliznęła rękę między ich ciała i dotknęła go. Jakby poraził ją piorun, kiedy zamknęła w dłoni gorącą stal powleczoną aksamitem.

Wyrwała rękę i nagle poczuła go. Dlaczego się wahał? Ona była bliska eksplozji. Niepojęte - myślała, że tylko mężczyznom zdarza się falstart...

I wtedy wbił się w nią, nie zdołała stłumić krzyku. Kolory - widziała to w kolorach, pulsującą tęczę tysiącrotnie powiększoną. Gorączkowo szukała słów, które by to opisały. W końcu była pisarką, a słowa były jej narzędziem.

Jak dobrze...

Zaczął się poruszać, i było jeszcze lepiej. Była tak doskonale świadoma każdego milimetra swojego ciała - i jego ciała.

Miał zamknięte oczy, stężale rysy twarzy. Drżały mu ramiona i wyczuwała, że walczy z nieuniknionym. Ona nie chciała walczyć, chciała, żeby to się stało. Żeby przetoczyło się po niej jak ogromna, fosforyzująca fala.

Z zaciśniętymi zębami uderzał mocniej, szybciej. Chyba wymówił jej imię, ale wtedy pęta rozkoszy zaczęły się wokół niej zacieśniać, unosić ją w powietrze, rozdzierać na strzępy. Chór aniołów mógłby wykrzykiwać jej imię i też by nie usłyszała. Próbowwała uchwycić się jego ramion, ale ręce ześlizgiwały się z mokrej od potu

skóry. Próbowala wychodzić naprzeciw jego pchnięciom, ale było za późno, bo już tonęła, tonęła...

Gdzieś w głębi jej głowy jakiś głos szeptał ostrzeżenie, ale była daleko poza zasięgiem. Całe lata świetlne. W objęciach mężczyzny, którego kochała - mężczyzny, który musiał do niej czuć coś więcej niż czyste pożądanie, bo los nie mógł być aż tak okrutny. Kit zasnęła. I śniła.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ledwie świtało, kiedy Carson się obudził. Wstał natychmiast i sprawdził, czy ma naładowaną komórkę. Za wcześnie było, żeby dzwonić do domu, ale mógł najpierw wziąć prysznic, ubrać się i sprawdzić, czy w maszynach jest coś, czym można by wypełnić pusty żołądek.

Był przy drzwiach, kiedy dziesięć minut później Kit zaczęła się wiercić w łóżku. Odwrócił się i spojrzął na kobietę, która znaczyła dla niego zbyt wiele, a pojawiła się w momencie, w którym nie było miejsca w jego życiu dla innej kobiety. Tak bardzo nie chciał jej opuszczać. Ale człowiek musi robić to, co musi. Kto to powiedział? Oczywiście jakiś wybitny racjonalista.

Kilka minut później siedział w swoim samochodzie, sącząc jakiś paskudny napój o smaku landrynkowo-pomarańczowym, i wystukiwał numer, którego nie miał w spisie telefonów swojej komórki.

- Moose? Tu Beckett. Przepraszam, że... - Słuchał przez moment, potem wyklepał litanie. - Tak, też to złapałem, dzięki Macowi. Ale nie było tragicznie. Jutro wracam, w bojowej formie. Posłuchaj, chcę, żebyś mi sprawdził jednego faceta. Jestem w Karolinie Północnej, w... - Spojrzął na mapę samochodową i podał dokładne miejsce. - Szeryf i dwaj zastępcy. Interesuje mnie jeden z zastępców, nazywa się Junius Mooney. Tak, jakiś szczaw. Nie wiem, skąd się wziął, i wołałbym tu za bardzo nie węszyć, sam rozumiesz.

Następny numer wybrał automatycznie, spoglądając na drzwi pawilonu numer osiem. Żadnych oznak aktywności. Potrzebowała snu. On też wolał, żeby jeszcze pospała.

- Cześć, tato. Jak się czuje mama? Nie, nie wróciłem jeszcze do domu. Wciąż jestem w Karolinie Północnej. Chciałem się tylko dowiedzieć... Nie, nie mam żadnych wiadomości od Margaret... - urwał i słuchał posłusznie co najmniej przez minutę. Potem obiecał, że się znów odezwie i powie rodzicom, jakie ma plany.

I to był problem. Wiedział tylko, że nie może zostawić Kit samej. W ogóle nie mógł jej zostawić, dopóki sprawa morderstwa nie zostanie wyjaśniona. Nie miał formalnych ani żadnych innych zobowiązań, ale dopóki była, zagrożona, nie mógł jej opuścić.

Kit otworzyła oczy i wpatrując się w sufit, próbowała ogarnąć myślą wydarzenia ostatnich dni. Gdyby miała opisać swój stan ducha, najbardziej przejmujące było uczucie... pełni. I pustki, jakby coś, co krótko miała, zostało jej odebrane.

Poruszyła obolałymi stopami, potem usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na otwarte drzwi łazienki.

- Carson? - Usiłując zachować spokój, myśleć logicznie, mruknęła głośno: - Weź głęboki oddech. Zapomnij o wszystkim, to koniec, rozumiesz? Czas ruszyć w drogę.

Nie pomogło. A niech to! Nie chciała ruszać w żadną drogę! Nie sama. Wstała raptownie i wtedy zobaczyła stojącą koło telefonu butelkę jakiegoś napoju, opakowane ciastko i paczkę kukurydzianych chipsów. I kartkę. Przebiegła wzrokiem kilka pierwszych linijek. „Jest

6.47, Śpiąca Królowno. Wracam za kilka godzin z zakupami: ubraniami i jakimś prawdziwym jedzeniem. Zapisz w punktach wszystko, co pamiętasz w wiadomej sprawie, wszystko inne, co chcesz zapisać, zrób listę rzeczy, które straciłaś w pożarze". Innymi słowami, przetłumaczyła, żeby nie panikować, zajmij się czymś konkretnym.

Przeczytała ostatnie, nagryzmołone w pośpiechu zdanie. „Może byś zadzwoniła do swojej rodzinki i dała im znać, gdzie jesteś". Podpisał się C.B. Żadnych całusów, żadnego „pozdrawiam" - nic. Tylko cholerne inicjały.

Zaczęła popłakiwać dopiero pod prysznicem, ale na szczęście nie zachłysnęła się wodą i nie utopiła. Kiedy zawijała się w skąpy ręcznik kąpielowy, czuła się nieco lepiej.

Listy? Chciał, żeby zrobiła listy? Rejestr faktów?

W porządku. Mogła zacząć od tego, że jest w motelu, za który nie może zapłacić, nie ma dokąd jechać, gdyby się stąd wyprowadziła, nie miałyby jak pojechać, nawet gdyby miała dokąd. Miała przy sobie dziesięć dolarów, grzebień, prawo jazdy, dowód ubezpieczenia i długopis. Więc mogła zrobić listę, ale czego? Swoich perspektyw? Swoich doczesnych dóbr?

Ha! Byłaby to niedługa lista.

Ale najgorsze było to, że kompletnie odjęło jej rozum i zakochała się w mężczyźnie, który był zaręczony z inną kobietą, miał chorą matkę, która go potrzebowała. Napisał jej na kartce, że wróci,

tylko niby po co miałyby to zrobić? Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań.

Kit bawiła się długopisem i gapiała na pustą kartkę wyrwaną z hotelowego notesu. Gdyby musiała zadzwonić do dziadka, to trudno. Lepsze to niż autostop. Mogłaby zadzwonić do Jeffa, ale on naprawdę nie mógł zostawić pracy, zresztą Gilbert's Point było ostatnim miejscem, do którego chciałyby teraz jechać.

W swojej jedynej sukience, z wilgotnymi włosami zaplecionymi byle jak w warkocz, siedziała bezwładnie w fotelu, kiedy zaskrzypiały drzwi. Zaczęła swoją listę od narysowania wielkiej, tłustej jedyńki i kilku ozdobnych bazgrołów.

Bazgrolenie. Twórczy umysł przy pracy.

- Dlaczego nie zapięłaś łańcucha?

- Drzwi były zamknięte na klucz. Gdzie byłeś? Myślałam, że nie wrócisz!

- Masz pojęcie, jak łatwo jest się dostać do takiego pokoju? -

Cisnął na łóżko kilka toreb, a jedną ostrożnie postawił na stoliku, przy którym siedziała Kit.

- Łańcuch też niewiele daje. Wystarczy jedno silne pchnięcie i drzwi wylatują z zawiasami. Kupiłem coś na śniadanie.

- Zjadłam wszystkie chipsy i dalej umieram z głodu. Twórczy ludzie spalają kalorie, myśląc.

- Jasne.

Wyjęła z torby kawę w zamkniętym kubku, tłustego zapiekanego sandwicza i pocukrzoną drożdżówkę z rodzynekami.

- Och, jestem w niebie - westchnęła, łapczywie odwijając z papieru drożdżówkę.

Dopiero gdy pierwszy kęs rozpuścił jej się w ustach, zauważyła, że Carson ma na sobie nowe dżinsy i koszulę, i te same kowbojskie buty, tyle że oczyszczone z błota.

- Jeździsz konno? - zapytała, zlizując z dłoni cukier.

- Tak, kiedyś jeździłem. Dawno temu. Te buciory noszę dla szpanu.

- Aha. Nie znam mniej szpanującego faceta od ciebie. Nie używasz nawet wody kolońskiej,

- Bo jestem gliniarzem. Ciężko jest tropić bandziorów, jeśli cię wyczuwają na kilometr.

A już myślała, że nigdy więcej się nie roześmieje. Z wyrównanym poziomem cukru we krwi mogłaby podbić świat.

- Jak skończysz jeść, może przymierzysz to, co ci kupiłem? Wszystko można wymienić. Chciałem tylko, żebyś miała w czym pojechać po resztę rzeczy, które będą ci potrzebne na kilka następnych dni.

- O, wybieram się na zakupy? - Jej uśmiech był równie autentyczny jak pierścionek z diamentem za dwa dolary. Przestań. Przestań natychmiast. On próbuje zachować się przyzwoicie, a ty zgrywasz się na jakąś zepsutą smarkulę!

Carson usiadł na brzegu łóżka.

- Najpierw zjedz sandwicza - powiedział spokojnie.

Później przymierzysz ciuchy, a potem porozmawiamy. I razem pojedziemy na zakupy.

Nim zdążył wydać następne rozkazy, zadzwoniła jego komórka.

- Tak, Moose? Masz coś dla mnie?

Moose? Próbowala nie podsłuchiwać, naprawdę próbowała.

Zresztą Carson głównie słuchał, czasami odpowiadał coś monosylabami. W połowie rozmowy pochylił się i zaczął notować coś na jej kartce.

Usiłowała sobie przypomnieć, co na niej było. Tłusta jedynka i mnóstwo bazgrołów. Nic kompromitującego, dzięki Bogu. Żadnych serduszek ani kwiatków, z inicjałami C.B. splecionymi z K.D.

- Dzięki, stary. - Wyprostował się, zauważywszy, że Kit zapuściła oko w jego notatki. - Jestem twoim dłużnikiem. Co? Chyba w przyszłym tygodniu, więc zacznij odklejać tyłek od mojego krzesła.

Rozłączył się i odłożył na bok telefon.

- Kupiłem sobie krzesło ergonomiczne, kiedy miałem kłopoty z kręgosłupem. Teraz wszyscy chłopcy z mojego wydziału chcą mieć identyczne.

Palce Kit skradały się do notesu. Zobaczyła wystarczająco dużo, żeby przypomnieć sobie, co tam nagryzmoła. Parę sandałów na wysokich obcasach wrysowanych w parę kowbojskich butów.

Ja umrę. Ucieknę stąd gdzieś i umrę, a on zanim wróci do Charleston, zapomni, jak miałam na imię.

- Okej, możemy teraz porozmawiać?

- Musimy? - Przełknęła gulę w gardle i odłożyła niedojedzonego sandwicza.

- Myślałem, że czekasz na odpowiedź na kilka pytań.

- Zależy których.

- Na przykład: kto zabił Tanka Hubble' a i dlaczego? Kto podpalił twój dom i dlaczego? Tego się na pewno domyślasz.

- Żeby mnie przestraszyć.

Wolał jej nie uzmysławiać, jak poważna mogła być próba zamachu na jej życie. Nie po tym, co się stało z biednym Tankiem. Carson sam nie wiedział, jak daleko ci dranie mogli się posunąć, ale zdarzało się, że nawet najdurniejszym bandziorem uchodziły na sucho morderstwa.

Jak okazało się w tym konkretnym przypadku, dochodzeniówka wewnętrzna zaczęła osaczać tego drania, zastępcę szeryfa, na krótko przed dniem, w którym Kit zobaczyła jego pikapa i wpadła w panikę. Zdążył się jednak pozbyć jednego świadka i podjąć dwie nieudane próby uciszenia drugiego.

- Wychodzi na to, że trafiłaś w dziesiątkę. Mooney był pod obserwacją, odkąd zaczęły wychodzić na jaw różne szwindle, głównie zaginięcia dowodów przestępstw. Narkotyków i broni zdobytych podczas akcji. Trzymanych pod kluczem.

Kit wzięła duży łyk kawy i zmarszczyła nos. Bez śladu makijażu, z podkrążonymi oczami, włosami w nieładzie i całą resztą wydawała mu się piękną.

- Kit, Kit... - powiedział miękko. Stał nad nią, wyjął z jej ręki kubek i podniósł ją z fotela. - Co ja mam z tobą zrobić? - wyszeptał.

Ledwie oddychała - ale on też miał z tym kłopot. Choć serce waliło mu jak młotem, najwyraźniej zapomniał o oddychaniu. Uniosła twarz, tak naturalnie jak słonecznik zwraca się do słońca, i spotkali się w pół drogi. Rozchyliła pachnące kawą usta i objęła go w pasie.

- Miałaś coś przymierzyć, skarbie - wyszeptał, kiedy drżącymi rękami wyszarpała zza paska jego koszulę.

Ale ani on, ani ona nie myśleli poważnie o przymierzaniu czegokolwiek w najbliższej przyszłości. Na pewno nie ubrań.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wyjaśniwszy Kit szczegóły wewnętrznego dochodzenia policyjnego, Carson zadzwonił do miejscowego szeryfa, żeby zostawić mu numer, pod którym on i Kit będą dostępni, gdyby zaistniała taka potrzeba. O nic go nie zapytała. Rzuciła mu spojrzenie, którego nie był w stanie rozszyfrować.

Potem pojechali po zakupy. Chodzenie po sklepach nigdy nie sprawiało mu szczególnej przyjemności, chyba że był to sklep ze sprzętem wędkarskim. Zakupy z kobietą należały do zupełnie innej kategorii.

Nie przypuszczał, że będzie miał tyle powodów do śmiechu, choć nie obyło się bez kilku drobnych sprzeczek. Upierał się, żeby kupić jej granatowe dżinsy i białą sportową koszulę.

- Dno, dno, dno! Czy mogę sobie chociaż wybrać mydło, pastę do zębów i kilka innych drobiazgów?

- Ależ bardzo proszę - odpowiedział wielkodusznie, czując się, jak gdyby wypił o jeden kieliszek szampana za dużo. - Spotykamy się w tym miejscu za ile - dziesięć minut? - To miejsce było działem przecenionych książek, w którym Kit przejrzała wszystkie półki z książkami dla dzieci, po czym westchnęła ciężko, ale nic nie powiedziała.

Wróciła po trzydziestu pięciu minutach i z dumą pokazała mu czerwone sandały, fioletowe skarpetki i odpustowe kolczyki długości jej szyi.

- Kupiłam je za własne pieniądze - oświadczyła -więc nic nie mów. Potrzebowałam czegoś na rozweselenie.

Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się. To była cała Kit. Jego Kit, bez względu na to, czy miała tego świadomość, czy nie. Zaczynał pojmować, jak to z nią jest. Im bardziej niepewnie się czuła, tym bardziej ekscentrycznie się zachowywała. Każdy normalny człowiek, myślał sobie, ma jakiś mechanizm obronny. On też.

- Okej, co dalej? - spytała, zanim wsiedli do samochodu. - Dokąd jedziemy?

Otworzył drzwi, zastanawiając się, jak to najlepiej wyrazić słowami. To, co dla niej było katastrofą, dla niego okazało się uśmiechem losu. Może robił się sentymentalny, ale pojawienie się w jego życiu Kit było jak znalezienie czterolistnej koniczyny. Wątpił tylko, czy ona gotowa jest to usłyszeć, więc postanowił jej nie peszyć.

- Kit, chciałbym, żebyś się zgodziła pojechać do mnie. - Kiedy zaczęła protestować, wziął ją za rękę. - Zaczekaj. Wysłuchaj mnie do końca, zanim coś powiesz.

- Słucham... - Skrzyżowała ręce i czekała. Tupiąc lewą nogą.

Czy to była ta sama kobieta, która zatracala się w jego ramionach zaledwie kilka godzin temu?

- Kit, wiem, że to może za szybko... to znaczy za wcześnie. Dla nas. - Spokojnie, Beckett. Spokojnie. -Ale przyznasz, że jest w tym coś szalonego, od samego początku.

- To na pewno.

Był gliniarzem po ciężkich przejściach, ze zbyt dużą przewagą lat na karku, i jakoś trudno mu się było zdobyć na zdradzanie swoich uczuć. Były zbyt świeże. I przerażały go samego, a nigdy nie uważał się za tchórza.

- Okej, więc tak... Chciałbym, żebyś pojechała ze mną jako moja narzeczona. Poczekaj, poczekaj. Nic nie mów. Możemy się pobrać, jak tylko zdobędziesz jakąś suknię - coś ekstra, z welonem - może w staromodnym stylu. Margaret mogłaby ci pokazać kilka sklepów. A potem.

- Margaret? Twoja Margaret?

- Ona nie jest moją Margaret - w każdym razie nie w takim sensie, o jakim myślisz. Nigdy nie byliśmy zakochani, to w ogóle niemożliwe, zbyt dobrze się znamy. Ale byliśmy gotowi wziąć ten ślub dla dobra mojej mamy. Bo oboje ją kochamy, a to sprawiłoby jej radość. - Przeczesując palcami włosy, Carson spojrzał bezradnie w niebo. - Okej, może nie jest to odpowiednie miejsce na oświadczyzny. Chciałem po prostu, żebyś wiedziała, że masz inne wyjście... że nie musisz dzwonić do sędziego.

Prychnęła. Trudno byłoby to inaczej nazwać. Nie wiedział, czy to reakcja na jego mało finezyjne oświadczyzny, czy na samo wspomnienie o jej dziadku.

- Mówisz o małżeństwie z rozsądku.

- Tak?

- A czym innym miałoby ono być?

- Legalnym związkiem. A co do reszty, można by chyba negocjować. - Miał wrażenie, że się zapędził w ślepią uliczkę, ale nie był pewien, w którym momencie obrał zły kierunek. Do diabła z tym.

- No dobrze, umówmy się po prostu, że ja potrzebuję ciebie, a ty potrzebujesz...

- Nie, nie potrzebuję - wycedziła.

- Ależ tak, skarbie. Choć nie tak bardzo, jak ja potrzebuję ciebie, i jeśli chcesz znać prawdę, nie chodzi tylko o to, że mojej mamie marzy się jakiś ślub. Więc pomyślałem, że może gdybyśmy zaczęli powoli, zobaczyli, jak się rozwinie sytuacja... - to znaczy wzięli ten ślub i tak dalej, ale w moim domu są dwie sypialnie. Możesz się urządzić w jednej z nich, kupię ci komputer, materiały plastyczne i wszystko, czego potrzebujesz, żeby...

- Carson?

- ... odtworzyć swoje prace i może szybciej pisać...

- Carson?

- Tak czy inaczej, ja będę najczęściej w pracy, więc miałabyś, dom dla siebie. Byłoby miło, gdybyś wpadła co kilka dni do mojej mamy, ale to zależy od ciebie.

- Carson!

- Tak...? - Dopiero teraz dostrzegł niebezpieczne błyski w jej oczach. - Przepraszam, może rzeczywiście dokończymy tę rozmowę gdzie indziej.

- Może w naszym pokoju?

W naszym pokoju. W naszym pokoju?

Bez słowa wsiedli do samochodu. Carson uruchomił silnik, przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się. Zaciągnął ręczny hamulec.

- Posłuchaj, powinienem być wobec ciebie szczery. To nie fair; że proszę cię, żebyś poszła na coś takiego, nie wiedząc, jak wygląda sprawa.

Patrzyła na niego, jak gdyby był interesującym okazem karalucha, a ona nie mogła się zdecydować, czy go rozdeptać, czy darować mu życie.

- Słucham.

No, stary. Koniec pieśni.

- Ja... nigdy tego nie robiłem, więc mogę wszystko spieprzyć.

- Czego nigdy nie robiłeś? Nie zatamowałeś ruchu na środku zatłoczonego parkingu?

Dopiero teraz usłyszał wściekłe trąbienie stojących za nimi samochodów.

- Poczekaj chwilę - warknął i zaparkował dalej, w pierwszym bezpiecznym miejscu, obok ekspozycji sprzętu ogrodniczego. Zgasił silnik i odwrócił się twarzą do niej.

- Okej, więc sprawa wygląda tak. Myślę, że się w tobie zakochałem. Jeśli cię to przeraża, obiecuję, że nigdy więcej o tym nie wspomnę, ale...

- Carson.

- ...ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, wchodząc w coś, co ci się nie podoba. To znaczy, bardzo cię lubię, to też. Lubię i szanuję...

- Carson?
- Więc moglibyśmy zacząć jako przyjaciele, a potem kto wie.
- Carson! - wrzasnęła.
- Co! - odwrzasnął.
- Zamknij się. Mógłbyś mnie pocałować?

RS

EPILOG

Zdecydowali się na ślub w porze przedpołudniowej, bo Kate Beckett wcześniej opadała z sił. Gdy Kit zapytała nieśmiało, czy ceremonia mogłaby się odbyć w ogrodzie, Kate klasnęła z zachwytu. Potem kobiety wspólnie ułożyły listę gości. Margaret wynajęła stoły i własnoręcznie wypisała zaproszenia. Ciotka Becky zajęła się sprowadzeniem pastora, muzyką i jedzeniem. Wszystko odbywało się w pośpiechu, ale każdy, kto ich znał, rozumiał.

Kuzynka Kit, Liza, która lada dzień spodziewała się dziecka, siedziała z uniesionymi nogami i karmiła Kit szczegółową wiedzą na temat rodziny, której miała stać się częścią. Kit spędzała większość czasu w mieście, podczas gdy Carson pracował dzień i noc, próbując nadrobić zaległości.

- Masz pojęcie? - śmiała się Liza. —Nie mogę za nic ręczyć, ale jeśli połowa z tego jest prawdą, Papaja, który zmarł niedawno, był w jednej trzeciej geniuszem finansowym, a w dwóch trzecich niezłym draniem. Swoją drogą, powiedz mi, Kit, co ty wiesz o przodkach Chandlerów?

Kit potrząsnęła głową. Łuskała do miski groszek. Nikt z Beckettów nie zdradzał szczególnych skłonności do pośpiechu, ale też nikt, poza Lizą, nie siedział z założonymi rękami. Cała rodzina sprawiała wrażenie sprawnie funkcjonującego organizmu. Kit wydało się to dość miłe, choć wymagało czasu, żeby się z tym oswoić.

- Więc powiem ci, że nasza babcia - nie, ona była naszą prababcią - była prawdziwym kowbojem w spódnicy. Mówi się, że była prawie tak potężna jak jej mąż, umiała jeździć konno i położyć na łopatkę każdego faceta na ranczu.

- Drogie panie, zapraszamy do środka! - ktoś zawołał. - Pora na lemoniadę.

I tak to wyglądało. Kit została przyjęta w rodzinie z otwartymi ramionami. Matka Carsona, która była uosobieniem dobroci i wydawało się, że cierpi jedynie na lekką dezorientację, wciąż pokazywała jej swoje albumy z wycinankami. Nazywała ją Emaline, czasami Abigail, ale to nie był żaden problem.

Mąż Lizy, Lance, który zajmował się ściganiem piratów, nazywał ją Kit Carson i opowiedział jej, jak to na kilku małych przybrzeżnych wyspach, na których przetrwało tylko kilka nazwisk, dla uniknięcia pomyłek zamężne kobiety były nazywane dwoma imionami: własnym i męża.

Zanim weszły do środka na lemoniadę, przyjechał Carson, podszedł do niej cichutko od tyłu i mocno ją objął.

- Tęskniłaś za mną? - wyszeptał.

- Dowiaduję się ciekawych historii.

- Oho, tego się obawiałem. Cześć, Lizo, czy Lance ma szansę zdążyć na nasz ślub?

- Wraca dziś wieczorem. Powiedziałam mu, że nie wyjedzie już nigdzie przed moim porodem, więc jeśli potrzebujesz towarzystwa na swój miodowy miesiąc...

- Nie, dziękuję.

Ojciec Carsona, trzymający za rękę swoją żonę, spotkał się z nimi przy tylnych drzwiach. Kate rozpromieniła się na widok syna i przywitała go słowami:

- Nie przypominam sobie twojego imienia, ale ciasto Lady Baltimore jest na kredensie. - Zasepiła się i jej ukochany Lancelot, trzeci z długiej linii Lancelotów, wprowadził ją z powrotem do środka.

- Twój dziadkowie będą tu późnym wieczorem. - Carson zwrócił się do Kit. - Zatrzymają się u ciotki Becky i wuja Coleya.

Kit przewróciła oczami i roześmiała się.

- Hej, nie bój się. Ciotka Becky kompletnie oczaruje Żelaznego Dixona. Poczekaj, sama zobaczysz.

- Dziękuję, nie. Zamierzam być bardzo zajęta, począwszy od jedenastej jutrzejszego dnia.

Na jedenastą zaplanowany był ślub, z uroczystym lunchem w ogrodzie. Potem państwo młodzi mieli się wymknąć do domku Carsona na wyspie Kiawah.

- Wracamy do domu? - spytał tymczasem. Chciała powiedzieć, że jest już w domu, bo tak się czuła. Wszyscy byli dla niej serdeczni, a ojciec Carsona przy pierwszym spotkaniu oświadczył, że jest dla niego córką, na jaką czekał.

Nawet Margaret ją zaakceptowała.

- Boże, bardziej do niego pasujesz niż ja. Widziałaś ten jego dom? - Roześmiała się. - Jasne, że tak. Urządziliście sobie tam

prawdziwą kwarantannę. Namów go, żeby złamał biel ścian jakimś kolorem. Czysta biel jest taka... no wiesz, surowa.

- Jutro - szepnął Carson, kiedy pół godziny później prowadził Kit ku wyjściu, zagadując po drodze przyjaciół, sąsiadów i rodzinę. To była obietnica, skinęła więc głową, wsuwając palce w jego ciepłą, mocną dłoń.

Jutro i wszystkie jutra, które miały nadejść.

RS

Jessica Steel

Zareczyny na niby

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie jest łatwo prowadzić samochód, gdy w głowie kłębią się myśli - trudne, przeczące sobie nawzajem, w dodatku nie najweselsze. Długą podróż z lotniska Heathrow do północnej Walii Varnie odbywała w tym stanie ducha. Na domiar złego popsła się pogoda. Na szosę opadła mgła. Zapadał iście listopadowy wieczór - szary, mokry, smętny. W sam raz, by człowiek poczuł się jeszcze gorzej. Varnie liczyła na dotarcie do Aldwyn House w Denbigshire w rekordowym czasie, lecz zła widoczność przekreśliła te nadzieje. Szybka jazda w takich warunkach byłaby czystym szaleństwem.

Opuszczając lotnisko, Varnie nie zamierzała wcale jechać do Walii. W pierwszej chwili, bez zastanowienia, ruszyła w drogę powrotną do rodzinnego domu pod Cheltenham. Jechała już godzinę, gdy nagle się zawahała. Rodzice byli przepracowani. Życie zafundowało im masę stresów i napięć, a teraz, gdy przeszli wreszcie na emeryturę i zaczęli wypływać na spokojniejsze wody, naprawdę nie należało przysparzać im zmartwień.

Ostatnimi czasy mieli aż nadto powodów do niepokoju, począwszy od wypadku samochodowego, któremu uległ jej brat, a skończywszy na kłopotach zdrowotnych ojca... Skoczyło mu ciśnienie... A Johnny... szczerze mówiąc, zawsze był o krok od jakiegoś nieszczęścia. Tym razem, choć rozbił samochód, wyszedł z katastrofy bez szwanku, ale i tak wszyscy martwili się o niego. No i jeszcze ta sprawa z hotelem rodziców. Zaczął przynosić straty i musieli podjąć decyzję o sprzedaży. Zaraz potem zmarł dziadek Sutton. Los jakby się uwziął.

Jednakże, patrząc na to wszystko z jaśniejszej strony... Cóż, hotel w końcu udało się sprzedać, a Johnny - to już prawdziwy cud - choć miał dwadzieścia pięć lat i nigdy nie zagrał dłużej miejsca na żadnym stanowisku, znalazł sobie swoją niszę i zdobył stałą pracę, którą szybko polubił. Rodzice mogli więc spoglądać w przyszłość z nadzieją na spokojniejsze życie. W pełni na nic zasługiwali. A zatem - Varnie uzmysłowiła to sobie z całą ostrością - nie powinna ich martwić. Nie powinna wracać do domu, by tam lizać rany. Choćby była nawet najlepszą aktorką świata, nie umiałyby ukryć, że jest rozbita. A poza tym rodzice nie spodziewali się jej wcześniej niż za dwa tygodnie.

Błyskawicznie zmieniła kurs, wspominając z roztkliwieniem poranek. Rodzice stali uśmiechnięci na podjeździe nowego domu i machali na pożegnanie.

Uśmiechała się również, podekscytowana perspektywą spędzenia dwutygodniowych wakacji z Martinem.

Martin ciężko pracował, toteż rzadko kiedy pozwalał sobie na urlop. Teraz też zdecydował się na wspólny wyjazd tylko dlatego, że udało mu się połączyć wypoczynek ze sprawami służbowymi. Popołudnia mogliby spędzać razem, a to pozwoliłoby im poznać się bliżej. Varnie uznała to za zrządzenie losu. Rano rozsadzała ją radość, ale teraz... Daleko jej było do pogody ducha. Całe szczęście, że w skrytce samochodowej zauważyła klucze do Aldwyn House. Zostawiła je przez roztargnienie, gdy wracała stamtąd ostatnim razem.

Myślała o sobie jak najgorzej. Głupia gęś, kompletna kretyńka! Jak w ogóle mogła... Wielkie nieba! Gdyby nie zaczęło jej trochę irytować, że Martin Walker się spóźnia, leciałaby z nim teraz samolotem do Szwajcarii.

Martin prosił, żeby nie telefonowała do niego do pracy. „Mamy masę roboty, jestem wciąż gdzie indziej, więc i tak mnie nie złapiesz” - mówił. Dostosowała się do tej reguły i aż dotąd nigdy jej nie złamała. Spróbowała zatem dodzwonić się na komórkę, ale telefon był wyłączony. Co tu robić? Zniecierpliwiona kręciła się po terminalu z walizką w rękę, aż w końcu poszła kupić gazetę. Usiadła i na moment zapomniała o Martinie. Jej uwagę przykuło zdjęcie na pierwszej stronie. Przedstawiało dwóch mężczyzn, między którymi doszło do bójki.

Z podpisu wynikało, że napastnikiem był nie kto inny, jak nowy szef jej brata, Leon Beaumont. Fotograf uchwycił moment, gdy po ciosie Beaumonta uderzony człowiek zwałił się na ziemię. Okropność!

Szybko przeczytała prasowe doniesienie. Wynikało z niego, choć dziennikarz posłużył się typowym eufemizmem: „można domniemywać”, że Leon Beaumont miał romans z jedną ze swych pracownic - z boku zamieszczono zdjęcie Antonii King, bardzo efektownej brunetki - i jej mąż dowiedział się o zdradzie. Dlaczego na ziemi, trzymając się za twarz, leżał spoliczkowany Neville King, a nie Beaumont, można się było tylko domyślać. Jednakże Beaumont wyglądał groźnie i widać było, że chętnie kontynuowałby walkę.

Varnie straciła nagle zainteresowanie dla całej tej historii. Co ją mógł obchodzić jakiś furjat, choćby nawet był pracodawcą jej brata? Owszem, Johnny go uwielbiał, jednak... Oj, naprawdę... Zerknęła na zegarek i pomyślała, że jeśli w ogóle chce się dodzwonić, to czas najwyższy, żeby zacząć działać. Za dziesięć minut centralka w firmie Martina kończyła pracę. Varnie odczekała jeszcze trzy minuty, lecz Martin się nie pojawił. Miała naprawdę dość tego czekania. Na litość boską, co się dzieje... Twierdził, że co prawda wziął urlop, ale musi jeszcze... E tam! Wyjęła telefon komórkowy i wystukała numer do firmy. Wypadało tylko mieć nadzieję, że no-

wa sekretarka nie urywa się z biura dziesięć minut przed końcem pracy. Telefonistka z centrali połączyła Varnie z sekretariatem.

- Halo. - Varnie przypomniała sobie raptem imię sekretarki. - Czy rozmawiam z Becky?

- Tak, to ja - odpowiedział jej miły, dziewczęcy głos.

- Czy zastałam Martina? Może jest przypadkiem gdzieś w pobliżu?

- Oj, nie. Wyszedł dawno temu. - Varnie odczuła ulgę, lecz zanim zdążyła podziękować, powiedzieć „do widzenia” i rozłączyć się, usłyszała: - Pani Walker, tak? Czy jest już pani z dziećmi w Kenilworth? Wszystko w porządku?

-Nie... - wybąkała Varnie. - To znaczy... - Jaka znowu pani Walker? - myślała gorączkowo. Matka Martina? Ale... dzieci?

- Och, rozumiem. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Wzięła mnie pani za kogoś z rodziny Martina - powiedziała spokojnie. Pięć lat pracy w hotelu nauczyło ją maskować niepokój i szybko reagować na nieprzewidziane sytuacje.

- Proszę wybaczyć - odpowiedziała Becky. - Naprawdę przepraszam za pomyłkę, tylko że... pani Walker. .. Melanie była tutaj ze swymi pociechami w porze lunchu. Wybierała się z dziećmi do matki, miała tam zamieszkać na czas nieobecności męża.

Varnie przeżyła taki szok, że aż zaniemówiła. To, cze-

go dowiedziała się przed chwilą, dosłownie nie mieściło się jej w głowie.

- Rozumiem - wydusiła z trudem. - To znaczy... Nie, to chyba jakaś pomyłka. Martin jest żonaty?

- Oczywiście - przyznała prostodusznie Becky. - Są z Melanie taką szczęśliwą parą... Oczywiście wolałby nie zostawiać żony samej, ale praca to praca, więc...

Varnie błyskawicznie przerwała połączenie. Wyłączyła komórkę i usiadła kompletnie oszołomiona. To jakieś nieporozumienie, zupełna bzdura. Na litość boską, przecież Martin twierdził, że ją kocha, że ten wyjazd, te dwa tygodnie pozwolą im nareszcie nacieszyć się sobą. Tak czekała na ten urlop. Martin był bardzo zajęty, spotykali się jedynie wtedy, gdy bawił w Cheltenham przejazdem, załatwiając sprawy służbowe... Nocował wtedy w hoteliku Metcalfe'ów.

Rodzice szybko go polubili. Gdy powiedziała, że ten wypad ma wynagrodzić jej i Martinowi wszystkie weekendy, kiedy nie mógł wyrwać się z Londynu, życzyli jej wszystkiego najlepszego. Nie dziwiło ich wcale, że Martin jest nieustannie zajęty i pracuje nawet w soboty i niedziele. Znali tę sytuację aż nadto dobrze z własnego życia. Prowadzenie hotelu oznaczało pracę na okrągło przez siedem dni w tygodniu. Tak, wszystko to prawda, ale... do serca Varnie zaczęły się wkradać wątpliwości. Usiłowała sobie przypomnieć choćby jeden weekend,

który - mimo wszystko - zdołali spędzić razem... Nie zdarzyło się to ani razu. Dlaczego? Czy Martin rzeczywiście pracował na okrągło, czy też - jak mogłoby wynikać z tego, czego przed chwilą się dowiedziała - wolne dni spędzał z żoną i dziećmi? Dzieci?! Varnie poderwała się na równe nogi, przeszła dwa kroki i nagle spostrzegła Martina. Szedł szybko w jej stronę, uśmiechając się rozbrajająco.

- Bardzo, ale to bardzo cię przepraszam, moje ty kochanie. Okropne są te korki.. - Chciał ją objąć, lecz ostudziła go mina Varnie. - Co ci...

- Powiedz mi jasno - ucięła. - Jesteś żonaty?

Zmieszał się wyraźnie, a Varnie zrobiło się zimno. Nie wiedzieć czemu, spodziewała się błyskawicznego zaprzeczenia.

- Hej, co jest grane? - Z przekornym uśmiechem usiłował wziąć ją za rękę.

- Jesteś? - powtórzyła, nienawidząc się za to, że gdyby powiedział: „Nie”, gotowa mu była uwierzyć.

- No... Jesteśmy w separacji. - Prędko wziął się w garść. - Rozwodzimy się. Nie widziałem się z nią od bardzo dawna, ale zaraz po naszym powrocie nadam szybszy bieg całej sprawie.

Varnie poczuła, że zamienia się w bryłę lodu. Sięgnęła po walizkę.

- Żegnam cię - powiedziała. Domyślił się chyba, że

wszystko, co ewentualnie miałyby do powiedzenia, padnie w próżnię i że Varnie ma w nosie jego samego i jego kłamstwa, gdyż nawet nie usiłował jej zatrzymać.

I faktycznie, nie obchodziło jej nic, *co* mógłby powiedzieć. Czuła obrzydzenie, wstręt, mdłości. Najtrudniej było oswoić się z myślą, że tak łatwo dała się wykołować. Że również rodzice, ludzie o niebo od niej mądrzejsi i wielce doświadczeni, pozwolili się nabrać i wziąć na lep zwodniczego uroku Walkera.

Kompletnie zdruzgotana dotarła do swego samochodu. Martin żonaty?! Tak, był żonaty i... dzieciaty, a z nią... Z nią się tylko pokątnie umawiał. Ot, przelotne spotkania przy okazji służbowych wyjazdów. Ale... mieli przecież razem wyjechać! Uzgodnili to z sobą, chciała tego... Na litość boską! Zrobił z niej idiotkę, oszukał rodziców. Wróciła myślami do czasu, kiedy się poznali. Zatrzymywał się na noc w ich ładnym i stosunkowo niedrogim hoteliku. Któregoś wieczoru obsługiwała gości w barze. Podała mu drinka, zaczęli rozmawiać. Powiedział, że ma trzydzieści cztery lata, ale wciąż nie jest ustawiony i pracuje na okrągło, żeby rozkręcić własny biznes. Zwierzyła się rodzicom. Przyjęli to ze zrozumieniem. Czy w młodości nie postępowali tak samo? A teraz? Czy nie żyli podobnie? I póki hotel, dopiero niedawno, nie został wystawiony na sprzedaż i nie znalazł nabywcy, harowali dzień i noc.

Chętnych do kupna małych, prywatnych hoteli nie ma tak wielu, więc trzy miesiące później borykali się dalej z jego prowadzeniem. Martin stał się częstym gościem. Zaczął interesować się Varnie. Polubiła go. Rodzice cieszyli się, gdy czasem zatrzymywał się na dwie kolejne noce - był to zawsze jakiś dochód - a obsługę miłego gościa powierzyli córce. I tak się to wreszcie potoczyło, że Varnie i Martin zostali parą. Dzwonił do niej codziennie, zazwyczaj około trzeciej po południu, gdy zajmowała się w biurze księgowością czy wypisywaniem menu na maszynie. Bardzo się starała być w tym czasie na miejscu, chociaż od zawsze stawała do pracy, gdy ktoś z personelu zawiadamiał, że nie może przyjść na swoją zmianę, bo ma kłopoty. Oboje, i ona, i Martin byli wciąż bardzo zajęci pracą, wydawało się więc, że mimo wzajemnego zauroczenia znajomość ta pozostanie sympatią, niczym więcej.

Któregoś dnia do hotelu zadzwoniła z Aldwyn House gospościa dziadka Suttona. Powiedziała, że kiedy przyszła, leżał na podłodze w salonie, wezwała więc lekarza. Dziadek, czego należało się spodziewać, nie zgodził się na hospitalizację, toteż Varnie z matką natychmiast do niego pojechały.

Varnie poczuła ucisk w gardle, przypominając sobie ten straszny czas. Dziadek Sutton zmarł trzy dni później. Bardzo go kochała. Z najbliższej rodziny miał tyl-

ko ją. W dzieciństwie spędzała u niego wszystkie święta. Johnny też bywał często w Aldwyn House, a dziadek traktował ich na równi, chociaż Johnny był tak naprawdę jedynie jego przyszywanym wnukiem, a jej przyrodnim bratem.

Ojciec Johnny'ego był jedynym tatą, jakiego Varnie знаła. Jej rodzony zmarł, gdy była jeszcze w kołysce. Miała dwa lata, a Johnny pięć, kiedy Robert Metcalfe, jego ojciec, rozwodnik, ożenił się z jej matką. Varnie zachowała nazwisko Sutton, ale czuła się w pełni członkiem rodziny. Ojczym kochał ją jak biologiczny ojciec, którego nie pamiętała.

Gdy wrócili z Walii po pogrzebie dziadka, Martin akurat nocował w hotelu. Była wtedy bardzo przybita, więc kiedy powiedział czule, że ją kocha, ona również wyznała mu miłość... Varnie raptownie odsunęła od siebie wspomnienie czegoś, co okazało się z gruntu fałszywe, i spróbowała skupić myśli na czymś innym. Johnny... A właśnie. Johnny, jej brat, ten lekkoduch... Nie chciał mieć nic wspólnego z hotelarstwem i przy pierwszej sposobności przeniósł się do Londynu. Był bystry i gdyby kiedykolwiek skupił się na robieniu kariery, na pewno odniósłby sukces. Jednakże mimo dużych możliwości, a może właśnie dlatego, że interesowało go mnóstwo rzeczy, łatwo się zniechęcał i nadal szukał swego miejsca. Potrzebował pieniędzy, oczywi-

ście, podejmował więc rozmaite prace, ostatnio urzędnicze, lecz wytrzymywał na posadzie krótko, dopóki nie dopieкла mu nuda.

- Wywalili mnie - stwierdził lekko, gdy ostatnio stracił pracę dosłownie z dnia na dzień.

- Tak mi przykro - odpowiedziała, patrząc na niego ze współczuciem.

- A mnie wcale - roześmiał się. - Wielka mi sprawa.

Och, Johnny, Johnny... Varnie uśmiechnęła się czule na myśl o bracie. Mgła gęstniała coraz bardziej i jazda stała się naprawdę niebezpieczna. A Johnny... Wyglądało na to, że i jej, i rodzicom przyjdzie martwić się o niego do końca życia. Miał jakąś szczególną skłonność do wpadania w tarapaty. Och, jak żywo pamiętała ten dzień, gdy rozbił samochód. Wszyscy troje pędzili do Londynu, przerażeni, z niepokojem, pełni najgorszych przeczuc. Na miejscu dowiedzieli się, że właśnie wypisał się ze szpitala i... poszedł na piwo. Czasami Varnie dochodziła do wniosku, że Johnny jest przybyszem z innej planety.

Po sprzedaży hotelu, spłacie domu i załatwieniu wszelkich zobowiązań finansowych okazało się, że rodzice dysponują jeszcze sporym kapitałem. Przeznaczyli więc dla Johnny'ego pewną sumkę, którą natychmiast spożytkował, organizując sobie miesięczny wyjazd do przyjaciół w Australii. Krótko potem obwieścił rodzi-

nie, że znalazł pracę, jakiej, jak twierdził, szukał od lat. „To coś wymarzonego dla mnie... Och, Varnie, mówię ci...” Praca miała polegać na asystowaniu w podróżach służbowych pewnemu biznesmenowi nazwiskiem Beaumont. Ów wspomniały, zdaniem Johnny'ego, szef przebywał często poza biurem, odbywając podróże po Wielkiej Brytanii i świecie. Johnny'emu tak bardzo zależało na otrzymaniu i zachowaniu tego stanowiska, że gotów był odwołać wyjazd do Australii. Nie musiał jednak z niczego rezygnować, gdyż Beaumont zgodził się na niego poczekać. Tak się bowiem składało, że australijskie wakacje przyszłego asystenta wpasowały się w czas jego własnego urlopu. Johnny wyruszył więc dzisiaj do Australii. Wyleciał z Heathrow na parę godzin przed fiaskiem, jakim zakończyły się jej marzenia o podróży z Martinem. Ech... Nie chciało się jej nawet wspominać sceny z lotniska. Pomyślała o ojczymie, który zabezpieczył ją finansowo, i o dziadku, który zapisał jej w spadku Aldwyn House. Zdawała sobie jednak sprawę, że mimo najlepszych chęci nie będzie w stanie utrzymać dużej posiadłości. Oczywiście mogła ją sprzedać, i to za sporą sumę. Na razie nie była jednak bogata, choć mogła sobie pozwolić, by opłacić przelot do Szwajcarii. Szkoda, bo Martin Walker powinien się szarpnąć na jej bilet, z pewnością było go na to stać. Hm, chociaż właściwie w ogóle nie wystąpił z taką propozycją.

Zdecydowanie się na wyjazd z nim nie przyszło łatwo. Nigdy dotąd nie podróżowała z mężczyzną, który się jej podobał. Jednakże w całym tym zamęcie, jaki przeżywali, i po stracie dziadka, zatęskniła za odrobiną luzu. I, o czym nie należało zapominać, kochała Martina.

Czyżby? Czy kochała go naprawdę? Do licha, chyba tak! Czy nie zastanawiała się nawet nad podjęciem jakiejś pracy w Londynie, byle tylko być bliżej niego i móc się z nim częściej widywać? A teraz... co czuła? Przede wszystkim złość. Wściekłość, że na świecie są tacy faceci. Czuła się wykiwana, wbita w ziemię. Nie była z natury depresyjna, a jednak przeżywała coś w rodzaju wewnętrznej odrętwienia i zastanawiała się, czy nie jest to przypadkiem zapowiedź wielkiego bólu, który owładnie nią, gdy minie szok.

Poczuła nagle piasek pod powiekami. Tak długo już wycężyła wzrok, przebijając się przez mgłę, że bolały ją oczy. Przy pierwszej sposobności zatrzymała się, wyłączyła silnik i weszła na kawę do przydrożnego baru. Okazało się, że nie była jedynym kierowcą, który miał ochotę odpocząć w tych iście szatańskich warunkach pogodowych. Stanęła w kolejce, a kiedy wreszcie dostała kawę, znalazła wolne miejsce i postanowiła się nie spieszyć. Jeśli ta mgła spowijała cały kraj, jazda karkołomnymi górskimi drogami byłaby koszmarem. W końcu jednak, widząc, że do baru wciąż napływają nowi utru-

dzeni ludzie, zwolniła miejsce i poszła posiedzieć w samochodzie. Cieszyło ją nawet, że znów, zamiast odrętwienia, ogarnia ją złość.

- Mężczyźni! - parsknęła, choć musiała natychmiast skorygować swoją wzgardliwą opinię. Dziadek był samą słodyczą, ojczym okazał jej wielkie serce, traktował ją jak rodzoną córkę, a Johnny... Johnny co prawda pakował się ciągle w jakieś tarapaty, ale był z gruntu uczciwy, czego niestety nie można było powiedzieć o Martinie. Czy to uczciwe mówić kobiecie, że się ją kocha, a jednocześnie być żonatym? Miał nawet dzieci! Mężczyźni... Takich jak Walker były tysiące. A ten niejaki Beaumont... Zwykła świnią. Nie obchodziłoby jej to ani trochę, gdyby Johnny nie miał u niego pracować. Czy ten świetlany szefunio wywołał skandal i doprowadził do rozwodu tylko jeden raz, czy też może za jego przyczyną rozpadło się już niejedno małżeństwo?

Varnie przyłapała się na tym, że, nie wiedząc czemu, ciągle wraca myślą do osoby Beaumonta. Było to dziwne, gdyż póki nie zobaczyła go dziś na zdjęciu w gazecie, nie miała pojęcia, jak wygląda człowiek, który tak zachwyił jej brata. Johnny twierdził, że jest kawalerem. Bogaty, przystojny i... kawaler. Powiedzmy, pomyślała złośliwie. Nie wierzyła już w kawalerów po trzydziestce, a ten cały Beaumont wyglądał na starszego od Martina zaledwie o rok czy dwa. Jednakże, o ile Walker dopie-

ro usiłował rozkręcić biznes - jeśli w ogóle to, co mówił, było prawdą - Leon Beaumont, szef międzynarodowej firmy telekomunikacyjnej, już tego dokonał. Johnny ubiegał się o stanowisko jego asystenta bez wielkich nadziei, ale czuł, że podczas interview wypadł niezłe. Potem codziennie wydzwaniał do domu, spanikowany brakiem wieści. Kiedy wreszcie zatelefonował, żeby powiedzieć: „Udało się! Zostałem zatrudniony”, Varnie bardzo się ucieszyła, choć przewidywała, że po miesiącu praktyki entuzjazm Johnn’ego nieco zblednie. Ale nie, nic takiego się nie stało. Wydawało się, że Beaumont dosłownie go zaczarował. Johnny woził go po całym kraju i uczył się, przyglądając się swemu, szefowi w działaniu. „Leon to, Leon tamto” - relacjonował z przejęciem. Mówił o nim w samych superlatywach. Nie znosił ludzi miałkich, twierdził też, że w życiu nie poznał nikogo o tak bystrym umyśle. Imponowało mu to, że jego szef nie akceptuje bzdur, mówi jasno to, co myśli, nie cierpi lizusostwa ani przysług, jest absolutnie niezależny i niczego nikomu nie zawdzięcza.

Jeśli nawet całej rodzinie znana była skłonność Johnny’ego do przesadnych i mało odpowiedzialnych zachowań, to wydawać się mogło, że tym razem naprawdę zaczyna się ustawiać. A zatem: hotel był sprzedany, Johnny się ustawił, rodzicom nie groził niedostatek. Wyglądało na to, że obecnie tylko ona, Varnie, miała

problemy. Po co więc jechać do domu i burzyć spokój? Zadowolona z powziętej decyzji, była najgłębiej przekonana o tym, że nie będzie jej żałowała, gdy położy się spać w domu dziadka. Zresztą w chwili, kiedy wjechała w góry, zastanawianie się nad czymkolwiek poza tym, jak wziąć kolejny zakręt, przestało być możliwe. Całą uwagę pochłaniała jazda. Dopiero po północy Varnie wyjechała wreszcie na prostą drogę i mogła znów myśleć swobodnie. Bardzo to było dziwne, ale chociaż rodzina i Martin zajmowali w jej rozmyślaniach poczesne miejsce, wkładał się w nie również szef Johnny'ego. Wynocha! - pomyślała ze złością, gdy po raz kolejny z rzędu zamajaczył jej przed oczyma jego wizerunek ze zdjęcia. W interesach może i faktycznie ten cały Beaumont był czysty jak łąka, szkoda tylko, że jego prywatne życie pozostawiało wiele do życzenia.

Była pierwsza w nocy, gdy Varnie wyminęła osiedle stanowiące najbliższe sąsiedztwo Aldwyn House. Po chwili wysiadła na sztywnych nogach z samochodu, by otworzyć bramę. Wjechała na podwórze i nagle poczuła się zbyt zdżozona, by choćby pomyśleć o zamknięciu wrót. Zostawiła samochód przed garażem. Zabrakło jej sił, by walczyć z ciężkimi drzwiami.

Z kluczami i lotniczą torbą w jednej ręce, z walizką w drugiej, Varnie przeszła na tyły domu i skorzystała z wejścia od kuchni. Zapaliła światło i od razu zorien-

towała się, że ktoś tu niedawno był. Nieważne. Johnny dysponował własnym kluczem. Kochany chłopak... Pewnie przyjechał zrobić porządek z rzeczami po dziadku w czasie, gdy ją i rodziców zajmowało pakowanie hotelowego dobytku. Zapalając i gasząc kolejne światła, Varnie przeszła przez kuchnię. Zauważyła, że chociaż Johnny nie schował do kredensu filiżanki i spodeczka, z których korzystał, robiąc sobie kawę, umył je i zostawił na suszarce. Schodami weszła na piętro, kierując się prosto do pokoju, z którego korzystała zawsze podczas wizyt u dziadka. Był mniejszy od dużej sypialni, ale przytulny, a z okna rozciągał się piękny widok.

Przysiadła na łóżku i zdjęła buty. Uff! Kończył się jeden z najgorszych dni w jej życiu. Miała ochotę się położyć, więc ucieszyła się, że łóżko jest posłane. Powinna rozpakować walizkę... Tak, tylko gdzie jest kluczyk? Do której z przegródek torby go włożyła? Ze zmęczenia nie mogła sobie przypomnieć. Nieważne, pomyślała leniwie. Weszła do łóżka i ledwie przyłożyła głowę do poduszki, mocno zasnęła. Mimo wyczerpania obudziła się jak zwykle o szóstej i leżała w ciemnościach, dziwiąc się sobie. Jak to możliwe, żeby po tylu wrażeniach usnąć w jednej sekundzie i spać kamiennym snem?

Raptem dotarło do niej parę szczegółów, na które, zmęczona drogą, nie zwróciła w nocy uwagi. W domu było ciepło! Johnny... Oczywiście. Włączył centralne

ogrzewanie i zapomniał je wyłączyć, wychodząc. Dzięki, braciszku. Zapaliła boczną lampkę, uśmiechając się serdecznie na myśl o nim. Australijczyk jeden... Jego przyjaciele z antypodów bardzo, ale to bardzo go lubili. Z radością pomyślała też o tym, że nie będzie musiała męczyć się z kapryśnym prysznicem przy swoim pokoju. Ciśnienie było w nim zadne, woda leciała słabiotko albo w ogóle. W łazience przy dużej sypialni był drugi, lepszy. Powinna coś na siebie narzucić, ale musiałyby znaleźć kluczyk do walizki, a marzyła, żeby się wreszcie wykapać. Nago wybiegła z pokoju, namacała po ciemku na półce ściennej szafy w korytarzu duży ręcznik, przerzuciła go przez ramię i weszła do dużego pokoju ze świadomością, że ma cały dom dla siebie, więc nie musi przejmować się tym, jak wygląda i co robi. Dopiero kiedy znalazła się na środku sypialni, dotarło do niej, że wcale nie jest sama. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i zszokowana spojrzała na rozścielone łóżko, lecz zanim zdążyła zmusić umysł do działania, zapalone przez nią światło zaalarmowało śpiącego mężczyznę. Usiadł niechętnie, wybity ze snu, i odrzucił kołdrę. Oczom Varnie ukazał się nagi tors i bok pośladka. Mężczyzna spał nago - podobnie jak ona.

- Co to? Ojej! - wyrzuciła z siebie, purpurowa na twarzy, patrząc oczami jak spodki na ciemnowłosego mężczyznę, który podnosił się z pościeli. Coś z jej prze-

rażenia musiało do niego dotrzeć, gdyż na moment powstrzymał się od wyskoczenia nago z łóżka. Tak, ulitował się nad nią, była pewna, że jej zażenowaniem niespecjalnie się przejął.

- Nie wydaje mi się, żeby nas sobie przedstawiono - powiedział nonszalancko. - Przywitamy się?

Niezmieszany ani trochę własną nagością, leniwie przyglądał się jej... pośladkom. Obrzucił spojrzeniem całą jej postać i zrzucając z siebie przykrycie już, już miał wstać, gdy Varnie otrząsnęła się z szoku i nawet nie zastaniając się ręcznikiem, umknęła. Wpadła biegiem do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Oddychała ciężko i cała się trzęsła. Johnny! Ach, ty... Gdyby teraz mogła dostać brata w swoje ręce, toby go chyba zamordowała. Jak mógł ją tak urządzić?! Zaprosił kogoś nieznanego do domu, o którym zaczynała już myśleć jak o swoim. Znał tego kogoś, to oczywiste. Ona zresztą... też, od momentu, gdy zobaczyła tamto zdjęcie w gazecie. Nie musiał się jej przedstawiać... Absolutnie... Wiedziała, kto zacz. Ale co, u licha, Leon Beaumont porabiał w ich domu? Co gorsza, widział ją naga. Nigdy w życiu nie paradowała nago przed mężczyzną! Jak miała się zachować? O matko! Jak w ogóle spojrzę mu teraz w twarz?

ROZDZIAŁ DRUGI

W pośpiechu, rzucając co chwila nerwowe spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi, Varnie owinęła się ręcznikiem i namacała w którejś z przegródek torby kluczyk do walizki. Otworzyła ją i roztrzęsiona wyjęła bieliznę, spodnie i bluzkę. Z dużej sypialni dobiegały zwyczajne, spokojne dźwięki. Potem zaszumił prysznic. Oj, jakże nienawidziła Beaumonta! Tak się bała jego najścia, że zrezygnowała nawet z myśli o skorzystaniu ze swego dychawicznego prysznica, gdy tymczasem ten drań najzwyczajniej rozkoszował się poranną toaletą! Varnie umyła tylko twarz, przeczesała włosy i zesłała schodami do kuchni, żeby... poczekać. Jednak Beaumontowi wyraźnie się nie spieszyło. Mijały kolejne minuty, a on wciąż się nie pojawiał. Uspokoila się trochę. Zaczęła nawet myśleć, że może niepotrzebnie wpadła w popłoch, bo przecież nie stało się nic strasznego. Johnny najpewniej powiedział szefowi, że dom jest własnością jego siostry i... A jeśli nie? Z Johnnym nigdy nic nie było pewne. Zachowywał się czasami kompletnie nie-

odpowiedzialnie. Bardzo możliwe, że Leon Beaumont nie miał najmniejszego pojęcia, kim była. Może należało po prostu wyjść, wsiąść do samochodu i wyjechać? W Cheltenham byłaby przed... Chwileczkę! Przecież to był jej dom. Nie jego! I wcale nie marzyło jej się spotkanie z rodzicami. Zaraz by się zaczęło wałkowanie perfidnego numeru, jaki wyciął jej Martin... Nie miała pojęcia, co tu robił Beaumont, ale to nie ona powinna opuścić Aldwyn House, tylko on!

Podjąwszy decyzję, Varnie wyszła z kuchni do holu i stanęła przy schodach. Dudnienie pompy od prysznica ucichło. Woda przestała płynąć. Beaumont zakończył kąpiel. Woląla nie oglądać go rozebranego, więc postanowiła nie wchodzić na górę i zachowała swoje uwagi na później. Ma się wynieść, i tyle. Był szefem brata, ale nie jej! Już miała wejść z powrotem do kuchni, gdy zauważyła stertę poczty na podłodze przy drzwiach wejściowych. Kiedy była tu ostatnim razem, sprzątnęła wszystko, co wpadało codziennie przez skrzynkę na korespondencję, ale znów zebrały się tego całe góry. Uprzątnęła więc reklamowe druki w plastikowych koszulkach i raptem pośród nich mignęła biała, niezaadresowana koperta. Varnie podniosła ją, przeszła do kuchni, otworzyła i bardzo prędko zrozumiała, dlaczego jej brat pozwolił Beaumontowi zamieszkać w jej domu.

List pochodził od byłej gosposi dziadka, pani Lloyd,

i był odpowiedzią na telefon od Johnny'ego. Na kopercie nie było co prawda jego imienia, ale karteczka zaczynała się od słów: „Drogi pan Metcalfe”. Pani Lloyd pisała: *Nie było mnie, kiedy pan wczoraj dzwonił. Żałuję, ale nie będę mogła zająć się pańskim gościem.*

Zawiadamiła dalej, że jeśli zależy mu na zatrudnieniu gosposi, to powinien zadzwonić do niejakiej pani Roberts, która być może zgodziłaby się podjąć pracę.

Varnie wstrzymała oddech. Raptem przeszło jej przez myśl, że prawdopodobnie Beaumont zamierzał zatrzymać się w Aldwyn House na dłużej, a więc to tak, myślała, wściekła na Johnny'ego. Jego szef zwierzył mu się, że chętnie by odpoczął od rozjuszonych mężów i afer miłosnych, a Johnny uznał dom dziadka Suttona za idealną kryjówkę i natychmiast postanowił pomóc szefowi. Cały Johnny! Wiedział, że nie będzie jej w kraju przez całe dwa tygodnie, więc nie uznał za stosowne powiadomić ją o zaistniałej sytuacji. No tak, przecież wybierała się do Szwajcarii... Była najzupełniej pewna, że nawet nie pomyślał o tym, by poinformować pracodawcę, do kogo należy dom.

Gniewne rozmyślania przerwały jej czyjeś kroki. Spojrzała w stronę drzwi i spaśnowiała. W progu stał Beaumont. Wszedł do kuchni, pozostawiając jej nagły rumieniec bez komentarza. Cóż, widok rozebranej kobiety to dla niego nie pierwszyna, pomyślała drwiąco. Już miała powiedzieć, że skoro się ubrał, to może się wynosić, gdy zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Varnie Sutton - odburknęła. Była ciekawa, czyjej nazwisko coś mu mówi. Najwyraźniej z niczym go nie kojarzył, a zatem wszystko jasne: Johnny'emu nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć szefowi o siostrze. W zwykłych okolicznościach byłoby to całkiem zrozumiałe, ale... do licha, to był jej dom! Nawet jeśli musiała go sprzedać! Najwyższy czas, by posłać tego faceta w diabły. - Leon Beaumont? Czy tak? - zaczęła sztywno.

- Wiesz, kim jestem?

- W każdym razie nie senną marą - rzuciła ze złością.

- Skąd wiesz, kim jestem? - powtórzył, ignorując jej ton. - Dałem Metcalfeowi wyraźne polecenie. Obiecał mi znaleźć jakieś ustronie. Mam dość użerania się z niepożądanymi intruzami.

Z intruzami? Co takiego? Czyżby mu się wydawało, że polowała na niego? Varnie wzięła się w garść. Miała absolutnie dość mężczyzn, a tego tu w szczególności.

- Pragnę poinformować - wysyczała - że w żadnym wypadku nie zamierzam wchodzić ci w paradę. Informuję również, że...

Popatrzył na nią sceptycznie.

- I dlatego weszłaś nago do mego pokoju? Bo cię nie interesuję, tak? Wystarczyło, żebyś kiwnął palcem, a w sekundę wślzłabyś mi do łóżka.

Varnie oniemiała. Poczula, że cała płonie. Niesamo-

wite! Co ten facet sobie roił? Odetchnęła głęboko i wzięła się w garść.

- Prędzej połknęłabym cyjanek. Tak mnie pożerałeś oczami, że... - Och, czemu nie ugryzła się w język? - Gdyby nie to - brnęła dalej - zauważyłbyś pewnie, że trzymam ręcznik. Weszłam do pokoju, w którym spałeś, tylko z jednego powodu. Zamierzałam wziąć prysznic. Nie wiedziałam, że ktoś tam jest.

- A prysznic przy twoim pokoju nie działa?

- Przy jakim pokoju?

- No, tamtym małym. Spałeś w nim.

A to świnia!

- Mój prysznic wymaga naprawy. Ten przy dużej sypialni jest lepszy.

Dlaczego w ogóle się tłumaczyła? O matko...

- Znasz ten dom, tak?

- Nie jestem tu pierwszy raz Beaumont patrzył na nią podejrzliwie.

- Z rozmiarów twojej walizki wnioskuję, że miałabyś ochotę pobyć tu nieco dłużej...

- W zasadzie tak... - zaczęła, lecz natychmiast wszedł jej w słowo.

- Znasz Johna Metcalfea?

Miała już przytaknąć i oznajmić, że Johnny jest jej bratem, ale zawahała się.

- No tak, rozumiem. Znaie się bardzo dobrze, ty

i ten mój świeżo upieczony asystent. Niedorajda! Nie popracuje u mnie długo, o nie!

Varnie zdębiała. Wyobraziła sobie Johnny'ego. Tak sie starał, tak mu zależało na pracy u tego gbura. Westchnęła ciężko. Bratu groziła utrata wymarzonego stanowiska, więc trzeba zapomnieć o dumie. Jednak nie zamierzała podlizywać się jego szefowi, który teraz mierzył ją lodowatym wzrokiem.

- Twój asystent to nadzwyczaj sumienny, zapobiegliwy człowiek - powiedziała z mocą.

- Czy aby na pewno? - zadrwił Beaumont. - Wiesz coś na ten temat? Dowiem się czegoś zaskakującego?

- Na pewno. No... na przykład ta sprawa ze znalezieniem pomocy domowej... Kosztowała go sporo zachodu. - Chwała Bogu, że przeczytała ten liścik!

- Chodzi o panią Lloyd?

Szlag by go trafił. Wiedział o wszystkim.

- Przyjechałam wczoraj późną nocą... - powiedziała trochę bez sensu.

- To już wiem - stwierdził lakonicznie. - Sam dojechałem tu ledwie żywy ze zmęczenia.

O matko! Znowu się nabzdyczył. Nie popuściłaby mu ani o włos, gdyby nie Johnny. Jeśli nawet za to, co zrobił, najchętniej udusiłaby brata gołymi rękami, przecież nie mogła go pograć.

- Męła była faktycznie okropna... - przytaknęła potul-

nie, lecz Beaumont nie podjął tematu. - Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że... Myślałam, że przyjedziesz dopiero dzisiaj... Ta mgła i w ogóle... A samochód? Wstawiłeś go już pewnie do garażu... - Umilkła, wyczuwając, że Beaumont ma dość jej nieskładnej paplaniny.

- Dobra - uciął agresywnie. - Mów, co tu robisz. Jak się tu w ogóle dostałaś?

Powiedz mu, nakłaniał ją wewnętrzny głos. Zaraz będzie po wszystkim. Ale... gdyby po prostu powiedziała temu człowiekowi prawdę, Johnny byłby spalony.

- Oj, bardzo przepraszam - szepnęła. - Już wyjaśniam. W jałowcu przy komórce na narzędzia jest zawsze zapasowy klucz... Pani Lloyd nie mogła podjąć się pracy... Jestem tu zamiast niej. - Aż ją zamurowało. Na prawdę wymyśliła coś tak bzdurnego?

Spojrzała na Beaumonta. Też w to nie wierzył.

- Jesteś służącą?

- Tak. - Pragnąc osłaniać Johnny'ego, nie miała wyboru. .. i szła w zaparte.

W odpowiedzi szybko wziął ją za rękę i obejrzał dłonie. Nieczęsto robiła sobie manikiur, lecz przecież, u licha, wyjeżdżała na urlop, i to z kimś, kto do wczoraj wydawał się bliski jej sercu. Dlaczego więc nie miałaaby się podszkować i zadbać o paznokcie?

- Te rączki nigdy nie zaznały ciężkiej pracy - stwierdził Beaumont, odsuwając je z niesmakiem.

- Nieprawda! - zaprotestowała żywo.

- Upierasz się zatem, że jesteś... posługaczką?... - Musiało mu się to wydawać takim absurdem, że wyglądał, jakby zbierało mu się na śmiech. Nie roześmiał się jednak. - To ciekawe.

- Owszem. Pracowałam w branży hotelarskiej. Zajmowałam się wszystkim, czego ode mnie wymagano. Byłam pokojówką, sprzątaczką, szefową kuchni, sekretarką, księgową...

- Masz za sobą szkołę hotelarską? - Chyba zaczynał brać pod uwagę taką możliwość. - Więc co się stało? Jesteś bez pracy? Dlaczego?

- Bo... - O matko, co opowiadał mu Johnny? - Bo hotel został sprzedany... Wszedł w posiadanie większej sieci. Byłyśmy dwie, wykonywałyśmy podobną robotę, no i...

- Wylali cię!

Och, z jaką ochotą podbiłaby mu oko albo obila całą tę pyszałkowatą gębę.

- Nie, to nie tak. Dostałam znakomite referencje. - Zajmowała się tymi sprawami. W razie potrzeby umiałaby wystawić sobie najgenialniejszą opinię. Choć oczywiście przy zatrudnianiu do dorywczych prac nikt nigdy nie żądał referencji.

- A zatem, kiedy ta Lloyd powiedziała Metcalfe'owi, że nie może nająć się do posługi, zadzwonił i poprosił o to ciebie? - Wyraźnie nie wierzył w to ani przez moment.

- Tak, właśnie tak. - Do diabła, co też wygadywała? Zależało jej, owszem, na pozostaniu w Aldwyn House, ale przecież nie razem z nim. A już w żadnym wypadku nie zamierzała opłacić swojego pobytu pracą dla tego typa!

- Dziękuję. To znaczy... Dziękuję, nie. - Z góry odrzucił propozycję, choć Varnie nie była przekonana, czy w ogóle ją złożyła.

- Bo? - Po co w ogóle wdawała się w dyskusję? Ale Johnny... Teraz on tu się liczy najbardziej. Jesteś jego siostrą, myślała, a to oznacza, że masz osłaniać rodzinę, choćby doprowadzało cię to do szału.

Beaumont milczał. Przypuszczała, że w ogóle nie odpowie, lecz nagle rzucił gwałtownie:

- Bo nie cierpię takich przysług. Zresztą żadnych. Świetnie! Johnny... Jasny gwint!

- To ty wyświadczysz mi przysługę - zaproponowała prędko, obiecując sobie dłuższą rozmowę z bratem. - Jestem bezrobotna i obecnie nie mam się gdzie podziać. Ubiegam się o pracę w paru miejscach, ale jeszcze nie dostałam odpowiedzi. - Zwiesiła głowę, by nie zauważył w jej oczach kłamstwa.

Beaumont wyglądał, jakby chciał powiedzieć: „Dość tych banialuków”. Och, z jakąż rozkoszą by go stąd wykopano! Czy Johnny'emu rzeczywiście aż tak bardzo zależało na pracy u niego? Czy to była prawda?

- Zamierzasz zatem tu się zakotwiczyć? - zapytał szorstko Beaumont. - Posada służącej... plus zamieszkanie?

Och, walnąć by go w ten głupi łeb!

- Do najbliższego miasteczka jest niedaleko - wyjaśniła, starając się zapanować nad rozdrażnieniem.

- Nie przyjechałaś tu na rowerze. Na podwórzu stoi samochód i...

Dosyc tego. Próbowalam, Johnny, bardzo się starałam, ale...

- I nic tu po mnie! - wybuchła. Nie dalej jak przed kwadransiem miała zamiar powiedzieć temu bubkowi, żeby sphywał, a co się porobiło? Powiedziała mu, że się wynosi, a wszystko przez ukochanego braciszka. Dostał polecenie i chciał się wykazać - znalazł swemu szefowi kryjówkę.

Varnie westchnęła ciężko i zamierzała już wyjść, gdy raptem dotarło do niej, że Beaumont się zastanawia. Bezrobotna, bezdomna, przybita - tak pewnie tłumaczył sobie jej rozjątrzenie.

- Możesz zostać - odezwał się szorstko. - Zarobisz na utrzymanie. Ale - stawiam warunki.

Łaskawca się znalazł! To mój dom, buntowała się Varnie. Moja własność. Tak, tylko co będzie z Johnny'm?

- Z góry przyjmuję wszystkie - odpowiedziała nad wyraz potulnie.

Zapadła cisza. Beaumonta albo w ogóle nie obcho-

dził jej ton, albo zwyczajnie nie uwierzył w tę nagłą zgodliwość. Po chwili dobitnie wypunktował swoje żądania:

- Warunek pierwszy: ani słowa nikomu, że tu jestem. Jeśli ktoś zacznie choćby węszyć, wynosisz się, i to natychmiast. Zrozumiałaś?

Domyśliła się, że chodziło mu o dziennikarzy. Musieli dobrze deptać mu po piętach, skoro w prasie ukazało się takie zdjęcie.

- Nie życzysz sobie, żeby cię... odwiedzano? - zapytała niewinnie. - We wczorajszej gazecie było twoje zdjęcie... Boisz się męża tej kobiety?...

Beaumont wzruszył ramionami, jakby uznał pytanie za absurdalne.

- Nie życzę sobie absolutnie niczyjego towarzystwa poza własnym.

- Damskiego również?

- Nie tyle również, co przede wszystkim! Dlatego stawiam warunek drugi: wara ci od mojej sypialni.

Cham nie z tej ziemi! Cudem udało się jej powstrzymać soczysty komentarz.

- Ścieleniem łóżka i sprzątaniem pokoju zajmujesz się więc sam. Tak mam to rozumieć?

- Szykuj wreszcie śniadanie! - warknął, zgromiwszy ją wzrokiem.

Sam sobie szykuj, pomyślała. Sytuacja świadczyła jed-

nak o tym, że klamka zapadła. Varnie Sutton została zatrudniona we własnym domu jako panna służąca.

- Do usług, sir - odpowiedziała żywo. Dobrze, że Beaumont szybko wyszedł, gdyż czuła, że za moment przestanie być grzeczna i potulna. Zastanowiła się chwilę i powędrowała do spiżarni dziadka. Ciekawe, czy w ogóle coś tara jeszcze było, a jeśli nawet, zapewne nie odpowiadałoby to wydelikacjonemu podniebieniu jego lordowskiej mości. Chyba żeby miał ochotę na mandarynki z puszek i wołową konserwę.

Jej nowy i niechciany pracodawca był tymczasem w saloniku. Stał i patrzył przez okno. Nawet nie drgnął, gdy pojawiła się w progu.

- Będę musiała wybrać się na zakupy - oznajmiła cierpko. Dopiero wtedy odwrócił się i zaszczyił ją ponurym spojrzeniem.

- Przywieź mi gazetę. - Wyjął portfel z kieszeni i wyciągnął w jej stronę kilka banknotów. Ogromnie ją to zmieszało.

- Nie chcę żadnych pieniędzy! - wybuchła.

- A ja nie życzę sobie darmowych śniadań! - Wcisnął jej w garść pieniądze. - Poproszę o paragony - powiedział zirytowany i wyszedł z pokoju.

Varnie miała poważne wątpliwości, czy zdoła przetrwać ten dzień bez dania Beaumontowi w twarz. W życiu nie spotkała takiego gbura. Gdyby to od niej zależało, mógłby

się zagłodzić na śmierć. Jednakże myśl o kochanym bracie przytłumiła jej złość. Gotowa była na wszystko, byle nie popsuć mu szyków. Mogła wspierać go dobrym słowem, pracą w charakterze służącej - a niech to, oby tylko nie trwało to długo. Miejmy nadzieję... Spojrzała na wciśnięte jej do ręki pieniądze. Tyle forsy... Za taką sumę mogliby się tutaj utrzymać i przez miesiąc.

Zastanów się, kobieto, zganiła się i od razu poczuła się lepiej. Szef dużej firmy nie może wziąć na dłuższą wolnego. Zresztą przy najbliższej sposobności postanowiła go zapytać, ile czasu zamierza odpoczywać. Kiedy wychodziła z domu, usłyszała, że rozmawiał przez telefon z gabinetu dziadka. Cwaniak! Choć, szczerze mówiąc, przypuszczała, że rachunek za wynajem obejmuje cały dom, więc Beaumont uznał, że może swobodnie korzystać również z gabinetu.

Varnie zrobiła zakupy wystarczające na tydzień i zaniósła je do samochodu, myśląc o tym, że dziadkowa zamrażarka bardzo się teraz przyda. Nagle ktoś zawołał ją po imieniu. Jasnowłosa, roześmiany mężczyzna.

- Varnie!

- Russel!

Ucałowali się serdecznie. Zawsze lubiła Russela. Mieszkał z rodzicami półtora kilometra od Aldwyn House. W dzieciństwie przyjaźnił się z Johnnym, spędzili we troje

mnóstwo wspaniałych chwil. Potem obaj wyjechali na studia, ale Johnny odpadł po roku.

Ostatnio widzieli się chyba z pięć lat temu. Było o czym pogadać, więc poszli na kawę. Russel Adams, jak się zaraz dowiedziała, został inżynierem. Pracował na budowach i musiał się często przemieszczać. Mieszkał obecnie w Caernarvon, ale przyjechał na dzień czy dwa zobaczyć się z rodzicami. Wypytywał o Johnniego - czy się ustawił, czy ożenił.

- A gdzie tam! Dalej jest kawalerem. - A co do pracy, pomyślała, to... No cóż, chciałyby wierzyć, że w życiu jej brata nastąpił przełom. Tymczasem musiała mu pomóc. Nie mogła powiedzieć przyjacielowi, że w tym celu została kuchnią jego szefa.

- A co u ciebie? - dopytywał się Russel. - Dalej łamiesz chłopakom serca, czy też może poznałaś kogoś, kto cię wreszcie okiełznał?

Russel oczywiście żartował. Nikomu nigdy nie złała serca. Była o tym absolutnie przekonana. Jeśli w ogóle w jej życiu był ktoś istotny, to tym kimś okazał się Leon Beaumont, którego powinna jak najszybciej nakarmić. Tylko to ją obchodziło. Nagle uzmysłowiła sobie, że człowiek, którego aż do wczorajszego dnia uważała za kogoś bliskiego, nagle przestał dla niej istnieć.

- Nie mam nikogo - odpowiedziała. - Oj, zagadaliśmy się, a muszę jechać. Fajnie, że się spotkaliśmy...

- Pobędziesz tu trochę?

- Jeszcze nie wiem. - Podniosła się. Naprawdę powinna już wracać. - Mam masę spraw do załatwienia - powiedziała, gdy żegnali się przy samochodzie. Uświadomiła sobie raptem, że być może powinna być wdzięczna losowi za to, że zesłał jej dziwnego lokatora i nie musiała zadrećzać się myślami o Martinie. Poranne zachowanie Beaumonta, jego pewność siebie, wszystko, do czego potem doszło... Co za burak! Spokojnie, tylko spokojnie. Zdecydowała się osłaniać brata, więc musi brnąć dalej.

Zaparkowała z boku domu i zaczęła przenosić sprawy, postanawiając zachowywać się wobec Beaumonta nieco sympatyczniej. Czemu nie?

Wszedł do kuchni, gdy postawiła na stole pierwsze trzy torby zakupów.

- Grzebuła - powiedział kąśliwie. Poczuła, że zaraz puszcza jej nerwy, i prędko się opamiętała. Uśmiechnęła się.

- Spotkałam kogoś. Byłam na kawie.

- Masz tu znajomych? - Spojrzał na nią ostro.

Korciło ją, żeby powiedzieć prawdę, ale w porę ugryzła się w język.

- Mówiłam przecież, że bywałam w Aldwyn House.

- Z Metcalfeem?

- Tak.

- Dobrze go znasz?

O, byłbyś zaskoczony, pomyślała.

- Bardzo dobrze - przyznała.

- Jesteście parą?

- Nie. - Czowała, że zabrzmiało to ostrzej, niżby chciała.

- Sypiasz z nim?

- A czyja pytam, z kim sypiasz? - wybuchła. A niech to! Co za bezczelny typ.

- A więc? Tak?

Przyplłynęło do niej nagle wspomnienie z dzieciństwa. Tamtego dnia na podwórku pojawił się dziki kot. Bardzo się wystraszyła. W nocy obudziła się z płaczem. Johnny, słysząc jej pochlipywanie, wyszedł ze swego pokoiku. Miał wtedy jakieś osiem lat. Przysiadł na jej łóżku, pocieszał ją i tulił, aż w końcu oboje usnęli. Czy mogła go nie kochać? Uśmiechnęła się do wspomnień.

- Tak - przyznała. - Spałam z nim.

- Przespaliście się z sobą parę razy i na tym koniec, tak? - Beaumont mruknął lekceważąco, przyjmując za pewnik, że jego asystent rzucił ją, gdy się mu znudziła.

- Może poprawi ci się humor, gdy coś zjesz - odpowiedziała gniewnie. - Z pustym brzuchem źle się rozmawia.

Rzucił jej zniesmaczone spojrzenie i wyszedł. Varnie rozłożyła zakupy, usmażyła jajka na boczku i podgrzała fasolę. Śniadanie było już prawie gotowe, więc poszła nakryć do stołu w saloniku. Niosła wszystko na tacy, gdy Beaumont wyjrzał z gabinetu.

- Zjem w kuchni.

Zadysponował tak chyba tylko po to, żeby utrudnić jej życie, ale cóż... Skoro życzył sobie jeść w obecności pomocy domowej, to proszę bardzo. Sądziła, że przy posiłku nie zamienią z sobą nawet słowa. Usiedli przy kuchennym stole o porysowanym blacie, na który na szczęście zdążyła narzucić serwetę. Ledwie Varnie ukroiła sobie kawałek boczku, Beaumont zapytał:

- Skąd pochodzisz?

Włożyła boczek do ust i żując, starała się zyskać na czasie. Czy Johnny, obwożąc szefa po kraju, opowiadał mu o rodzinie?

- Z Gloucestershire - zaryzykowała. Jej brat od kilku dobrych lat mieszkał na stałe w Londynie.

- A gdzie poznałaś Metcalfe'a?

- Zatrzymywał się w hotelu, w którym pracowałam.

Nienawidziła kłamać. Choć, oczywiście, prawdą było, że Johnny pomieszkiwał w hotelu rodziców. Postanowiła ubiec kolejne pytanie.

- A właśnie... Skoro już mówimy o wynajmowaniu, to chciałabym wiedzieć, jak długo myślisz tu zostać? - Poczuli, że się rumieni, i zauważyła, że Beaumont przygląda się jej twarzy i ustom. No i co się tak gapisz? - pomyślała ze złością, gdy wpatrywał się w nią w najlepsze, ignorując pytanie.

- Wyglądasz, jakby coś cię gryzło - stwierdził zaczepnie. - Masz coś na sumieniu?

- Nic - zaprzeczyła gorąco. - Naprawdę, jesteś... - Szukała odpowiedniego słowa. - W życiu nie spotkałam kogoś takiego.

Beaumontowi drgnęły wargi, jakby go rozbawiła, ale się nie uśmiechnął. Prędko oderwała oczy od jego ładnych ust.

- Zadałam najzwyczajniejsze pytanie. - Wzruszyła ramionami. - Lubię wiedzieć, na czym stoję. Gdybym wiedziała, do kiedy tu będziesz, mogłabym na przykład sensownie zaplanować zakupy...

- Jestem na urlopie - wykręcił się gładko.

- Urlop w listopadzie?! W kraju? - zirytowała się. - Dlaczego nie wyjedziesz gdzieś za granicę jak każdy, kogo na to stać?

- Najeździłem się już dość - odparł niechętnie. - A co, masz coś przeciwko temu, żebym spędził tutaj urlop?

- Nie, skądże. - Dusila się ze złości. - Bardzo mi odpowiada, że Johnny... - Błąd! Powinna powiedzieć: John. Za późno. - Że Johnny Metcalfe pomyślał o mnie, szukając zastępstwa za panią Lloyd. Tylko że... Po prostu nie chciałabym go zawieść, jeśli dostałabym gdzieś stały angaż przed... zanim skończy ci się urlop. Oczywiście nie zawiodę Johna. Bardzo prosił, żebym nie zostawiała cię na lodzie... - O matko! Czy aby nie przesadza-

ła z tym podkreśleniem zapobiegliwości swego brata?

- Proszę, jest jeszcze boczek. Masz ochotę?

- Mówisz o Johnie z takim uwielbieniem... Zrobiłabyś dla niego chyba wszystko?

Varnie miała naprawdę dość spostrzegawczości Beaumonta.

- Cóż, zawsze uważałam go za człowieka o najwyższych kwalifikacjach. - Zabrzmiało to tak, jakby wystawiła mu referencje.

- Jesteś w nim zakochana?

- Nie! - Naprawdę zapędziła się w pochwałach. - To po prostu wartościowy facet. I bardzo, ale to bardzo go lubię.

- Ale nie kochasz się w nim?

- Powiedziałam, że nie! - wybuchła, patrząc Beaumontowi prosto w oczy. - I wbrew twoim podejrzeniom, że mogłabym ewentualnie mieć też ochotę na ciebie, oświadczam: mężczyźni w ogóle mnie nie obchodzą. A już szczególnie tacy, dla których małżeństwo znaczy tyle co nic.

- Liczyłaś na małżeństwo i ktoś cię wykiwał? - zapytał chłodno, rozsiadając się wygodniej.

Spojrzała na niego z irytacją. Wszystko obracało się przeciwko niej.

- Tak daleko to nie zaszło - odburknęła. - Dowiedziałam się, że jest żonaty.

-I rzuciłaś go w diabły?

- Z miejsca. - Gwałtownie podniosła się od stołu. - Jeśli się już najadłeś, to pozmywam.

Beaumont odniósł swoje naczynia do zlewu, ale najwyraźniej nie zakończył przesłuchania.

- Czy ten facet... ten, z którym byłaś na kawie... to właśnie ten żonkoś, który...

- Nie powiedziałam, że byłam na kawie z mężczyzną.

Spojrzała na nią przekornie.

- Mam rozumieć, że z kobietą?

Znowu poczuła się głupia. Nie było jej z tym dobrze. -

Zawsze traktujesz swoich podwładnych z taką... uwagą?

Uśmiechnął się. Naprawdę i szczerze, co całkowicie odmieniło wyraz jego twarzy. Serce zabiło jej żywiej. Pojęła nagle, dlaczego kobiety lgnęły do Beaumonta jak opiłki żelaza do magnesu.

- Nie wszystkich - wycedził. - Ale ty jesteś taka interesująca, że aż mnie korci, żeby...

Świnia! Drwił sobie z niej dla zabawy. Fakt, innych rozrywek tu nie miał, ale nie potrafiła spokojnie myśleć o tym, że bawił się jej kosztem.

- W porządku. Spotkałam kolegę. Nazywa się Russel Adams. Jest inżynierem. Mieszka obecnie gdzie indziej, ale wpadł odwiedzić rodziców. I nie martw się, nie wspominałam nawet o twoim istnieniu. Coś jeszcze?

Najchętniej rozbiłaby mu talerz na głowie!

ROZDZIAŁ TRZECI

Minął weekend i Varnie jakimś cudem powstrzymała się od przyprawienia posiłków Beaumonta trucizną. Odnosili się do siebie dość bezceremonialnie. Nie zawsze pamiętała, że powinna być miła. Zresztą, kto by to potrafił? Miała wrażenie, że temu bubkowi wciąż się wydaje, że jego „pomoc domowa” tylko marzy o tym, by go poderwać. Dobre sobie!

Był ranek. Varnie usiadła przed lustrem, wyszczotkowała długie, jasne włosy i upięła je elegancko. W lustrze odbijały się jej duże, zielone oczy, zdobiące twarz o ładnych rysach i nieskazitelnej cerze. Popatrzyła na swoje wypielegnowane ręce. Długie palce, starannie opiłowane, polakierowane paznokcie. Cóż, faktycznie. Uczciwie mówiąc, nie wyglądała na „kuchnię”.

Wyszła z pokoju, ciesząc się, że dziadek pomyślał o wstawieniu do gabinetu komputera. O ile wiedziała, w interesach nie był mu potrzebny, ale korzystał z niego dla rozrywki. Całymi godzinami grał w komputerowego brydża czy szachy. Sprzęt bardzo się teraz przydał, gdyż

dzięki niemu miała Beaumonta z głowy. Kiedy wczoraj zniosła mu kawę do gabinetu, komputer był włączony. Na monitorze zobaczyła liczby i wykresy. Miała nadzieję, że jeśli szczęście jej dopisze, ten pracuś spędzi przy monitorze również cały dzisiejszy dzień.

Beaumont, musiała to przyznać, nie był małostkowy. Gdy weszła do kuchni, podał jej filiżankę kawy.

- Dziękuję bardzo - powiedziała. - A w ogóle to dzień dobry.

Wysiliła się chyba niepotrzebnie, gdyż zabrał swoją kawę i wyszedł.

- Dzień dobry - dobiegło do niej zza drzwi i nie wiadomo dlaczego od razu zrobiło się jej weselej.

I tak zaczął się poniedziałek. Beaumont przesiedział większą część dnia w gabinecie i niewiele go widziała. Telefonował dokądś parę razy i odebrał kilka telefonów. Varnie zajęła się czynnościami, jakie zazwyczaj wykonują służące. Sprzątnęła, co należało sprzątnąć, położyła świeże ręczniki pod drzwiami pokoju swego chlebodawcy i ugotowała, co było do ugotowania. Kładła się spać bez poczucia satysfakcji, jaką, zdawałoby się, powinien przynieść pracowity dzień.

W równie kiepskim nastroju powitała kolejny ranek. Schodząc na dół, myślała smętnie, że jedynym powodem, dla którego w ogóle się tu znalazła, była troska o rodziców. Nie chciała ich zmartwić swoim niepowo-

dzeniem. Jednakże nie czuła się wcale tak załamana, jak przewidywała. Odczuwała jedynie niesmak, niechęć do Martina i zdziwienie, że mogła być aż taka naiwna. Skoro zatem nie istniało nic, czym mogłaby zmartwić rodziców, to co u licha tu jeszcze robiła? Raptem dotarło do niej z całą oczywistością, że mogła spokojnie jechać do domu!

Leon był już w kuchni, szykował kawę. Gdy podał jej filiżankę, spytała ostro, nie zastanawiając się nad konsekwencjami:

- Czy poczułbyś się bardzo urażony, gdybym dzisiaj wyjechała?

Spojrzał na nią spokojnie znad blatu z suszarką na naczynia.

- Dzień dobry. - Upił tyk kawy. - Wcale - odpowiedział lekko. - Jesteś absolutnie wolna. Możesz iść, dokąd chcesz.

Powinna pobiec na górę i szybko się spakować, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Nie masz nic przeciwko temu? - Wydało się jej, że w tonie jego głosu dosłyszała jakąś niepokojącą nutę. - Na pewno?

- Wyraziłem się chyba zrozumiale - stwierdził krótko. - Gdybyś jednak skontaktowała się ze swym przyjacielem Metcalfe'em wcześniej niż ja, możesz mu powiedzieć, żeby wykreślił angaż u mnie ze swego CV.

Varnie znieruchomiała z otwartymi ustami. A zatem wszystko jasne. Mogła odejść, bardzo proszę, ale wówczas również Johnny żegnał się z pracą.

- Ależ... ależ to szantaż - szepnęła, uzmysławiając sobie, że Beaumont nabrał przekonania, iż za bardzo ceniła jego asystenta, żeby chcieć pozbawić go stanowiska.

- Wycofujesz się? - zadrwił.

- Nic już nie rozumiem. Przecież nie chciałeś nikogo. W sobotę robiłeś wszystko, żeby się mnie pozbyć. - W sobotę... Raptem wydało jej się, że od soboty minęły wieki. Miała zamiar wyrzucić go z domu... Och, gdyby to było możliwe!

- Umiesz nieźle zajmować się gospodarstwem i dobrze dajesz jeść - skomentował bez żenady.

Z najgłębszym zdziwieniem odkrywała, że ma do czynienia z mężczyzną, który przede wszystkim ceni sobie wygodę. Teraz z filiżanką w ręce przeszedł do gabinetu i włączył komputer.

Trutka na szczury byłaby dla niego aż za dobra, myślała Varnie, obiecując sobie, że jeśli kiedykolwiek nadarzy się taka okazja, gołymi rękami wydrapie mu te szare oczy. Buntowała się przez całe przedpołudnie. Nadeszła poczta, a w niej coś do niego. Położyła list na stoliczku w holu. Była sprzątaczką i kucharką, a nie sekretarką. Korespondencja świadczyła o tym, że Beaumont powiadomił kogoś o miejscu swego pobytu. Szef przedsiębior-

stwa nie mógł, ot tak sobie, zniknąć z powierzchni ziemi. W każdym razie nie na całe tygodnie. Niemożliwe, żeby zaplanował wakacje na tak długo. Varnie zastanawiała się od pewnego czasu nad podjęciem pracy i chciała jak najprędzej zakręcić się wokół własnych spraw. Johnny wyjechał na miesiąc. Owszem, to prawda, ale... Beaumont nie mógł chyba pozwolić sobie na tyle wolnego... Do licha, nie zamierzała tkwić tu cały miesiąc. Rodzice spodziewali się *jej* powrotu za niecałe dwa tygodnie. A Johnny... Kryła go zawsze, dziesiątki razy w życiu, ale matka nigdy nie dała się nabrać. Jeśli chodzi o córkę, wychwytywała wszystko niczym najczulsza antena.

Chociaż Varnie wiedziała, że nie umie kłamać, nie miała najmniejszych skrupułów, oszukując Beaumonta. Zresztą nie zasługiwał na nic lepszego. Szantażysta! Babiaryz bez sumienia! Nie przepuściłby żadnej kobiecie... może z wyjątkiem jej jednej; no, ale ona była tylko służącą.

W porze lunchu wyszedł z gabinetu i spostrzegł leżący w holu list. Nie wydawał się zachwycony jego widokiem.

- Długo tu jest?

Varnie spojrzała na niego spod rzęs.

- A to coś ważnego? - rzuciła niefrasobliwie, przechodząc do saloniku. - Kanapki, proszę. Zaraz przyniosę kawę.

Wróciła do kuchni, wiedząc, że postąpiła małostkowo i zachowuje się jak idiotka, ale... sprawiało jej to zdumiewającą przyjemność. Zemsta jest słodka. Kiedy weszła z kawą, Beaumont stał i patrzył przez okno. Postawiła tacę na stole i miała już zapytać, czy nalać mu filiżankę, ale uznała, że nie musi być aż tak grzeczna. Dorosły człowiek może obsłużyć się sam. Raptem usłyszała cicho wypowiedziane przekleństwo. Podniosła wzrok i z ulgą zrozumiała, że nie było skierowane pod jej adresem. Podeszła do okna, spojrzała na martwy o tej porze roku ogród i zobaczyła samochód, który zatrzymał się przed bramą. To ten widok tak rozsierdził Beaumonta. Z auta wysiadła kobieta.

- Przyjaciółka czy interesantka? - spytała Varnie.

- Wredne babsko!

- Ja?

- Przestań! - wybuchnął. - Prosiłem ją grzecznie, żeby dała mi spokój. Tłumaczyłem na wszelkie sposoby, że nie jestem nią zainteresowany...

Tymczasem elegancka brunetka otworzyła sobie bramę, zamkniętą od soboty, gdy Varnie wróciła z zakupów, i wjechała na podwórze. Oboje odsunęli się od okna.

- Antonia King! - wykrzyknęła Varnie.

- Znasz ją? - Beaumont z nieukrywaną wściekłością spojrzał jej w twarz. - Ty... To ty jej powiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Jest bardzo fotogeniczna, nie uważasz? - Varnie aż wrzała ze złości. - A widziałam ją tylko raz, a właściwie jej zdjęcie, to w gazecie. Może przyjechała cię poprosić, żebyś przestał bić jej męża.

Beaumont skomentował to ponurym spojrzeniem.

- Szlag by was wszystkich trafił! Ciebie, ją i jego. Rzygać mi się chce. Idź i powiedz, że ma się wynosić.

- Nagle awansowałam ze stanowiska kuchty do roli osobistej sekretarki waszej wysokości? - zirytowała się Varnie. - Sam jej to powiedz!

- W porządku! - zagrział. - Już się robi. Nie ma jej tutaj. Wynocha! - Podeszedł szybko do drzwi.

- Chwila, moment - zawołała Varnie, przypominając sobie komentarz z gazety. - Ona u ciebie pracuje, tak?

- Pracowała. Zwalniam ją.

- Poczekaj. Nie rób tego. - Popatrzył na nią krańcowo zniecierpliwiony, więc dodała prędko: - Ta King musi być dobrym fachowcem, inaczej nie zajmowałaby w twojej firmie tak wysokiego stanowiska.

- Nie awansowałaby, gdyby się nie nadawała - przyznał zimno, lecz ponosił go gniew. - Ale dosyć tego dobrego! To się musi zakończyć, już, w tej sekundzie. To jakiś krwawy nonsens. Nic od niej nie chciałem. Pomogłem jej trochę, zrobiłem wokół niej dobrą atmosferę, pogadałem z tym i owym z zarządu. Chciałem, żeby poczuła się pewniej; na początku nikomu nie jest łatwo.

A ta głupia uroiła sobie, że jest w tym coś osobistego. Dosyć mam tych narzucających się bab! Zwalniam ją! - Nacisnął klamkę.

- Zaczekaj! - Varnie miała swoje zdanie na temat tej sprawy. Kobieta nie zakochuje się w swoim szefie z wdzięczności za dobrą opinię. Łaskawca się znalazł!

- Ja to załatwię. Powiem, żeby wyjechała. Żeby dała ci spokój.

Beaumont spojrzał na nią podejrzliwie.

- Przed sekundą byłeś zdania, że sam powinienem wypić piwo, którego nawarzyłem.

- Przed sekundą nie wiedziałam, że zamierzasz zwolnić panią King z pracy. I wiesz co? Powiem ci wprost: ta kobieta ma około trzydziestki. Zawodowo jest więc czynna już kilka dobrych lat. Wiem, co to znaczy zostać bez pracy. Ja na przykład nie chciałabym zostać zwolniona wyłącznie dlatego, że pociąga mnie mój szef.

Leon prychnął wzgardliwie.

- Pociągają, owszem, ale głównie stan mojego konta.

Antonia King pukała już do drzwi. Pewnie przedtem próbowała dzwonić, pomyślała Varnie, ale dzwonek nie działał. Dziadek odłączył go od sieci, ponieważ nie lubił być gwałtownie odrywany od komputerowych szachów czy brydzyka...

- Dosyć tych bab. Mam ich potąd. - Leon złapał się za gardło. - Wracam do roboty.

Varnie triumfowała. Hura! Uratowała przedstawicielkę swojej płci przed bezrobociem.

- Co mam powiedzieć pani King?

- Co tylko chcesz, byle zrozumiała, że jeśli będzie mi zawracać głowę czymś, co nie ma związku z pracą, zwolnię ją bez pardonu. - Wyszedł i chwilę potem trzasnęły drzwi gabinetu.

Słyszając coraz bardziej natarczywe pukanie, Varnie podbiegła do drzwi wejściowych i uchyliła je. Antonia King zmierzyła ją lodowatym wzrokiem.

- Czy to Aldwyn House? - rzuciła wyniośle.

- Owszem. Czym mogę służyć?

- Chcę się widzieć z Leonem Beaumontem. - Zachowywała się tak obcesowo i lekceważąco, że Varnie najchętniej by jej przygadała, lecz odpowiedziała spokojnie:

- Niestety, w tej chwili nie przyjmuje nikogo. Przekazę wiadomość, jeśli pani sobie życzy.

- Poczekam - odpowiedziała stanowczo, stawiając nogę na progu.

O, nieładnie, pomyślała Varnie. Miała serdecznie dość ludzi traktujących jej dom jak swoją własność.

- Bardzo przepraszam, ale nie jest to możliwe - za oponowała chłodno, tarasując wejście. Gdyby ta King zachowała się grzeczniej, mogłaby ją ewentualnie po prosić do środka i zaproponować odpoczynek po podróży, ale nie w zaistniałej sytuacji.

- Kim pani jest? - rzuciła cierpko Antonia.

- Mieszkam tutaj.

- Z Leonem?!

W pierwszej chwili Varnie chciała zaprzeczyć, gdyż pytanie miało wyraźny i oczywisty podtekst, ale nagle uświadomiła sobie, że w cudzych oczach tak to mogło wyglądać. Mieszkała z Leonem Beaumontem, chociaż nie żyła z nim, a przecież to miała na myśli ta arogantka. Nadarzała się niesłychana okazja, żeby odpłacić za wszystko temu żalosnemu Casanovie, któremu ponoć przejadły się panienki.

Varnie zerknęła na wymuskaną brunetkę. Ani śladu zmieszania. Zero delikatności. A to babsko! Ma męża, a ugania się za Beaumontem.

- Tak, rzeczywiście mieszkamy z sobą. Leon wolałby jednak, żeby pozostało to naszą prywatną sprawą. Nie życzy sobie rozgłosu - powiedziała, myśląc, że kiedy powtórzy mu tę rozmowę, Beaumont dostanie chyba szału.

- Jesteś jego... metresą? - Na twarzy Antonii King odmalował się szok.

- Powiedziałabym raczej „partnerką”. Metresa to takie staromodne określenie. W dzisiejszych czasach ma nieprzyjemny wydźwięk. Zgodzi się pani ze mną?... Ale naprawdę nie chcę rozmawiać o osobistych sprawach. A Leon... jest w tej chwili bardzo zajęty. Jeśli...

- Jesteście kochankami? Tak mam to rozumieć? Leon i ty...

- Wybacz pani. Nie wiem nawet, z kim mam przyjemność i naprawdę nie mogę...

- Chcę się z nim widzieć!

Do czorta, co za pijawka! Kto inny dawno by się zmył. Obrzydliwy babsztyl!

- Przekażę, że pani była. Przepraszam, jak pani nazwisko?

- Leon cię kocha?

Czysta rozpacz, pomyślała Varnie. Facet poderżnie mi gardło, kiedy się dowie, co nagadałam.

- Naprawdę nie wiem, czemu pani zmusza mnie do takich wyznań, ale... no cóż, tak, kocha. Mówi, że do szaleństwa.... - Poczula nagle, że chyba oszaleje, jeśli powie choćby jeszcze jedno zdanie w tym stylu. - Przepraszam, skończmy już tę rozmowę. Co mam przekazać Leonowi?

Antonia King spojrzała na nią z nienawiścią i bez słowa wróciła do samochodu. Usiadła za kierownicą i błyskawicznie wyjechała z posesji. Tak ją gnało, że nie zadała sobie nawet trudu, by zatrzymać się i zamknąć za sobą bramę. Varnie obserwowała tę scenę ze ściśniętym gardłem i nagle zabrakło jej powietrza. Przeszła aleją do bramy, zamknęła ją, i nagle poczuła przygniatającą świadomość tego, co zrobiła. Wróciła do domu z cięż-

kim sercem, postanawiając jak najszybciej stawić czoło niewesołej sytuacji. Powie Beaumontowi, że pozbyła się jego prześladowczyni. Tak, tylko jakim kosztem... Leon wpadnie w szal, słysząc te wszystkie bzdury.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Varnie zastanawiała się, czy w ogóle powiedzieć całą prawdę, a jeżeli tak, to kiedy. Może lepiej zająć się najpierw czymś w kuchni, przyszykować Leonowi kolację... Nie tchórz, nakazała sobie. Przecież cię nie zabije. Weszła do saloniku i wzięła talerz z nietkniętymi kanapkami. Dobrze, że nakryła je serwetką, gdyż przez ten czas zdążyłyby wyschnąć... Kawa... Powinna zrobić kawę. Nie, nie, to może poczekać. Miała już zapukać do gabinetu, jak zawsze, gdy wchodziła do Leona, lecz raptem ogarnęła ją irytacja. Do licha! Była w swoim domu. To Beaumont był tu intruzem, nie ona! To, co zrobiła, wydało jej się nagle świetnym żartem. Wielka mi sprawa! Weszła do gabinetu bez pukania. Leon wydawał się bez reszty pochłonięty pracą.

- Pomyślałam, że zgłodniałeś - skłamała, stawiając talerz z kanapkami na biurku. - Zaparzę kawę. - Nie odpowiedział, odwróciła się więc na pięcie, ale nagle poczuła, że nie powinna odkładać tej rozmowy na później. - Twój gość wyjechał - powiedziała i dopiero tym przykuła jego uwagę. - Myślę, że... nie będzie cię już więcej nachodzić.

- Trudno mi w to uwierzyć - westchnął. - Próbowałam to osiągnąć wszelkimi sposobami...

- A jednak znalazł się sposób, tylko nie pomyślałeś, żeby z niego skorzystać. - Uśmiechnęła się słodko.

- Nie jestem widać taki genialny jak ty

Osiół! Kpił sobie z niej, nic nowego. Niespiesznie podeszła do drzwi.

- Chyba nie zamierzasz pozostawić mnie w nieświadomości. .. No, pochwal się.

Varnie spojrzała mu prosto w twarz. Z dziką radością odczuła, że panuje nad sobą i jest w stanie powiedzieć prawdę.

- Pani King tak nachalnie napierała, by cię zobaczyć, że powiedziałam jej, że ty i ja jesteśmy... partnerami.

- Kim? - Wyglądał, jakby się przestyszał.

- Kochankami. Że mieszkamy z sobą i jesteś we mnie zakochany do szaleństwa.

- Co takiego?!

Fantastycznie, pomyślała. Warto było żyć, żeby to zobaczyć.

- Wiedziałam, że się ucieszysz.

Nie cofnęła się nawet o krok, chociaż Beaumont zerwał się z fotela i przyskoczył do niej z furią.

- Dlaczego mi to zrobiłaś?

- Co takiego?

- Mówiłem ci, że mam dosyć wszystkich bab!

- Wiem, wiem. Po dziurki w nosie.

- Ciebie to też dotyczy. Jeśli choć przez sekundę wy-

dawało ci się, że rozgłaszając te bzdury, cokolwiek osiągniesz, to możesz...

- Ty wstrętny, przebrzydły głupku! Nie zainteresowałam się tobą, nawet gdybyś był jedynym żywym mężczyzną na ziemi. Jesteś zwykłą... - Umilkła. Oboje, zdaje się, mieli swoje własne powody do niechęci wobec osób przeciwnej płci. - Skoro nie chciałeś, żeby ta King cię odnalazła, to na diabła podałeś jej ten adres?!

- Nie podałem. - Pohamował się na moment. - Wczoraj była u mojej asystentki. Na biurku Evelyn leżała zaadresowana koperta. Antonia to zauważyła, no i dalszy ciąg znasz...

- Oto co znaczy mieć powodzenie! - rzuciła sarkastycznie Varnie. - Uporządkuj wreszcie swoje życie osobiste. Jeśli ta damulka znowu tu przyjedzie, z największą przyjemnością powiem jej, że jesteś wolny i że tylko na nią czekasz.

Jak burza wypadła z gabinetu. Wyjeżdżam, pomyślała. Mam dość tego gbura. Jak śmie mnie oskarżać o wykorzystywanie sytuacji? Może jeszcze uroił sobie, że lecę na jego pieniądze? Pobiegła na górę, żeby się spakować. Cała się trzęsła! I to dlaczego? Z powodu jednej rozmowy? Żaden mężczyzna nigdy nie doprowadził jej do takiego stanu. Nawet ten oszust Walker.

Ściągnęła walizkę z półki i zapakowała do połowy, gdy znów naszły ją myśli o Johnnym. Do licha! Wyje-

chać byłoby najprościej, ale... Jaki los czeka wtedy jej brata? Opadła ciężko na fotel, lecz nie usiadła długo. Roznosiło ją. Zbiegła na dół i znów bez pukania wpadła do gabinetu.

- Mam wyjechać, tak?

Beaumont wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz.

Dobrze! Nie, wcale nie jest dobrze.

- A jeśli wyjadę, to co będzie z Johnn'em?

- Dziwię się, że w ogóle pytasz. - Uśmiechnął się zjadliwie.

A to świnia. Gnida! Przez moment patrzyli sobie w oczy, ona z furią, a on - co już naprawdę nią wstrząsnęło - z lekkim rozbawieniem.

- W porządku - warknęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i odwróciła się na pięcie, gdy raptem usłyszała:

- A kawa? Miałaś przynieść mi kawę. Zapomniałaś? - Wypowiedział to tak aksamitnym tonem, że najchętniej rzuciłaby się na niego z pięściami. Zabije tego drania! Mieszkali na uboczu. Zgniłby, zanim ktokolwiek odnalazłby zwłoki. Piękna myśl!

Rozwścieczona wbiegła do kuchni, ale nie po to, by zrobić kawę. Jeszcze czego! Powiedział: „Dziwię się, że w ogóle pytasz”. Jasna sprawa. Gdyby odeszła, Johnny byłby spalony. Miotła się, trzaskając garnkami, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na aparat, ale ani

jej się śniło odebrać. To do jego lordowskiej mości. Pewnie dzwoni ta King. Ależ mu nagada! No i dobrze. I pomyśleć, że naprawdę próbowała uchronić go przed tą pijawką. Niech więc mu teraz zwiędną uszy. Dobrze mu tak!

- Telefon do ciebie. - Beaumont wszedł do kuchni.

- Kto mówi?

- A komu powiedziałaś, że tu jesteś?

O matko! Wytarła ręce w ściereczkę i podeszła do aparatu, dając Leonowi spojrzeniem do zrozumienia, że chce być sama, ale nawet się nie poruszył. Podniosła słuchawkę.

- Varnie? To ty? Ktoś odebrał, ale...

- A kto mówi?

- Russel. Russel Adams.

- Och - odetchnęła z ulgą. - Cześć, miło cię słyszeć. Co słychać w Caernarvon?

- Jestem z powrotem u rodziców. Zapomniałem zabrać przybory do golenia. I bardzo dobrze. Mam okazję zaprosić cię na kolację. Znajdziesz czas?... Oj, Varnie - zażartował, gdy przez moment nie odpowiadała - nie umartwiaj się. Dziadek się nie obrazi, jeśli poświęcisz trochę czasu komuś młodszemu... A ten facet, który odebrał telefon, to kto? Twój ukochany?

- Daj spokój, skądże. Przyjaciel Johnny'ego. Przejeżdżał tędy i wpadł na kawę. - Nagle zrobiło jej się gorąco.

Po co w ogóle wypowiedziała imię brata. Diabli nadali!

- Dobra, gdzie się spotkamy?

- Podjadę po ciebie. Powiedzmy o..,

- Przyjadę moim samochodem - ucięła. Nie sądziła, żeby Beaumont odniósł się wyrozumiale do odwiedzin jej przyjaciół. Chociaż... po najściu przez Antonię King było mu już chyba obojętne, kto jeszcze wiedział, gdzie spędza wakacje. Zresztą - co to za wakacje, kiedy się pracuje od rana do nocy.

Umówili się z Russellem na parking przed hotelową restauracją o wpół do ósmej i Varnie z ulgą zakończyła rozmowę.

Leon, co trochę ją zdziwiło, napełnił czajnik i postawił go na płycie. Jasne, chciało mu się pić i jeść, ale nie zamierzała mu usłużyć.

- Skoro już jestem tym „przyjacielem Johnny'ego” to może mógłbym napić się chociaż herbaty - powiedział spokojnie.

- Wolałbyś, żebym powiedziała Russelowi, kim jesteś i co tu robisz? Nie sądzę.

- I dlatego uznałaś, że lepiej, żeby po ciebie nie przyjeżdżał?

- To też. Poza tym nie chciałam, żeby wyszło na jaw, że jestem szantażowana i muszę usługiwać jakiemuś zrzędzie.

- Bezczelna cwaniara! W życiu takiej nie spotkałem.

- Dziękuję - odpowiedziała i nagie odechciało się jej wszystkiego. Była gotowa się poświęcić, zrobić bardzo wiele z miłości do brata, ale nie godziła się na pomiatać nie sobą. - Herbata czy kawa? - zapytała martwo.

- Herbata. Mówiłaś, że masz uraz do mężczyzn. I co? Odmieniło ci się?

- Mówisz o Russelu? To mój przyjaciel.

- Co za różnica.

- Nie ma w twoim otoczeniu kobiet, z którymi łączy cię po prostu przyjaźń? - Spojrzała na nienawistnego jej mężczyznę... mężczyznę w każdym calu. Nie potrzebowała odpowiedzi. - Nie, Ty tego nie znasz. Zresztą, nieważne. - Zaśmiał się i jego oczy nabrały takiego blasku, że odwróciła wzrok. - Zostawię ci zapiekankę... Poradzisz sobie?

- Na pewno. Będziesz w domu przed północą, tak?

Popatrzyła na niego osłupiała. Chyba nie żądał od niej, żeby wróciła, nim zegar wybije dwunastą!

- Obym tylko nie zapomniła włożyć szklanych pantofelków - rzuciła na koniec.

Dopiero w pokoju dotarło do niej, jak się zachowała. Co ją napadło? Na litość boską, nawykła przecież do obcowania z trudnymi ludźmi. Nie da się pracować w hotelu z nastawieniem, że każdy gość będzie milutki. To prawda, że jego wysokość Leon Beaumont nie był ani łatwy, ani miły, ale dlaczego szła z nim wciąż na ud-

ry? Chwileczkę. Zgodziła się być jego gosposią. Właściwie - narzuciła mu się z tą rolą z wiadomych przyczyn. Więc o co szło? Jeśli był ktoś, komu naprawdę należało się manto, to tym kimś był jej brat. Już my sobie pogadamy, braciszku drogi, pomyślała ze złością, choć z góry przewidywała, jak się to skończy. Jak zawsze mu wybaczy i wszystko będzie po staremu.

Wzięła prysznic, włożyła eleganckie spodnie i jasnożółtą, twarzową bluzkę i przyrzekła sobie dołożyć wszelkich starań, by zachowywać się wobec Beaumonta naturalnie i uprzejmie - tak jak zawsze zachowywała się wobec hotelowych gości. Postanowiła być miłsza.

Przed wyjściem na spotkanie z Russelem zesłała jeszcze do kuchni i zajrzała do piekarnika. Zapiekanica wyglądała ładnie i powinna okazać się smaczna. W saloniku był porządek. Nakryła do stołu, coś tam uprzątnęła i weszła na górę poprawić makijaż. Wzięła torbę na ramię, wygładziła żakiet. Z łazienki Leona do niedawna dobiegał szum wody. Teraz pompa już nie pracowała. Varnie odczekała jeszcze chwilę. Leon już się na pewno ubrał. Zapukała. Otworzył prawie od razu, zapinając przód koszuli.

- Nie niepokój się - powiedziała z biciem serca, dziwnie schrypniętym głosem. - Już sobie idę, tyle że... - Na moment zapomniiała, po co w ogóle przyszła. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że zapiekanka będzie gotowa

o wpół do ósmej, ale nic się nie stanie, jeśli zechcesz ją zjeść trochę później.

- Dziękuję - odpowiedział łagodnie. Miała wrażenie, że podobnie jak ona niedawno, Leon również udzielił sobie lekcji na temat uprzejmości.

- Zostało też z wczoraj trochę sernika na deser. I herbatniki. ..

- Jestem pewien, że nie zgłodnieję. Poczula się okropnie, jak nigdy w życiu.

- Twoja sprawa. - Odeszła od drzwi łazienki.

- Miłego wieczoru! - zawołał za nią.

Parę minut później siedziała za kierownicą. Wreszcie wolny wieczór! Przyjemnie będzie pobyc trochę w towarzystwie Russela, mówiła sobie, ale przez całą drogę nie poświęciła mu ani jednej myśli. Zaistniał dla niej, dopiero gdy wjechała na hotelowy parking i spostrzegła, że już czeka. Jechała zaślepiona obrazami mężczyzny, którego pozostawiła w Aldwyn House. Prawdę mówiąc, Leon Beaumont panował w jej myślach bezustannie i niepodzielnie. Głupia sprawa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rano nie chciało jej się wstać. Obudziła się o zwykłej porze, ale zamiast od razu się podnieść i zacząć dzień od prysznic, leżała, rozpamiętując wydarzenia z wieczoru. Kolacja z Russellem przebiegła szybko i zwyczajnie. Rozmawiało się im łatwo i kiedy zeszło znów na sprawy sercowe, opowiedziała mu o Martinie.

- Rozumiesz więc, że chwilowo mam z mężczyznami na pieńku. Nie mówię, oczywiście, o tobie. - Uśmiechnęła się. Czuła podświadomie, że Russel myśli to samo, co ona - że są przyjaciółmi i nikim więcej dla siebie nawzajem nie będą. Miała też wrażenie, że nie odżałował jeszcze rozstania z dziewczyną, z którą kiedyś zamierzał się żenić.

Gawędzili z przyjemnością, po kolacji wypili kawę, ale o wpół do jedenastej byli już na parkingu. Żegnając się, Russel powiedział, że w najbliższych tygodniach będzie na budowie na północy Anglii, ale po powrocie zadzwoni do Aldwyn House i może ją jeszcze zastanie.

- Kto wie - uśmiechnęła się lekko. Podziękowali

sobie za miły wieczór, ucałowali z dubeltówki, Varnie wsiadła do samochodu, a Russel pomachał jej na do widzenia.

Kiedy podjechała pod dom, lampa nad głównym wejściem była zapalona. Przyjemnie zaskoczona, Varnie z uśmiechem zaparkowała na podwórzu i uszczęśliwiona weszła do domu. Jej chwilowy pracodawca jeszcze nie udał się na spoczynek. Przy jego trybie życia jedenasta w nocy była wczesną porą. W saloniku paliło się światło. Otworzyła drzwi. Beaumont czytał. Podniósł wzrok znad książki i zauważył, że się uśmiecha.

- Wygląda na to, że jesteś w dobrym nastroju.

Varnie się zjeżyła. Już miała, jak zwykle, odburknąć coś zaczepnego, ale ze zdziwieniem poczuła, że wcale nie ma ochoty z nim walczyć.

- Wiesz, jak to jest... - Uśmiechnęła się. - Dobre jedzenie, dobre wino, dobre...

- Dobre towarzystwo?

Nie wytrzymała i wybuchała śmiechem. Mogli mieszkać pod jednym dachem, ale w żadnym wypadku nie dałoby się powiedzieć, że lubią swoje towarzystwo.

- Nie obraż się, ale...

- Nic z tych rzeczy - odparł łagodnie, przenosząc wzrok z jej roześmianych ust na rozpromienione oczy.

- Nie podchmieliłaś sobie za bardzo, mam nadzieję?

- Znając tutejsze kręte drogi? - Prawie się uśmiechnął,

a jej serce wykonało zupełnie kretyński podskok. - Czy... czy mam coś zrobić? Będę ci w czymś potrzebna?

- Nie, nie. Dziękuję... Dobranoc, Varnie - rzucił za nią cicho, gdy podeszła do drzwi, gnana niezrozumiałą potrzebą wymknięcia się z pola jego widzenia.

- Dobranoc... Leonie - wybąkała i prędko wyszła.

Nie usnęła od razu. Leżała długo, rozmyślając nie o przyjacielu, z którym spędziła wieczór, a o nim, o mężczyźnie, który zapalił dla niej światło nad gankiem. Co za brednie, zakpiła z siebie, wyskakując z łóżka. Rozluźniła się pod prysznicem, ale nie umiałyby powiedzieć, co wydało jej się raptem tak nonsensowne. Śmieszne! Jeszcze dziwniejsze było to, że - nie do wiary! - na myśl o porannej rozmowie z Beaumontem czuła onieśmienie. Doprawdy, to jakaś bzdura. Nie była z natury nieśmiała. Działo się z nią coś dziwnego. Tak czy owak, mogła przezwyciężyć to głupie onieśmienie tylko w jeden sposób - a mianowicie zachowując się naturalnie i swobodnie, tak jak Leon, gdy powitał ją w saloniku.

Jak zwykle był w kuchni pierwszy. Nalał jej filiżankę kawy.

- Zaraz zrobię śniadanie - powiedziała, przytłoczona jego obecnością. Kuchnia była duża, a mimo to Varnie miała wrażenie, że jest im z sobą za ciasno.

- Zastanawiam się, czy nie wypitaś wczoraj za dużo. W każdym razie wyglądasz, jakby męczył cię kac.

Miała wielką ochotę zapytać, czy przypadkiem sobie wczoraj nie podlał, gdyż mówił, jakby sam był na kacu. Ale, być może, działo się tak z jej winy. Zapanowała więc nad niechęcią i zajęła się przysmażaniem boczku.

I tak zaczął się ten ranek, a podobnie przebiegł cały tydzień. Nie pojmowała, dlaczego, ale po prostu nie umiała zachowywać się w towarzystwie Beaumonta naturalnie. Zresztą - prawie przestał się odzywać.

Nadszedł piątek. Varnie miała nadzieję, że Leon wyjedzie do Londynu - na weekend, a może i na dobre się wyniesie. Nie wyjechał. Przyszła sobota. I nic. Korciło ją, żeby spytać, jak długo jeszcze zamierza tu tkwić, ale z góry wiedziała, że nie ma co liczyć na jasną odpowiedź. Ugotowała, posprzątała i wyszła na zakupy. W niedzielę postanowiła zrobić jaki taki porządek w ogrodzie. Było co prawda mokro, ale włożyła grubą sweter i zabrała się do grabienia. Szybko poprawił się jej nastrój. Godzinę później, gdy Leon wyszedł na dwór, piętrzyła się przed nią cała góra zgrabionych liści.

- Przeszkadza ci hałas? - Umysłowiła sobie, że szczękanie grabi o kamienie mogło zakłócić jego spokój.

Zignorował pytanie i spojrzał na liście.

- Ta kupa nigdy się nie spali.

Zrzęda! Varnie wiedziała dobrze, że ze zbutwiałych liści nie będzie ogniska, więc uśmiechnęła się kpiąco.

- A o kompoście nie słyszałeś? Mieszczuch!

Popatrzył na nią ciężko, ale jakby mu ulżyło.

- Znowu jesteś sobą. Dogadujesz mi.

- Ja?

- Tak, ty. Ale wolę już, jak czepiasz się o byle co, niż kiedy cedzisz słówka.

- Ja cedzę słówka! To chyba ty nabrałeś wody w usta.

A w ogóle... myślałby kto, że...

Drgnęły mu usta, ale nie pozwolił sobie na uśmiech.

- Daj mi te grabie - sarknął. - Idź, zaparz kawę.

Spojrzała na niego z bijącym sercem, pojmując nagle, że w jej życiu dokonuje się przemiana, że zdarzyło się coś jak z bajki - nieoczekiwanego i... niezamierzonego.

- Zrób to jak należy! - Jak na skrzydłach wbiegła do domu.

Dopiero w kuchni odzyskała zdolność logicznego myślenia. Przemiana? Bajka? O matko! Co za absurd! Co ja sobie roję? Nie stało się nic, zupełnie nic. Beaumont raptem zagustował w urokach gospodarowania. Póki nie odechce mu się tych wywczasów, była skazana na jego towarzystwo. Buntowała się chwilę, ale musiała przyznać, że tak czy owak jest jej o wiele lżej na duszy. Zaparzyła kawę i wyszła na dwór. Po raz pierwszy od wtorkowego wieczoru na jej ustach zagościł uśmiech. Czy to możliwe, że Leon wolał jej uszczypliwości od milczenia? Obchodząc dom z boku, obserwowała go uszczęśliwiona. W porządnym butach, spodniach, ko-

szuli i w jasnym swetrze grabił ogród aż miło. Zajęcie to najwyraźniej sprawiało mu przyjemność.

- Robiłeś już takie rzeczy, kłamczuchu! - zawołała, gdy zerknął na nią przez ramię.

- Odrobina gimnastyki nikomu nie zaszkodzi - skrzywił się i nagle go pożałowała. Przez cały tydzień tkwił bez ruchu przy biurku.

- Wypijesz kawę w domu czy tutaj? Jeśli chcesz, przyniosę... - Zawiesiła głos, słysząc, że przed bramą zatrzymuje się samochód. Oboje spojrzeli w tym kierunku. Kierowca już wysiadał. Znam go? - zastanowiła się Varnie. Tak, na pewno go gdzieś widziała, tylko gdzie? O, do diaska! O ile jej mogło się jedynie wydawać, że skądś pamięta tego mężczyznę, to Leon go znał - i to bardzo dobrze. Z wściekłością odrzucił grabie i ruszył w stronę ogrodzenia. Matko jedyna! To Neville King! Przed oczyma zatańczyła jej scena ze zdjęcia w gazecie. Sądząc z rozjuszenia Leona, ten facet mógł dzisiaj znów nieźle oberwać.

- Dostałeś ten adres od żony, tak? - Nie bawiąc się w przywitania, Beaumont sięgnął do rygła, lecz zanim zdążył go odciągnąć, Varnie przydusiła jego rękę. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić do burdy, a może i rozlewu krwi.

- Pan Neville King, prawda? - zwróciła się przyjaźnie do przybysza, choć Leon aż rwał się do bójki. - Mie-

liśmy właśnie pić kawę. Zechce nam pan towarzyszyć? Zapraszam.

King pokręcił głową.

- Nie, nie. Dziękuję - odpowiedział kulturalnie. Spojrzała mu w twarz i zrozumiała, że jest potwornie rozbity i udręczony, i to na pewno nie z powodu długiej jazdy z Londynu. Albo bardzo kochał żonę, albo po prostu tak mu zależało na rozprawieniu się z Beaumontem, że nie zawahał się przyjechać aż do Walii. - Toni powiedziała mi wczoraj, że była tu we wtorek - zwrócił się bezpośrednio do Leona.

- No i? - zadrwił buńczucznie Leon.

- Mówiła, że mieszkasz tutaj ze swoją ukochaną. Chcę wiedzieć, czy to prawda.

- Żona nie wstąpiła do nas nawet na kawę - wtrąciła prędko Varnie. - Zatrzymała się przejazdem, dosłownie na chwileczkę... Tak się złożyło, że Leon pracował i nie mógł się z nikim widzieć, a ja... zdążyłam jej tylko powiedzieć parę słów... O nas - dokończyła nieśmiało. Zabrzmiało to miękko, owszem, lecz w głębi duszy Varnie toczyła z sobą prawdziwy bój.

- A zatem... pani i on... jesteście kochankami? - Ledwie panował nad sobą. Nie zadaje się takich pytań, pomyślała Varnie, lecz wystarczyło popatrzeć w zrozpaczone oczy Kinga, by wybaczyć mu nietakt. Nigdy w życiu nie widziała kogoś tak udręczonego.

- To... - Beaumont szarpnął się, lecz Varnie natychmiast go powstrzymała.

- Rzecz w tym, że uważamy tę sprawę za bardzo osobistą. Ale niech będzie... - Rzuciła Leonowi słodki uśmiech. - Wyznam, że... no cóż, nie czuję się obco w sypialni tego pana.

Beaumont gwałtownie wbił w nią wzrok. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że wpatruje się w nią, jakby wyrosły jej rogi.

- Od dawna to trwa? - zachłysnął się Neville.

- Burak! - warknął Leon, lecz Varnie w pełni rozumiała Kinga.

- Już dosyć długo. - Dziadku drogi, pomyślała. Miałaś takie wspaniałe poczucie humoru, pewnie i teraz zaśmiewasz się gdzieś w raju. Na pewno mi wybaczysz. - Ostatnio w mojej rodzinie mieliśmy żałobę - wyrzuciła z siebie. - Z tego względu Leon i ja... Nie wypadało nam, pan rozumie. Postanowiliśmy odłożyć ogłoszenie zaręczyn na później.

- Jesteście zaręczeni? - King zwracał się już wyłącznie do niej. - Naprawdę?

O matko! Beaumont mnie zabije, pomyślała przerażona.

- Oficjalnie jeszcze nie. Jak powiedziałam, nie wypadało... Ale, owszem, zaręczyliśmy się. - Rozpromieniona, odważyła się spojrzeć na kompletnie oszołomionego

Leona. - Ukląkłeś przede mną, kochany. No, przyznaj się... - Nie mogąc znieść straszego błysku w jego oczach, przeniosła wzrok na czoło, pod którym paliła się pewnie żądza mordy. - A ja - dokończyła prosto - przyjąłam oświadczenia.

- Dostyc tego! - syknął Leon. Wyglądał, jakby miał wzywać ducha, ale Neville rozprężył się i nie próbował się odciąć, nawet gdy usłyszał: - Masz jeszcze coś do powiedzenia, to mów, byle szybko, i zabieraj się stąd.

- Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. - Wsiadł do samochodu jak pijany, uśmiechnął się, oczywiście do Varnie, i odjechał. Varnie natomiast nie wiedziała, co robić. Umknąć biegiem prosto do domu, czy też zwyczajnie przejść aleją.

- Kawa wystygnie - powiedziała napiętym tonem. Leon nie odezwał się ani słowem. - O Boże! Ale ziąb! - Żadnej reakcji - Wiesz, pójde chyba do siebie.

Przyspieszyła kroku. Nie wierzyła, że mógłby jej odpuścić, i obawiała się konfrontacji. Pamiętała, jak się wściekł, gdy opowiedziała mu o rozmowie z Antonią. Oskarżył ją nawet o babski spisek, o wykorzystywanie sytuacji, o to, że dla własnych korzyści rozgłasza bzdury. Ratunku! Teraz to już wpadła po uszy. Zrobiło się jej gorąco i kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, ściągnęła gruby sweter i nerwowo przeczesła palcami włosy. Obciągnęła koszulkę. Nagle na schodach zadudniły

kroki. Matko! To on! Chyba nawet nie wypił kawy. Nasłuchiwała bez ruchu. Może Leon przejdzie obok, może ominie jej pokój.

Niestety, Kroki ucichły pod drzwiami. Jak zahipnotyzowana patrzyła na klamkę. Przełknęła ślinę. O nie! Nie miała zamiaru stać potulnie, cierpieć jak Neville King, gdy dostał w twarz... Beaumont otworzył drzwi, wrogi, gotowy dać jej wycisk.

- A może byś tak zapukał? - zaatakowała pierwsza.

- Do narzeczonej? A po co? - Jak podejrzewała, nie rozumiał jej zachowania. Może jeśli mu wytłumaczy... Próżne nadzieje! - Skoro ty masz rzekomo prawo bywać, kiedy chcesz, w mojej sypialni, to i mnie wolno wchodzić bez pytania. Małżeństwo to coś nie dla mnie - powiedział twardo, przechodząc na środek pokoju.

- Rozumiem, naturalnie. Ja...

- A gdybym nawet kiedykolwiek postradał rozum i zdecydował się na tak drastyczne rozwiązanie, proszę mi wierzyć, panno Sutton, jest pani ostatnią osobą, o której mógłbym zamarzyć.

- Ja też nigdy nie pomyślałabym o tobie! - rzuciła ze złością, lecz zaraz spuściła z tonu. Cały ten pasztet był jej dziełem, po co jeszcze zaogniać sprawę. - Posłuchaj, nie ma potrzeby odwoływać się do naszych pragnień i intymnych spraw. Postąpiłam źle, ale...

- Uważasz, że mówienie o sobie jako o przyszłej pa-

ni Beaumont nie jest wkraczaniem na grunt osobisty?
 - Rzucił się w jej kierunku, więc wystraszona cofnęła się pod ścianę.

- Chciałeś go uderzyć - powiedziała prędko.

- A co cię ten bałwan obchodzi?

- Jest zdruzgotany. Nie widziałeś, jakie miał oczy? Miałby jeszcze doznać fizycznej przemocy? Uderzyłbyś go, a on ciebie i...

- Wątpię.

Leon miał rację. Gdyby dołożył Kingowi, ten biedak nie miałby pewnie siły oddać.

- To nie fair!

- Co mianowicie?

- Widzisz to zbyt jednostronnie.

- Jednostronnie! A to dobre! - Leon zacisnął zęby. - To ja zostałem postawiony w sytuacji, jakiej nienawidzę. Usiłowałem poradzić sobie z paranoiczną zazdrością Kinga taktownie. Dawałem mu wielokrotnie do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany jego żoną. Bóg jeden wie, jakie brednie mu wmawiała. Uczepiła się mnie, a on ciągle interweniował. W ubiegłym tygodniu puściły mi nerwy. Czy to dziwne?

- Pobiłeś go.

- Tak. Tyle że właściwie to on pierwszy zamachnął się na mnie.

- Nie wiedziałam... Fotograf nie uchwycił tego mo-

mentu. Ale... zrozum, King próbuje ratować swoje małżeństwo.

- To małżeństwo już nie istnieje. Przetrzyj oczy... Ich związek się rozpadł, tylko że on tego nie widzi. Nie, nie przeze mnie. Gdyby jego żonie nie zachciało się amarów ze mną, znalazłaby kogoś innego. Jeszcze tego nie rozumiesz?

Podszedł bliżej, tak blisko, że widziała jego oczy, i szybko przesunęła się do okna. Zrozumiała, że jej jedyną bronią jest atak.

- Antonia nie jest jedyną mężatką, z którą... cudzołożyłeś. Miałeś jej dość. Poprosiłeś mnie o przysługę, zależało ci, żeby odczepiła się od ciebie na zawsze. No to masz, czego chciałeś. Osiągnęłam to, kłamiąc, że ty i ja... - zadrżał jej głos.

- I z tego samego powodu, żeby spławić jej męża, powiedziałaś Kingowi o naszych zaręczynach?

- Nie. To nie tak. Neville ogromnie cierpiał. Cierpi. Chciałam, żeby mu ulżyło, żeby miał pewność, że żona go nie okłamuje.

- Proszę, jaka wrażliwa duszyczka - zakpił Beaumont.

- A o mnie nie pomyślałaś? Bo co? Bo ze mnie jest gbur, cham i łajdak. Tak uważasz? I świadomie, znając mój uraz do kobiet, ustawiasz się w roli mojej kochanki.

- Wiesz, z jakiego powodu. A zresztą... - Nagle zabolęła ją to, co powiedział. On nigdy jej nie polubi. -

Nikommu przecież nie wmawiałam, że się w tobie kocham! - krzyknęła.

- Ale udawałaś świetnie! - Przytrzymał ją za przedramiona. Nie odsunęła się. Nie panikowała. Szczerze mówiąc, rzeczywiście trochę przeholowała.

- Nie dasz się przeprosić?

- I co mi po tym? Od wtorku wszyscy w mojej firmie gadają pewnie tylko o tym, że jestem w Walii i wzię sobie miłosne gniazdko. Antonia zwierzyła się mężowi wczoraj, a to znaczy, że rozpuściła już ploty wszędzie. Po powrocie Kinga zacznie się prawdziwy bal! Jestem zaręczony. .. rozumiesz, zaręczony.

- Nie! - Varnie zakryła ręką usta. - Możesz zaprzeczyć. Nikt im nie uwierzy.

- Miałoby to sens, owszem, ale tylko wtedy, gdybym obrócił twoje banialuki w żart od razu, kiedy tak wielkodusznie odprawiałaś Kinga.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Po pierwsze, przytknęło mnie. Ty to masz tupet! Ale skoro nie zaprzeczyłem, to powinienem się jakoś znaleźć w nowej sytuacji. Dlaczego nie miałbym skorzystać z uprawnień, które mi dałaś? Nie widzę powodu.

Varnie popatrzyła na niego niepewnie.

- Czegoś tu chyba nie rozumiem - przyznała. - Co właściwie chcesz powiedzieć?

- Twierdziłaś, że jesteśmy kochankami, ale - zlustro-

wał ją wzrokiem - jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym miał tę przyjemność. W tej swojej koszulce wyglądasz całkiem pociągająco.

Varnie spuściła wzrok na piersi opięte białą koszulką i aż zadzwoniło jej w skroniach. Gwałtownym ruchem odsunęła się od Leona. Patrzył jej w oczy i odniosła wrażenie, że bawi go niepokój, jaki w nich dostrzegł. Przyciągnął ją do siebie.

- Chętnie bym się przekonał, jak by to było.

- Nie! - wyszeptwała. Wciąż nie docierało do niej, co właściwie się dzieje.

- Ależ tak - zadrwił, przytrzymując ją za ramiona. Poczuli, że ogarniają panika.

- Mówiłam ci, że mam uraz do mężczyzn.

- A ja mógłbym powtórzyć, że nie cierpię kobiet - tylko co by mi to dało? A teraz, skarbie, chciałbym poznać smak twoich ust...

- Chyba nie wydaje ci się... - Wydobyła z siebie resztki odwagi. - Nie wyglupiaj się! Och! - krzyknęła, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Odepchnęła go z całym siłą. - Nie! Nie wolno ci...

- Niby dlaczego? - zakpił. - Utrzymujesz, że jesteśmy kochankami. Byłoby mi bardzo niemiło, gdybym musiał uznać cię za oszustkę. - Przygarnął ją do siebie i zszokowana poczuła, że wsunął ręce pod koszulkę i pieści jej plecy. Rzuciła głową, nie pozwalając się całować. - Oj,

Varnie, nie bocz się. Jest mi tak dobrze. Masz taką jedwabistą skórę. - Nie wolno ci...

- Wolno. Chyba nawet muszę - powiedział, akcentując słowa. - Pamiętam cię naga, o tak, przypominam sobie... Jesteś piękna i masz doprawdy niezwykłą fantazję, więc chyba nie odmówisz mi prawa, żebym poczuł to, co do tej pory jedynie widziałem.

- Nie... - szepnęła z wypiekami na twarzy.

- Miła moja - wymruczał. Tyle w nim było szczerości, ile w niej, gdy tak go nazwała w rozmowie z Antonią. Umknęła ustami i zaczęła się szamotać. Wyrwała się, podbiegła do drzwi, ale Leon pochwyił ją, wtulił w siebie plecami i ani myślał puścić. - A dokąd to? - zaśmiał się jej w ucho, omiatając oddechem szyję. Poczwała go całego i wydało jej się, że umiera. Głośno wciągnęła powietrze. Czwała, że ma rozpięty biustonosz, czwała jego dłonie gnioące jej pełne piersi, palce drażniące twardniejące sutki.

- Przestań... - szepnęła roztrzęsiona. - Przestań! - szarpnęła się gniewnie.

- To już lepiej - zakpił. - Nie ścierpiałbym u ciebie bierności.

Wsunął dłonie pod rozluźniony paseczek jej spodni.

- Nie! - krzyknęła, gdy opuścił je na brzuch i przesuwał w dół ud. Nie drżała już leciutko, lecz całym jej ciałem wstrząsał dygot.

Leon zorientował się chyba, że dzieje się coś niedobrego. Znieruchomiał, wyjął ręce na wierzch, przytrzymał ją i odwrócił twarzą do siebie. Patrzył na nią bez drwiny, jakby sprawdzając, czy nie udawała. Twarz Varnie była kredowo biała.

- Ale ze mnie... - Zakrył dłonią usta. Wciągnął głośno powietrze. - Przestraszyłem cię. - Zabrzmiało to tak, jakby nie mógł uwierzyć, co ze złości zrobił, do czego się posunął. - Nie bój się! - zapewnił żarliwie. - Uspokój się, no już... Jesteś w porządku. Już po wszystkim. Nie skrzywdzę cię. Daję słowo, nie masz się czego bać.

- Wyjdz - wyszeptwała.

- Trzęsiesz się cała. Jesteś...

- Wyjdz - powtórzyła. - Chcę, żebyś wyszedł. Muszę być teraz sama.

Zwiesił ręce po bokach, choć przez sekundę miała dziwne wrażenie, że najchętniej przeprosiłby ją delikatnym pocałunkiem. Pochylił już głowę, lecz nagle gwałtownie się odwrócił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Varnie opadła na fotel. Dygot stopniowo mijał. Wiedziała, co powinna teraz zrobić. Spakować się i wyjechać. Chyba nawet Johnny nie miałby jej tego za złe. A jednak - dziwne to, ale prawdziwe - coś, nie wiadomo co, powstrzymywało ją od takiego rozwiązania. Szczerze mówiąc, wcale nie chciało jej się wyjeżdżać!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spodziewała się, że Leon jest w gabinecie, ale gdy zesza przebrana po prysznicu w świeże spodnie i lekki sweterek, czekał na nią w kuchni. Słyszając, że wchodzi, odwrócił się od okna i kiedy wyrwał się jej cichy okrzyk, wziął jej zaskoczenie za przestrah.

- Nie bój się - powiedział. - Nie będę już taki... szybki.

Na twarz Varnie wypłynął szkarłatny rumieniec. Stanęły jej przed oczyma wszystkie te gwałtowne sceny. Nigdy w życiu nie zaznała takich intymności.

- Dasz mi to na piśmie? - Raptem poczuła, że nie jest w stanie przebywać z Leonem w jednym pomieszczeniu.

- A w ogóle to... idę na spacer - powiedziała drętwio.

- Nie wyjeżdżasz?

- Miałabym się pozbać twego rozkosznego towarzystwa?

Uśmiechnął się.

- I pomyśleć tylko, że zastanawiałem się, czy nie wy-

rządziłem ci krzywdy. Czego jak czego, ale ostrego języka na pewno cię nie pozbawiłem.

Chwyciła kurtkę z wieszaka przy drzwiach i wybiegła na dwór. A to gad! Nie cierpiała go za strach, jakiego jej napędził, ale nienawidzić - nie potrafiła. W swoich miłosnych zapalach - jeśli w ogóle można to było tak nazwać - nie zamierzał posunąć się daleko. Ot, zwyczajnie zemścił się za to, co na ich temat wygadywała. Miał prawo sądzić, że skoro zraziła się do mężczyzn, to z niejednego pieca chleb już jadła. Zasłużyła być może na cięższą przeprawę. Przecież nie co dzień się zdarza, Żeby kobieta, bez najmniejszej zachęty ze strony mężczyzny, pozwałała sobie na taką bezczelność, by ustawić go w roli narzeczonego. No więc - zakpiła z siebie - jak to sobie wyobrażałaś, aniołku? Wydawało ci się, że co? Że Leon tak po prostu przełknie to wszystko i podkuli ogon? A jednak nie była w stanie go rozgrzeszyć. Zmusił ją do pozostania w Aldwyn House szantażem. Ale teraz... Czy posunąłby się do szantażu jeszcze raz? Czy w ogóle musiał? Przecież sama odrzuciła myśl o wyjeździe. Taka perspektywa wcale się jej nie uśmiechała - i nie miało to nic wspólnego z Johnnym.

Przypomniało jej się nagle, że kiedy powiedziała: „Idę na spacer” Leon spytał: „Nie wyjeżdżasz?” i to takim tonem, jakby wcale tego nie chciał. Oczywiście, że nie chciał. Gdyby odeszła, kto by mu sprzątał i gotował? Kto

by tego gburą karmił? Ano właśnie, pomyślała, wchodząc do domu. Przeszło godzinę temu powinna mu podać lunch. Ruszyła czym prędzej do kuchni, lecz okazało się, że deliberowała niepotrzebnie. Leon sam zrobił sobie kanapki, a nawet zostawił jedną dla niej! Ogarnęło ją przemożne poczucie wdzięczności. Nie musiał dla niej nic robić. Ale zrobił! Był to naprawdę miły gest, odsłaniający nieznanne cechy człowieka, którego starała się znienawidzić, ale... nie potrafiła. Bzdura! Kolejne urojenie, pomyślała. Nadmierna zażyłość z Beaumontem pozbawiła ją na krótko logicznego, racjonalnego podejścia do życia. Postanowiła odzyskać dawną siebie - a na razie po prostu zejść mu z oczu.

Unikanie Leona okazało się zadziwiająco łatwe. Nawet kolacji nie chciał jeść, jak zwykle, w saloniku. Wszedł na moment do kuchni i poprosił, by przyniosła mu ją do gabinetu. Do końca dnia zamienili z sobą nie więcej niż dwa słowa.

Rano wstała wcześniej z przeświadczeniem, że Leon niedługo wyjedzie. Jeszcze niedawno na samą myśl o tym skakałyby z radości, lecz dziś wcale nie podniosło jej to na duchu. Wzięła prysznic - przyzwyczała się już do swego kapryśnego grata - i mocno podenerwowana zeszła do kuchni. Była dziś pierwsza. Gdy Leon przyszedł na poranną kawę, nie powiedziała mu „dzień dobry”, lecz chy-

ba w ogóle tego nie zauważył. Wygląda na zmęczonego, pomyślała, kiedy nalewał sobie filiżankę kawy. Zresztą natychmiast potem wyszedł. I nagle, nie wiedząc czemu, zaniepokoiła się o niego. Zirykowała się na siebie. Na litość boską, był dorosły. Chce spędzić urlop za biurkiem, jego sprawa. Niby dlaczego miałyby ją to martwić?

Ale martwiło, i to tak bardzo, że kiedy zawołała go na śniadanie do kuchni, wybuchła bez namysłu:

- Powinieneś więcej wychodzić!

Patrzył na nią uważnie, bez słowa, jakby się zastanawiał, dlaczego pomyślała o czymś, co nie powinno jej obchodzić.

- Nudny ten twój narzeczony, co? - odezwał się bez cienia uśmiechu.

Z całego serca pożałowała, że w ogóle otworzyła usta.

- To niezdrowo pracować tyle godzin! - powiedziała zdenerwowana.

- Czy ta troska też należy do obowiązków służącej? Varnie zapłonęły oczy.

- No to pracuj sobie, aż padniesz. Nic mnie to nie obchodzi! - Zakręciła się i poszła posprzątać na górze.

Nienawidzę go, nienawidzę, powtarzała sobie bez końca. Aż do południa chodziła na przemian zbuntowana, na przemian markotna. To już dziesięć dni, myślała. Nigdy nie uchylała się od pracy, kiedy było trzeba, harowała i w nadgodzinach, ale nawet służbie od czasu

do czasu należało się wolne. Zaniósła Leonowi kanapki i odczekała, aż zakończy rozmowę telefoniczną.

- Nie zajmuję się już dziś kuchnią - zakomunikowała, kiedy tylko odłożył słuchawkę. - Dosyć! Służąca to też człowiek.

W oczach Leona pojawił się błysk. - A zatem? - zapytał.

- A zatem mam do wyboru: zawiozę cię gdzieś na kolację - w końcu stać mnie na gest pod koniec twego urlopu - albo kupię coś gotowego na mieście.

Patrzył na nią, jakby chciał, żeby sobie poszła i została go wreszcie w spokoju.

- OK! - wykrzyknęła zirytowana jego milczeniem. - Przywiozę ci słodko-kwaśne... Chociaż nie. Sos nie powinien być ani ciężki, ani kwaśny, i bez tego...

Jesteś wystarczająco kwaśny, pomyślała, ale nie dokończyła, a Leon jakby odzyskał humor. Roześmiał się. Naprawdę. Śmiał się na cały głos.

- Panno Sutton! Jest pani najbardziej zuchwałą służącą, jaką kiedykolwiek miałem. - Nagle zmienił ton. - Varnie... Chcę, żebyś wiedziała, że nie stanowię dla ciebie żadnego zagrożenia. To był... nieprzyjemny incydent. Przeholowałem, przykro mi.

- Nie przejmuj się - powiedziała impulsywnie, natychmiast odzyskując radość życia. - Nie stała mi się żadna krzywda.

- Jesteś wyrozumiała, bardziej niż na to zasługuję. - Spojrzał na nią poważnie. - Czujesz się przy mnie... bezpieczna?

Uśmiechnął się uspokojony, gdy zapewniła, że tak, oczywiście, i nagle ogarnęło ją uniesienie. Znowu byli przyjaciółmi, jeśli w ogóle - co bardzo wątpliwe - kiedykolwiek można ich było tak nazwać. Leon zastanawiał się nad czymś.

- Wiesz - powiedział raptem - skoro masz dość zajmowania się kuchnią, to myślę, że lepiej będzie, jeśli to ja zaproszę cię dziś na kolację.

Varnie zmieszła się.

- Naprawdę nie chciałam cię naciągać...

- Sądzisz, że o tym nie wiem? A w ogóle, masz rację, powinienem więcej wychodzić - dodał, jakby chciał ją upewnić, że za tą propozycją nie kryje się nic osobistego.

Wieczorem Varnie ubrała się starannie. Wmawiała sobie, że chce być, jak zawsze, zadbana i że towarzystwo Beaumonta nie ma tu nic do rzeczy. Zresztą jej wygląd chyba niewiele go obchodził, gdyż kiedy zeszła na dół w eleganckiej, podkreślającej zalety figury sukience, przemknął po niej spojrzeniem i rzucił prędko:

- Gotowa? Jedźmy już. Zarezerwowałem stolik. - Popatrzyła na niego jak cieleń na malowane wrota. Ochłoneła dopiero w samochodzie.

- Zarezerwowałeś stół? Ty? Przecież nie znasz tutaj restauracji?

- Masz dziś wychodne. - Zerknął na nią z wyższością, wyjeżdżając za bramę. - Postaraj się z tego skorzystać. I żadnych docinków, proszę.

Nietrudno było się cieszyć, zwłaszcza kiedy się okazało, że Leon wybrał cudowną restaurację w Ruthin Castle. Część osiemnastowiecznego zamku służyła obecnie jako hotel. Otaczały go ogrody i parki, leżące na terenie dawnego średniowiecznego miasteczka Ruthin, które w 1400 roku zajęli Walijszczyki pod wodzą Owaina Glendowera.

Varnie nie wiedziała, czego może się spodziewać po tym wspólnym wieczorze, ale jeśli nawet trochę się obawiała, że kolacja upłynie na nieskładnej rozmowie lub zgoła w milczeniu, przerywanym monosylabami, to bardziej nie mogła się pomylić. Johnny twierdził, że Leon potrafi być fantastycznym kompanem. I faktycznie - okazał się czarujący. Wysłuchiwał jej zdania na każdy temat, a co więcej, reagował bez najmniejszej uszczypliwości, gdy niezupełnie się z nią zgadzał. Och, jak przyjemnie, myślała Varnie, i tak ją w pewnej chwili zaskoczyło to odczucie, że aż potrzęsnęła głową.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał Leon z wyrazem lekkiego rozbawienia.

- Nie, nie... Tylko... Dotarło do mnie, że... że jest mi dobrze.

- Niespodzianka?

- Tak, bo...

- Bo co?

- Oj... Nie zapowiadało się najlepiej.

- Byłaś pyskata - przytaknął.

- A ty zręczliwy jak diabli - odbiła lekko i raptem ogarnęła ją poczucie winy. Oszukiwała Leona. Nie przyznała się, że Johnny jest jej bratem. Miała czelność napowiadać Kingom tyle kłamstw! To, co się teraz działo, było krótką chwilą zapomnienia, na które oboje przystali. - A jutro znów będziesz taki sam, jak dziesięć dni temu, podejrzliwy i drwiący.

- A ty będziesz dalej bałamucić ludzi.

Było to aż nadto bliskie prawdy i chociaż wiedziała, że Leon ma na myśli banialuki, które rozgłosiła na użytek tych nieszczęsnych Kingów, przytłoczyły ją znów wyrzuty sumienia. Cały ten blef związany z Johnnym...

- No już, zgoda? - poprosiła gorąco. - Jeśli obiecuję, że postaram się nie odpyskiwać i nie kłamać, a ty przyrzekniesz, że spróbujesz nie zręczyć i zachowywać się mniej porywczo... - Umilkła, gdyż spojrzał na nią, jakby już oskarżał ją o napastliwość. Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała, a on, najwyraźniej zauroczony, przylgnął wzrokiem do jej wydatnych ust. - Czy moglibyśmy, proszę, zawrzeć rozejm... choćby tylko na ten wieczór?

Udał, że się zastanawia.

- Da się zrobić - powiedział. Varnie roześmiała się w głos, a Leonowi błysnęły zęby w uśmiechu, gdy jednocześnie odpukali. W atmosferze średniowiecznego zamku musiało się unosić coś magicznego, skoro tak łatwo się pogodzili. Tego wieczoru wszystko było przepojone magią. Obeszło się bez najmniejszego zgrzytu. Byli z sobą tak zgodni, że zamówili nawet tę samą przystawkę - pięknie podane pomidory w polowie z koziego sera i szalotkę z portwajnem.

Jedli główne danie, gdy najzupełniej bez powodu - chociaż może i przyczynił się do tego wyraz rozpromienionych oczu Varnie - Leon zerknął na nią z zachwytem.

- Wyglądasz super. Jesteś taka inna, taka wytworna.

Błyskawicznie odwrócił wzrok, jakby wyrzucał sobie, że nieprzemyślaną uwagą zmałował niezobowiązujący, lekki nastrój.

- Zastanawiałam się, kiedy to zauważysz - odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem, który miał świadczyć o tym, że było jej to zupełnie obojętne. Wyczuła, że Leonowi spadł kamień z serca, ale jej reakcja chyba trochę go zaskoczyła. - Pamiętasz, jak to było? Schodzę na dół w swoim najładniejszym ciuchu i co słyszysz? „Gotowa?”. Na nic więcej się nie zdobyłeś! - Od razu pożałowała, że nie ugryzła się w język. Ostatnie zdanie mogła sobie da-

rować, naprawdę. Miało zbyt osobisty wydźwięk. - Oj, przepraszam - powiedziała. - Moje prywatne odczucia nie mają znaczenia. Bo nie mają, prawda?

Nie odpowiedział wprost.

- No cóż - stwierdził - człowiek to nie maszyna. Spędzamy z sobą mnóstwo czasu, więc trudno uniknąć niektórych tematów. W osobistych kontaktach...

- Nasze kontakty mają charakter osobisty?

- Moim zdaniem, tak. - Uśmiechnął się, by uniknąć wrażenia, że coś jej narzuca. - Przynajmniej dziś, teraz... Chętnie dowiedziałbym się czegoś o niejkiej Varnie Sutton.

Mowy nie ma! - pomyślała spanikowana. Była czysta jak łąka, nie miała się czego wstydzić, ale... Metcalfe był jej bratem.

- Wiesz wszystko, co powinieneś wiedzieć - rzuciła lekko.

- A myślałem już - spojrzał na nią sceptycznie - że przynajmniej dziś nie będziesz kręcić.

- Przysięgam ci to? Kiedy? - zażartowała i błyskawicznie odwróciła rolę. - Może ty... opowiesz mi coś o sobie?

Mógł zaproponować, ale tylko zapytał niechętnie:

- Od czego mam zacząć?

Od samego początku, pomyślała. Raptem zapragnęła poznać wszystkie jego tajemnice.

- Wolałabym się nie rumienić, więc lepiej opowiedz tylko o tym, co cenzuralne.

- Miałaś się nie wyzłośliwiać - przypomniał.

Roześmiała się. Było naprawdę cudownie.

- To prawda. No więc... Masz nie najlepszą opinię... Chodzi mi o kobiety - wyjaśniła prędko, widząc, że jest szczerze zdumiony. - Wybacz, nie powinnam tego powiedzieć, ale sam zdecydowałeś się na poruszanie spraw osobistych.

- Wstrętny babsztyl - dokuczył jej i Varnie poczuła fantastyczny urok leciutkiego flirtu. - Chodzi ci o Antonię?

- No... niekoniecznie. Wydaje mi się - zaszarżowała - że twoje nazwisko pojawiło się nie tak dawno w kolorowych magazynach w związku z jakimś nieciekawym rozwodem. Mylę się?

Leon przez chwilę mierzył ją wzrokiem. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby stwierdził, że powinna pilnować własnego nosa, ale tylko skrzywił się z niesmakiem.

- Kobieta, o którą pytasz, nie mieszkała z mężem. Rozstali się na długo przed tym, zanim ją poznałem. Spotkałem się z nią tylko kilka razy. Przestaliśmy się widywać, gdyż rzeczony mąż próbował wykorzystać naszą znajomość jako argument, by nie płacić za sprawę, gdy wystąpiła o rozwód. Usiłowała zresztą wydebić od nie go spory majątek. Zorientowałem się, że chętnie by się

w tym celu posłużyła również moją osobą. - Wzruszył ramionami. - Obrzydliwe to było. W końcu moi prawnicy spławili ich oboje.

- Wyszedłeś z tego czysty?

- Do licha ciężkiego, od początku byłem w porządku. Nie zrobiłem nic, czego miałbym się wstydzić. Ale błoto się przylepia, choćby i na krótko.

- A potem pojawiła się Antonia King. W tej sprawie też nie masz sobie nic do zarzucenia.?

- Jeszcze mniej niż w poprzedniej. Zresztą sama to wiesz. Powinienem był zwolnić tę pijawkę, kiedy tylko się do mnie przyssała, ale... - Skrzywił się, jakby z siebie drwił. - Z mego punktu widzenia wyrzucenie kobiety z pracy tylko dlatego, że się we mnie... podkochuje, było poniżej godności.

Varnie zaśmiała się miękko.

- Nic dziwnego, że masz dosyć kontaktów z kobietami. Te dwie tak ci się dały we znaki, że postanowiłeś ukryć się przed całym babskim rodem.

- Tak. Tyle że ledwie znalazłem upragniony azyl, pojawiłaś się ty... w dodatku nagusieńka, jak cię Pan Bóg stworzył.

Varnie zapiekły policzki.

- Nawet mi tego nie przypominaj.

- W porządku. Ale teraz twoja kolej.

- Na co?

- Oj... Nie co dzień zwierzam się przy kolacji z tak intymnych spraw. Mogłabyś, choćby przez grzeczność, odwdziżyć mi się jakąś swoją tajemnicą.

- Na przykład?

- Na przykład... opowiedz mi bliżej o tym żonkosiu, któremu dałaś kosza. Nazywał się...

- Martin. - Wypowiedziała jego imię z uczuciem absolutnego zaskoczenia. Dziesięć dni temu sądziła, że go kocha, a dziś... Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio poświęciła mu choćby jedną myśl.

- Kochałaś go?

- Myślałam, że tak. Mieliśmy razem wyjechać na urlop. Spóźnił się na lotnisko, więc zadzwoniłam do niego do pracy. Sekretarka, niechcący, wygadała się, że jest żonaty. Przyznał się od razu.

- Masz pecha, ale... powinnaś wystrzegać się takich znajomości. Poszłaś w tym związku na całość, tak?

Bezczelny typ! Jak śmiał zadawać takie pytania?

- Jeśli chodzi ci o to, czy spałam z Martinem, to... Daj spokój, nie twoja sprawa.

Leon przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

- Nie spałaś z nim - oświadczył tak pewnie, że aż się roześmiała. Doprowadzał ją czasem do szału, ale i do śmiechu, i to w najmniej oczekiwanych momentach.

Podano deser. Varnie odczuła żal, że ten magiczny wieczór dobiega końca. Magiczny i... pożegnalny. Spoj-

rzała przez stół na Leona. Zamiast jeść, patrzył na nią, jakby pochłaniało go jakieś nagłe spostrzeżenie.

- Coś nie tak? - zapytała. - Ubrudziłam się kremem?

- Buźkę masz czyściuteńką - odpowiedział z leciutkim uśmiechem. - Szczerze mówiąc, zastanawiam się nad tą twoją platoniczną znajomością z żonatym mężczyzną i myślę, jak to z tobą jest. Masz za sobą dużo takich doświadczeń? A John Metcalfe? Był twoim kochankiem? Zechcesz mi o tym opowiedzieć?

- O, nie. Zdecydowanie nie. - Varnie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Są sprawy, o których się nie mówi. A w ogóle to nie psuj wieczoru. Nieczęsto zdarza mi się wychodne. Wiesz, pracuję teraz u takiego jednego tyrana. Rzadko daje odpocząć.

Leon roześmiał się i pokręcił głową.

- Ech, Varnie, Varnie... Facet, który cię w końcu dostanie, będzie się musiał nieźle pilnować.

- To będzie ktoś wyjątkowy - odpowiedziała wesoło. - Absolutnie.

Wypili kawę, poróżnili się lekko przy płaceniu rachunku, gdyż Leon uparł się, że to jego rzecz, a jeśli już konieczne chce - zażartował - to odliczy sobie tę kolację w rozliczeniu za jej usługę, i przeszli do samochodu.

Przez całą powrotną drogę Varnie czuła się przygaszona. Kończył się pożegnalny wieczór, Leon wkrótce

miał wyjechać. Gnębiło ją i to, że chociaż zwierzył się jej że swych tajemnic, nie mogła być z nim szczerą. A tak by chciała, żeby zrozumiał, że mu ufa. Nie miała pojęcia, jak to sprawić. Wpadła na pomysł dopiero w domu, gdy zamknęli drzwi na noc i Leon podziękował jej za przemyły wieczór. Spojrzała mu w oczy i rozwiązanie przyszło samo.

- Ja też ci dziękuję. - Z uśmiechem położyła ręce na jego ramionach i pocałowała go ciepło, ufnie, nienamiętnie, ale i bez pośpiechu. Przez moment wydawało jej się, że Leon odpowie pocałunkiem, gdy nagle przytrzymał jej ręce takim gestem, jakby chciał ją... odepchnąć. Odsunęła się z wypiekami na twarzy. - Za to też odlicz mi przy wypłacie - powiedziała zduszonym głosem, odwróciła się i starając się nie biec, weszła schodami na górę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chyba nigdy w życiu nie czuła się tak głupio. W nocy wciąż budziła się z płytkiego snu i myślała o pocałunku, z którym narzuciła się Leonowi. Wstała wcześniej. Najlepiej byłoby od razu wyjechać. Pomyślała o bracie, lecz co tam on i ta jego praca! Spojrzała na walizkę. A jednak mimo wszystko dla dobra Johnny'ego... Westchnęła ciężko. Tak, musiała zostać i dalej udawać jego byłą dziewczynę, choć w głębi duszy pragnęła zagrać z Leonem w otwarte karty. Wiedziała, że to niemożliwe, ale powinna przynajmniej wytłumaczyć mu motywy, którymi się kierowała wieczorem. Zeszła do kuchni i raptem uderzyła ją przeokropna myśl. Leon twierdził, że Antonię King interesowało bardziej jego konto niż on sam. Pazerna okazała się też kobieta, z którą łączyła go krótkotrwała znajomość. Rozwodząc się z mężem, walczyła o duży majątek... Do licha! Czy Leon zobaczył w niej jeszcze jedną taką pijawkę? Jeśli tak, to było to czymś nie do zniesienia.

Przez parę minut krzątała się po kuchni, zmagając

się z tym podejrzeniem, aż w końcu górę w jej odczuciach wzięła duma. Po co było się tak dręczyć, nie spać przez całą noc? Z powodu błahego pocałunku? Ruch w drzwiach uświadomił jej, że nie jest już sama. Odwróciła się błyskawicznie.

- Nie zależy mi na twojej forsie! - wybuchła.

Leon stał przez chwilę, patrząc na jej wyraźnie wzburzoną twarz.

- Więcej nie zaproszę cię na kolację. O to chodzi?

Warnie poczuła, że oblewa się szkarłatem.

- Nie. O pocałunek. O to, że...

- A mi o to, że skoro po restauracyjnych luksusach jesteś w takim złym nastroju, to może lepiej ci służyć kolacje domowe.

- Ten mój pocałunek... - Pociągnęła głośno nosem.

- Jeśli miałabyś ochotę na powtórkę, to daruj sobie!

- Nigdy w życiu! - Mało nie udusiła się ze złości. - Żeby nie wiem co...

- No to świetnie - uciął. - Jesteśmy kwita.

Kwita? Świątoszek się znalazł. A to dobre! Nakryła śniadanie, żeby nie wystygło, i wybiegła z kuchni. Wyjęła z szafki odkurzacz i wzięła się do roboty. Miała gdzieś plany tego bubka i nie zamierzała się do niego dostosowywać, ale... jeśli chciał pracować nad czymś, co wymagało skupienia, to hałas mógłby przeszkadzać. Była tak rozstrojona, że w pewnym momencie uznała, że musi

wyjść z domu, gdziekolwiek, choćby do supermarketu. Nie potrafiła przewidzieć, jak długo jej nie będzie. Gdyby nie sprawa Johnny'ego, najchętniej wcale by nie wróciła. Przyszykowała Beaumontowi lunch, zawinęła bułkę w serwetkę, postawiła talerzyk na widocznym miejscu i wyjechała połączyć po sklepach.

Oderwanie się od domu poprawiło jej nastrój, lecz jednocześnie ogarnęła ją jakaś dziwna tęsknota - za Aldwyn House, za Leonem. Zupełnie jakby jej dom był tam... i z nim. Brednie! Chyba z tych nerwów rzuciło się jej na mózg. Postanowiła zjeść lunch na mieście. Zmusiła się do tego, ale tak ją ciągnęło do powrotu, że nawet nie zamówiła kawy. Myślała później, że gdyby wiedziała, co ją czeka, pospacerowałaby gdzieś jeszcze dłużej i wstąpiła na popołudniową herbatę.

Wracając, przyłapała się na tym, że nuci piosenkę. Dowodziło to - jeśli w ogóle potrzebowała dowodu - że lepiej się gdzieś ruszyć, niż załamywać ręce. Ponuractwo nie leżało w jej naturze, a przed paroma godzinami była w takim dołku, że...

Widok samochodu stojącego przed domem zaskoczył ją. Nie знаła tego auta, nie należało więc chyba do któregoś z dwojga ich ostatnich gości. Osobiście nie spodziewała się żadnych odwiedzin, toteż mogła tylko przypuszczać, że przyjechał ktoś zaproszony przez Leona - jakiś jego przyjaciel czy znajomy z pracy. No i do-

brze! Wolna woła! Ktokolwiek by to był, co jej do tego? Postanowiła, że wnieśli tylko zakupy i albo posiedzi w kuchni, albo pójdzie do swego pokoju.

Skończyło się na zamiarach. Skorzystała z wejścia od kuchni, ale ledwie pojawiła się w drzwiach, Leon wyszedł do niej.

- Pozwól, kochanie - powitał ją takim tonem, jakby naprawdę się stęsknił. Chyba mam coś ze słuchem, pomyślała. I co mi tak nogi miękną? O kurczę, trzeba będzie wybrać się do lekarza. Dopiero gdy Leon wziął od niej plastikowe torby, spostrzegła jakąś parę wylaniającą się za nim z saloniku. - Odniosę to tylko do kuchni - powiedział, lecz wrócił tak prędko, że Varnie nie zdążyła się nawet odezwać. Przedstawił jej gości i uśmiechnął się ciepło. - Pauline i Eddie niestety muszą już jechać, ale... No cóż, słoneczko, nasz sekret się wydał.

Varnie nie miała pojęcia, o czym mówił. Znów wzięła w coś, co brzydko pachnie, pomyślała. Leon objął ją ramieniem i razem odprowadzili przyjezdnych. Miała ogromną ochotę strząsnąć z siebie jego rękę. Czuła się śmiesznie i głupio, lecz nie wiadomo dlaczego przeszło jej przez myśl, że dzieje się coś, co wymaga od niej lojalności wobec Beaumonta.

- O co w tym wszystkim chodzi? - wybuchła, wyrwając mu się, gdy samochód zniknął za zakrętem.

Spojrzał na nią z wysoka.

- Chciałaś się zabawić w narzeczoną, no to proszę... Musisz grać tę rolę, kiedy przyjeżdża ktoś z prasy.

- Z prasy? - Zielone jak morze oczy Varnie były okrągłe ze zdumienia. - To znaczy, że... Mam rozumieć, że ci ludzie... to nie są twoi przyjaciele? I powiedziałeś im, że... że jesteśmy zaręczeni?

Leon pokiwał głową.

- Cóż, sama to powiedziałaś.

- Im? Nie... Niby kiedy?

- Czy moglibyśmy wejść do środka?

No tak, rewanżował się jej za wszystko, i to z nawiązką. Nie miała ochoty wchodzić do domu. Była wściekła jak diabeł i chciała, by wyjaśnili sobie całą tę sytuację już, natychmiast. Nogi dosłownie wrosły jej w ziemię, lecz Leon po prostu poszedł sobie, a w dodatku - dotarło to do niej dopiero teraz - padał deszcz. Jak furia wpadła do saloniku.

- Kiedy to zrobiłam, no, kiedy?! - krzyknęła na cały głos. - W życiu tych ludzi nie widziałam. Jakim cudem miałabym im powiedzieć, że jestem z tobą zaręczona?!

- Ty? Nie. Ale dziennikarze kochają newsy. Ten mają od niedzieli.

Varnie patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami.

- Dzwoniłeś do redakcji?

- Ja? - Popukał się w czoło.

- Neville King?

- On albo jego żonka. Tak czy owak, w mojej firmie trwa już pewnie malutkie trzęsienie ziemi.

- A ci twoi... Pauline i Eddie to kto? Dziennikarze?

- Dziennikarką jest Pauline, Eddie to fotograf. Bardzo chciał zrobić nam obojgu zdjęcie. Ale skorzystałem z twojej wersji wydarzeń. Powiedziałem, że macie w rodzinie żałobę i że nie zgadzam się na publikację twojego zdjęcia. Na wszelki wypadek - bo mogliby tu nas odwiedzić jeszcze inni podobnie mili goście - powiedziałem też tej parce, że jeszcze dziś wyjeżdżamy z Walii, gdzieś na kompletne ustronie, żeby, jak się to mówi, skryć się przed całym światem. Chcesz pewnie wiedzieć, dlaczego na to wszystko poszedłem? Proszę bardzo. A co mnie właściwie kosztuje rzekome narzeczeństwo? Doprawdy nic. Niewygórowana cena za uwolnienie się od tych wszystkich bab, które nie chcą się odczepić, choćby mężczyzna wywijał się jak piskorz. Jestem zaręczony. Uff! Wreszcie dadzą mi spokój.

- Obyś się nie przeliczył...

Varaie była tym wszystkim tak przytłoczona, że kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, rozebrała się i położyła spać z mocnym postanowieniem, że niezależnie od tego, jak długo jeszcze przyjdzie im mieszkać pod jednym dachem, zachowa spokój i najdalej posunięty dystans. Postanowienie to zostało wystawione na ciężką

próbę już z samego rana, kiedy zeszła do kuchni. Leon już tam był. Pił kawę.

- Czy podziękowałem ci za zaopatrywanie mnie w prasę? - zapytał.

- Ależ... nie ma za co - odpowiedziała, podchodząc do lodówki po bekon. - Bardzo proszę.

- Dziś mogę załatwić to sam.

- Wybierasz się do miasta?

- Mógłbym. A może pojechalibyśmy razem? Zjedlibyśmy lunch w jakiejś knajpce...

- Nie, dziękuję. A w ogóle to...

- A w ogóle to jesteś na mnie zła za tę wczorajszą rozmowę - dopowiedział. Mogła spytać, o jaką rozmowę mu chodzi, ale dobrze wiedziała.

- Jedno jajko czy dwa? - rzuciła przez ramię.

- A gdybym cię ładnie przeprosił, to czy pozostaniemy przyjaciółmi?

O matko! Ale czarował!

- Posłuchaj, Beaumont - warknęła. - Może i muszę grać twoją narzeczoną, ale bawić się w przyjaźń nie muszę. Mowy nie ma!

Roześmiał się i musiała mu zawtórować. Paskudny typ! Jej serce tańczyło kankana.

Po śniadaniu poszedł do gabinetu i pomyślała już, że zmienił decyzję. Jednakże załatwił tylko kilka telefonów i wychodząc, przystanął w drzwiach kuchni.

- Masz mi może jeszcze coś do powiedzenia?
 - Nie, nie. Wszystko w porządku. Tak czy owak, dzięki za propozycję.

Nie poprosił po raz drugi, żeby z nim pojechała, i poszedł wyprowadzić samochód z garażu. Raptem poczuła się nijako. Szkoda, że nie powiedziała: „Jadę”. Wszystko, co miała w domu do zrobienia, mogło poczekać. Sądziła, że Leon wróci niedługo, ale nie przyjeżdżał. Chodziła od pokoju do pokoju. Roznosił ją niepokój. Minęły trzy godziny, a Leona wciąż nie było. Tak długo... Raptem uświadomiła sobie, że za nim tęskni. To prawda, że przesiadywał wiecznie w gabinecie i niewiele go widywała. Ale zawsze był w domu, a teraz go nie było. Zasadnicza różnica.

Tere-fere. Zakpiła ze swoich odczuć i żeby się czymś zająć, poszła na strych.

Po śmierci dziadka zrobiła już tam generalne porządki, lecz pozostało jeszcze mnóstwo drobniejszych rzeczy, których należało się pozbyć. Spakowała do plastikowych worków zbędne ubrania i przedmioty z myślą o oddaniu ich do sklepu fundacji charytatywnej, a niezliczone stare zdjęcia włożyła do oddzielnej torby, by przekazać je matce. Spociała się przy tym i zakurzyła, postanowiła więc wziąć prysznic, lecz ledwie zeszła na dół, wrócił Leon. Tak się ucieszyła na jego widok, że aż sama się sobie dziwiła.

- Dobrze było? - zapytała, gdy wszedł do kuchni.
 - Miałaś, widzę, zajęcie...
 - No wiesz... W domu zawsze jest co robić. Taki to już nasz babski los - odpowiedziała i nagle nie wiadomo dlaczego poczuła się nieswojo. - Jadłeś coś?
 - Tak, ale jeśli jest jeszcze ta twoja szarlotka... - Wystarczyło to jedno zdanie, a od razu zrobiło się jej lekko na sercu. Niesamowite, naprawdę niezwykle!

Leon przywiózł masę gazet. Jedną z nich, tę, którą najbardziej lubiła czytać, odłożył od razu na pojemnik do pieczywa, i usiadł przy stole.

- Dziękuję za prasę - powiedziała. Nie wiedzieć czemu aż zaniemówiła, widząc, że Leonowi wcale się nie spieszy, by przenieść się do saloniku i tam zająć się lekturą. - Mam ci podać szarlotkę teraz, tak?

Podniósł wzrok, popatrzył jej w oczy, zatrzymał się na sekundę na ustach i kiwnął głową, rozkładając gazetę.

-Tak.

Kiedy później przeszedł do gabinetu, Varnie przyzyskowała mu kolację na zimno. Ułożyła na talerzu pokrojone w plastry mięso i ser i postawiła obok surówkę. Wieczorny posiłek zjadła już wcześniej, więc znów nie bardzo wiedziała, co z sobą zrobić. Na spacer było już za późno - zwłaszcza że okolica tonęła w ciemnościach - mogła więc równie dobrze pójść do swego pokoju.

Wzięła gazetę i przechodząc obok gabinetu, pomyślała, czy nie zapukać i nie powiedzieć Leonowi „dobranoc”. Do tej pory nigdy tego nie robiła, więc raptem wydało się jej to niestosowne. I w ogóle - co się z nią działo?

Dopiero gdy znalazła się w swoim pokoju, uzmysłowiła sobie, że stało się coś niesłychanego. On i ja, myślała, przygotowując się do snu... Tak się nie cierpieliśmy, a tu proszę - wygląda na to, że potrafimy żyć zgodnie. Uśmiechnięta weszła pod prysznic. Była już w łóżku, gdy raptem przypomniała sobie o gazecie i wstała po nią z jakąś dziwną radością. No bo czy to nie dziwne? Nie chciała, żeby Leon był teraz przy niej, a jednak... Przerzuciła pismo i w jednej sekundzie wyparowały z niej wszystkie ciepłe myśli.

Miała przed sobą zdjęcie Leona, obok - fotografię Aldwyn House, a nad nimi wybity drukiem nagłówek „Potajemne zaręczyny przemysłowca”. Niemal nie wierząc własnym oczom, przebiegła prędko cały tekst. Już sam tytuł odebrała jak trzęsienie ziemi, a potem było już tylko gorzej. „Walijskie miłosne gniazdko”, „pożegnanie z kawalerskim stanem”, „miłość od pierwszego wejrzenia”. Dobry Boże! „Varnie Sutton...”. Ośmielili się podać do publicznej wiadomości jej imię i nazwisko!

Czy Leon widział już ten artykuł? Czy podobny zamieszczono w jego gazecie? A może i w całej prasie, którą przywiózł dziś z miasta? Varnie usiadła gwałtow-

nie na łóżku z myślą, żeby natychmiast pobiec do Leona, lecz od razu straciła rozpęd. Była w nocnej koszuli. Należało się najpierw ubrać. Poza tym, zastanowiła się, może w ogóle robi z igły widły.

Leon był osobą publiczną. Nawykł do zainteresowania prasy. Najprawdopodobniej spodziewał się jakichś wzmianek. Tak, ale... A jeśli o niczym nie wiedział? Kiedy jadł szarlotkę w kuchni, nie napomknął o tym ani słowem. Może czytał to wszystko dopiero teraz, w tej chwili?

A niech to szlag! Nie dalej jak wczoraj wymawiał jej, że utwierdzając Kinga w przekonaniu, że są narzeczonymi, rzuca ich oboje na żer mediów. Boże święty, co też rozpętała!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po nocy, przedrzemanej w udręce wyrzutów sumienia, Varnie obudziła się o piątej, zlna zimnym potem. Rodzice! Czytywali wszyscy troje tę samą gazetę, więc na pewno znali już ten tekst. Należało pojechać do domu. Nie miała wyboru. Byli przekonani, że przebywa w Szwajcarii. Przeżyli zatem szok, dowiadując się - i to z prasy! - że ich córka nie tylko nie wyjechała z kraju, ale zaszła się w Walii, w domu dziadka, a w dodatku jest zaręczona, i to nie z Martinem Walkerem, a z szefem Johnniego. Nasłuchali się o nim od syna, ale nigdy go nawet nie widzieli. Matkę musiało też bardzo zabość, że dla wyjaśnienia zwłoki w ogłoszeniu zaręczyn posłużyła się rodzinnymi sprawami - śmiercią dziadka, żałobą. Tak, należało jechać natychmiast i wszystko wyjaśnić. Najpierw jednak musiała rozmówić się z Leonem. Tylko jak, kiedy? Była piąta rano, na pewno jeszcze spał... Szybko wzięła prysznic, ubrała się i dławiąc w sobie lęk, zła na siebie, że się w ogóle boi, zapukała do jego sypialni i otworzyła drzwi, nie czekając na zaproszenie.

Zaskoczyło ją zapalone światło. Leon nie spał. Siedział w łóżku i czytał. Varnie spłoszyła. Popatrzył na nią, jakby pytał: „Czemu zawdzięczam ten honor?“, ale nie wyglądał na urażonego.

- Co się tak czerwienisz? - dokuczył jej lekko. - Jesteś ubrana, więc nie sędzę, żeby groziło mi uwiedzenie.

- Jasne! Powinam była zostawić ci tylko kartkę - odburknęła podrażniona, ale i szczęśliwa, że wraca jej zadziorność. Na takiej fali łatwiej się blefuje. - Muszę niezwłocznie jechać do Cheltenham - powiedziała pędkiem.

Patrzył na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym, zupełnie speszony, sięgnął po szlafrok leżący w nogach łóżka.

- Wejdz lepiej i opowiedz mi, co się stało. - Varnie odwróciła głowę, lecz natychmiast ostrym tonem przywołał ją do porządku. - Masz zamiar w ogóle wrócić?

- Żadna siła mnie nie powstrzyma! - Chyba naprawdę rzuciło się jej na mózg, skoro mówiła takie rzeczy.

- Dzisiaj? Wrócisz jeszcze dziś?

Varnie skinęła głową. Jeszcze nawet nie wyjechała za bramę, a już myślała tylko o jednym - o powrocie.

- Usiądź tutaj - zaproponował łagodniej i klepnął łóżko. - Porozmawiajmy. W czym rzecz? Skąd ta nagła decyzja? - zapytał, gdy speszona przysiadła obok niego.

- Czy wczoraj wiedziałas już, że wyjedziesz skoro świt,

ale zapomniałaś mi o tym powiedzieć? - Wyraźnie nie odpowiadała mu taka możliwość, lecz jego ton był do prawdy irytujący.

- Gdybyś nie podał tej dziennikarce mojego nazwiska i nie zapoznał jej z pewnymi szczegółami, w ogóle nie musiałabym wyjeżdżać! Ale stało się. Godzinę temu dotarło do mnie, co się porobiło przez to ogłoszenie naszych rzekomych zaręczyn. Wrze nie tylko w twojej firmie...

- Chcesz powiedzieć, że jakiś twój znajomy z Cheltenham miał w rękach wczorajszą prasę?

- A więc czytałeś to?! Widziałeś... - Zrozumiała, że robiąc mu wyrzuty, niepotrzebnie traci czas.

- Całkiem ładne zdjęcie domu... O co ci chodzi? Myślałem, że z tym Martinem rozstałaś się na dobre - dał ostrzeż.

- I słusznie! - odwarknęła.

- W takim razie kto...

Naprawdę chciała mieć to już za sobą.

- Moi rodzice!

- Rodzice?! Sądziłem, że nikogo nie masz. Mówiłaś przecież, że...

- Och, zamknij się! - Poczula się jak w pułapce. - Mieszkają w Cheltenham.

- Skoro cię wydziedziczyli, to co ich to może obchodzić, czy jesteś zaręczona, czy nie?

- Nie wydziedziczyli mnie! - krzyknęła dotknięta do żywego.

- Powiedziałaś, cytuję: „Nie mam gdzie się podziać”. Czyli co? Przyjąłem cię do pracy, kierując się fałszywymi przesłankami, a przez cały ten czas mogłaś mieszkać w domu?

Odwróciła wzrok. Skłamać czy powiedzieć prawdę? Ale co stałoby się z Johnnym?

- Opowiadałam ci o Martinie.

- Tak, tylko co to ma wspólnego z...

- Mówiłam, że rozstałam się z nim definitywnie na lotnisku.

- Kiedy to było?

- Dokładnie tego dnia, kiedy się tu znalazłam - przyznała, czując, że jeśli natychmiast nie wymyśli czegoś przekonywającego, pograży się całkowicie. - Zamiast do Szwajcarii ruszyłam z Heathrow z powrotem do Cheltenham. ..

- Mówiłaś, że Metcalfe skontaktował się z tobą. - Leonowi naprawdę nie brakowało szarych komórek.

- Tak było! - skłamała. - Nie chciałam wracać do domu. Rodzice wiedzieli, że jadę na wakacje z Martinem. Byłam zdenerwowana całą tą sprawą, och, przeokropnie. Moi starzy strasznie by się przejęli. Zrobiło mi się ich żal. W drodze zatrzymałam się na kawę... Zastanawiałam się, co robić, i właśnie wtedy zadzwonił do mnie

na komórkę John Metcalfe, mój dawny przyjaciel. Powiedział, że wie, że straciłam pracę w hotelu i że jeśli dalej jestem bezrobotna, to ma coś dla mnie. Zapropo- nował mi pracę gosposi w Aldwyn House. Natychmiast skorzystałam z okazji.

- Żeby uchronić rodziców przed zdenerwowaniem?
- Leon przyjrzał się jej badawczo.

- Tak. Nie spodziewali się mnie wcześniej niż za dwa tygodnie. Pomyślałam więc... miałam taką nadzieję... że przez ten czas wezmę się w garść i potem będzie mi łatwiej udawać, że już nie cierpię.

- A cierpisz, tak? Z powodu tego żonkosia?

Nie miała pojęcia, co to ma w tej chwili do rzeczy, ale naprawdę ucieszyła się, że może powiedzieć abso- lutną prawdę.

- Nie za bardzo. Dręczyłabym się, gdyby było tak, jak mi się wydawało - że go kocham. Ale nie kocham, więc odczuwam tylko niesmak. Nie mogę sobie daro- wać, że byłam taka naiwna, że dałam się nabrać. To upokarzające.

- Oj, Varnie, Varnie... - Leon objął ją ze współczu- ciem, lecz zaraz zdjął rękę z jej pleców. Dziwne, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tulił ją dłużej. - Czy naprawdę musisz jechać do rodziców? Nie mogłabyś do nich zadzwonić?

Pokręciła głową.

- Dziadek zmarł niedawno. Wiem, że całe to niepo- rozumienie uznałby po prostu za śmiechu warte, ale matkę na pewno bardzo zabolalo, że tak niecznie wyko- rzystałam jego pamięć, wplątując go w te nasze rzekome zaręczyny. - Raptem uświadomiła sobie, że Leon mówił tak, jakby nie chciał, żeby wyjeżdżała, i mocno zabiło jej serce. Znowu coś sobie roję, pomyślała zniesmaczona. Obchodzi go wyłącznie to, żeby mieć podaną na czas kolację. - Tak czy owak, nie da się tej sprawy załatwić jednym telefonem. Rodzice będą się zamartwiać, póki mnie nie zobaczą. - Podniosła się, czując, że im szybciej ruszy w drogę, tym lepiej.

- Jedź ostrożnie. - Leon wstał i raptem Varnie ogar- nął straszliwy żal, że muszą się rozstać. Oczywiście na- tychmiast się otrząsnęła.

- Gdyby rodzice tu zadzwonili, to... - Nieopatrznie znów zastawiła na siebie pułapkę.

- Znają ten numer telefonu? - Spojrzał na nią zasko- czony.

- Ależ skąd! Przepraszam. Z pośpiechu wszystko mi się kręci.

- Uspokój się. Spokojnie porozmawiacie i rodzice na pewno cię zrozumieją. Powiesz im całą prawdę, tak?

- Nie będę ich oszukiwać - przyznała, ale teraz, gdy uzmysłowiła sobie, że zaszokowani tym nieszczęsnym artykułem mogliby zatelefonować tutaj, chciała jak naj-

prędzej ruszyć w drogę. - Ale nie martw się, nikomu nic nie powiedzą... Zostawiam ci w lodówce jedzenie... Muszę już... - Podbiegła do drzwi, lecz Leon przytrzymał ją za rękę. Popatrzyła mu w oczy. Czy to możliwe, że kiedyś wydawały się jej zimne i nieczułe?

- Nie zgłodnieję. - Uśmiechnął się. - Pocałujesz mnie na do widzenia?

Żartował? Naprawdę nic już nie rozumiała. Kręciło się jej w głowie, a on patrzył na nią tak jakoś...

- Nie jestem nachalna.

- Wiem - powiedział cicho i nagle wyrzucił z siebie:

- I w ogóle nigdy nie miałaś kochanka! Nigdy z nikim nie poszłaś do łóżka!

- Rozgłoś to całemu światu, a naprawdę popsujesz mi opinię - roześmiała się, pragnąc potraktować lekko domysł, który najwyraźniej nim wstrząsnął.

- Rany boskie! Ależ ze mnie... Musiałem cię śmiertelnie przerazić. Jak ja...

- Nic nie mów. - Objęła go spontanicznie, pocałowała i nagle przestraszyła się, czując, że Leon zeszywniał.

- Przepraszam cię, bardzo przepraszam. Naprawdę nie wiem, co mnie napadło. Uwierz mi, wtedy chciałam tylko, żebyś zrozumiał, że ci ufam... - A niech to! Płatała się i prawie zapomniała, że ma jechać. Nigdy w życiu nie czuła w sobie takiej gorączki, rozterki, zakłopotania.

- A teraz? Dlaczego mnie pocałowałaś?

Ugięły się pod nią nogi.

- Chyba... chyba dlatego, że wydawało mi się, że jest ci źle.

- I chciałaś mnie pocieszyć? Oj, Varnie... Prawdziwy z ciebie skarb. - Gdy wyciągnął do niej rękę, jak zahipnotyzowana weszła w jego objęcia. Nigdy w życiu nie znała takiej słodczy pocałunku, ciepłego, czułego, pełnego oddania. Potem Leon zakołysał nią w ramionach i patrząc w jej zielone jak morze oczy, powiedział: - Jedź już, ruszaj w drogę.

Była już w Cheltenham i stała na światłach, gdy odezwał się telefon komórkowy. Dzwoniła matka.

- Varnie? Cześć. Do licha, co się dzieje?

- Właśnie do was jadę. Będę dosłownie za kwadrans. Nie dzwoniłaś chyba do Aldwyn House? - Nagle ogarnęła ją panika.

- A po co? Napisali w tym zdumiewającym artykule, że wyjeżdżacie, więc...

- W porządku. Nie dzwoń tam, bardzo cię proszę. Zaraz wam wszystko wyjaśnię.

Matka czekała na nią przed domem. Objęła ją, ucałowała, ale widać było, że jest podminowana.

- Chodź szybko do domu i wytłumacz cały ten nonsens. Wczoraj byliśmy u cioci Crissie i dopiero dziś rano mieliśmy okazję przejrzeć prasę. Tata pierw-

szy natknął się na ten artykuł... Robi herbatę... Jadłaś śniadanie?

Ojczym przywitał ją z radością i ledwie znaleźli się w kuchni, matka przypuściła szturm, zadając pytanie za pytaniem. Oszustwo Martina wstrząsnęło rodzicami. Zrelacjonowała im całą sprawę, nie ukrywając niczego. Schody zaczęły się dopiero w chwili, gdy zaczęli pytać o Beaumonta. Wyjaśniła, że Johnny wynajął mu Aldwyn House, nie powiadamiając jej o tym, a skoro już zdecydowała się ochłonąć z szoku właśnie tam, postanowiła mimo wszystko pozostać.

- Ale jak doszło do tego, że się zaręczyliście? - Matka jak zwykle pierwsza dotknęła sedna sprawy.

- Nie zaręczyliśmy się. W ogóle nic nas nie łączy - odpowiedziała Varnie i raptem pobiegła myślami do Leona, do cudownej chwili porannego rozstania. Z trudem skupiając się na rozmowie, opowiedziała rodzicom o Kingach, o spotkaniu z Nevillem, o tym, że zrobiło się jej go żal i o wszystkich tego konsekwencjach.

- Prawdziwy cud, że Beaumont natychmiast się nie wyprowadził! - zburczała ją matka. - Na litość boską, Varnie! Naraziłaś brata na utratę pracy! Czy ty w ogóle myślisz? Mieliśmy z nim tyle problemów, a teraz, kiedy wreszcie się jakoś ustawił... Nie przyszło ci do głowy, że ten Beaumont go zwolni? A tak się chłopak starał, tak mu zależy na tej robocie...

- Nie biadol, kochana. - Ojczym przerwał matce. - Leon Beaumont jest dojrzałym człowiekiem. Gdyby chciał wszystkiemu zaprzeczyć, toby to zrobił. Podtrzymując wersję o zaręczynach, miał zapewne jakiś swój cel. Varnie, dobrze myślę?

- Bardzo dobrze. Z pewnych przyczyn Beaumontowi zależy na tym, żeby uważano go za zaręczonego.

- I poszłaś na to?

- Tak, to czysta sprawa. Cała ta sytuacja nie potrwa długo. A w ogóle to nie wyjechaliśmy z Aldwyn House. Wracam jeszcze dziś. Johnny usiłował załatwić swemu szefowi pomoc w osobie pani Lloyd, ale staruszka wy mówiła się i postanowiłam ją zastąpić. Jestem więc te raz gosposią.

Varnie zjadła z rodzicami obiad. Kochała swój dom, rodziców, całe to tak przyjazne jej otoczenie, ale - czego naprawdę nie pojmowała - czuła przez cały czas pustkę i przemożne pragnienie powrotu do Aldwyn House. Matka w ogóle nie chciała jej puścić, ojciec głośno wyrażał niepokój, że jazda nocą krętymi, nieoświetlonymi drogami w górach może być niebezpieczna, i namawiał ją, żeby choć przenocowała. Varnie jednak uparła się wracać. Pożegnała się serdecznie z rodzicami, prosząc, by dzwoniли do niej na komórkę, a nie na numer telefonu domowego, gdyż - jak wyjaśniła, oczywiście nie do końca zgodnie z prawdą

- linia musiała być wolna z uwagi na charakter pracy Beaumonta.

Kiedy wyjeżdżała z domu, na niebie pojawiły się chmury. Zanim znalazła się na granicy Gloucestershire z Walią, zaczęło padać. Pogoda mnie ostatnio nie rozpieszcza, pomyślała Varnie, ale cóż, lepszy już deszcz niż mgła, a w górach może w ogóle się przejaśni.

Niestety rześisty deszcz zamienił się w ulewę. Miotane wiatrem ściany wody zmniejszyły widoczność w dolinach niemal do zera. W taką noc zwykły śmiertelnik nie wyściubia nosa z domu. Varnie jechała powoli, wdzięczna losowi za to, że przynajmniej ma się gdzie skryć. Szczęście nie trwało jednak długo. Raptem coś zaczęło szwankować w układzie kierowniczym i chwilę później zorientowała się, że... złapała gumę. Nie! - uznała desperowana. To niemożliwe! Samochód był supersprawny. Ojciec konsekwentnie tego wymagał i pilnował, by nie zapomniała w porę oddać auta do przeglądu.

Na szczęście - a miała prawo sądzić, że za tak potworną noc i iście szatańskie warunki jazdy naprawdę należało się jej trochę szczęścia - Varnie znajdowała się w pobliżu zjazdu z szosy i dała radę powoli ustawić samochód na szerszym poboczu. Tylko co dalej? Siedziała za kierownicą, jakby miała nadzieję, że ta przeklęta opona naprawi się sama. Tymczasem na tracie nie pojawił się ani jeden pojazd. Powoli dotarło do niej, że będzie

musiała poradzić sobie sama. Rzecz w tym, że nie miała zielonego pojęcia, jak wymienia się koło, a już szczególnie jak to zrobić w czarną noc na nieoświetlonej drodze, gdy nad górami przechodzi nawałnica. Może odczekać do chwili, aż deszcz osłabnie? Tak, tyle że czas mijał, a nic nie wskazywało na to, by niebo miało się przejaśnić. Może do kogoś zatelefonować? Do Leona? W żadnym wypadku. Do ojca? Też bez sensu. O tej porze spał już pewnie smacznie, a w dodatku od domu oddzielał ją szmat drogi. Do Leona było dużo bliżej. Ale nie... Robić z siebie taką niezgułę?

Varnie wysiadła z samochodu i otworzyła bagażnik. Były tam jakieś narzędzia do wymiany koła, tyle że... Bóg jeden wie, jak się nimi posłużyć. Kwadrans później, po bezowocnych próbach odkręcenia śrub, Varnie zrezygnowała. Komuś, kto je mocował, pomyślała, chyba nigdy nie przyszło do głowy, że będą odkręcane. Próbowała wielokrotnie, użyła do tego całych swoich sił, ale niestety po prostu nie chciały się poddać. Wyprostowała plecy. Była przemoczona do suchej nitki, więc naprawdę nie miało już znaczenia, że deszcz lał się na głowę, a włosy lepiły się do twarzy.

Wyjęła telefon komórkowy. Lepiej już wyjść na głupią. Niezbyt to przyjemne, ale przynajmniej znane. Była bliska łez, gdy dotarło do jej świadomości, że w górach trudno jest uzyskać połączenie z komórki, gdyż traci się

zasięg. Wściekła na telefon, góry, pogodę, przebite koło i własną nieporadność ruszyła szosą przed siebie, sprawdzając co kilkadziesiąt metrów, czy może jakimś cudem w komórce nie odezwie się sygnał. Był to długi marsz. Kiedy wreszcie telefon ożył, prawie się popłakała. Drżącymi palcami wystukała numer do Aldwyn House z nadzieją, że Leon nie położył się jeszcze do łóżka, a przynajmniej nie usnął twardo.

Nie spał. Odebrał telefon od razu, jakby czekał. Varnie nie dała mu dojść do słowa.

- Leon! - zawołała roztrzęsiona. - Złapałam gumę i nie mogę zmienić koła. Próbuję i próbuję, ale...

Odczuła wielką ulgę, gdy nie zaczął jej pouczać, nie powiedział, żeby dała mu spokój ani nie robił żadnych wymówek. Zareagował tak, jakby natychmiast zrozumiał, że jest u kresu wytrzymałości nerwowej.

- Gdzie jesteś? - zapytał łagodnie.

Najlepiej jak potrafiła, urywanym głosem, opisała mu okolicę.

- A w ogóle to... dokładnie nie wiem. Ja...

- Już do ciebie jadę - przerwał. - Zamknij się w samochodzie. Znajdę cię.

Nie miała pojęcia, ile czasu zajmie Leonowi dotarcie do niej, ale podniósł ją na duchu już sam fakt, że nie musiała prosić, żeby przyjechał. Nawet nie zasugerował, że zadzwoni do jakiegoś warsztatu, by ktoś

inny udzielił jej pomocy. „Już jadę” - powiedział. Tylko tyle. Aż tyle!

Uszła daleko od samochodu i nim wreszcie dotarła na miejsce, zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia, że w ogóle zaalarmowała Leona. Deszcz dalej lał jak z cebra. Przemoczone buty tak ciążyły, że kusiło ją, żeby je po prostu zdjąć. Równie niewygodnie szłoby się w samych skarpetkach.

Raptem, w ciszy nocy, usłyszała nadjeżdżający samochód. Nie miała pewności, czy powinna dać się zobaczyć, więc kiedy wyjechał zza zakrętu, przywarła całym ciałem do skał, lecz po chwili omiotły ją przednie światła. Kierowca gwałtownie zahamował. Serce zaczęło jej bić jak szalone. O matko! A jeśli to jakiś rzezimieszek? Na bezdrożach dochodziło czasem do tragedii. Pisała o tym prasa...

- Leon... - wyszeptała ze łzami w oczach.

- Troszeczkę zmokłaś. - Wysiadł, podszedł do niej spokojnie i patrząc na nią badawczo, delikatnym ruchem odgarnął z jej twarzy ociekające wodą włosy. - A teraz szybciu! - Pomógł jej wsiąść na przednie siedzenie. - Jazda do domu!

- Dziękuję... dziękuję, że przyjechałeś. - Zęby tak jej szczykały, że prawie nie mogła mówić. Nie odpowiedział, wyobraziła więc sobie, że jest na nią zły. - Nie mogłam czekać w samochodzie. Komórka nie łapała zasięgu.

- Najważniejsze, że nic ci już nie grozi. Tylko to się liczy. Masz coś do zabrania ze swojego samochodu?

- To... torebkę. - Znów zaszczekały jej zęby. Chciała po nią pójść, ale Leon stanowczo się temu sprzeciwił i wysiadł. Dopiero wtedy Varnie uświadomiła sobie, że cała się trzęsie i jest przemarznięta do szpiku kości. Nie bardzo wiedziała, co robił Leon, aż do chwili gdy poczuła, że otula ją kołdrą. W rekordowo szybkim czasie znaleźli się przed Aldwyn House. Nie tracąc czasu na zamknięcie bramy i wstawianie samochodu do garażu, Leon zajął się wyłącznie nią. Varnie bardzo chciała panować nad sobą, ale czuła się niewyraźnie.

- Próbowałam zmienić koło - powiedziała w drzwiach, ale Leon przytrzymał tylko opadającą z niej kołdrę i przepuścił ją przodem.

- Opowiesz mi o tym później. A teraz idź prędko na górę i weź gorący prysznic. Skorzystaj z mojej łazienki.

- Nie, nie. Mogę... - Zadygotała, a Leon najwyraźniej nie miał zamiaru bawić się w dyskusje.

- Pod prysznic. Już! - zakomenderował, a kiedy popatrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca, wziął ją na ręce. Przez moment nie rozumiała, o co chodzi. Wniósł ją po schodach prosto do swego pokoju i postawił w łazience. - Daję ci minutę. Masz ściągnąć te mokre łachy i wejść pod prysznic.

Była tak zaszokowana, że na moment przestała się nawet trząść.

- Bo inaczej co? Sam mnie rozbierzesz? - Zakryła ręką usta.

- Licz się z taką możliwością - warknął i stanął przy drzwiach z drugiej strony.

Prysznic był fantastyczny. Och, jeszcze, jeszcze... Gorąca woda obmywała jej głowę i całe ciało. Varnie powoli zaczęła się rozgrzewać.

- Jak ci tam?

O matko! Miała towarzystwo! Czy przez zaparowaną szybę było ją widać? Czy Leon w ogóle na nią patrzył?

- Świetnie! - odkrzyknęła. Miała nadzieję, że zabrzmiało to pewnie, tak jakby wcale nie była zażenowana tym, że jest naga, a za oszklonymi drzwiami stoi mężczyzna. A zwłaszcza on. Mężczyzna, którego prawie nie знаła, ale... pokochała całym sercem.

- Rozgrzałaś się? Jeśli tak, to wychodź.

No, nie! Miłość miłością, ale czuła się naprawdę głupio. Zakręciła kurek, lecz nie ośmieliła się poruszyć. Niechby najpierw zamknął te drzwi! Drzwi się nie zamknęły, a przeciwnie, uchyliły się szerzej, a w szparze pojawił się duży puszysty ręcznik. Varnie okręciła się nim i wychodząc z łazienki, prawie wpadła na Leona, uzbrojonego w całą masę ręczników.

- Masz, to na włosy.

Uniosła ręce, by owinąć głowę, i nagle duży ręcznik zaczął się osuwać. Pisnęła przestraszona, Leon jednak uratował sytuację, wtykając poluźniony koniec na miejsce. Poczuła jego palce przy piersi, lecz zachowywał się przyzwoicie. Podał jej kolejny ręcznik i podprowadził ją do łóżka. Siedziała, osuszając szyję i ramiona, a on wycierał jej stopy i nogi do kolan, a potem zajął się włosami. Miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w innej galaktyce.

- Kto by to pomyślał, że masz takie uzdolnienia - wymruczała sennie.

- Mało mnie jeszcze znasz, dziecinko. - Uśmiechnął się tak cudownie, że zatrzepotało jej serce. - No, a teraz owiń włosy suchym ręcznikiem i... - Zdjął z grzejnika gruby szlafrok. - Włóż to.

Zachowywał się wręcz wzorowo. Spokojnie i pewnie robił wszystko, co uznał za konieczne, by uchronić ją przed zapaleniem płuc. Pomyślała, że powinna zachowywać się mniej ulegle.

- Założę się, że na posiedzeniach zarządu grasz zawsze pierwsze skrzypce - docięła mu, ale kiedy przytrzymał przed nią szlafrok, wstała i posłusznie włożyła ręce w rękawy. Przewiązał go paskiem i dopiero wtedy wyciągnął spod niego wilgotny ręcznik.

- Dobranoc - powiedziała. - Bardzo ci za wszystko dziękuję.

Bez słowa przeprowadził ją do jej pokoju.

- Gdzie trzymasz nocne koszule? - zapytał, ale zawstydzona, pokręciła głową.

- Prześpię się w tym.

Nie sprzeciwił się i odgarnął kołdrę. Jak w transie weszła do łóżka. Była tak wyczerpana, że nie miała siły nawet kiwnąć palcem. Leon okrył ją po szyję.

- Dobranoc - powtórzyła.

- Nie zrywaj się z samego rana. Musisz odpocząć. - Opaadały jej już powieki, gdy nachylił się i delikatnie ją pocałował. - Dobranoc.

Varnie usiłowała otworzyć oczy, ale same się zamykały. Nie zastanawiała się, dlaczego go kocha. Wiedziała po prostu, że tak jest.

Spała mocno, ale o szóstej, zgodnie ze swym wewnętrznym zegarem, powoli zaczęła się wybudzać. Nie czuła się jednak na siłach, by od razu wstać i przypomniawszy jej się, co zalecił Leon. Mam się wyleżeć, pomyślała, rozpamiętując pocałunek na dobranoc, i jej usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Otworzyła oczy.

- Zawsze budzisz się uśmiechnięta? - usłyszała nagle i natychmiast ocknęła się na dobre. Musiało mi się przyśnić, pomyślała, lecz ten głos był taki realny. I nic dziwnego! Leon stał nad nią. - Pomyślałem, że może

miałabyś ochotę na herbatę. - Przysiadł na łóżku, więc poderwała się, żeby usiąść.

- Wstanę.
- Możesz, ale nie musisz.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Z największym trudem walczyła o wykrzesanie z siebie choć jednej spójnej myśli.

- Miałam już wolne wczoraj - powiedziała.
- Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś wziąć sobie wolnego również dziś.

- Rozpieszczasz mnie - spróbowała zażartować, a Leon się roześmiał. Dobił ją, gdy ze śmiechem dodał, że, owszem, docenia jej wdzięki, ale radziłby, żeby nie siadała wyżej. Pobiegła za jego spojrzeniem i... spiekła raka. Jej piersi wychyliły się spod pościeli. Prędko podciągnęła kołdrę. - Gdzie się podział mój szlafrok? - jęknęła.

- To nie moja sprawa, słowo daję - powiedział Leon wesoło. - Pewnie w nocy zrobiło ci się gorąco i sama go zdjęłaś... Pij herbatę. Zobaczymy się później.

Popatrzyła za nim niepewnie. Jakoś nie mogła sobie przypomnieć tego momentu. Zresztą nieważne. Ważne było jedynie to, że go pokochała. Bardzo źle się stało. Już niedługo ich drogi miały się rozjeść. - Leon wracał do Londynu, a jej pozostawał powrót do rodziców. I co miała zrobić z tą swoją miłością? Nic. W tej sprawie nie dało się zrobić absolutnie nic. Nie zamierzała jednak

spędzić w łóżku całego dnia i zadręczać się beznadziejnymi myślami.

Gdy zeszła na dół, powitał ją od razu zapach smażącego się bekonu.

- Nie powinieneś się tym zajmować! - natarła na Lenę. - To należy do moich obowiązków.
- Masz dziś wolne.
- Poważnie?
- Ja i żarty?

Uwielbiała, jak się z nią droczył.

- Wakacje dobrze ci służą - powiedziała. Wolą już być zgryźliwa, niż rzucić mu się na szyję.

- Mam rozumieć, że byłem na początku jak przysłowiowa wrona, co tylko kracze i kracze?

Uśmiechnęła się i spoważniała.

- Zresztą, jakie to wakacje! Większość czasu przepracowałeś... - Raptem przeszło jej przez myśl to, co najważniejsze. - Mam już odejść, tak?

Leon spojrzał na nią ostro.

- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Pomyślałam... - załamał się jej głos. - No, że... Potrafisz kucharzyć, umiesz wszystko... więc pomyślałam, że może nie jestem ci już potrzebna.

- Panno Sutton - stwierdził z nieporuszoną twarzą. - Jest mi pani potrzebna. - Zadzwiączkał patelnią. - Jedno jajko czy dwa? - zapytał i od razu wróciło jej życie.

Wybuchła śmiechem. Czyż nie wymigiwała się często od odpowiedzi, rzucając to samo pytanie?

Jedli śniadanie, a za oknem wciąż lał deszcz. Zastanawiali się, jak spędzić ten dzień. Praca w ogrodzie nie wchodziła w grę. Leon zaproponował, że podjedzie w góry i sam wymieni koło w pozostawionym przy szosie samochodzie, ale Varnie nie chciała się na to zgodzić. Zmókł poprzedniego wieczoru, dosyć się już namęczył... Zaproponowała, że podzwoni po warsztatach.

- Nie pojedziesz - zaproponowała twardo i wygłosiła całą tyradę.

Leon wysłuchał jej spokojnie, lecz na koniec badawczo powiedział:

- Uprzejmie przepraszam, ale czy ty byłaś kierowniczką tego waszego hotelu?

Varnie aż zamrugała. Z tej miłości chyba naprawdę pomieszało się jej w głowie.

- Masz mnie za idiotkę? Uważasz, że jestem przemądrzała?

- Skądże znowu - odparł sucho. - Jest z pani niezły twardeł, panno Sutton. - Uśmiechnęła się, ale za moment odechciało jej się cielecych zapatrzeń. Leon spojrział na nią spoje łba: - Ten John Metcalfe...

Varnie zamarła, czując, że uginają się pod nią nogi.

- O co chodzi?

- Powiedziałaś, że z nim spałaś.

Mogła się bronić jedynie poprzez atak.

- Nie twoja sprawa! - zezłościła się i od razu poczuła się różniej.

- Czy on jest impotentem?

- A skąd mam wiedzieć? - krzyknęła i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że Leon jest pewien, że nie miała nigdy kochanka i że jej gwałtowna reakcja jedynie utwierdziła go w tym przekonaniu. - Ty draniu!

- No dobra, zadzwonię do warsztatu - odparł bez cienia urazy i wyszedł z kuchni. Po mniej więcej godzinie powiedział, że znalazł kogoś, kto zajmie się jej samochodem, ale będzie szybciej, jeśli podrzuci kluczyki. Wyjechał, a Varnie zakrzętnęła się wokół swoich spraw. Przejrzała ubranie, w którym była wczoraj. Buty niestety nie nadawały się już do noszenia. Gdy zadzwonił telefon, pomyślała, że to na pewno nie do niej. Chyba że Russel... Może znów odwiedzał rodziców. Podniosła słuchawkę i... usłyszała głos swego brata.

- Gdzie jesteś? - zapytała, pewna, że wcześniej wrócił do kraju.

- W Australii. A ty... Co robisz w Aldwyn House? Miałem nadzieję, że Leon... Och, wiem, wiem. Zniechęcisz mnie za to, co zrobiłem. Wynająłem mu twój dom, kiedy cię nie było, ale... Nic nie rozumiem. Miało cię nie być. Miałaś wyjechać do Szwajcarii. Co się stało? Śnieg stopniał czy co?

Jeśli Johnny dzwoni z Australii, pomyślała Varnie, to nie pora opowiadać mu o Martinie. Zresztą brat nie dał jej dojść do słowa.

- Rozumiem. Wróciłaś z urlopu wcześniej. Całe szczęście, że nie za wcześniej. Bo Leona już nie ma w Aldwyn. A może przypadkiem? Nie, nie, jasne. Nie powinno go być, ciebie zresztą też. Rzecz w tym, że... Mam tyle do opowiedzenia, ale nie mogę, zanim Tina nie porozmawia ze swoimi starymi...

Jaka Tina? Jacy starzy?

- Johnny, wolniej.

- Trajkoczę, co?

- Owszem, trajkoczesz.

- Dziwisz mi się? Jestem zakochany! Wczoraj Tina zgodziła się wyjść za mnie. Cudo nie dziewczyna, mówię ci, Varnie. Problem w tym, że jej starzy wyjechali. Będą w przyszły poniedziałek, a umówiliśmy się, że powiemy rodzicom o naszych planach tego samego dnia. Nie mogę więc zadzwonić do domu. Póki co, nie mów nic mamie i ojcu, dobrze?

- Dobrze. - Varnie prawie oniemiała z wrażenia.

- I jeszcze jedno. Pomyślałem, że skoro nie wracam do kraju, to może powinienem jak najprędzej zawiadomić Leona, żeby poszukał sobie kogoś na moje miejsce.

- Johnny, wolniej, wolniej - powtórzyła Varnie, czu-

jąc, że kręci się jej w głowie. - Mam rozumieć, że nie wracasz do Anglii? Że rezygnujesz z pracy?!

- Tak. Inaczej się nie da. Tina ma tu dobrą robotę... Właśnie dlatego chciałem się skontaktować z Leonem. Po pierwsze dlatego, żeby powiedzieć komuś, komuś spoza rodziny, że się żenię, a po drugie żeby złożyć ustną rezygnację. Varnie, muszę kończyć. Przyjedziecie na mój ślub, prawda? Tina jest super. Ściskam cię, pa. - Przerwał połączenie.

Varnie opadła na fotel. To oczywiście wspaniałe, że jej brat znalazł dziewczynę swoich marzeń, że jest szczęśliwy. Rodzice też się ucieszą. Tak, tylko co miała teraz powiedzieć Leonowi? Przyznać się, że jest siostrą jego asystenta, który właśnie oświadczył, że nie wraca ani do kraju, ani do pracy? A może nie mówić nic i po prostu wyjechać? Bo przecież, uświadomiła sobie nagle, nie musiała już chronić Johnny'ego. Nic jej tu nie trzymało. Była wolna!

Jak to nic? Jak to wolna? - myślała z rozpaczą. Przecież kocham Leona. On jeszcze nie wyjeżdża, może zostanie dłużej, na całe te dwa tygodnie, kiedy nie miało być Johnny'ego? Gdybym odeszła teraz, nigdy więcej byśmy się nie zobaczyli.

Była w kuchni, gdy wrócił i od razu się zameldował.

- Kawy? - spytała.

- Z przyjemnością.

Zaraz potem zamknął się w gabinecie, ale po paru kwadransach przyszedł i zaproponował, żeby we dwoje wybrali się na zakupy. Na lunch wrócili do domu, a przed wieczorem mechanik i jego pomocnik przywieźli naprawiony samochód.

Następnego dnia się przejaśniło. Zaraz po śniadaniu Leon zaproponował spacer. Varnie spojrzała na niego przekornie.

- Chodzisz na spacerki ze swoimi służącymi? Z gosposiami - poprawiła się szybko.

- W dniu, kiedy wymogłaś na mnie, żebym się z tobą ożenił, przestałaś być jedynie moją gosposią. Jesteśmy w tym chyba zgodni?

Miała już zaoponować, powiedzieć coś ostrego, ale zrezygnowała. Prawda była taka, że dla każdego, kto go znał, zaręczyny oznaczały jedno: Beaumont się żeni. Varnie pozostała tylko jedna broń - śmiech. Ściągnęła brwi.

- Wymogłam, nie wymogłam, ale ty nie zaprotestowałeś.

Leonowi wesoło błysnęły oczy.

- Śnij dalej, słońeczko - zadrwił. Oboje wybuchli śmiechem i raptem musnął wargami jej usta.

Był to jeden z najlepszych dni w całym życiu Varnie. Rozmawiali, śmiali się, spacerowali. Gdy podtrzymywał ją na kamieniach lub kiedy przeskakiwali kałużę, jej serce śpiewało z radości. O, jakże kochała jego dotyk!

Następnego dnia od samego rana roznosiły ją nerwy. Kochała Leona, taka była prawda. Tylko na co mu, myślała, ta moja miłość? Jest daleko od domu, pozbawiony kontaktu z przyjaciółmi, więc ostatecznie co mu szkodzi odrobina rozrywki. Może nawet trochę mnie polubił - ale nic więcej. Nie obchodzę go jako kobieta, a wczoraj... wczoraj chyba trochę przeszarżowałam.

Było jej głupio i czuła się tak niezręcznie, że starała się go unikać. Kiedy wszedł do kuchni, wymówiła się jakimiś zajęciami na gorze. Pojechał po gazety, a gdy wrócił, odkurzała salonik.

- Zrobione - oznajmiła, nie patrząc na niego. - Masz pokój do dyspozycji.

- Przywiozłem ci prasę.

- O, jak miło. Dziękuję. - Wzięła od niego gazetę i od razu wyszła.

Do południa zrobiła wszystko, co należało zrobić w domu, zjadła kanapkę, zaniosiła na tacy lunch dla Leona do saloniku i wybiegła do ogrodu. Po deszczach ziemia jeszcze nie obeschła, ale zawsze można było coś uprzątnąć. Varnie zerknęła w stronę domu. Leon stał przy oknie saloniku i obserwował ją. Zapragnęła znaleźć się obok niego, ale nie uległa pokusie. Kochała go, wczoraj czuła się z nim tak swobodnie, lecz dziś odczuwała jakiś wewnętrzny opór, niewytłumaczalny i przytłaczający. Leon miał powodzenie, kobiety lgnęły do

niego i mu się narzucały. Nie chciała być jedną z nich, jedną z wielu. Odłożyła ogrodowe narzędzia i postanowiła przejechać się na próbę - choć była przekonana, że wszystko zostało znakomicie naprawione - swoim samochodem. Wróciła ze świadomością, że kolacja będzie dla niej ciężkim przeżyciem. Od dwóch dni jadali wspólnie w kuchni, więc byłoby wręcz śmieszne, gdyby nagle znów zaczęła nakrywać do stołu w saloniku wyłącznie dla Leona.

Zjedli razem, ale nie potrafiła być naturalna. Jakaż by to była dla niego rozkosz, gdyby wiedział, co czuła! Starając się okazać obojętność, przyłapała się na tym, że nie potrafi się nawet uśmiechnąć. Rozmowa rwała się, a w końcu w ogóle przestali się do siebie odzywać. Ubiegłego wieczoru Leon pomógł jej zmywać. Dziś ledwie zjadł, odsunął krzesło, bąknął „dziękuję” i wyniósł się gdzie indziej. Varnie od razu pożałowała, że sprawy przybrały taki obrót. Pozmywała jednak, sprzątnęła kuchnię i wiedząc, że tak musiało być, zastanowiła się, co robić. Mogła posiedzieć tutaj, pójść do saloniku, ale tam był Leon, albo położyć się do łóżka. Wybrała to ostatnie. Było jednak jeszcze wcześniej, czuła się rozstrojona i nie mogła usiedzieć na miejscu. Postanowiła wziąć prysznic. Raptem przypomniało jej się, że nie zmieniła w swojej łazience ręczników. Wyszła z pokoju na korytarz, sięgnęła na półkę ścien-

nej szafy i jak oparzona cofnęła dłoń, gdy natrafiła na świeżo uprasowane koszule. Błyskawicznie zebrała je i przeszła prosto do pokoju Leona. Chyba naprawdę działo się z nią coś nie tak, gdyż zamiast jak zwykle położyć czystą zmianę bielizny, ręczniki i koszule na stolicku przy drzwiach, bez pukania otworzyła drzwi i... zastygła bez ruchu.

- Leon! - Zakryła ręką usta. Stał w takiej pozie, jakby chodził po pokoju i zatrzymał się w pół kroku. - Przepraszam - wybąkała. - Nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Najwyraźniej - rzucił przed siebie.

Miała ochotę wycofać się jak najprędzej, widząc, że jej niezapowiedziane wtargnięcie w ogóle go nie obezszo, ale uznała, że zachowałyby się kompletnie bez godności, gdyby wyszła i położyła koszule pod drzwiami.

- Wybacz - powiedziała sztywno. - To się więcej nie powtórzy.

- Rzec nie w tym, że weszłaś - powiedział, dobitnie akcentując słowa. - Dla każdego, kto ma oczy, jest jasne jak słońce, że poszłabyś wszędzie, byleby tylko mnie tam nie było.

Varnie odczuła nagle wielkie poruszenie.

- Och, Leon - westchnęła płaczliwie. - Nie chodzi o ciebie.

- Nie? W takim razie o co? Przez cały dzień unikasz mnie jak zarazy. Już się zbierałem, żeby z tobą pogadać.

Jeśli czymś cię zirytowałem, to chyba mam prawo wiedzieć czym.

Aż się uśmiechnęła. Dwa tygodnie temu nie obeszłoby go ani trochę, gdyby sprawił jej przykrość, a dziś... Gotów był się tłumaczyć. Niczego to oczywiście nie zmienia, jesteś dla niego nikim! - podpowiedział sceptyczny głos i lepiej, żeby go słuchała.

- Ja... - zaczęła bezradnie i nagle poczuła straszliwy zamęt w myślach. - Przyjechałeś tutaj, bo miałeś po dziurki w nosie kontaktów z kobietami. A ja... - Urwała, odkrywając nagle, że miłość polega również na tym, że nie chce się denerwować kogoś, kogo się kocha. Zrozumiała, że swoim dzisiejszym zachowaniem mogła trochę zirytować Leona, wyznała jednak otwarcie: - Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, ale... zaczęłam się zastanawiać, czy zważywszy na twój uraz do kobiet, nie zachowuję się... no, odrobinę za przyjaźnie.

- Czy mi się nie narzucasz? To miałaś na myśli?

Może tak, może nie... Zrobiło się jej gorąco.

- Czy... czy mogę zostawić twoje koszule tam? - Podeszła do kredensu. Nie odpowiedział, więc położyła je na blacie i zamierzała wyjść. Raptem poczuła, że nie chce rozstawać się w niezgodzie. Wyciągnęła do Leona rękę. - Pogodzimy się? Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

Pokręcił głową.

- Tyle w tobie różności - powiedział bez cienia urazy. Podeszedł i ujął jej dłoń. Nie uścisnął! jej jednak po przyjacielsku, lecz przytrzymał, zaglądając głęboko w zielone jak morze oczy Varnie. - Wybaczam ci - powiedział z uśmiechem i leciutko musnął jej usta. - Pamiętasz? Ty też mnie kiedyś pocałowałaś, żeby pokazać, że mi przebaczasz i ufasz.

- Tak... to prawda. - Pragnęła oddać mu pocałunek, lecz wiedziała, że musi trzymać uczucia na wodzy. Cofnęła się o krok. Tak nakazywał rozsądek. Kto jednak powiedział, że miłość jest rozsądna? Prawie nieświadoma tego, co robi, objęła Leona za szyję, pocałowała go i natychmiast odczuła zakłopotanie. Szukała rozpaczliwie jakiegoś logicznego wyjaśnienia swego zachowania, ale żadnego racjonalnego powodu po prostu nie było. - Jesteśmy kwita - powiedziała, siląc się na wesołość, chcąc jak najszybciej wyjść. Tak nakazywał rozsądek. Raptem poczuła, że nogi jakby wrosły jej w ziemię, a potem, co nappełniło ją dziką radością, Leon przygarnął ją do siebie.

- Nie sądzę, żeby to wystarczyło - wymruczał tuż przy jej ustach. - Jak myślisz? - Uniósł głowę.

Była tak oszołomiona, że myślenie przychodziło jej z trudem.

- Czy normalnie... Czy przyjaciele tak się całują? - za pytała, wiedząc, że postąpiłaby najmądrzej, wymykając się teraz z objęć Leona, ale było jej tak dobrze, tak słodko...

Ośmieliła go chyba swoim niedorzecznym pytaniem, gdyż uśmiechnął się przekornie. - Przyjaciele owszem, tak, a więcej niż przyjaciele... Zaraz zobaczysz. - Namiętnie pocałował ją w same usta. W Varnie zaśpiewała radość.

- Panie Beaumont - powiedziała, kładąc ręce na jego bokach. - Znowu pan zaczyna. Nie odpowiadam za konsekwencje.

Roześmiał się ciepło, uwodzicielsko i przyciągnął ją do siebie. Objęła go w pasie i wtuliła się w jego ramiona. Kochała go! Z całej duszy, z całego serca. Nagle poczuła, jak bardzo jest pobudzony.

- Leon! - wyszeptwała.

- Coś nie tak?- zapytał delikatnie.

- Nie tak by było, gdyby ci się przestało chcieć - odpowiedziała i wcale nie przejęła się tym, że mogłoby to zabrzmieć wyzywająco, gdyż Leon roześmiał się cicho, jakby jej reakcja jeszcze bardziej go oczarowała, i znów poszukał jej ust. Poczowała, że pieści jej plecy. Wielbiła w duszy jego ręce, wargi. Wiedziała, że oboje pragną więcej, coraz więcej, lecz kiedy objął jej piersi, przestraszyła się i przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Rozluźnij się, miła moja - Odczekał chwilę. - Bo inaczej przestanie mi się chcieć - zagroził wesoło.

- Och, ty! - zawołała, odzyskując swobodę i zarzucając mu ręce na szyję.

Pieścili się i całowali, zapominając o całym świecie. Varnie czuła, że gubi biustonosz, bluzkę, spodnie. Wkrótce oboje byli nadzy.

- Nigdy w życiu, nigdy tak mi nie było - szeptała roznamiętniona. - Tylko, Leon, ja...

- Wiem. Nie bój się. Poprowadzę cię.

Spojrzała mu oczy. Były ciepłe, pełne oddania. Uśmiechnęła się, dając mu całkowite przyzwolenie na to, by poprowadził ją wszędzie, dokąd by tylko zechciał. Chwilę później znaleźli się -w łóżku. Przeniósł ją tam na rękach, nie przerywając pocałunku. Kiedy poczuła go na sobie, jej ciało samo, naturalnie i bez najmniejszego oporu, przygotowało się na jego przyjęcie, Leon rozkoszował się przez moment ciepłem jej ud. Popatrzył jej w oczy i czule pogłodził bok twarzy. Zachwycił się jej urodą.

- Pragnę cię - powiedziała. - Nie wiedziałam, że mogę pragnąć aż tak.

Pieścił ją coraz namiętniej, a ona miała ochotę krzyknąć. Wyznać, że kocha go z całej duszy. Że z miłości do niego...

I raptem poczuła się tak, jakby ktoś chlusnął na nią kubłem lodowatej wody. Miałyby się przyznać, że go kocha? Chyba padło jej na rozum! A czy on chciał od niej miłości? Ależ skąd! W tym, co robili, nie było miłości, w każdym razie z jego strony.

- Nie! - krzyknęła spanikowana i odepchnęła go od siebie.

Leon uniósł się nad nią lekko.

- Nie? - Może tak jej się tylko wydawało, ale w jego głosie oprócz przekory zabrzmiało zdumienie i niepokój.

- Ja... Ja nie mogę - Wydostała się spod niego i przez chwilę leżała, odwrócona plecami. Usłyszała, że odechnął głęboko.

- Nie bój się - powiedział spokojnym, kojącym tonem. - Mamy przed sobą całą noc...

Poczuła, że słabnie w niej wola. Och, jakże go pragnęła, jak bardzo chciałaby...

- Przepraszam - wydusiła z siebie chrapliwym szepcieniem. - Po prostu nie mogę - powtórzyła i póki było ją jeszcze na to stać, zerwała się z łóżka i pobiegła do swojego pokoju. Zatrzasnęła mocno drzwi na wypadek, gdyby mimo wszystko nie wytrzymała i postanowiła wrócić. Myślała też, że Leon może zechcieć postawić na swoim i przyjdzie do niej. Niepotrzebnie się obawiała. Nawet nie zapukał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta noc zdawała się nie mieć końca. Varnie wiedziała, że postąpiła słusznie, ale jak to wytłumaczyć sercu? Wiedziała też, że musi wyjechać, i to bezzwłocznie, bez pożegnania z Leonem. Odpychając od siebie wszelkie „ale”, które mogłyby zmienić jej decyzję i opóźnić wyjazd, napisała do niego tylko kilka słów: „Drogi Leonie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli odejdę teraz”. Kartkę zostawiła na schodach. Z torbą na ramieniu przeszła cicho do bramy i otworzyła ją. Całe szczęście, że nie wstawiła samochodu do garażu, wystarczyło więc tylko otworzyć pilotem drzwiczki i usiąść za kierownicą.

Było jeszcze ciemno, gdy znalazła się na granicy Gloucestershire. Zatrzymała się i przez moment chciała zawrócić do Walii, przeżywając moment strasznego rozdarcia. Cóż z tego, że miała pewność, że stało się tak, jak musiało się stać.

Rodzice zawsze wstawali wcześniej, kiedy więc zajęła do domu, kręcili się już przy śniadaniu. Varnie przywitała się z nimi z przylepionym uśmiechem, ale

szybko zorientowała się, że są czymś zbyt przejęci, by spostrzec, że coś się jej nie powiodło.

- Nie mogłaś spać? Ach, ty ranny ptaszku! - zażartował ojczym. - Właśnie mieliśmy do ciebie zadzwonić.

- Wiedziałaś o tym? - Matkę aż roznosiła radość.

- O czym?

- Dopiero co telefonował Johnny. Żeni się - odpowiedział ojciec. - Ale nam zrobił numer!

- Tak, wiem. Johnny chciał powiedzieć o tym wam pierwszym, ale zatelefonował do Leona... do Beaumonta, żeby złożyć rezygnację z pracy, i tak wypadło, że ja odebrałam telefon i...

- I wiesz co? - przerwała jej matka. - Nie tylko się żeni, i to z jakąś ponoć cudowną dziewczyną, ale zaprasza nas wszystkich na ślub do Australii. A ty... - Raptem przyjrzała się uważniej córce. - Wyjechałaś z Aldwyn House na dobre, czy wracasz?

- Nie jestem już potrzebna Leonowi - odpowiedziała Varnie i mało brakowało, a zaczęłaby płakać. Jednak jej rodziców tak pochłoneła sprawa ożenku Johnny'ego, że przy śniadaniu rozmawiali tylko o tym. Na wpół do dziesiątej ojciec miał umówioną wizytę u okulisty i po stanowili, że zaraz potem przejadą się po biurach podróży, by się zorientować, gdzie i w jakim terminie można najkorzystniej załatwić bilety na samolot do Australii.

Matka zauważyła, że Varnie wygląda na zmęczoną, i za-

proponowała, żeby odpoczęła, a oni z ojcem zarezerwowali przelot również dla niej.

Po wyjeździe rodziców w domu zrobiło się cicho. Yarnie była zadowolona, że przynajmniej nie musi wykrzesywać z siebie entuzjazmu z powodu czekającej ich podróży do Australii ani też udawać, że w jej świecie kwitną same róże bez kolców. „Nie jestem już potrzebna Leonowi”. Tak powiedziała matce i wszystko w jej życiu obecnie do tego się sprowadzało. Poszła do swego pokoju, wzięła prysznic i przebrała się w świeże ciuchy. Usiłowała cieszyć się, że znowu jest w domu, gdzie wszyscy ją kochali, lecz sercem była gdzie indziej.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Tyle się dziś zdarzyło, a na zegarze dopiero dziesiąta... Varnie postanowiła się czymś zająć. Zeszła do kuchni, zajrzała do lodówki i pomyślała, że rodzicom będzie miło, gdy po powrocie zastaną lunch na stole. Pokrzętała się trochę, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Poszła otworzyć, nieciekawa ani tego, kto przyszedł, ani czego chce. Uchyliła drzwi i prawie zemdląca z wrażenia. Na schodkach stał Leon Beaumont. Krew uderzyła jej do twarzy. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią twardo. Nie odzyskała jeszcze głosu, gdy odezwał się pierwszy:

- Panno Sutton, wydaje mi się, że nie rozliczyliśmy się jeszcze do końca.

W głowie Yarnie panowała kompletna pustka.

- Jeśli chodzi o zapłatę za moją pracę, to dziękuję, ale nie...

- Być może wyraziłem się niejasno. - Wbił w nią wzrok, jakby czekał, czy czegoś nie doda. - Sprawa ma charakter osobisty.

Varnie najchętniej zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem. Nie domyślał się chyba, że go kocha? Nie wolno mu było się o tym dowiedzieć.

- Mam wrażenie - rzuciła ostro - że wczoraj wieczorem stosunki między nami przybrały taki obrót, że doprawdy aż nie wypada, by do czegoś takiego do szło między pracodawcą a podwładnym. Daj więc spokój i przestań pleść o tak zwanych sprawach osobistych. - W zdenerwowaniu nieopatrznie sama narzuciła rozmowie osobisty ton, odwołując się do ich nieszczęsnego zbliżenia. - Musiałeś wyruszyć w drogę około szóstej, skoro pojawiaasz się tu tak wcześniej.

- Dokładnie o wpół do siódmej - odparł swobodnie. - A ty o której wyjechałaś?
- Tuż po piątej.
- Czyli wtedy, gdy po raz pierwszy przysnąłem.

Varnie przyjrzała mu się uważniej. Czy miała rozumieć, że Leon, podobnie jak ona, przeżył bezsenność? Naturalnie z innych powodów.

- Nie sądziłam, że wiesz, gdzie mieszkam.
- Nie wiedziałem... To długa historia.

Dopiero w tym momencie Varnie uświadomiła sobie, że zachowuje się grubiańsko. Jak mogła tak długo trzymać Leona za drzwiami?

- Wejdz, proszę - powiedziała niechętnie. Wcale nie uśmiechało się jej go zapraszać. Ależ tak! - sprzeciwiło się jej zakochane serce. Marzysz o tym. Przecież myślałaś, że nigdy już się nie zobaczycie. - Tylko że... przykro mi, ale nie zastałem rodziców.

- Nieważne - odpowiedział. - Nie do nich przyjechałem.

- Napijesz się kawy? - Po przeszło trzygodzinnej jeździe musiał być zdżony.

- Wolałbym, żebyś poczęstowała mnie kilkoma szczerymi odpowiedziami. Czy choć raz zdobędziesz się wobec mnie na uczciwość?

Varnie była naprawdę poruszona. Poprosiła Leona, żeby usiadł na kanapie, zastanawiając się nad jego prośbą. Owszem - do pewnego momentu, dopóki nie domyśliłby się jej uczucia - mogła zmusić się do otwartości. Przysiadła na drugiej sofie i nie bez oporów przyznała:

- Fakt, byłam z tobą troszeczkę nieszczerą.
- Troszeczkę? Tylko troszeczkę?
- Nie sądzę, żebym w sumie nakłamała dużo - odpowiedziała drętwo. - W każdym razie nie celowo.
- A tak niechętny?

Nie miała pojęcia, ile i co wiedział. Jednakże sam

fakt, że zdobył jej adres, wskazywał na to, że wiedział więcej, niż sądziła. Ale to był jej dom, rodzinny dom... Leon nie miał prawa zakłócać nikomu spokoju. Musiała przystąpić do ataku, gdyż w przeciwnym razie stałaby się szczeniakiem w jego rękach.

- Co wiesz? - natarła.

- Mam rozumieć, że jak ci powiem, to z reszty się jakoś wyłgasz?

- Och, zamknij się! - Wybuchła śmiechem. - Nie, nie, przepraszam. Mów! Jakim cudem dowiedziałeś się, gdzie mieszkam? Oraz - tak, to było najważniejsze - dlaczego w ogóle zależało ci na tym, żeby mnie znaleźć?

Leon patrzył na nią przez dłuższą chwilę z taką miną, jakby się zastanawiał, czy powinien być z nią szczerzy, nawet jeśli nie spodziewał się usłyszeć prawdy z jej ust.

- To pierwsze było łatwe. Na drugie pytanie... - Umilkł, lecz po chwili powiedział: - Pewnie znów się zarumienisz, ale chyba przyznasz, że wczoraj wieczorem oboje daliśmy się ponieść emocjom.

- Owszem - przyznała. Fizyczny pociąg był wzajemny. Nie było sensu zaprzeczać. Tak, tyle że z jej strony wiązał się z prawdziwym uczuciem.

Leon podziękował jej za szczerą rozbrajająco ciepłym uśmiechem.

- Nie wiem, jak ci przebiegła ta noc i czy w ogóle spałaś, ale ja nie mogłem się zmusić do snu. Wal-

czyłem z sobą, żeby nie pójść do ciebie. Chciałem cię uspokoić.

- Ty? Mnie?

Uśmiechnął się delikatnie.

- Byłaś tak bardzo zdenerwowana... Przez te dwa tygodnie zdążyłam cię troszeczkę poznać. Wiedziałem, że dotąd nie poznałaś, czym jest prawdziwy seks, W pewnej chwili wyszeptałaś, że w życiu tak się nie czułaś, że nie było ci tak dziwnie... no więc... chciałem cię uspokoić, ukoić.

- Ale zrezygnowałaś.

- Musiałem. Wczoraj wieczorem - przyznał - wcale nie zamierzałem się z tobą kochać. Tak to po prostu wyszło. Między tobą a mną jest, Varnie, jakaś chemia, która sprawia, że oboje spontanicznie pakujemy się w nieprze-myślane sytuacje.

Varnie spojrzała na niego zaskoczona, niemal marząc o tym, by wiedzieć o życiu tyle co on.

- A zatem uznałaś, że lepiej nie interweniować na wypadek, gdyby ta... ta chemia... znów zamieszała nam w głowach?

Leon kiwnął głową.

- Tak, ale Bóg jeden wie, co to była za noc. Około piątej pomyślałem, że jeśli wytrzymam jeszcze godzinę, to i tak zaraz wstaniesz, i postanowiłem położyć się do łóżka.

- Poszedłeś spać, a ja właśnie wyjeżdżałam...

- Przysięgam, zdrzemnąłem się na nie więcej niż dziesięć minut, po czym ocknąłem się i aż do szóstej przeżywałem istne katusze. Kiedy wreszcie wyszedłem z pokoju i zobaczyłem tę twoją kartkę na schodach, nie wierzyłem własnym oczom. Tobie może faktycznie wydawało się, że wyjazd jest najlepszym rozwiązaniem, ale ja tak nie uważałem. O nie!

Varnie całą siłą woli zmusiła się, by nie doszukiwać się w tym, co powiedział, czegoś, czego tam po prostu być nie mogło.

- No, ale chyba i tak nie zamierzałeś zostać w Aldwyn House na dłużej, i w ogóle po co ci służąca? Potrafisz sam świetnie zadbać o siebie i mieszkanie, a lodówka jest pełna. Musiałbyś jedynie...

- Lodówka, owszem, może i jest pełna, tylko co z tego. .. Dom jest pusty - bez ciebie.

Varnie poczuła, że raptem wyschły jej usta, a serce wali jak szalone. Przeżyła straszliwą chwilę, usiłując sobie wmówić, że za stwierdzeniem Leona nic się nie kryje. A jednak... Spojrzała na niego. Nie, nie powiedział tego ot tak sobie. Nie czarował. Dom bez niej był dla niego pusty. Tak to odczuwał, naprawdę.

- Kiedyś i tak musiałybyśmy wyjechać...

- Owszem, ale nie bez pozostawienia mi adresu. Wyjechałaś i nawet nie pomyślałaś o tym, żeby powiadomić

mnie, gdzie będziesz. Czy naprawdę znacę dla ciebie tak niewiele?!

O nie, pomyślała prędko Varnie. Wszystko, byle nie to. Za nic nie przyznałaby mu się, ile dla niej znaczył.

- Skąd wzięłeś mój adres? - Za wszelką cenę musiała ukryć swoje uczucie.

Popatrzył na nią bez uśmiechu i przez sekundę bała się, że powtórzy pytanie, ale odpuścił jej, jakby sądził, że i tak wróci do nurtującego go problemu.

- Zadzwoiłem do tego twojego Johna Metcalfea - odpowiedział wprost.

- Do Australii?! Nie wiedziałam, że masz jego numer.

O matko, pomyślała strwożona. Co też Johnny mógł mu nagadać?

- Nie miałem - przyznał. - Ale nie znam nikogo innego, kto, jak sądziłem, może mieć twój adres albo przynajmniej numer telefonu. Zadzwoiłem do swojej sekretarki.

- O szóstej rano?!

- Nie. Wiedziałem, że twoi rodzice mieszkają gdzieś w okolicach Cheltenham, więc pojechałem w tym kierunku, a do Evelyn zadzwoniłem już z drogi, o siódmej. W firmie jest normą, że kiedy ktoś z zarządu wyjeżdża na urlop, zostawia do siebie kontakt. Metcalfe oczywiście nie pełni kierowniczej funkcji, więc go to nie obowiązuje, tyle że... pracuje bezpośrednio ze mną, a to nieco

zmienia sytuację. Moja sekretarka to mądra dziewczyna, więc wzięła od niego namiary. Kiedy tylko dojechała do pracy, od razu zadzwoniła do mnie na komórkę. Zatelefonowałem do Metcalfea z najbliższej poczty i wiesz, co mi powiedział? Że się żeni. Tak się rozgadał, że ledwie wycisnąłem z niego twój adres. A ty - spojrzał na nią żywo - co o tym myślisz? Metcalfe się żeni, nie jest ci przykro?

- Ależ skąd! Cieszę się.

- Naprawdę? Wiedziałaś o tym?

Uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Tak. Między innymi z tego powodu moich rodziców nie ma teraz w domu. Załatwiają sprawy związane z naszą podróżą do Australii na jego ślub.

- To znaczy, że twoi starzy też go znają? No, nie! Nie sądzisz, że pora już, żebym się dowiedział, co tu jest, do czorta, grane?!

Zdaniem Varnie w tej sprawie nie należały się Leonowi żadne wyjaśnienia i naprawdę nie musiała się tłumaczyć. Tylko że... kochała tego paskudnego aroganta.

- Fakt... nie byłam z tobą do końca szczerą.

- Niby nie wiem! - Dosłownie dusił się ze złości. - Skąd się dowiedziałaś, że Metcalfe się żeni? Przed wyjazdem do Australii nie znał tej dziewczyny. Ach, rozumiem... zadzwonił do ciebie na tę przesławną komórkę!

- Przesławną?

- Powiedziałas mi, bardzo zresztą sprytnie, że Metcalfe zadzwonił do ciebie na komórkę, gdy zgnębiona wracałaś z lotniska po spławieniu tego żonkosia... Ale... Wcale do ciebie wtedy nie zadzwonił. Tak czy nie?

Varnie czuła, że zbiera się jej na histeryczny śmiech.

- Tak, to znaczy nie, nie zadzwonił.

- I cała ta historyjka o tym, że nie chciałaś wracać do domu, by nie martwić rodziców, to też banialuki, tak?

- Nie! To prawda. Rodzice mieli za sobą trudny okres. Dość się nadenerwowali. Postanowiłam wylizać się z ran w Aldwyn House.

- Rozumiem, bywałaś już tam wcześniej. Myślałaś, że dom jest wolny, i wiedziałaś, gdzie znaleźć klucz. Ale... Nie sądzisz, że mimo wszystko podejmowałaś pewne ryzyko?

Do licha ciężkiego! Nic wtedy nie ryzykowała. Ryzykowała dopiero teraz, ale skoro już miała polec, to przynajmniej z pieśnią na ustach.

- Nie miałam się czego bać. Nie musiałam odnajdywać żadnego klucza. Jestem... jestem właścicielką Aldwyn House - dokończyła słabnącym głosem.

- Co takiego?!

- Dziadek, ten, który niedawno zmarł, zapisał mi dom w testamencie.

Leon zmienił się na twarzy.

- Chwileczkę - powiedział zduszonym głosem.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? Mieszkam w twoim domu? A niech to szlag! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Sprzątałaś, gotowałaś dla mnie, zrobiłaś z siebie służącą...

- Nic wielkiego - usiłowała przerwać. - W hotelu...

- Mów! - uciął. - Gadaj prawdę. Dlaczego, na przykład, Metcalfe ma klucz, którym może dysponować i wynajmować swoją własność komu chce?

- Klucz dałam mu dawno temu, myślał, że mnie nie będzie. Faktycznie, wynajął ci Aldwyn House bez mojej wiedzy. Rano, zaraz po tej nocy po moim przyjeździe - zarumieniła się mocno - znalazłam w poczcie list do niego od pani Lloyd. Naprawdę starał się ją zatrudnić na czas twojego urlopu, ale przed wyjazdem do Australii nie złapał jej telefonicznie i tylko zostawił wiadomość. Pani Lloyd nie mogła przyjąć pracy, więc...

- Co to ma do rzeczy?

- Bardzo wiele. Podczas naszej porannej rozmowy zezłościłeś się i powiedziałeś nie wiadomo dlaczego, że Johnny u ciebie długo nie popracuje, że jest niedorajdą... A on tak bardzo cieszył się z tego stanowiska, tak mu na nim zależało...

- O tak, wyjątkowo, tyle że dziś rano, trajlując o swoim małżeństwie, powiedział, że zostaje w Australii i ma zamiar wysłać mi pismną rezygnację.

- To... to jeszcze tego nie zrobił?

- A wiedziałaś, że ma taki plan?

Nie było sensu kręcić. Varnie zrelacjonowała dokładnie swoją piątkową rozmowę telefoniczną z Johnnym i przyznała, że nie powiedziała mu, że są w Aldwyn oboje, a ona przyjęła pracę gosposi. Leon, zdumiony, kręcił głową.

- Varnie, słuchaj, nic już nie rozumiem. Troszczysz się o los tego Metcalfe'a, chronisz go bezustannie. Dla niego zgodziłaś się nawet na rolę służącej we własnym domu. Poszłaś na wszystko, żeby tylko nie stracił pracy, z której zrezygnował bez mrugnięcia okiem... Czy ty go kochasz?

Rozdrażnił ją swoim tonem.

- A dlaczego miałabym nie kochać! - wyrzuciła z siebie, uzmysławiając sobie nagle, że nie musi już niczego bronić ani osłaniać. - Johnny to mój... brat.

Leon wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Brat? - powtórzył oszołomiony, lecz za moment otrzeźwiał. - Zaraz, zaraz... Coś mi się tu nie zgadza. On ma na nazwisko Metcalfe, a ty Sutton. - Zbladł jak ściana. - Tylko mi nie mów, że jesteś mężatką! Nosisz nazwisko męża!

- Ależ skąd! Nie mam męża! - wybuchła. - Dobra, już wyjaśniam. Johnny to mój brat przyrodni. Jego ojciec ożenił się z moją mamą, kiedy miałam dwa lata...

- Varnie! - Leon patrzył na nią, jakby chciał wydusić z niej życie. - Proszę cię... Czy to jest prawda? Ja muszę wiedzieć. Tak czy nie?

- Tak. Czysta i absolutna. O matko, jak się cieszę, że nie muszę cię już oszukiwać! Nienawidzę kłamać. Wybaczysz mi?

- Dlaczego miałbym ci wybaczyć?

- Dlaczego? Ojej... - Uśmiechnęła się spłoszona. - Przecież wiem, że mnie lubisz.

- Lubię? - powtórzył chrapliwie. - Kobieto! Ja cię Kocham! Do szaleństwa.

Varnie nie potrafiłaby powiedzieć, które z nich było bardziej zaskoczone. Leon wyglądał dziwnie. Nigdy w życiu nie widziała go w takim stanie.

- Naprawdę? - zapytała nerwowo.

- Co naprawdę? Przemogła ucisk w gardle.

- Naprawdę mnie kochasz?

- A myślisz, że dlaczego tu jestem? Na mózg mi padło z tej... z tej miłości - dokończył prawie ze złością.

- To chyba najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś - powiedziała miękko, a Leon momentalnie przesiadł się na kanapę i wziął Varnie w ramiona. Zakołysał nią czule i delikatnie pocałował.

- A ty? - Zajrzał w jej zielone jak morze oczy. - Czujesz do mnie miętę?

- Chyba wiesz...

- Jeśli chodzi o twoją osobę, mój radar zawodzi. - Uśmiechnął się, czekając, aż Varnie przewycięży onieśmielenie. - Oddałbym dziś wszystko za to, że nie wyrzuciłaś mnie z domu w ten piątek, gdy dowiedziałaś się, że Metcalfe'owi... twojemu bratu nic już nie grozi, bo i tak sam z własnej woli rezygnuje z pracy. Zostałaś ze mną... Boże, jakie to szczęście! Odrzucałem od siebie to uczucie, wmawiałem sobie różne bzdury, ale w dniu, gdy zadzwoniłaś do mnie z gór i jak szalony gnałem, bojąc się o ciebie, zrozumiałem, że nie mam po co udawać. Kocham cię! Kiedy pocałowałaś mnie... no wiesz, wtedy po kolacji w Ruthin Castle, myślałem że dostanę zawału. Ale jeszcze się broniłem, jeszcze nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że...

- Ja też już wtedy zaczęłam się w tobie troszeczkę podkochiwać - przyznała. - Ale dopiero później... w tych górach... kiedy cała się trzęsłam, a ty owinąłeś mnie kołdrą i... zawiozłeś do domu... Kiedy okryłeś mnie w łóżku i ze zmęczenia nie byłam już w stanie nawet unieść powiek... Wtedy... To wtedy dotarło do mnie, że cię Kocham. Całym sercem, całą duszą.

Zaczęli się całować i Varnie zapomniała o całym świecie.

- A teraz... odnalazłeś mnie i...

- I nie oddam nikomu. Nigdy. Pojadę z tobą do Au-

stralii, błagam, zgódź się. Uschnę bez ciebie, nie wytrzymam nawet jednego dnia. Mam za co dziękować Johnny'emu Metcalfe'owi. Chcę... Varnie, ja chyba zwariowałem, ale to prawda. Chcę, żebyś została ze mną na zawsze. Proszę cię o rękę.

Odsunął ją od siebie i popatrzył w jej rozpromienione, zielone jak morze oczy. Czuła, że jest niepewny, że ogromnie się denerwuje. Nie kazała mu długo czekać. Uśmiechnęła się do niego, kiwnęła głową i zanim przytulił ją do serca, powiedziała przekornie:

- Zaręczyny były na niby. Ale żoną mam być prawdziwą?

- Najprawdziwszą, ty moja pyskata babo! Kocham cię!
Reszta ich szeptów, śmiechów i słów utonęła w pocałunkach.

Lucy Gordon

Czas miłości

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cóż to za wspaniały mężczyzna, pomyślała z podziwem Laura. Nie tylko przystojny, ale po prostu piękny.

Na ławce leżał młody człowiek o gęstych, ciemnych, lekko wijących się na skroniach włosach. Wprawdzie stara marynarka, sprane dżinsy i jednodniowy zarost nadawały mu wygląd kłozarda, ale bardzo stylowego kłozarda. Rysy twarzy miał drobne i delikatne, a szerokie i pełne usta nawet we śnie były zmysłowo rozchylone. Wyciągnięte długonogie ciało miało idealne proporcje.

Z zamkniętymi oczami i twarzą opromienioną wiosennym słońcem nieznajomy mógł stanowić symbol klasycznej męskiej urody.

Ma zapewne głowę nieskażoną myślą, pomyślała Laura z rozbawieniem. Z takim wyglądem nie musi się martwić.

Po chwili doszła do wniosku, że w twarzy mężczyzny było jednak coś zagadkowego. Cienie pod oczami oraz ledwo widoczne napięcie wokół ust świadczyły o życiu w stresie. Być może nie wysypiał się od wielu miesięcy...

- Mamusiu!

Laura usłyszała głos swojej ośmioletniej córeczki, która, ściskając piłkę, stanęła obok, ze zniecierpliwieniem oczekując na zabawę.

- Przepraszam, kochanie. - Laura odwróciła wzrok od mężczyzny leżącego na ławce.

- Grajmy, mamusi!

Pierwszego prawdziwie wiosennego dnia Nikki zapragnęła wyjść z domu i pobawić się w parku. Laura początkowo protestowała.

- Jeszcze nie jest dość ciepło.

- Jest, jest! - nalegała Nikki.

Dziecko miało rację, pogoda była cudowna. Laura z innego powodu miała opory przed wyjściem na spacer. Z powodu, którego nie potrafiła wyrazić słowami przed małą dziewczynką, chociaż Nikki wiele rozumiała bez słów.

Przed wyjściem starannie wyszczotkowała swoje gęste, jasne loki, które bez względu na wysiłki zawsze pozostawały w nieładzie. Włosy wydawały się należeć do radosnej, beztroskiej nastolatki, bo Laura mimo trzydziestu dwóch lat zachowywała dziewczęcą figurę, ale w młodej twarzy odbijał się smutek i znużenie. Niebieskie oczy zbyt wczesnie przesłonił cień.

Niestety, podobny smutek zaczynał wyzierać także z oczu jej córki i to doprowadzało ją do rozpacz. W wieku ośmiu lat Nikki traciła dziecięcą beztroskę, a jej przerażona matka nic nie mogła na to poradzić.

Park powoli zaczynał zapełniać się ludźmi. Rozbawione dzieci grały w piłkę, a dorośli wystawiali twarze do słońca.

Laura rozpoznała znajome matki i pomachała im na powitanie. Odpowiedziały podobnym gestem, ale szybko się odwróciły. Laura zerknęła na Nikki. Dziewczynka patrzyła na nią z pełnym zrozumienia uśmiechem.

- Będziemy bawić się same - powiedziała pokrzepiającym tonem.

W takich chwilach Laura miała ochotę krzyczeć na cały świat. Jak śmiecie odrzucać moją córkę! Co z tego, że ma trochę inną twarz! Co to wam przeszkadza?

Nikki pobiegła za piłką, jakby nic się nie wydarzyło.

Gdybym ja tak mogła, pomyślała Laura. Gdybym mogła nadal wierzyć, że świat to dobre miejsce do życia.

Zerknęła jeszcze raz na młodego człowieka, który wciąż leżał nieruchomo na ławce.

Nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do wyglądu. Jack również był przystojny. I co z tego? Pewnego pięknego dnia odszedł od nich bez pożegnania, bez jednego słowa.

Nikki bawiła się piłką, ale co chwila rozglądała się wokół z nadzieją w oczach.

- Nie widzę nikogo znajomego, kochanie - odezwała się Laura. - Pobawimy się razem.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie zechce się ze mną bawić? - spytała dziewczynka.

Laurze ścisnęło się serce. Nikki, która przyglądała jej się uważnie, zrozumiała.

- Wszystko w porządku, mamusiu. - Dotknęła swej twarzy. - Ludzie tego nie rozumieją.

- Nie, nie rozumieją - przyznała spokojnym głosem Laura.

- Czy dlatego nie chciałaś przyjść bawić się do parku? Powiedz, mamusiu.

O, Boże! - pomyślała Laura. Ona ma dopiero osiem lat. Wie o wiele za dużo!

- Tak - przyznała. - Z powodu ludzi, którzy tego nie rozumieją i mogą być dla ciebie niemili.

- Oni nie są niemili - powiedziała Nikki tonem dojrza-

łej kobiety. - Chodzi o to, że nie lubią na mnie patrzeć. Ale to nieważne.

Pobiegła parę kroków do przodu i znów zaczęła bawić się piłką. Laura stała nieruchomo, zaciskając dłonie.

Kogo chciała uderzyć? Zły los, który sprawił, że jej dziecko jest inne niż wszystkie? Głupi świat, który swą okrutną, bezlitosną ignorancją pogarszał sprawę? Bezmyślnych idiotów, którzy pod zniekształconą twarzą nie dostrzegali słodkiej, kochającej duszy?

- Chodź, mamó! - zawołała Nikki.

Przez chwilę kopały do siebie piłkę, aż Nikki mocnym uderzeniem wybiła ją w powietrze; po chwili piłka spadła jak kamień na brzuch młodego człowieka leżącego na ławce. Wyrwany gwałtownie ze snu krzyknął i złapał się za brzuch.

Nikki pobiegła do przodu, stanęła przed nim i uważnie mu się przyglądała.

Spojrzał na nią, trzymając w rękach piłkę.

- To twoja? - spytał z obcym akcentem.

- Tak, przepraszam. - Nikki przysunęła się bliżej z oczami wciąż utkwionymi w twarzy nieznajomego. Obserwowała go, wyraźnie czekając, aż odwróci wzrok.

Skąd ona bierze tyle odwagi? - dziwiła się Laura.

- Mam nadzieję, że naprawdę jest ci przykro - powiedział z żalem w głosie nieznajomy, ze spokojem patrząc na dziecko. - Miałem taki cudowny sen i nagle buch! Śmiertelny cios w żołądek.

Nie zareagował na jej twarz.

Nikki przysunęła się jeszcze bliżej i stanęła dokładnie naprzeciwko niego.

- Nie chciałam tego zrobić - powiedziała.
- Oczywiście, że nie.
- Przepraszam - odezwała się Laura. - Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

Gdy się uśmiechnął, zdawało się, że cały świat pojaśniał. Laura nigdy przedtem nie widziała podobnego uśmiechu. Dodawał kolorów wszystkiemu wokół.

- Chyba jakoś przeżyję - odpowiedział.
- Piłka pobrudziła panu koszulę.

Mężczyzna spojrzął na swoje ubranie, które właściwie nie nadawało się już do noszenia.

Nikki zachichotała, a on znów uśmiechnął się szeroko.

Laura obserwowała go uważnie, nie wierząc własnym oczom. Obcy ludzie albo wzdrygali się na widok Nikki, albo zachowywali się przesadnie grzecznie, co było jeszcze gorzej. A ten mężczyzna zachowywał się naturalnie.

- Nazywam się Laura Gray - powiedziała. - A to jest moja córka, Nikki.

- Gino Farnese - przedstawił się. Dłoń Laury zniknęła w jego dłoni. Miał silną, muskularną rękę, jakby zajmował się pracą fizyczną. Potem ujął dłoń Nikki. - *Buon giorno, signorina, sono Gino* - przedstawił się.

- Co to znaczy? - spytała Nikki.
- Dzień dobry, młoda damo. Jestem Gino.

Nikki zmarszczyła brwi.

- Jesteś cudzoziemcem. Śmiesznie mówisz.

- Nikki! - zgromiła ją Laura. - Gdzie twoje maniery?

- To prawda, jestem Włochem - powiedział Gino, wcale nie urażony.

- Umiesz kopać piłkę? - spytała Nikki.

- Trochę - powiedział ostrożnie.
 - No to chodź! - zawołała Nikki, biegnąc za piłką.
 - Proszę wybaczyć. - Laura bezradnie rozłożyła ręce.
- Uśmiechnął się tym samym radosnym uśmiechem.
- Bez obaw - powiedział. - Będę się mieć na baczności.
- I już go nie było.

Poruszał się wokół piłki jak tancerz. Jest bardzo zręczny, pomyślała Laura. Nie każdy potrafi tak kopać - niezbyt mocno i niezbyt lekko - tak, by piłka zawsze trafiała do partnera.

Gdy Laura z uśmiechem siadała na ławce, potknęła się o stojącą obok walizkę. Była tak samo zniszczona jak ubranie jej właściciela, w którym zapewne spał od kilku nocy.

Przypomina żółwia, pomyślała Laura. Nosi wszystko ze sobą. Chociaż sposób, w jaki się poruszał, całkowicie temu przeczył.

W końcu sprytnie udał, że traci piłkę. Dziewczynka kopnęła ją potężnie w jego kierunku, a Gino Farnese rzucił się w bok jak prawdziwy bramkarz, ale przepuścił strzał.

- Gol! - wrzasnął triumfalnie, siadając na ziemi. Kilka osób znajdujących się w pobliżu, pospiesznie odeszło.

- Tak jest zawsze - skomentował. - Ludzie uciekają przede mną, ponieważ myślą, że jestem stuknięty.

- A jesteś? - chciała wiedzieć Nikki.

Gino udawał, że się namyśla.

- Sądzę, że tak - powiedział w końcu. - A więc trudno ich winić.

- Ja nie ucieknę - oświadczyła Nikki.

- Dzięki. - Nadal siedział na ziemi i ciężko dysząc, patrzył jej w oczy. - Och, więcej nie dam rady, *piccina*. Jesteś dla mnie za dobra.

Podskoczył i poszedł po piłkę. Nikki podbiegła do matki.

- On tego nie widział, mamó - powiedziała zdyszonym szeptem. - Naprawdę nie widział.

- Kochanie...

- To są czary. Wszyscy inni widzą, a on nie. Czy myślisz, że naprawdę ktoś rzucił na mnie czary?

Laura tak bardzo chciała by to potwierdzić. Na szczęście powrót Gina uchronił ją przed kłamstwem. Szybko podjęła decyzję.

- Czas, byśmy wróciły do domu na herbatę - powiedziała. - Zapraszam pana. Moja córka tak łatwo pana nie puści.

- To miło... Proszę mi mówić Gino.

- Doskonale. Rozumiem, że przyjdiesz? Mieszkam tu niedaleko.

Nie chciała, by uciekł. Wiedziała, że Nikki obdarzyła go natychmiastową, niewytłumaczalną sympatią, co często zdarza się dzieciom.

A może sympatia dziewczynki była wytłumaczalna? Potraktował ją przecież jak każde inne dziecko, a na tym właśnie Nikki najbardziej zależało. Tak, to było zrozumiałe.

W drodze do domu mała tańczyła wokół Gina, paplając coś i naśmiewając się z jego akcentu. Gino specjalnie go podkreślał, co wzmagało chichoty dziecka. Laura była mu ogromnie wdzięczna za dobre serce.

Mieszkała w dwupiętrowej, wiktoriańskiej kamienicy o zniszczonej fasadzie, ale w środku czystej i wygodnej.

- Mieszkacie tu same? - zainteresował się Gino.

- Nie, wynajmuję pokoje.

- Drogo?

- Niezbyt. Ostatni pokój, jaki mi pozostał, jest mniejszy od innych i dlatego bardzo tani.

Miała nadzieję, że jej zawołowana propozycja nie zabrzmiała zbyt natarczywie. Podjęła już decyzję, tak samo zresztą jak Nikki. Chciała, by nieznajomy wprowadził się do nich. Aby jej córka zaczęła się uśmiechać.

Weszli do holu i Laura otworzyła drzwi znajdujące się naprzeciwko schodów.

- Tu jest salon - powiedziała. - I jedyny telewizor w całym domu. A tam mamy kuchnię.

Kuchnia była staroświecka - duża i wygodna - z wielkim stołem pośrodku.

Laura nastawiła czajnik.

- Powinnaś coś wiedzieć, zanim się tu wprowadzę - odezwał się Gino.

Nikki chowała właśnie piłkę do szafy w holu, więc Laura postanowiła wykorzystać okazję i powiedziała cicho:

- Wiem, że potrafisz ją rozweselić. A to ważne.

- Nie o to chodzi - odparł również szeptem. - Zabawianie małej dziewczynki to ważne, owszem, ale przecież w ogóle mnie nie znasz. Mogłem na przykład mieć sześć żon i wszystkie porzucić.

- Jesteś za młody na sześć żon - odparła z powagą. - Nie masz więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Dwadzieścia dziewięć - poprawił ją z urażoną miną.

- Przepraszam, dwadzieścia dziewięć. A więc naprawdę porzuciłeś sześć żon?

- Nie, tylko cztery... nie, pięć - zapewnił szybko. - I tak nieźle, prawda?

Spoza drzwi rozległ się chichot. To Nikki podsłuchiwała.

- Pięc jest w porządku, prawda, mamó?
- Spuścmy na to zasłóne miłosierdzia - zgodziła się ze śmiechem Laura.

- Ale mówiac, że powinnaś coś o mnie wiedzieć, nie to miałem na myśli - przypomniał Gino. - Otóż chwilowo jestem bez pieniędzy. Zostałem - uderzył się w czoło, szukając odpowiedniego słowa - *come si dice?* Napadnięty!

- O Boże! Gdzie?

- W Londynie. Nie lubię Londynu. Jest duży i hałaśliwy. Trzech drabów skoczyło na mnie, złapało moje torby i uciekło. Nawet ich dobrze nie widziałem. Na szczęście w tylnej kieszeni miałem paszport i trochę gotówki, ale portfel z kartami kredytowymi nosiłem w jednej z walizek. No i przyzwoite ubranie.

- Poszedłeś na policję?

- Oczywiście, jednak co mogli poradzić? Zabłokowałem karty, ale teraz muszę zdobyć trochę pieniędzy. Kupiłem jakieś stare ciuchy w sklepie z używaną odzieżą, no i tę walizkę. Starczyło rai jeszcze pieniędzy na wydostanie się pociągiem z Londynu. Wysiadłem tutaj, ponieważ to miasteczko wyglądało bardzo sympatycznie. Na stacji przeczytałem, że nazywa się Elverham... Ale gdzie to jest? Czy jest prawdziwe, czy może je sobie wyobraziłem? - Zauważył, że Laura bacznie mu się przygląda. - Przepraszam, ostrzegałem cię, że jestem trochę stuknięty.

- Masz do tego prawo. Elverham znajduje się dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na północ od Londynu. To spokojne miejsce, otoczone zielonymi polami. Nie dzieje się tu nic specjalnego. Co zrobiłeś, gdy wysiadłeś z pociągu?

- Chodziłem trochę, aż w końcu trafiłem do parku. Wy-

glądał przyjemnie. Położyłem się pod drzewem i tak przespałem noc. Dlatego wyglądam trochę... - Gestem wskazał na swój niechlujny wygląd.

Nikki uśmiechnęła się promiennie. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że nowy znajomy wygląda jak włóczęga.

- Jutro spróbuję otworzyć rachunek w banku i poprosić, by przysłano mi z Włoch trochę pieniędzy - powiedział.

- Na razie nic nie mam. Jeśli więc żądasz jakiejś kaucji za pokój, obawiam się, że dzisiaj nic ci nie dam.

- Najpierw obejrzyj pokój. Może ci się nie spodoba.

- Zważywszy, gdzie spędziłem wczorajszą noc, już mi się podoba - zapewnił i wszyscy się roześmieli.

- Uczyłam się o Włoszech na geografii - oświadczyła z dumą Nikki. - Kształtem przypominają but. Z jakich stron pochodzisz?

Wydawało się, jakby Gino zawahał się na moment, zanim odpowiedział:

- Z Toskanii.

- Gdzie to jest? - Nikki zmarszczyła brwi.

- Gdy spojrzysz na mapę, po lewej stronie, prawie na górze - wyjaśnił.

- Tam masz swój dom? - naciskała Nikki.

To pytanie wprawiło go w zakłopotanie.

- Mój dom? - wymamrotał.

- Tak, miejsce, gdzie muszą cię wpuścić, nawet jeśli cię nie lubią.

- Nikki! - jęknęła znów Laura.

- To bardzo obrazowe określenie - powiedział Gino ze słabym uśmiechem. - Tak, jest takie miejsce, gdzie muszą mnie wpuścić.

- Czy jest podobne do naszego domu? - dopytywała się Nikki.

Gino roześmiał się głośno.

- Nie, to jest gospodarstwo.

- Duże?

- Zbyt duże. Za dużo w nim pracy, więc po prostu stamtąd uciekłem. Och, coś bardzo ładnie pachnie... - Gino sprytnie zmienił temat.

- To tylko herbata - powiedziała Laura. - Należę ci.

Laura nalewała herbatę, zastanawiając się, przed czym Gino naprawdę uciekał. Na pewno nie przed ciężką pracą. Na jego twarzy widniał jakiś dziwny wyraz, świadczący, że ten człowiek ma prawdziwe kłopoty.

Nie była pewna, czy powinna wierzyć w historię o napadzie. Może Gino chciał ją tylko przekonać, że nie był zwykłym włóczęgą?

Urodzony aktor? A może błaznował, by coś ukryć?

Miał rację, w gruncie rzeczy nic o nim nie wiedziała. Mógł być nawet zwykłym przestępcą. Ale gdy na niego spojrzała, jej podejrzenia rozwiały się jak dym. To był dobry człowiek. Czuła to instynktownie.

- Przygotuję twój pokój - powiedziała.

Wszedł za nią na pierwsze piętro.

Pokój był rzeczywiście maleńki. Stało w nim wąskie łóżko, staromodna szafa, krzesło i przymocowana do ściany umywalka.

Laura wyjęła pościel. Gino odsunął się.

- Czy mogę się do czegoś przydać? - spytał grzecznie.

- Możesz powlec poduszkę - powiedziała Nikki.

- Mam pięcioro innych gości - wyjaśniała Laura. - Sio-

stry, Sadie i Claudia, pracują w miejscowej fabryce komputerów. Bert jest nocnym stróżem, a Fred ochroniarzem w nocnym klubie. Pani Baxter to emerytowana nauczycielka. Gdy wieczorami wychodzę do pracy, pilnuje Nikki.

- Pracujesz dodatkowo, poza prowadzeniem pensjonatu? - spytał zdumiony Gino.

- Kilka godzin jako barmanka, w pubie niedaleko stąd. Skończyli słać łóżko i jednocześnie rozejrzeli się wokół.

- Trochę tu pusto... - powiedziała Laura.

- Wiem, co możemy zrobić - podchwyciła Nikki i wybiegła z pokoju.

Po chwili wróciła z małym pluszowym pieskiem.

- Nazywa się Simon - wyjaśniła. - Dotrzyma ci towarzysztwa.

Gino usiadł na łóżku. Jego oczy znalazły się na wysokości oczu Nikki.

- Dziękuję - powiedział poważnym głosem. - Teraz będę miał przyjaciela.

- Troje przyjaciół - poprawiła Nikki natychmiast. - Masz również nas.

Gino spojrzał pytająco na Laureę.

- Tak, teraz masz troje przyjaciół - przytaknęła. - Muszę już iść przygotować kolację. Chodź, Nikki. Gino na pewno ma ochotę odpocząć.

Uśmiechnął się i nie zaprzeczył.

Gdy wyszły, rzucił się na łóżko i patrząc w sufit, czekał, aż nadejdzie sen.

Ale tak jak się obawiał, skończyło się tylko męczącym czuwaniem. Przyzwyczał się już do tego. Kiedyś zasypiał z łatwością, jak zadowolone zwierzę, które ulega podsta-

wowym instynktom, jednak przez ostatnie pół roku, od-
kład opuścił Włochy, wszystko się zmieniło. Dręczyły go
koszmary albo mocował się z myślami „co by było, gdyby”.
Wzmianka Nikki o domu wytrąciła go z równowagi.

Miejsce, gdzie cię wpuszczą, nawet jeśli cię nie lubią...

Jego domem była Belluna, wielka posiadłość w Toska-
nii. Gdyby zastukał do drzwi, jego brat, Rinaldo, i Alex, je-
go bratowa wpuściliby go do środka. Musieliby, ponieważ
połowa ziemi należała do niego.

Powiedzieliby, że miło go widzieć, że się o niego niepo-
koili i myśleli o nim każdego dnia.

I to byłaby prawda.

Ale było też coś innego, równie prawdziwego, o czym
nikt by nie wspomniał. Martwiliby się, by jego złość i go-
rycz, jego pełna bólu, nieodwzajemniona miłość nie nara-
ziła na szwank ich szczęśliwego małżeństwa. Za jego ple-
cami wymieniałyby spojrzenia, jak to się robi zawsze, gdy
między dwoje kochających się ludzi wchodzi ktoś obcy.
I w milczeniu modliliby się, by wreszcie wyjechał.

„Nie mogłabym cię pokochać” - powiedziała Alex. „W
każdym razie nie tak, jak byś chciał”.

Nawet ona nie rozumiała, jak bardzo ją kochał. Przed-
tem zakochał się i odkochał bez przerwy, ale gdy po-
znał Alex, karuzela uczuć zatrzymała się, zrzucając go na
ziemię. Gdy wstał, zobaczył wokół siebie nowy świat
świat, w którym królowała ona. To była prawdziwa miłość.
Nie mogło być mowy o przelotnym romansie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sny były gorsze od wspomnień. Na jawie mógł odpchnąć złe myśli, ale gdy spał, był bezbronny.

W snach nie miał wyboru; wciąż musiał na nowo przeżywać chwilę, gdy podczas przyjęcia z okazji winobrania w Bellunie publicznie wyznał Alex miłość.

Nawet teraz na wspomnienie wypowiedzianych wtedy słów, ogarniał go wstyd.

- Zawsze wiedziałas, co do ciebie czuję - powiedział z całą siłą miłości. - Nawet gdy się wygłupiałem, moje serce należało do ciebie.

A potem na oczach wszystkich ukląkł i błagał ją, by została jego żoną.

Tak bardzo uległ iluzji, że gdy spjrzała na niego wzrokiem pełnym przerażenia, ciągle jeszcze niczego nie rozumiał.

Kilka chwil później zostali sami, a on wciąż miał nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Pod wpływem przepełniającej go namiętności powiedział:

- Jesteś jedyną kobietą w moim życiu, inną od wszystkich kobiet, z którymi kiedykolwiek się spotykałem. Tym razem to miłość aż do śmierci i...

Alex przerwała mu dalsze wyznania, wyraźnie i dobitnie mówiąc, że go nie kocha. On jednak nadal nie chciał uwie-

rzyć. To było zbyt straszne, by mogło być prawdziwe. Wyszedł, mając nadzieję, że wróci później i wszystko jej wyjaśni.

Jakimż był głupcem!

Obudził się i przerażony usiadł na łóżku. Drżał.

Było już ciemno, a z dołu dochodził gwar głosów. Wstał więc i podszedł do okna, z którego zobaczył oświetlone okno kuchenne i poruszające się postacie.

Pozostali lokatorzy zapewne już wrócili, ale nie mógł zejść na dół. Tego, co działo się teraz w jego głowie, nie potrafił powstrzymać.

Uciekł wtedy z przyjęcia i wałęsał się po okolicy aż do świtu. Chciał znaleźć Rinalda, swojego brata, który był dla niego jak ojciec. Rinaldo, człowiek, któremu ufał najbardziej na świecie, na pewno udzieli mu dobrej rady.

Świtało już, gdy bez pukania wszedł do jego sypialni.

To, co zobaczył, ścięło go z nóg.

Alex leżała na plecach, oczy miała zamknięte i miarowo oddychała. Obok, z głową na jej piersiach, spał Rinaldo. Odrzucone prześcieradło odkrywało ich nagie ciała.

Ileż razy marzył, by zobaczyć ją naga... Ale nie tak! Nie wtedy, gdy obejmowała we śnie jego brata.

Alex pierwsza otworzyła oczy. Gdy zobaczyła go w słabym świetle poranka, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Bezgłośnie wypowiedziała jego imię i wyciągnęła rękę. Cofnął się, jakby jej dotyk mógł go zabić.

Z tego, co działo się potem, niewiele pamiętał.

- Nie zabrałem ci jej - powiedział Rinaldo ze smutkiem, lecz stanowczo. - Wybór należał do niej.

To prawda. Alex go nie oszukała. Sam się oszukiwał. Nie mógł jej winić, przekonywał siebie ciągle, choć było to

bardzo bolesne. Jednak za nic nie chciał jej stracić z piedestału. To bolałoby jeszcze bardziej.

Świat zawalił mu się na głowę. Ale oni tego nie rozumieli. Zawsze był wesołym, beztróskim chłopakiem, przez całe życie śmiał się i żartował. Przecież miał tyle dziewczyn. Czy to takie ważne, że stracił jedną z nich?

I tylko on wiedział, że Alex była tą jedyną.

Potem uciekł z domu. Wyjechał, by nie widywać ich razem.

Stracił Alex i stracił dom. Przez sześć miesięcy włóczył się po świecie.

Jako współwłaściciel rodzinnej posiadłości miał prawo do zysków, ale starał się brać jak najmniej. Wynajmował się do rozmaitych dorywczych zajęć, najchętniej do ciężkich prac fizycznych, by się zmęczyć i nie myśleć.

W końcu przyjechał do Anglii, do rodzinnego kraju Alex.

To miejsce wydało mu się zupełnie obce i bez wyrazu. Mimo wyjaśnień Laury nadal nie miał pojęcia, gdzie ostatecznie wylądował. Dziwne, ale takie bezimienne, nieokreślone miasteczko odpowiadało mu.

Nic nie posiadał i przyjechał donikąd. Pójdzie do banku, weźmie trochę pieniędzy, ale w głębszym sensie i tak nie będzie nic miał.

Został odcięty od rodziny i od ojczyzny. Nie mógł wrócić do domu, bo tak naprawdę jego dom już nie istniał.

W ciemności otworzył oczy. A jednak zasnął. I to tak głęboko, że nie zauważył, kiedy wieczór zamienił się w noc. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Wstał, dziwnie wypoczęty po niespokojnym śnie. Wyjrzał na korytarz. W domu panowały ciemność i cisza. W mroku dojrzał kilkoro drzwi - wszystkie takie same.

Ciekawe, które prowadzą do łazienki? Jak to sprawdzić? Do diabła!

Naraz usłyszał dźwięk otwieranych drzwi frontowych i poczuł ulgę. Wychylił się przez balustradę i zobaczył wchodzącą do środka Laurę.

- *Aiuto!* - powiedział teatralnym szeptem.

- Słucham?

- Pomocy!

- Co się stało?

- Potrzebuję... - W panice uciekły mu wszystkie angielskie słowa. - *Un gabinetto* - powiedział. - *Ti prego, un gabinetto!*

Laura natychmiast domyśliła się, o co chodzi.

- Tutaj - powiedziała, otwierając drzwi pod schodami.

- *Grazie!*

Gino zbiegł ze schodów, przeskakując po kilka stopni, wpadł do małej łazienki i głośno zatrzasnął zasuwkę.

Uśmiechając się ze zrozumieniem, Laura weszła na górę, by zajrzeć do Nikki. Wróciła do kuchni i nastawiła czajnik. Po chwili pojawił się Gino.

- Dziękuję - powiedział. - Przepraszam, że krzychałem po włosku. *Gabinetto* to znaczy...

- Już wiem, co to znaczy - odparła i obydwójce roześmiali się.

Gdy woda się zagotowała, Laura podeszła do kuchenki.

- Usiądź - powstrzymał ją Gino. - Ja zaparzę herbatę. Musisz być bardzo zmęczona.

- Dziękuję. - Z wdzięcznością opadła na krzesło. -
Umiesz parzyć angielską herbatę?

- Przyglądałem się dziś po południu. Spróbuję.

Herbata była pyszna.

- Ile razy w tygodniu pracujesz w barze? - spytał.

- Zazwyczaj trzy.

- A kiedy masz czas na własne życie?

- Nikki jest moim życiem. Nic innego się nie liczy.

- Jesteś sama?

- Pytasz, czy mam męża? Miałam. Byliśmy bardzo szczęśliwi, aż do czwartego roku życia Nikki. Mała uwielbiała Jacka i wydawało się, że ze wzajemnością. Był wspa-
niałym ojcem. A potem coś się stało z jej twarzą... Ko-
ści zaczęły nadmiernie rosnać. Zauważyłeś, że ma za duże
czoło. Wtedy Jack odszedł. Po prostu wstał i wyszedł.

- Matko święta! - wykrzyknął cicho Gino. - *Un crimi-
nale! Apiccina*, czy ona wie?

- Wie, że ojciec ją odrzucił, ale ze względu na mnie uda-
je, że nie wie.

- Nie ma na to lekarstwa?

- Może w przyszłości będzie można zrobić operację.
Ale nie teraz, gdy kości nadal rosą. Na razie musi czekać
i cierpieć. A ludzie potrafią być bardzo okrutni. Uważają,
że skoro wygląda inaczej, musi być nedorozwinięta.

- Och, przecież to bystra dziewczynka!

- Wiem, ale rodzice innych dzieci przeważnie zabrania-
ją im się z nią bawić. Tylko nieliczni usiłują być mili, ale są
przy tym ogromnie skrupowani.

- Jak ona radzi sobie w szkole?

- Ma kilkoro przyjaciół, a większość nauczycieli jest

w porządku, jednak niektóre dzieci wyśmiewają się z niej. Jedna z nauczycielek ośmieliła się powiedzieć, że Nikki powinna chodzić do szkoły specjalnej.

Gino zaklął pod nosem.

- Poskarżyłam się dyrektorce, która na szczęście jest przyzwoitą kobietą, i sprawa ucichła, ale wciąż pojawiają się nowe problemy. - Laura westchnęła. - Jeśli dopisze nam szczęście, pewnego dnia Nikki całkiem wyzdrowieje, jednak zanim to nastąpi, musi przejść przez wiele upokorzeń.

- A to naznaczy ją na całe życie - powiedział w zamyśleniu Gino.

- Dziś w parku dzięki tobie była bardzo szczęśliwa. Wydawało się jej, że niczego nie zauważyłaś. Patrzyłaś na nią i nie pokazałaś po sobie zdziwienia. To było takie cudowne! Nie masz pojęcia, jak wiele dla niej znaczyło.

Gino wbił wzrok w kubek z herbatą. Miał nadzieję, że Laura nie zauważy jego zażenowania. Nie zasługiwał na pochwały. Rano w parku był tak zatopiony we własnych myślach, że naprawdę na nic nie zwracał uwagi.

- Ona wierzy, że ktoś rzucił czar i dlatego nie widziała jej twarzy - mówiła Laura gorączkowo.

- W pewnym sensie miała rację - powiedział. - Jak zaczarowany myślałem o sobie. Tak bardzo rozczułałem się nad swoim losem, że przez kilka chwil naprawdę jej nie widziałem, mimo że na nią patrzyłem. A zatem, nie zasłużyłem na słowa wdzięczności.

- Czy nie rozumiesz, że to nie ma znaczenia? Uczyniłaś ją szczęśliwą jakby mimochodem. Może więc miała rację? Może ktoś naprawdę wypowiedział magiczne zaklęcie?

- Rzeczywiście, to bez znaczenia - Gino skinął powoli

głową. - Ważne, że sprawiłem jej radość. A jej twarz naprawdę nie ma znaczenia. Twoja córeczka jest uroczą i inteligentną dziewczynką.

- To prawda - powiedziała Laura. - Ale ona widzi tylko to, co czyta w oczach innych ludzi.

- Obiecuję ci, że nigdy nie będzie cierpiała z powodu wyrazu moich oczu - odrzekł Gino poważnie.

- Dziękuję. Nie masz pojęcia, jakie to dla nas ważne.

Nazajutrz przy śniadaniu Gino poznał niektórych lokatorów Laury: siostry Sadie i Claudia, spokojne kobiety w średnim wieku, całkowicie pochłonięte swoją pracą przy komputerach, i panią Baxter, starszą kobietę o oczach bystrego ptaka, którymi zmierzyła Gina od stóp do głowy, po czym chrząknęła znacząco, co wyglądało na aprobatę.

Sadie i Claudia zdawały się również przyjaźnie nastawione.

- Byłyśmy we Włoszech - pochwaliła się Sadie.

- W Mediolanie odbywały się bardzo interesujące targi informatyczne - wyjaśniła Claudia. - Czy zna pan Mediolan, panie Farnese?

- Gino, proszę - powiedział natychmiast. - Nie, nigdy nie byłem w Mediolanie. Mój rodzinny dom to Toskania.

Natychmiast padło kilka pytań na temat Toskanii, na które Gino odpowiedział z chłodną uprzejmością. Ten temat nie sprawiał mu przyjemności.

- Zazwyczaj nie spotykamy Berta i Freda przy śniadaniu - wyjaśniła Laura. - Fred wraca do domu o świcie, po zamknięciu klubu, a Bert jest nocnym stróżem, wrócił pięć minut temu i poszedł prosto do łóżka.

Wkrótce Nikki wyszła do szkoły w towarzystwie pani Baxter. Starsza kobieta w ten sposób dorabiała sobie do emerytury.

Przed wyjściem Nikki zwróciła się do Gina tonem doskonałej gospodyni:

- Teraz muszę wyjść, ale niedługo wrócę.
- Będę na ciebie czekał - zapewnił uroczyście.

Pomógł Laurze przy zmywaniu, zadziwiając ją swoją zręcznością.

- Myślałam, że Włosi to staroświeccy macho - powiedziała - którzy uważają pracę w kuchni za domenę kobiet.

- Źle nas oceniasz. Jesteśmy bardzo przywiązani do domu i tradycji. Gdy byłem małym chłopcem, mama nauczyła mnie różnych prac domowych na wypadek, jak mawiała, gdybym kiedyś musiał to robić.

Roześmieli się i schowali naczynia do szafek.

Potem Laura zawiozła go swoim małym samochodem do centrum miasta, gdzie Gino załatwił niezbędne formalności w banku i pobrał trochę pieniędzy.

Jego pierwszym finansowym posunięciem było zapłacenie Laurze czynszu za dwa tygodnie.

- Ale ten tydzień już prawie minął - zaprotestowała.
- Połowa tygodnia liczy się jak tydzień - wyjaśnił stanowczo. - Nie jesteś dobrą bizneswoman. Ktoś powinien się wreszcie tobą zaopiekować.

Te słowa ją niemal wystraszyły. Już dawno nikt się nią nie opiekował...

- Czuję się winna, że biorę te pieniądze.
- Należą ci się. Będę najbardziej kłopotliwym lokatorem, jakiego kiedykolwiek miałaś.

I aby pokazać, jak bardzo będzie kłopotliwy, poszedł z Laurą po zakupy. Niósł wypchane siatki i usiłował być nader użyteczny.

Czasami rozśmieszał ją do łez, twierdząc, że nie zna słów, które na pewno znał, a czasami zdawał się na jej łaskę, robiąc komicznie żałosne miny

Laura stopniowo zaczynała się odprężyć. Gino był naprawdę sympatyczny i mało wymagał. Jedyne, o co prosił, to by zostawiono go w spokoju:

Laura, mimo że bardzo ją intrygował, nie prowokowała go do zwierzeń. Zachowywała się bardzo powściągliwie. Choć Gino mówił wiele, jego słowa przypominały bańki puszczane na wiatr. Nic konkretnego na swój temat. Z drugiej strony Laura odkryła ze zdumieniem, że już dawno przed nikim tak się nie otworzyła.

- Urodziłam się w tej okolicy - powiedziała, gdy przysiedli w barze na herbatę i grzanki. - Zawsze myślałam, że to najnudniejsze miejsce na świecie. Marzyłam o pracy w Londynie. Chciałam zrobić karierę.

- I udało ci się?

- Częściowo. Wstąpiłam do Londyńskiej Szkoły Baletowej. Występowałam nawet w kilku przedstawieniach. Po tem razem z szóstką członków naszej grupy utworzyliśmy własny zespół taneczny. Jack był naszym agentem.

- Czy on próbował zrobić z ciebie gwiazdę?

Laura roześmiała się ponuro.

- Nie. Przez jakiś czas miałam taką nadzieję, ale gdy wzięliśmy ślub, zażyczył sobie, bym wszystko rzuciła i została w domu. Najpierw kłóciliśmy się o to, a potem okazało się, że jestem w ciąży. Kiedy urodziła się Nikki, po prostu chciałam

być z nią. No i poza tym trochę przytyłam i trudno by mi było wrócić do dawnej formy.

Gino przyjrzał się jej krytycznie.

- Tego bym nie powiedział.
- Zresztą i tak jestem już za stara na taniec - dodała.
- Ile masz lat? Osiemdziesiąt? - zgadywał.
- Trzydzieści dwa.
- Żartujesz? Nie wyglądasz na więcej jak pięćdziesiąt.

Roześmiała się, ale w jej śmiechu był cień smutku. Gino natychmiast poczuł skruchę.

- Przepraszam, to wcale nie było zabawne.
- Och, nie, jestem chyba przewrażliwiona. Nie powinnam mówić o przeszłości. O starych marzeniach...
- Nigdy nie rozmawiasz o przeszłości?
- Z kim? Przecież nie z Nikki. To byłoby dla niej zbyt bolesne. A moich lokatorów to nie interesuje. Oni przychodzą i odchodzą.

Nagle Gino zrozumiał, jaka była samotna i jaki ciężar musiała dźwigać.

- Wróciłaś tutaj po rozstaniu z mężem? - spytał.
- Tak. Nie mogłam zostać w Londynie. Po pierwsze było za drogo, po drugie... przekupił mnie, bym wyjechała. Zrobił karierę w show-biznesie. Nie chciał ryzykować. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że ma córkę, która nie jest doskonała. Jak twierdził, to by mu zaszkodziło w karierze. Zaproponował mi pieniądze, jeśli się usunę, a ja je przyjąłam, ponieważ dla Nikki wyjazd był najlepszym rozwiązaniem. Wróciłam tutaj i kupiłam ten dom. Z niego żyję.

- Ale chyba nie najlepiej, skoro musisz pracować dodatkowo wieczorami. Kiedy ty w ogóle śpisz?

- Spójrz na to bardziej optymistycznie. Nie muszę płać opiekunkom. W domu zawsze jest ktoś z lokatorów, a Nikki ich wszystkich lubi.

- Nikt z nich nie zareagował negatywnie na jej wygląd?

- Zanim komukolwiek wynajęłam pokój, uprzedzałam o dziecku. Nie zostawiam tej sprawy przypadkowi. Zresztą Nikki o tym wie. Najbardziej ceni takich ludzi jak ty, których nie trzeba uprzedzać.

- Postaram się jej nie zawieść.

Laura zmarszczyła brwi.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe - powiedziała w zamyśleniu. - Chodzi o to zakłęcie, rozumiesz. Zostało rzucone również na ciebie. Wszystko, co zrobisz dla Nikki, będzie dobre dla niej.

- Mówisz tak, jakbyś naprawdę wierzyła w magię - powiedział.

- Jeśli ktoś jest zdeterminowany, by myśleć o tobie jak najlepiej, to jest to rodzaj magii.

Gino odniósł wrażenie, że Laura czyta w jego myślach. Przecież on sam nie dalej jak ostatniej nocy uznał, że niezależnie od tego, co się stanie, musi myśleć o Alex jak najlepiej.

- Tak, to prawda - powiedział.

Gdy wrócili do domu, Bert i Fred kręcili się po kuchni. Fred, bramkarz w nocnym klubie, był zwalistym facetem o flegmatycznym sposobie bycia. Bert prezentował się przy nim jak mała, drobna fretka.

Gino natychmiast poczuł się przy nim swobodnie, głównie dlatego, że chciał się dowiedzieć jak najwięcej o angielskim sporcie.

Wkrótce i pani Baxter wróciła ze szkoły z Nikki. Dziew-

czynka przywitała się z matką, a potem zażądała, by jej nowy przyjaciel poświęcił jej całą swoją uwagę.

- Pozwól, by ten biedny człowiek wypił przynajmniej herbatę, zanim go całkiem omotasz - poprosiła Laura.

- Mamo, narysowałam w szkole rysunek. Gino bardzo chciałby go zobaczyć, prawda?

- O niczym innym nie marzę - odpowiedział natychmiast.

- Przestań być taka natrętna - poprosiła Laura.

- Ona nie jest natrętna - zaprotestował Gino. - Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Przez pół godziny Nikki pokazywała mu i objaśniała rysunki. Oderwali się od tego zajęcia dopiero wtedy, gdy Sadie i Claudia wróciły z fabryki.

Gino zapytał, czy nie ma tam jakiejś pracy dla niego.

- Chyba tylko w magazynie, przy noszeniu kartonów - powiedziała Sadie. - Myślę jednak, że szukasz czegoś ciekawszego.

- Wezmę to, co jest - odparł Gino.

I tak się stało. Podjął pracę, dzięki której mógł płacić czynsz i jeszcze trochę mu zostawało.

Usiłował wrócić do życia, jakie wiódł przez ostatnie kilka miesięcy, do życia z dnia na dzień, ale ucieczka od rzeczywistości nie była teraz możliwa. Nikki postarała się o to. Najbardziej lubiła zasypywać go pytaniami, jednocześnie podskakując na jednej nodze.

Fascynowało ją zwłaszcza to, że był cudzoziemcem i używał włoskich słów i wyrażeń. W dniu, w którym usłyszała *assolutamente niente*, była w siódmym niebie.

- To znaczy „absolutnie nic” - wyjaśniała Laura co najmniej dziesięć razy.

- Czy to nie brzmi uroczco? *Assolutamente niente. Assolutamente niente.*

- Jeśli usłyszę to jeszcze raz - syknęła Laura ze złością do Gina - popełnię morderstwo.

- Biedna Nikki - skwitował Gino z uśmiechem.

- Nie ją zamorduję, tylko ciebie! To twoja wina.

W szkole Nikki tyle naopowiadała o swoim włoskim przyjacielu, że nauczycielka geografii za pośrednictwem pani Baxter spytała, czy któregoś popołudnia Gino nie wygłosiłby pogadanki na temat swoich rodzinnych stron.

- Nie musisz niczego uczyć - zapewniła go pospiesznie Nikki. - Po prostu opowiesz o Włoszech, o muzyce i kolo-rach, i o tym, że tam jest wielu bandytów...

- Bandytów?

- We Włoszech nie ma bandytów? - spytała zawiedziona.

- *Assolutamente niente!* - powiedział stanowczo, a Nikki zachichotała.

Nazajutrz zaraz po lunchu Gino pojawił się w szkole. Nie miał pojęcia, o czym będzie mówić, prócz tego, że na pewno nie o bandytach.

Okazało się, że uczniowie czytają właśnie „Romea i Julię” Szekspira. Opowiedział więc o Weronie, o domu, w którym mieszkała Julia, o balkonie, na który wychodziła.

Wszyscy byli pod wrażeniem, zwłaszcza starsze dziewczynki, zachwycone urodą prelegenta. Nikki, która przedstawiła Gina jako swojego przyjaciela, stała się bohaterką dnia. To był moment jej największego triumfu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po tym wydarzeniu Gino zaczął udzielać Nikki, jak to nazywał, „lekcji historii”, ale, jak się zdawało, koncentrował się głównie na krwawych aspektach przeszłości Włoch.

- Czy ona nie jest za mała, by uczyć się o Lukrecji Borgii? - spytała Laura.

- Lukrecja to naprawdę zabawna postać.

- Nie sądzę, by jej ofiary podzielały twój pogląd. Ile ona osób otruła?

Gino uśmiechnął się szeroko.

- Między nami mówiąc, prawdopodobnie nikogo. Ale nie mów tego Nikki. Będzie rozczarowana

Gino zarabiał teraz, pracując w fabryce, więc płacił Laurze większy czynsz. Gdy usiłowała protestować, powiedział *silenzio* i zamknął dyskusję.

Bardzo szybko zadomowił się w pensjonacie. Był dobrym współlokatorem, zawsze chętnym, by ze współczuciem każdego wysłuchać.

Starał się też być użyteczny w domu, naprawiał różne sprzęty, czasem gotował kolację.

Trzy razy w tygodniu Laura wychodziła do pracy, pozostawiając Nikki pod opieką siostr lub pani Baxter. Gino za-

zwyczaj spędzał wieczory na wykonywaniu drobnych prac stolarskich.

Pewnego razu zamontował w salonie etażerki.

- O, udało ci się rozmieścić półki w równych odstępach.
- Nikki oderwała wzrok od albumu ze zdjęciami.
- To nie było takie trudne - odparł.
- A mama nie potrafiła tego zrobić.
- Domyśliłem się. - Gino uśmiechnął się. Wstał, otrzepał spodnie i podszedł do dziewczynki.

- Kto to jest? - spytał, wskazując zdjęcie młodej dziewczyny w bardzo ekspresyjnym tańcu. Wyglądała na trochę szaloną i bezbrzeżnie szczęśliwą.

- To moja mamusia - odparła Nikki. - Dawno temu. Przed moim urodzeniem. Zanim ją poznałam.

Gino przyjrzał się fotografii. Dziewczyna na zdjęciu była taka młoda... Serce bolało na samą myśl o tym, jak życie potraktowało ją później.

Następne zdjęcia pochodziły z okresu jej kariery jako tancerki. Na jednym z nich, ubrana w trykot, ćwiczyła kroki, na innym przygotowywała się do występu.

Miała długie, zgrabne nogi - nogi tancerki.

Następne zdjęcia pochodziły ze ślubu. Przedstawiały szczęśliwą pannę młodą, która patrzyła promiennym wzrokiem w oczy świeżo poślubionego męża, jednocześnie ściskając go za rękę.

Ale on - jak zauważył Gino - wcale na nią nie patrzył. Uśmiechał się szeroko do aparatu, jakby zachęcając widzów do podziwiania własnej osoby.

Zapatrzonej w siebie egoista, pomyślał Gino, a uczciwość kazała mu zaraz dodać: byłem taki sam.

Kolejne zdjęcia... Na jednym Laura siedziała na łóżku, trzymając na rękach maleńką Nikki, a jej mąż obejmował ją ramieniem. Było widać, że pęka z dumy.

- To mój tata - oświadczyła Nikki z powagą.

Przewróciła kolejne strony i Gino zobaczył małą dziewczynkę stawiającą pierwsze kroki. Ojciec trzymał ją za rączki. Na następnych fotografiach też byli razem. Gino zauważył, jak bardzo Nikki była podobna do ojca. Takie same ciemne włosy, szerokie usta i brązowe oczy.

Wreszcie zdjęcie, które powiedziało wszystko. Nikki miał około czterech lat i Gino zauważył pierwsze oznaki choroby. Jej czoło rosło, na razie tylko trochę, ale było złowieszczym zwiastunem tego, co miało nastąpić.

Od tej pory na wszystkich fotografiach tylko Laura siedziała przy dziecku. Ojciec trzymał się z tyłu.

W końcu przestał pojawiać się na zdjęciach.

Gino przypomniał sobie słowa Laury: „Uwielbiała go i on, jak się zdawało, też ją uwielbiał. A potem po prostu wstał i odszedł”.

Jak mógł się tak zmienić? Czyżby jego miłość wynikała jedynie z próżności?

Gino próbował wyobrazić sobie, co czuje człowiek, który porzuca własne dziecko w chwili, gdy ono najbardziej go potrzebuje. Ale nie potrafił. Odczuwał jedynie bezsilną wściekłość, którą starał się ukryć pod maską uśmiechu.

Nikki przewróciła kartki albumu z powrotem do pierwszej strony.

- To był tata - oznajmiła cicho, dotykając zdjęcia.

- Wygląda... - Gino szukał w myślach odpowiednich słów. - Wygląda na fajnego faceta.

- Nauczył mnie pływać. Powiedział, że kiedy będę duża, nauczy mnie rysować. Ale umarł.

- Umarł? - Gino nie potrafił ukryć zdumienia.

- Tak, on nie żyje - powiedziała spokojnie Nikki. - Mój tatuś nie żyje.

Gino głęboko wciągnął powietrze. Stał po cienkim lodzie.

- Byłby dumny z tego rysunku, który mi pokazałaś - powiedział. - Jesteś bardzo utalentowana.

Nikki rozpromieniła się.

- Tata też ładnie rysował. Chcę być taka dobra jak on.

- Z pewnością będziesz - powiedział bez przekonania Gino. Tylko na tyle mógł się zdobyć.

Nikki wydała się jednak zadowolona.

Miała dla niego kolejną bombę.

- Nie mów mamie, o czym rozmawialiśmy - powiedziała, zamykając album. - Ona nie wie, że ja wiem, że tatuś umarł, a ja nie chcę jej martwić.

Gino skinął tylko głową. Był wstrząśnięty.

Gdy Nikki poszła spać, wyszedł na spacer. O tej porze na ulicach było pusto i cicho.

Gdy zobaczył neon pubu „Pod Uciekającą Owieczką”, nagle zapragnął napić się piwa. W środku panowała przytulna, staroświecka atmosfera. Barman nalał mu piwo, a on wziął kufel i usiadł w kącie.

Był zmęczony. To, co dzisiaj usłyszał, ogromnie go poruszyło, ale mimo długiego spaceru nadal nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Popijał drobnym łykami, starając się nie myśleć o niczym.

Przymknął oczy. Przez moment mogło się zdawać, że

drzemie. Gdy je otworzył, barmana już nie było. Za barem stała młoda kobieta o jasnych, kręconych włosach i słodkim uśmiechu. Dopiero po chwili Gino zdał sobie sprawę, że patrzy na Laurę.

Dotąd widział w niej tylko właścicielkę pensjonatu i matkę Nikki. Jakby patrzył przez filtr, który nie pozwalał mu dostrzec w niej również kobiety. Teraz zdał sobie sprawę, że tancerka z fotografii nadal istniała.

Laura obsługiwała jakiegoś klienta. Wydawało się, że z nim flirtuje, gdy tak potrząsała głową, a loki tańczyły wokół jej twarzy. Była to młoda twarz, o wiele młodsza, niż Gino sobie wyobrażał, i urocza, zwłaszcza gdy się uśmiechała.

Przypominała bardzo dziewczynę ze zdjęć. Tylko gorąca wiara w życie zniknęła z jej twarzy raz na zawsze. Ta kobieta za barem została już boleśnie doświadczona, ale przez to stała się jeszcze bardziej interesująca.

Klient, starszy człowiek, był nią wyraźnie zachwycony. Zapłacił za swojego drinka i chętnie zostałby dłużej, gdyby barman, który właśnie wrócił, nie spojrzał na zegarek.

- Ostatnie zamówienia, panie i panowie - oświadczył stanowczo.

Tego wieczoru nie było zbyt wielu ludzi i Laura wkrótce skończyła pracę. Gino pomachał do niej ręką, a potem razem wyszli na ulicę.

- Nic dziwnego, że nie chcesz siedzieć w domu, skoro tutaj masz tylu adoratorów - zauważył.

- Och, przestań. Sam to miły starszy pan. Od lat nikt z nim nie flirtował. To część mojej pracy. Zresztą przeważnie są to niewinne rozmówki.

- Przeważnie? - Zerknął na nią z ukosa.

- Na ogół dobrze sobie radzę. Mam niezły lewy sierpowy. Pokazać ci?

- Wierzę ci na słowo - odparł Gino pospiesznie.

Spacer pod gwiazdami był bardzo przyjemny. Gino nie chciał psuć nastroju, ale nie miał wyboru.

- Muszę ci coś wyznać - zaczął z ociąganiem. - Nikki powiedziała mi, że jej ojciec nie żyje.

- Co ty mówisz? - Laura przystanęła i popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem.

- Pokazywała mi album rodzinny. Gdy w pewnym momencie jego zdjęcia znikły, oświadczyła, że tata nie żyje.

- On nie umarł. - Laura oddychała ciężko. - On odszedł.

- Odzywa się czasem do ciebie?

- Od rozwodu w ogóle się ze mną nie kontaktuje. - I dodała w zamyśleniu: - Być może łatwiej jej myśleć, że ojciec nie żyje, niż że ją porzucił.

- Czy ona naprawdę w to wierzy?

- Nie. Gdyby nie żył, powiedziałabym jej. Ona to wie.

- A więc w ten sposób próbuje się pocieszyć. Oszukując samą siebie - westchnął Gino. - Powiedziała, że ty nie wiesz, że ona wie i że bym cię nie martwił.

- Boże, ona jest taka szlachetna!

- To prawda. Wiem, nadużyłem jej zaufania. Musiałem. Nie mogłem takiej sprawy zatrzymać dla siebie.

- Oczywiście, postąpiłeś słusznie. Byłam taka głupia... Dlaczego nie wiedziałam, co się dzieje? Jak mogłam ją na to narazić?

- Nie obwiniaj się - rzekł gorączkowo. - To on ją na to naraził.

- Ale ja powinnam o tym pomyśleć! O Boże!

Laura ukryła twarz w dłoniach. Gino objął ją ramieniem i mocno przycisnął.

- To naprawdę nie twoja wina. Jesteś jej matką, ale możesz zrobić tylko tyle, ile zdołasz. Pewnych spraw nie wyprostujesz.

- Ale mogę pomóc Nikki przez nie przejść. Muszę z nią porozmawiać.

- Nie rób tego. - W podnieceniu ujął ją za ramiona i obrócił do siebie. - Pomyśl, co jej powiesz? Że zdradziłem jej zaufanie?

- Zaufanie? To ośmioletnie dziecko.

- Nawet dziecko ma prawo wymagać, by traktowano je z szacunkiem. Ona chciała porozmawiać ze mną.

- Dlaczego nie ze mną?

- Ponieważ jesteś jej matką. A ja jestem obcy. Łatwiej jej rozmawiać o tym ze mną. Dopóki mi ufa, mogę okazać się użyteczny zarówno dla niej, jak dla ciebie. Lauro, proszę cię, nie rób niczego, co nadweręży jej zaufanie do mnie!

- Masz rację - przyznała Laura z rozpaczą w głosie. - Powinnam o tym pomyśleć.

- Musisz przestać obwiniać się za wszystko. Wszystkiemu nie podołasz. Pozwól, by ktoś dzielił z tobą ten ciężar.

Roześmiała się cierpko.

- Jak dotąd nie znalazł się nikt taki, kto by chciał go ze mną dzielić.

- Ale teraz masz mnie - rzekł cicho.

- Tak, teraz mam ciebie. - Roześmiała się niepewnie. Położyła mu ręce na ramionach i pocałowała go w policzek. - Jak ja dawałam sobie radę, zanim przyjechałeś? Najlepszy młodszy brat, którego nigdy nie miałam.

- Co to znaczy „młodszy”?

- Jestem trzy lata starsza od ciebie, dlatego wydaje mi się, że jesteś moim młodszym bratem. I jak większość młodszych braci czasami potrafisz naprawdę wkurzyć, choć zazwyczaj jesteś cudowny.

- Tak Dzisiaj skończyłem montować płyty.

- Och, nie to miałam na myśli!

- Daj spokój, chodźmy do domu. Twój młodszy brat jest okropnie głodny.

Gino przygotował spaghetti z sosem pomidorowym, które zjedli z apetytem przy kuchennym stole.

Po kolacji Laura wyjęła album ze zdjęciami. Przejrzeli go razem.

- Byłaś naprawdę śliczna - zauważył.

- Owszem, byłam... w odległej i mglistej przeszłości.

- Och, nie to miałem na myśli!

- Przestań! - Uderzyła go żartobliwie.

- Czasami zapomniana już przeszłość pokazuje, jacy naprawdę jesteśmy,

- A ty? Masz jakieś zdjęcia z dawnych lat?

- Nie mam przy sobie. - Było widać, że robi się spięty.

- Ani jednego zdjęcia młodszego Gina?

- Poczekaj. - Gino wyszedł z kuchni.

Po chwili wrócił i pokazał Laurze fotografię.

Zdjęcie przedstawiało Gina obejmującego bardzo ładną blondynkę. Najwyraźniej zrobiono je podczas jakiejś zabawy, bo w tle widać było kolorowe światła i barwny tłum. Gino, trochę chyba podchmielony, miał potargane włosy, a kobieta... Laura nie widziała równie pięknej i eleganckiej istoty. Oboje sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych.

Laura przyjrzała się blondynce z zaciekawieniem. Czyżby to z jej powodu Gino wałęsał się po świecie, żyjąc z dnia na dzień? Zdażyła już zauważyć, że jej lokator traktował świat z dystansem.

- Nigdy nie widziałam cię tak radosnego. - Nie mogła oderwać wzroku od wizerunku jego promiennej, młodej twarzy. - Jesteś nie tylko szczęśliwy, ale widać, że masz ogromny apetyt na życie, bez względu na konsekwencje. Widocznie od tamtego czasu nauczyłeś się ostrożności. Czy to było dawno?

- W zeszłym roku. Ale wydaje mi się, że tysiąc lat temu. W innym życiu.

- Wiem, co masz na myśli. - Westchnęła. - Dzięki, że mi to pokazałeś. - Oddała mu fotografie.

Resztę wieczoru spędzili miło i przyjemnie, ale nie rozmawiali już o niczym istotnym. Kiedyś Gino pogardzał takim sposobem na życie, teraz jednak odkrywał, że nie wymaga niczego bardziej ekscytującego.

Następnego wieczoru Laura znów pracowała w pubie „Pod Uciekającą Owieczką”.

Przez pierwszą godzinę była tak zajęta, że padała z nóg. W końcu, kiedy tłum gości nieco się przerzedził, zwróciła uwagę na mężczyznę cierpliwie czekającego przy odległym końcu baru.

- Przepraszam - powiedziała.

- Proszę się nie martwić, widzę, co się dzieje. - Nieznajomy uśmiechnął się uprzejmie.

Miał około czterdziestki i wygląd filmowego amanta - jasne, gęste włosy i regularne rysy.

Gdy podała mu whisky, ujął szklanekę z czarującym uśmiechem.

- Proszę się napić ze mną - powiedział.
- Dzięki, mam swój sok pomarańczowy.

Po kilku minutach, gdy miała wolną chwilę, wróciła do nieznanego. Nazywał się Steve Deyton. Jak się dowiedziała, ostatnio często bywał w tym mieście, ponieważ zamierzał wybudować tutaj fabrykę artykułów papierniczych.

- Nie znam tu nikogo - powiedział. - Niewiele można robić w Elverham wieczorami. Wstępowałem do tego baru raz po raz w nadziei, że w końcu mnie zauważysz.

Laura roześmiała się nieszczerze. To znana zagrywka, na którą miała cały repertuar odpowiedzi. Oczywiście, że zauważyła go już wcześniej, ale nie chciała się do tego przyznać. Nie teraz. Odpowiedziała coś zdawkowo i poszła obsłużyć następnego gościa.

Późnym wieczorem Steve spytał, czy może ją odwiedzić do domu.

- Dziękuję, ale... - Laura urwała, ponieważ zauważyła kogoś siedzącego w kącie. - Nie, nie mogę. Dzięki za dobre chęci.

Steve podążył za jej spojrzeniem.

- Ach, rozumiem. Chłopak.
- Nie. - Znow się roześmiała. - Mój brat. Dobranoc. Założyła płaszcz i podeszła do Gina.
- Hej, obudź się. - Potrząsnęła go za ramię. - Pora już iść. Popatrzył na swoją ledwie napoczętą szklanekę piwa.
- Jak długo drzemałem?
- Nie wiem. Nie wiedziałam, że tu jesteś.
- Twój szef mnie obsłużył - wyjaśnił. - Już idę. - Pod-

niósł się z trudem, położył dłoń na jej ramieniu i wyszli na ulicę.

- Ile wypiełeś, zanim zasnąłeś?

- Nie mam pojęcia. Film mi się urwał.

- Doprawdy?

- Och, mówisz jak moja babcia.

- Przy tobie czuję się jak twoja babcia - powiedziała. - Albo ciocia. Wzbudzasz opiekuńcze uczucia.

- Daj sobie spokój - rzekł ponuro. - Jestem przypadkiem beznadziejnym.

Nie odezwała się ani słowem, aż dotarli do domu.

- Usiądź. - Wskazała krzesło w kuchni. - Bądź grzecznym chłopcem i usiądź.

Posłusznie siedział na krześle, podczas gdy Laura nastawiła czajnik, a potem poszła na górę, by sprawdzić, co się dzieje z Nikki. Gdy wróciła, zaparzyła neskę i postawiła przed Ginem.

Zapach kawy przywrócił go do życia.

- Angielska kawa? Rozpuszczalna? Kobieto, czy ty próbujesz mnie otruć?

- Nie, chcę tylko, żebyś wytrzeźwiał.

Spojrzał na nią sceptycznie, wstał i zaczął parzyć prawdziwą kawę w ekspresie. Laura uśmiechała się pod nosem. Przynajmniej zmusiła go do jakiegoś ruchu.

Kawa, którą w końcu przed nią postawił, była wyśmienita. Mocna, aromatyczna, prawdziwie włoska.

- Dobra - mruknęła z zachwytem.

Przez chwilę siedzieli w przyjacielskiej ciszy.

- Powiesz mi w końcu, kim ona jest? - zaryzykowała Laura.

- Kto?

- Kobieta z fotografii. To przez nią to wszystko, prawda?

W pierwszej chwili pomyślała, że Gino ucieknie od odpowiedzi, ale on zaczął mówić.

- Ma na imię Alex. W zeszłym roku przyjechała do Toskanii. Odziedziczyła prawa do części naszej posiadłości.

- Naszej?

- Mojego brata, Rinalda, i mojej. - Głos Gina stał się cierpki, lekko cyniczny. - Nie mogliśmy sobie pozwolić, by ją spłacić. Stało się oczywiste, że jeden z nas będzie musiał się z nią ożenić. Rzucaliśmy monetę.

- Co zrobiliście?

- Rzucaliśmy monetę. Nic nie mów - podniósł rękę, żeby ją powstrzymać. - To było okropne, godne potępienia, możesz to nazwać, jak chcesz. Powiem coś jeszcze, co bardziej cię rozzłości. Rinaldo wygrał i od razu powiedział, że nie jest nią zainteresowany i mogę ją wziąć, jeśli chcę.

- Uśmiechnął się szeroko. - Gdybyś mogła teraz zobaczyć swoją twarz.

- Zaslugujecie, by was stuknąć w głowę. Mam nadzieję, że dała wam popalić.

Gino przez chwilę milczał, potem odezwał się cicho:

- Powiedzmy, że sama dokonała wyboru.

- I to nie byłeś ty? - zgadywała delikatnie Laura.

Wzruszył ramionami.

- Na tym zdjęciu wglądasz na szczęśliwego - podsunęła.

- To było w zeszłym roku we Florencji, w dzień świętego Romualda. Pojechaliśmy tam we troje. Nawet nie pamiętam, kiedy zrobiono zdjęcie, ale wieczór był bardzo udany.

- Nagle dodał: - To bardzo niebezpiecznie się śmiać.

- Dlaczego?

- Bo ludzie myślą, że to jedyne, co potrafisz. Och, to tylko Gino. Przejdzie mu. Życie jest dla niego wieczną zabawą. A kiedy nagle wszystko przestaje być zabawne, zaczynasz tych ludzi nienawidzić.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłbyś kogoś nienawidzić - powiedziała Laura.

- Wystarczy raz zacząć, potem okazuje się to bardzo łatwe. - Głos mu zamarł. Spoglądał na coś, czego nie mogła zobaczyć.

- Gino... - Położyła rękę na jego ramieniu.

Westchnął zniecierpliwiony.

- Posłuchaj... Zaczynam się rozklejać.

- Jestem dobrą słuchaczką.

- Dzięki, ale naprawdę nie ma nic do opowiadania. Miłość przychodzi i odchodzi.

- Ale nie prawdziwa miłość. Jeśli jest prawdziwa, a myślę, że w twoim przypadku właśnie taka była, zmienia bieg życia. I zmienia ciebie. Gino, naprawdę nie chciałabym się wtrącać, ale skoro ty zawsze jesteś na miejscu, gdy ja muszę się wypłakać, pozwól, że zrobię to samo dla ciebie...

- Kto to płacze? - Uśmiechnął się. - Przestałem myśleć o Alex dawno temu.

Było jasne, że wyznał jej więcej, niż zamierzał i teraz wycofał się do swojej skorupy.

Przelotnie ścisnął jej dłoń i poszedł na górę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mężczyzna, który stał przy barze poprzedniego wieczora, starał się zwrócić uwagę Laury. Gino przypomniał sobie, że zauważył go na chwilę przed zaśnięciem.

Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był wysoki, mocno zbudowany i miał gęste włosy. I nosił drogie ubranie. Gdy się śmiał, pokazywał białe, równe zęby. Nic dziwnego, że Laura zdawała się dobrze bawić w jego towarzystwie. Śmiała się swobodnie, nie wykazując oznak napięcia.

Przez chwilę wyglądała jak dziewczyna z fotografii, zanim ból i zmartwienie nie podcięły jej skrzydeł. Jej twarz rozpromieniona wewnętrznym ogniem była taka piękna.

W pewnej chwili mężczyzna chwycił jej rękę i pocałował. Nie zaprotestowała, zarumieniła się tylko z lekkim zażenowaniem.

Gino po cichu wyszedł z pubu.

W domu położył się na łóżku w ubraniu. Gdy usłyszał na dole kroki Laury, szedł do kuchni. Przygotowywała herbatę, nucąc pod nosem. Podała mu filiżankę.

- Wyglądasz na szczęśliwą - powiedział.

- Naprawdę? - odparła nieśmiało. - Może trochę.

- Miałaś miły wieczór w pubie? Na pewno poznałaś wielu eleganckich bubków, którzy uważają barmankę za łatwą zdobycz?

- Wiem, jak sobie z nimi radzić. Nikt nie zrobi ze mnie idiotki.

- Nikt?

- Co ci się stało? Masz jakiś dziwny głos.

- Nic. Jestem tylko trochę zmęczony. Wypiję herbatę i kładę się do łóżka.

Był rozczarowany, że nie chciała mu się zwierzyć. Przecież mieli być przyjaciółmi, prawda?

Cóż, jeśli nie chce, to nie. To musiało mu wystarczyć.

Codziennie rano w magazynie fabrycznym różne młode, atrakcyjne kobiety współzawodniczyły o to, która z nich przyniesie Ginowi herbatę.

- Wszystkie dziewczyny do niego wzdychają - powiedziała pewnego wieczoru Claudia. - Maisie i Jill wydrapałyby sobie oczy za jeden jego uśmiech.

- Nie tylko Maisie i Jill - wtrącił Gino lekko drżącym tonem. - Jeszcze Lili i Rose, i Patsy, i Cindy, i...

- Daj spokój, chwalipięto! - zganiła go Claudia.

- No to chyba podoba ci się twoja praca? - zażartowała Laura.

- Czasami - przyznał.

- Wszystkie są twoimi dziewczynami? - Nikki zafascynowana otworzyła szeroko oczy.

- Wszystkie - potwierdził uroczyście Gino.

- Dlaczego wołać ciebie od innych? - dopytywała się Nikki.

- Ponieważ jestem Włochem, a Włochy to ojczyzna Casanovy.

- Kim był Casanova?

Gino otworzył usta, ale natychmiast je zamknął.

- Dobrze ci tak - powiedziała, śmiejąc się, Laura. - Kiedy się nauczysz, że należy uważać, co się mówi do dzieci?

- Dlaczego Gino ma uważać, mamó?

Na szczęście Nikki nie chciała kontynuować tematu. Został ponownie podjęty, gdy dziewczynka poszła spać.

- W fabryce robią zakłady - oświadczyła Sadie z entuzjazmem. - Na ogół stawiają na Tess.

- Która to jest? - dopytywała się Claudia.

- Ta seksowna dziewczyna z rudymi włosami i zaokrąglonymi biodrami. - Sadie nakreśliła rękami figurę dziewczyny. - Bardzo zabawowa, prawda, Gino?

Ale teraz Gino już się pilnował.

- Drogie panie, mam zasznurowane usta - oświadczył.

Byłyby zaskoczone, gdyby poznały prawdę. Właściwie wcale by w nią nie uwierzyły. Tess rzeczywiście miała ponętną figurę oraz duże, niebieskie oczy, ale na ich dnie czaiła się stalowa twardość, co Gino odkrył pewnego dnia, gdy przyniosła mu herbatę.

- Mam zamiar zabić tego szczura Perry'ego - wymamrotała, podając mu kubek.

- Myślałem, że za nim szalejesz - powiedział.

- Tak, ale mimo to zamierzam go zabić. Tym razem przesadził w uganianiu się za spódniczkami. Uwaga, nadchodzi. Uśmiechnij się do mnie, proszę!

Wchodząc w rolę, Gino uśmiechnął się uwodzicielsko

do dziewczyny tuż przed nosem Perry'ego. A później odgrywali tę farsę zawsze, gdy było to konieczne.

Wychodzili razem z pracy albo wieczorami spotykali się na drinka.

- Chodźmy „Pod Uciekającą Owieczkę” - zaproponował pewnego dnia Gino.

Gdy weszli do pubu, wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Uroda Tess robiła oszałamiające wrażenie.

Gino dopiłnował, by Tess usiadła i podszedł do stojącej za barem Laury.

- Butelkę szampana, poproszę.

Laura zerknęła na jego towarzyszkę.

- Pozwól, że zgadnę. To Maisie albo Jill, albo Rose...

- Przestań - powiedział, uśmiechając się szeroko. - To Tess.

- No, no, teraz widzę, że masz co świętować.

Podawała mu butelkę i dwa kieliszki.

- Mam za co być wdzięczny losowi. Ile płacę? - A gdy usłyszał cenę, dodał: - Nie masz czegoś tańszego?

- Ty kutwo! Powinnaś ją ostrzec, jaki jesteś naprawdę.

- Nie uwierzyłaby ci - zapewnił. - Nikt ci nie uwierzy.

- Gdy śmiejąc się, podawał jej pieniądze, zauważył, że wcale na niego nie patrzy. - Lauro?

Oderwała wzrok od drzwi.

- Przepraszam. Ach, tak, pieniądze.

Ale biorąc od niego pieniądze, wzrok miała utkwiony w kimś, kto znajdował się za jego plecami.

- Cześć, Steve - powiedziała z uśmiechem. - Zaraz do ciebie podejść.

To był on. Usiadł przy barze i czekał na Laureę ze swobodną pewnością siebie, która działała Ginowi na nerwy.

Tess z radością w oczach spojrzała na szampana.

- Gdyby Perry mnie teraz zobaczył! Zaprosił mnie dziś wieczorem na randkę, a ja odpowiedziałam, że mam inne plany. Zastanawiam się, czy dobrze to rozegrałam. Co o tym myślisz, Gino? Gino... ? Dlaczego gapisz się na barmankę?

- Zastanawiam się, czy dobrze mi wydała. Nieważne... Co mówiłaś o Perrym?

- Czy dobrze zrobiłam?

- Doskonale.

Nie miał pojęcia, o czym Tess mówi. Mężczyzna, którego Laura nazywała Steve'em, zamówił drinka dla siebie i dla niej. Wyglądali na dobrych znajomych.

- Chcę, żeby był o mnie zazdrosny - oznajmiła Tess. - Ale nie aż tak, bym go straciła.

- To trudna decyzja - zgodził się. Steve i Laura śmiali się radośnie przy barze. Gino zmusił się, by oderwać od nich wzrok. - Jeśli on już teraz nie jest ci wierny, na pewno później nie będzie lepiej.

- Wszyscy mężczyźni podrywają kobiety, prawda? - spytała ponuro Tess. - Na przykład ten facet przy barze usiłuje poderwać barmankę.

- Naprawdę?

- Nie widzisz, jak patrzy jej w oczy?

- Widzę.

- Pewnie ma gdzieś żonę.

- To ich sprawa - odparł Gino chłodnym tonem. - Gna na pewno sobie poradzi. Nie patrzmy już na nich.

Zgodnie z obietnicą daną Ginowi, Laura nie rozmawiała z Nikki o jej ojcu, a ponieważ dziewczynka również o nim nie wspominała, temat wydawał się zamknięty.

Zbliżały się dziewiąte urodziny Nikki.

- To prawdziwy kamień milowy - powiedział Gino.

- Dziesiąte urodziny to dopiero kamień milowy - odparła Laura. - Od tego momentu zaczyna się dwucyfrowa liczba.

- I tak już zostanie przez całe życie - dorzucił Gino. - Chyba że dożyjesz setki. Musimy godnie uczcić ten dzień.

Nikki zachichotała, a potem poszła powiedzieć o tym Bertowi i Fredowi.

- Zawsze powiesz jej coś właściwego - powiedziała Laura z podziwem.

- To dlatego, że w duszy nadal jestem dzieckiem, jakby orzekł mój brat Rinaldo.

Gino przygotował w podarunku dla Nikki pięknie ilustrowaną książkę o Włoszech z tekstem po włosku i angielsku.

- Będzie zachwycona - oceniła Laura, przeglądając prezent. Znowu rozmawiali późno w nocy, co stało się już zwyczajem.

- A co ty jej dasz?

- Nową sukienkę, o której marzy. I popatrz na to!

Laura popędziła do sąsiedniego pokoju, skąd wróciła po chwili z torbą, z której wyjęła książkę o koniach oraz kartę urodzinową.

- Zamierzam dać jej to od Jacka.

-Co?

- Podpiszę ją: od taty. Nikki poczuje, że ojciec o niej pamięta i przestanie mówić, że on nie żyje.

- Nie, Lauro, proszę, nie możesz tego zrobić!
- Ale ona tego potrzebuje - upierała się Laura,
- To ostatnia rzecz, której potrzebuje - odparł przerażony. - Ona nie uwierzy i to jeszcze pogorszy sprawę.
- Oczywiście, że uwierzy. Dlaczego miałyby być inaczej?
- Jest bardzo bystra i trudno ją oszukać. A nawet jeśli uwierzy, zada mnóstwo pytań, na które nie będziesz umiał odpowiadać. To szalony pomysł.
- Gino, proszę, próbuję jedynie dać jej trochę szczęścia. Cieszę się, że powiedziałeś mi, co dzieje się w jej głowie.
- Zaczynam tego żałować.'- Rozgorączkowany Gino chwycił Laurę za ramiona. - Lauro, posłuchaj! Nikki jest nie tylko inteligenta, jest także silna i odważna, a poza tym znalazła sposób, jak najlepiej poradzić sobie z tym problemem.
- Wmawiając sobie różne historie...
- Wymyśliła je, bo tego potrzebuje. Gdy już nie będzie jej to potrzebne, przestanie o tym mówić. Ale to ona musi wybrać moment Nie próbuj na nią naciskać.
- Gino, wiem, co robię. - Laura rozżłościła się. - To moja córka i wiem, co dla niej najlepsze.
- Gino opuścił ręce i odwrócił się. Laura natychmiast pożałowała swoich słów.
- Och, przepraszam... Nie chciałam. Byłeś taki dobry dla nas obu...
- Chyba masz rację - westchnął. - Ona jest twoim dzieckiem i znasz ją lepiej ode mnie. Przepraszam, Lauro. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.
- Gdybym tylko na pewno wiedziała, co robić. Ale nigdy nie mam pewności.

- Wiem - powiedział delikatnie. - A ja tylko cię denerwuję. To ty jesteś matką. Nie mam prawa się wtrącać

Gdy nadszedł dzień urodzin, wszyscy lokatorzy pensjonatu zjawili się na śniadaniu z prezentami dla Nikki. Położyli je razem z urodzinowymi kartkami na stole przy nakryciu dziewczynki. Szczęśliwie była sobota, więc nikt się nigdzie nie spieszył.

- To wszystko dla mnie? - spytała jubilatka z błyszczącymi oczami.

- Tak, kochanie - odparła Laura.

Zarumieniona z emocji Nikki rozwijała kolejne paczuski i odczytywała życzenia, a radość aż z niej tryskała.

W końcu na stole leżał już tylko jeden nierozpakowany prezent. Laura celowo zostawiła go na ostatek. Nikki otworzyła dużą, kolorową kartkę.

- „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin dla mojej córki”. Dziewczynka zmarszczyła brwi, odczytując podpis:

- „Myślę o tobie, kochanie. Tata”.

- Co za wspaniała niespodzianka! - zawołała radośnie Laura.

Nikki upuściła kartkę na stół.

- To nie jest od taty - szepnęła śmiertelnie poważnym, ale spokojnym głosem.

- Kochanie...

- To nie jest od taty! - powtórzyła, a jej głos zabrzmiał teraz piskliwie. - To nie jest od taty! Mój tata nie żyje, nie żyje, nie żyje!

- Kochanie... - Laura delikatnie dotknęła ramienia córki. - Tata nie umarł.

- Umarł, umarł! - wykrzyknęła Nikki. - Jeśli nie, to dla-

czego nigdy nie przyjeżdża mnie odwiedzić? On nie żyje! Nie żyje! - i rozpłakała się na głos, chowając twarz w dłoniach, a jej drobne ramionka unosiły się od łkań.

Gino zamknął oczy.

Goście po cichu wynieśli się z pokoju. Laura objęła Nikki i przytuliła do siebie. Na jej twarzy malowała się rozpacz. Zorientowała się, że popełniła błąd.

- Kochanie, och, kochanie - szeptała łagodnie. - Tak mi przykro.

Gino zamierzał pójść w ślady pozostałych domowników i właśnie zaczął się wycofywać w stronę drzwi, gdy ponad ramieniem Nikki napotkał przerażony wzrok Laury. Oczy mi prosiła go, by został.

Zawahał się. Chociaż bardzo chciał pomóc, uważał, że pewne sprawy matka i córka muszą załatwić między sobą. Uległ jednak niemej prośbie Laury.

- Nikki... - Laura głaskała córkę po włosach. - Pozwól...

Ale dziewczynka zareagowała krzykiem. Odtrąciła rękę matki i skoczyła na równe nogi.

- Tata nie żyje! - krzyknęła znowu. - Nie żyje, nie żyje! Nienawidzę cię!

Łzy płynęły po twarzy Laury.

- Mój tata mnie kochał! - krzyczała Nikki. - Gdyby żył, przyjechałby i dałby mi prezent osobiście. Nigdy by od nas nie odszedł i nie zostawiłby mnie. Kłamiesz! Nienawidzę cię. - Jej głos przeszedł w jęk bólu. Zawodziła głośno i wymachiwała rękami, jakby walczyła z całym światem.

- Nikki, proszę - Laura chciała uspokoić dziecko.

Ale w odpowiedzi dziewczynka znów wrzasnęła prze-

rażliwie, jakby te wszystkie lata, kiedy dusiła w sobie emocje, w końcu zaowocowały nieposkromionym wybuchem.

Przeżony Gino zdał sobie sprawę, że ani słowa, ani rozsądek na nic się nie zdadzą. Teraz mogło pomóc tylko jedno. I on to zrobił.

Ukląkł przed Nikki, objął ją mocno i przytulił do siebie, nie zwracając uwagi na grad ciosów, które spadały na jego głowę i plecy. W końcu Nikki opadła z sił, wtuliła twarz w jego ramię i głośno załkała. Pozwolił jej się wypłakać, tuląc ją mocno. Wiedział, że w końcu się uspokoi.

Laura patrzyła na nich z rozpaczą, a jednocześnie była wdzięczna losowi, że jest ktoś, na kim mogły polegać.

Czas mijał wolno, ale w końcu Nikki przestała płakać.

- *Piccina* - powiedział stłumionym głosem Gino.

- Słucham?

- Dusisz mnie.

Dziewczynka roześmiała się słabo i lekko zwolniła uścisk, ale nie odsunęła się. Gino był dla niej jak opoka.

- Biedna mama. Przeraziłaś ją.

- Przepraszam - wyszeptała.

- W porządku, kochanie - powiedziała Laura.

Nastąpiła złowieszcza pauza; Weszli na pole minowe.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział stanowczo Gino. - Dużo później. Teraz musimy zrobić coś naprawdę ważnego.

- Co takiego? - Głos Nikki drżał.

- Musimy pójść do wesołego miasteczka. Myślę, że zostawili je w parku specjalnie z okazji twoich urodzin.

Nikki wyzwołała się z objęć Gina.

- Nie chciałam tego, mamó - powiedziała. - Ja tylko...

- W porządku - odparła szybko Laura. - Idź i umyj buzię, dobrze?

Gdy Nikki wyszła, Laura spytała rozpaczliwym tonem:

- Zostawimy to tak?

- Tak będzie najlepiej - odpowiedział Gino.

- Powinam cię posłuchać - przyznała Laura.. - Ale ja myślałam, że ona się ucieszy, gdy dostanie wiadomość od ojca, że czeka na to.

- Nikki woli myśleć, że on nie żyje - odparł Gino ze smutkiem. - Śmierć jest łatwiejsza do zaakceptowania niż odrzucenie. Ona wie, że ta karta nie była od niego, tak samo jak w głębi serca wie, że ojciec ją porzucił. Ale na razie nie chce tego do siebie dopuścić.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Laura wpatrywała się w niego ze zdumieniem, kręcąc głową.

Sam się nad tym zastanawiał.

- Kiedyś pocieszałem się przy pomocy podobnych fantazji - odpowiedział, przypominając sobie własne dzieciństwo. - Moja matka umarła, gdy byłem w wieku Nikki i przez długi czas nie chciałem w to wierzyć. Jestem prawie dziesięć lat młodszy od mojego brata, mama zawsze mnie faworyzowała. Nie mogłem znieść myśli, że odeszła, więc wmawiałem sobie, że nadal żyje. Rozmawiałem z ojcem tak, jakby lada chwila miała wrócić do domu. A ojciec podtrzymywał tę grę, choć musiało go to bardzo boleć. Jednak robił to dla mnie. Był bardzo mądry i kochany.

Gino przerwał i popadł w zadumę. Laura odniosła wrażenie, że zapomniał o bożym świecie i przeniósł się duchem do rodzinnej tokańskiej posiadłości.

- Co było dalej? - przerwała jego zamyślenie.

- W pierwszą rocznicę śmierci mamy zobaczyłem, że papa i Rinaldo wychodzą odświętnie ubrani. Domyśliłem się, choć mi tego nie powiedzieli, że wybierają się na jej grób. Papa popatrzył na mnie pytająco, a ja odwróciłem się na pięcie, pobiegłem do swojego pokoju, włożyłem najlepsze ubranie i poszedłem z nimi. Widzisz, wtedy już mogłem to zaakceptować, dzięki papie. On pozwolił mi wybrać właściwy moment. Ale Nikki jest w trudniejszej sytuacji - ciągnął. - Śmierć daje się w końcu zaakceptować, odrzucenie jest nie do zniesienia.

- Nie mogę jej pomóc... - Laura wzięła Gina za rękę.
- Ale ty możesz. Wydaje mi się, że tylko ty, ponieważ jesteś mężczyzną. Zapełniasz jej pustkę po ojcu.

- Wiesz, że zrobię dla niej wszystko.

Wieczorem po powrocie z wesołego miasteczka, gdy wszyscy lokatorzy byli już w swoich pokojach, a Nikki leżała w łóżku, Laura powiedziała:

- Jestem wdzięczna losowi, że zesłał nam ciebie. - Szybko podeszła do Gina, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta. - Za to, że byłeś taki cudowny - szepnęła.

Los nam cię zesłał... Te słowa wciąż brzmiały w uszach Gina. Czuł coraz wyraźniej, że traci kontrolę nad tym, co się z nim dzieje.

Przez większą część życia był człowiekiem nieodpowiedzialnym. Przykre wypadki, które wyгнаły go z domu, sprawiły, że dojrzał, ale jednocześnie zniszczyły go.

A potem pojawiła się mała dziewczynka, dla której stał się opoką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pewnego dnia Gino wrócił wieczorem do domu i zastał Nikki przeglądającą katalog wysyłkowy z odzieżą.

- Ta! - powiedziała zdecydowanie, pokazując paluszkiem niebieską sukienkę z powiewnego materiału.

- Jest trochę za poważna dla ciebie - odparł Gino.

- To nie dla mnie, dla mamy. Ona idzie na randkę.

- Na randkę? Z kim?

Nikki zachichotała.

- Nie wiesz, że ma chłopaka?

- Tak, wiem - powiedział Gino szorstko. - Widziałem go kiedyś.

- Jaki on jest?

- Stary i gruby.

- Wcale nie - zaprotestowała Laura, która akurat wyszła z kuchni. - Ma około czterdziestki, więc nie jest stary.

- Jest gruby.

- Gino, przestań. Nie wiem, dlaczego tak się przyczepiłeś do Steve'a. To miły człowiek.

- Zobaczymy - odburknął Gino.

- Co to ma znaczyć?

To nic nie znaczyło i Gino doskonale o tym wiedział. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego na myśl o randce Laury

odczuwał zdenerwowanie. Jako dobry brat zamierzał nie dopuścić do tego spotkania, jednak nie chciał rozmawiać o tym w obecności Nikki.

Laura przyglądała się sukience wybranej przez Nikki.

- Jestem na nią za stara - stwierdziła stanowczo.

- Nieprawda, jesteś młoda, mamusiu.

- Dziękuję, kochanie, ale mam już trzydzieści dwa lata.

- Nikki ma rację. Jesteś za młoda dla czterdziestopięcioletniego faceta - burknął Gino.

- To tylko ja mogę ocenić - odparła lekko zdenerwowana Laura. - Proszę cię, nie wtrącaj się.

Gino posłusznie umilkł, ale wyglądał na przybitego.

- Biedny Gino - uzaliała się nad nim Nikki. - Mama jest dla ciebie okropna. Dlaczego?

- Nie wiem. - Westchnął ze smutkiem.

Dziewczynka objęła go ramionami.

- Na szczęście masz mnie - pocieszyła go.

- *Grazie, piccina*. Już czuję się lepiej.

- Och, jesteście beznadziejni, obydwójce - powiedziała zniecierpliwiona Laura. - Gino, przestań zachowywać się jak głupek.

- Ale przecież ja jestem głupi - bronił się. - Zawsze o tym wiedziałem - podsumował, po czym zwrócił się do Nikki teatralnym szeptem: - Ona znów jest dla mnie okropna.

Obydwójce poważnie skinęli głowami.

Laura roześmiała się i jej chwilowa złość ulotniła się jak kamfora. Nie rozumiała tylko, dlaczego Gino nagle stracił humor.

- Och, przepraszam - próbowała poprawić mu nastrój.

- Rzeczywiście byłam okropna. A teraz jeszcze raz spojrzę na tę sukienkę, kochanie. Ile ona kosztuje?

Po skończonym posiłku Gino pomógł Laurze zmywać.

- Co ty właściwie robisz? - spytał. - Ten facet to zwykły podrywacz.

- Skąd wiesz?

- Widziałem, jak pocałował cię w rękę.

- Nigdy nie pocałowałaś kobiety w rękę?

- Oczywiście, że tak, ale to zupełnie co innego. Jestem Włochem. Należy się tego po mnie spodziewać.

- Kto się spodziewa?

- Turystki. Dziewczyny szukające romansu... Och, dlaczego ja ci to wszystko mówię?

- Bo zapomniałeś o ostrożności - powiedziała, rzucając mu rozżłoszczone spojrzenie. - Czy właśnie w ten sposób nauczyłeś się angielskiego? - Popatrzyła na niego drwiąco.

- W każdym razie... - Nagle Gino poczuł się skępowany. - Już taki nie jestem. Chciałem tylko...

- A zatem, jeśli dobrze zrozumiałam, wszystko jest w porządku, gdy ty całujesz kobietę w rękę, a gdy robi to Steve, oznacza, że jest podrywaczem.

- Byłem podrywaczem, to prawda, ale z tego wyrosłem.

- I dodał znacząco: - Niektórzy mężczyźni nigdy z tego nie wyrastają.

- Oceniasz Steve'a po pozorach. Jeśli jednak to jest najgorsze, co możesz o nim powiedzieć, nie muszę się martwić.

- Jakiś diabelski chochlik podpuścił ją i dodała zagniewanym głosem: - A skoro już rozmawiamy o podrywaniu, co z twoją przyjaciółką? Tą z głębokim dekoltem?

- Co takiego? - Gino parsknął śmiechem.
- Wiesz, o kim mówię. Jest uosobieniem wulgarności. A więc nie rób mi wykładów, z kim mam się umawiać. Też mi ekspert!

Gino nie mógł wyjawiać, że Tess go wykorzystuje, by wzbudzić zazdrość w swoim chłopaku, więc wycofał się pospiesznie.

- Próbuję powstrzymać cię przed popełnieniem błędu.
- Przypomniał sobie coś, co powiedziała Tess i dodał: - Twój znajomy prawdopodobnie ma gdzieś żonę.
- Nie ma. Jest wdowcem.
- Tylko tak mówi.

Laura straciła cierpliwość. Zamknęła drzwi do kuchni, by nikt nie mógł jej słyszeć i zwróciła się do Gina z płonącymi oczami:

- Mam randkę z facetem, na litość boską! Wiesz, jak dawno nigdzie nie wychodziłam? A teraz pewien miły człowiek zaprosił mnie na kolację, a potem na tańce. Nic ci do tego!

Patrząc w jej błyszczące oczy, Gino podniósł ręce i wycofał się.

- Dobrze, już dobrze. Schodzę z drogi - powiedział i wyszedł z kuchni.

Laura podniosła ścierkę i cisnęła nią w kąt.

Nazajutrz rano zamówiła przez telefon niebieską sukienkę. Przesłano ją dwa dni później i, by zadowolić mieszkańców pensjonatu, Laura musiała paradować w niej jak modelka.

Wszyscy byli zachwyceni.

Tylko Gino nic nie powiedział.

Po południu w dniu spotkania ze Steve'em Laura pojechała do fryzjera.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała Nikki na widok odmienionej matki.

Gino musiał przyznać, że Laura wyglądała naprawdę fantastycznie. Cóż, byłaby inna kobietą, gdyby nie dźwigała na swoich barkach tylu ciężarów.

A teraz, gdy wreszcie dostała szansę na odmienienie swojego życia, on usiłował jej przeszkodzić.

- Wyglądasz uroczo - powiedział w końcu.

-Naprawdę? - spytała z promiennym uśmiechem, a jednocześnie tak, jakby jego opinia miała dla niej decydujące znaczenie.

- Cudownie - potwierdził cicho.

- Przygotuję kolację, a potem założę sukienkę i zrobię sobie wystrzałowy makijaż.

- Nie możesz dziś gotować - powiedział przerażony. - Zniszczysz sobie fryzurę. Trzymaj się z dala od kuchni. Ja to zrobię. Czy wszyscy lubią makaron?

Przez następną godzinę w kuchni panował radosny nastrój i rozlegał się pełen podniecenia gwar. Dopiero kiedy przebrana do wyjścia Laura zeszła na dół, zapadła cisza.

Miała nową fryzurę, staranny makijaż i nową sukienkę. Jej oczy błyszczały z podniecenia.

- Jak wyglądam? - spytała, okręcając się na palcach.

- Steve nie powinien narzekać - zauważył Gino.

Ta umiarkowana pochwała wywołała głośne okrzyki protestu, ale zignorował je, wziął marynarkę z wieszaka i powiedział:

- Karetę czeka, Kopciuszku.

- Co masz na myśli?

- Umówiłaś się z nim w pubie, więc cię tam odwozę. Na szczęście przestało padać.

Gdy dojechali do pubu, Steve'a jeszcze nie było. Wyszli z samochodu i stanęli przed wejściem.

- Książę z bajki powinien być punktualny. - Gino nie krył złośliwości.

- Pewnie utknął w korku - powiedziała z nadzieją w głosie Laura.

- Na pierwszą randkę nie wypada się spóźniać.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zgrzyźliwy. To do ciebie niepodobne.

- Naprawdę? Przecież jestem wybuchowym potworem.

- Jakoś tego nie zauważyłam.

- Udawałem, żeby załatwić sobie tani pokój. Teraz wracam do prawdziwej natury. Poczekaj, jeszcze zobaczysz.

- Och, jesteś niemożliwy. Nie potrafię z tobą rozmawiać, gdy jesteś w takim nastroju.

- Nie musisz. - Gino wyciągnął palec. - Twój książę przyjechał. Wprawdzie spóźniony dziesięć minut, ale wygląda na napalonego.

- Za chwilę cię rąbnę.

- Nie sądzę. Popsujesz sobie fryzurę. Miłego wieczoru!

Laura roześmiała się, pocałowała go w policzek, a potem przebiegła przez jezdnię. Po drugiej stronie zatrzymał się samochód Steve'a.

Zamiast od razu wrócić do domu, Gino wstąpił najpierw do pubu, a potem długo spacerował.

Gdy wreszcie znalazł się w pensjonacie, Laury oczywiście jeszcze nie było. Steve Deyton wyglądał na faceta, któ-

ry potrafi zabawić kobietę, zwłaszcza tak spragnioną rozrywki jak Laura, pomyślał.

Nie był do końca pewien, dlaczego tak się wściekał. Może dlatego, że Laura i Nikki potrzebowały opieki, a on się do niej poczuwał?

Mimo wszystko postanowił zachować zdrowy rozsądek i położył się spać.

Ale choć bardzo starał się zasnąć, cały czas nadstawiał ucha. W końcu usłyszał szum silnika.

Przez kilka sekund walczył ze sobą, zanim w końcu wstał z łóżka i wyrzwał przez okno.

Steve Deyton zapalił światło w samochodzie, więc Gino wszystko widział. Laura, rozparta wygodnie w fotelu, nie spieszyła się do wyjścia.

Steve przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Położyła rękę na jego ramieniu, a potem podniosła dłoń i przyłożyła do jego policzka.

Gdy w końcu oderwali się od siebie, uśmiechała się. Potem wysiadła i czekała na chodniku, aż Steve odjechał.

Gino wrócił do łóżka i patrzył w sufit, próbując wymazać z pamięci oglądany przed chwilą obraz.

Po chwili usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi frontowych, po czym nastała cisza. Przestał ze sobą walczyć, założył szlafrok i po cichu zszedł na dół.

Laura nie usłyszała jego kroków.

Znalazł ją leżącą na sofie, z rękami pod głową. W pokoju paliła się tylko jedna lampa, ale mimo przyćmionego światła, Ginowi wydawało się, że oczy Laury błyszczą.

Najwyraźniej przebywała w nierealnym świecie marzeń, gdzie wszystko wygląda idealnie. Na jej ustach błąkał się

tajemniczy uśmiech. Co takiego się stało, że tak się zachowywała?

Naraz zamknęła oczy i głęboko westchnęła. Gino zawahał się, niezdecydowany, czy podejść, czy zostać na progu. Tymczasem Laura otworzyła oczy i popatrzyła wprost na niego.

- Tylko mi nie mów, że na mnie czekałeś, jakbyś był moim ojcem - odezwała się.

- Raczej bratem - poprawił ją. - Dobrze się bawiłaś?

- Tak. - Znów zamknęła oczy.

- Gdzie byliście?

- W nocnym klubie. Zjedliśmy wspaniałą kolację, a później tańczyliśmy.

- Do północy, Kopcuszk?

Zerknęła na zegarek.

- Mhm. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tańczyłam.

- Umówiliście się znów?

- Mówisz jak stara ciotka.

- A więc tak?

- Tak. Och, Gino, on mi się podoba! Tak miło się z nim rozmawia. We wszystkim świetnie się rozumiemy. Opowiedział mi o swojej żonie, jak się czuł, gdy umarła... Ma dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca.

- Powiedziałaś mu o Nikki?

- Wie, że mam córkę, ale nie powiedziałam mu wszystkiego... Poczekam na odpowiedni moment. To musi być również dobry moment dla Nikki, zanim będę mogła w ogóle myśleć o...

- Poślubieniu go?

- Do tego jeszcze daleko.

- Widać nie aż tak bardzo, jeśli już o tym myślisz.

- Jego syn jest trochę niepełnosprawny, chyba ma coś z kręgosłupem. Jak widzisz, mogę mu zaufać... Gdy przyjdzie pora, opowiem mu o Nikki... - Laura zobaczyła, że Gino marszczy brwi i wykręca palce. - Och, Gino, powinienś cieszyć się razem ze mną. Byłam taka samotna. To dobry, miły człowiek. Być może jest moją ostatnią szansą.

- Oczywiście, że będę szczęśliwy razem z tobą - odparł szorstko Gino. - Oczywiście, jeśli jesteś tego pewna, bo przypominam ci, że to dopiero pierwsza randka.

- Wiem. Nie mam zamiaru niczego przyspieszać. Ale sama nadzieja, że coś się zmieni, znaczy dla mnie bardzo wiele.

Gina uderzyła tęsknota w jej głosie. Nie mógł wykrztusić już ani słowa.

Laura przeciągnęła się.

- Czas, by Kopciuszek zdjął złote pantofelki i poszedł do kuchni.

- Może zaparzyć herbatę, żebyś łatwiej wróciła na ziemię? - Gino wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

- Nie, dziękuję. W gruncie rzeczy wcale nie chcę wracać na ziemię.

Rozmarzona Laura zaczęła tańczyć po pokoju, unosząc się w takt niesłyszalnej muzyki. Nagle zawirowała zbyt szybko i zachwiała się. Upadłaby, gdyby Gino jej nie złapał. Objął ją, splatając dłonie za jej plecami, a ona, pogrążona w marzeniach, złapała go za ramiona.

Jak dobrze było trzymać w objęciach tę smukłą, uroczą, pełną życia kobietę! Kiedyś wiedziałby, co robić dalej, a dziś stał jak zaczarowany. Ufała mu. Nie mógł zrobić tego, do czego popychały go zmysły. Nie mógł jej zdradzić.

- Zegar wybił już północ - powiedział cicho.
- Chcę zostać na sali balowej dłużej - wyszeptwała.
- Ze Steve'em w roli księcia? - zapytał z lekką ironią.
- Nie bądź niemiły, w końcu tylko dwa razy nadepnął

mi na palce.

Gino wybuchnął śmiechem. Laura także zaczęła się śmiać.

- Chodź już!

Pociągnął ją po schodach na górę. Potem otworzył drzwi do jej sypialni.

- Co ty robisz?

Prześliznął się obok niej i podszedł do nocnego stolika, gdzie stał budzik.

- Jutro ja przygotuję śniadanie - obiecał. - Wyśpij się. Dobranoc.

Dotrzymał słowa i nazajutrz o siódmej był już w kuchni. Po półgodzinie pojawiła się Nikki. Obydwoje jak para konspiratorów przyłożyli palce do ust.

Gino nalał filiżankę herbaty.

- Zanieś to mamie na górę - powiedział. - I powiedz, żeby nie wstawała. To rozkaz.

Po chwili Nikki wróciła.

- Mama powiedziała, że jesteś obrzydliwym tyranem. I dziękuje za wspaniałą herbatę.

A więc wszystko wróciło do normy. Gino znów wcielił się w rolę dobrego brata.

W fabryce nie wypuszczano pracowników kolejno na urlopy, tylko zatrzymywano produkcję, zmuszając wszystkich do wzięcia urlopu jednocześnie. Sadie i Claudia wyjechały do Francji, ale Gino nie miał żadnych planów. Nie miał nic do roboty prócz kręcenia się po domu.

W szkole też trwały wakacje, więc oboje z Nikki byli skazani na swoje towarzystwo.

- Nie musisz poświęcać jej całego wolnego czasu - zauważyła Laura. - Nawet ja widzę, jakim tyranem się stała.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł swobodnie Gino.

- To miło z twojej strony, ale masz własne życie.

- Doprawdy? - Wzruszył ramionami.

- Nikki cię tyranizuje.

- Niektórzy mężczyźni łatwo się temu poddają.

Laura, przechylając głowę na jedną stronę, przyglądała mu się uważnie.

- Nie dam się nabrać. Nie rób takiej niewinnej miny. To się na nic nie zda.

- Co takiego? *Non capisco*. Nie rozumiem dobrze po angielsku.

Rzuciła w niego poduszką.

- Doskonale rozumiesz. Tylko gdy ci coś nie odpowiada, udajesz głupiego. Potrafisz być uparty jak muł.

- Potrafię. Ale wolę spokojne życie.

- Postanowiłeś wieść spokojne życie, co wcale nie znaczy, że je lubisz.

Gino milczał przez chwilę.

- Jesteś bardzo bystra - zauważył w końcu.

- Czego ty właściwie chcesz od życia, Gino? - spytała impulsywnie Laura.

- Nie wiem - wyszeptał z powagą.

Zobaczyła na jego twarzy taki wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Malowało się na niej napięcie, tęsknota, samotność. Przez moment myślała, że się przed nią otworzy, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i na je-

go twarz powróciła znajoma maska skrywająca wszelkie uczucia.

- A gdyby tak twoje marzenia mogły się spełnić, o co byś prosił?

- To nie jest kwestia marzeń.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- Marzenia się nie spełniają. A jeśli nawet kiedyś się spełnią, trzeba znaleźć sobie następcę.

- Twoje się nie spełniły, prawda?

Uśmiechnął się, ale patrzył gdzieś w przestrzeń.

- Nie miały prawa się spełnić - odparł.

- Czy były piękne?

- Tak - powiedział czule. - Ale zakazane. Choć wtedy o tym nie wiedziałem.

- Nie masz innych?

- Tak jest lepiej. Na bujanie w obłokach traci się mnóstwo czasu. Spytałaś o mój ideał życia. Przypuszczam, że byłoby podobne do tego, które wiodę teraz.

Jak widać, Gino nie miał zamiaru zwierzyć się jej do końca. Tego wieczora była wprawdzie bliższa zdobycia jego zaufania niż kiedykolwiek przedtem, ale w ostatniej chwili Gino zatrzasnął drzwi i Laura odczuła wielkie rozczarowanie.

Przypominał jej górę lodową. I nie chodziło o jego charakter. Gino był najmilszym mężczyzną pod słońcem, ale pod maską uśmiechu skrywał prawdziwą twarz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gino zaczynał już rozpoznawać szum silnika samochodu Steve'a, podjeżdżającego pod dom późnym wieczorem. Zaraz potem, po chwili ciszy, rozlegał się trzask frontowych drzwi. Teraz już nie podglądał przez okno, lecz czasami schodził do kuchni i z wyrazu twarzy Laury starał się odczytać, jak rozwija się jej związek z Steve'em. Wciąż dręczył go dziwny niepokój.

Wiedział, że powinien cieszyć się wraz z nią, przecież znalazła idealnego mężczyznę, ale nie mógł się do tego zmusić. Próba analizy własnych uczuć przyprawiała go o frustrację. Poza tym odnosił nieodparte wrażenie, że Steve przypomina byłego męża Laury. A ta myśl była jeszcze bardziej nieznośna.

Pewnego wieczora po jej powrocie, gdy wyszedł na korytarz, usłyszał, jak Laura i Nikki rozmawiają w dziecięcym pokoju.

- Idź już spać - dobiegł go głos Laury stojącej w drzwiach.

- Dobrze się bawiłaś, mamo?

- Tak. Śpij, kochanie. Dobranoc. - Laura stanowczo zamknęła drzwi.

Gino i Laura zeszli razem na dół. Usiedli w kuchni przy

stole i popijając herbatę, zaczęli pogawędkę. To stało się już tradycją.

- Widzę, że masz mnóstwo nowych wiadomości - powiedział Gino, patrząc na rozpromienioną twarz Laury.

- Opowiedziałam mu o Nikki. Przyjął to wspaniale.

Gino poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek.

- Cieszę się - wykrztusił.

- Wykazał dużo serca i zrozumienia. Och, Gino, jestem taka szczęśliwa!

W tej samej chwili rozległ się dzwonek.

- Kto to idzie o tej porze? - Gino wstał i podszedł do drzwi.

Później przyszło mu do głowy, że powinien się domyślić, a przynajmniej wykazać czujność. Ale on był rozluźniony i widok Steve'a Deytona stojącego na progu zupełnie go zaskoczył.

- Cześć - powiedział Steve beztrąsko. - Ty pewnie jesteś Gino? Laura opowiadała mi o tobie.

Chwyił rękę Gina i mocno ją uściskał. Potem prześliznął się obok niego do holu.

- Laura zostawiła w samochodzie apaszkę - wyjaśnił. - Postanowiłem oddać ją jeszcze dziś. Cześć, kochanie.

Ostatnie słowa skierował do Laury, która wyszła właśnie do holu i uśmiechając się, objęła Steve'a ramionami.

A potem to się stało.

Rozległ się tupot drobnych stóp po schodach i rozgłaszany okrzyk:

-Mamo, czy to...?

Steve odwrócił się, podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył Nikki. Wydawało się, że czas się zatrzymał. Gino

uważnie obserwował twarz Steve'a, na której malowały się szok, przerażenie i wstręt.

Niestety, Nikki też to zauważyła. Gino wstrzymał oddech.

Tylko Laura nie zorientowała się od razu. Dopiero kiedy usłyszała głos Nikki, wyczuła, że Steve zrobił się spięty. Cofnęła się i spojrzała mu w twarz.

Natychmiast wszystko zrozumiała. Cofnęła się jeszcze o krok, jakby był trędowaty.

Nie do wiary, pomyślał Gino, ale jedyną osobą, na której ta nagła cisza nie zrobiła wrażenia, była Nikki. Dziewczynka zeszła ze schodów i zbliżyła się do Steve'a.

- Cześć - powiedziała spokojnie. - Jestem Nikki.

- Cześć, Nikki - odparł automatycznie.

Jego oczy biegały na wszystkie strony, jak u człowieka desperacko szukającego drogi ucieczki. Nikki wiedziała już wszystko. Przynęła się do Gina, wsunęła dłoń w jego rękę i mocno ją ścisnęła. Odwzajemnił uścisk.

- Co tu robisz, łobuziaku? - spytał, z trudem opanowując drżenie głosu. - Już dawno powinnaś spać. Chodźmy na górę.

Nikki usłuchała bez słowa. Trzymała Gina za rękę, dopóki nie usiadła na łóżku, a on nie otulił jej kołdrą.

W tym dziecku było tyle chłodnej determinacji, że Gino nie zamierzał wysilać się na pocieszające uprzejmości. Nie chciał jej obrażać, przecież i tak by nie uwierzyła.

- On nie jest zaczarowany tak jak ty - powiedziała w końcu Nikki głosem zbyt ponurym jak na dziecko.

- Nie każdy może być zaczarowany - odparł Gino. - Może powinniśmy współczuć tym, którzy tacy nie są. My jesteśmy wyjątkowi, a oni nie.

Dziewczynka skinęła głową.

Gino przytulił ją mocno i zamilkł. Gdy po pewnym czasie do pokoju weszła Laura, zastała ich w takiej pozycji.

Laura kipiała ze złości. Jej twarz nosiła ślady łez.

- Mama przyszła - powiedział cicho Gino, ale Nikki nie poruszyła się. - Nikki? - szepnął i pochylił się lekko do przodu, by zobaczyć jej twarz.

Nie otrzymał odpowiedzi. Słyszał tylko regularny, głęboki oddech dziecka.

- Zasnęła - powiedział, uwalniając się z uścisku.

Ostrożnie ułożył dziewczynkę na poduszce, a potem razem z Laurą cichutko wyszli z pokoju.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Jako tako.

- Wejdz - powiedział, otwierając drzwi do siebie. - Powinnaś się napić. - Wyjął z szafy butelkę chianti. - Kupiłem je, bo zateśniłem za domem. - Wyjął kieliszki i rozlał wino. - Napij się. To ci zrobi lepiej niż wszystkie słowa na świecie.

Laura usiadła na brzegu łóżka i wolno sączyła wino.

- Komu potrzebne są słowa? Wszystko się skończyło, gdy zobaczyłam jego minę.

- Nie wyjdiesz za niego?

- Nigdy. Nie mogłabym. Zresztą, teraz on już nie będzie chciał się ze mną umówić. Wiem o tym.

- Co ci powiedział?

- Był zażenowany. Nie potrafił spojrzeć mi w oczy. Mieliśmy w piątek gdzieś wyjść, ale nagle przypomniał sobie, że ma sprawę do załatwienia. Potem powiedział, że zadzwoni i umówimy się na inny dzień. Oczywiście nie zadzwoni. To koniec. Jak mogłam się tak pomylić!

- Przypuszczam, że chciałaś mu wierzyć.
- Tak, bardzo chciałam. Och, jaka ja jestem głupia!
- Wcale nie. Chciałaś być kochana i pożądana. Wszyscy tego chcemy.
- Ale ja nie mam do tego prawa - powiedziała smutno.
- Powinnam o tym pamiętać. Nie mogę budować swego szczęścia kosztem Nikki.
- Z tym facetem to nie byłoby szczęście.
- Miałaś rację. Teraz możesz powiedzieć: a nie mówiłem?
- Lauro? - spytał Gino z wahaniem. - Czy ty się w nim zakochałaś?

Laura przez dłuższą chwilę milczała

- Nie wiem - odezwała się w końcu. - Chyba tak. Ale teraz czuję jedynie złość i jestem bardzo rozgoryczona. Zresztą nie ma sensu o tym rozmawiać - zakończyła ze smutnym westchnieniem.

Gino usiadł obok niej na łóżku i objął ją ramieniem.

- Nadal masz swojego brata - powiedział.
- Biedny Gino. - Roześmiała się z przymusem. - Najpierw Nikki, a potem ja. Powinieneś zatrudnić się w telefonie zaufania.
- Wcale nie jestem biedny, a tobie lubię doradzać. Innym nie. Jeszcze trochę chianti?
- Dziękuję. Pójdę już spać.
- Rano poczujesz się lepiej, zobaczysz.

Odprowadził ją korytarzem i otworzył drzwi do jej sypialni.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś - powiedziała w zamyśleniu. - Bez ciebie Nikki czułaby się jeszcze gorzej. Dobranoc, Gino.

Zamknął drzwi, ale zawahał się, czy odejść. Może powinien zapukać i dać jej szansę, by się wygadała do końca?

Jednak gdy zza drzwi dobiegł go głośny szloch, zrozumiał, że w środku nie ma dla na niego miejsca.

Laura miała rację. Steve nie zadzwonił. Nie przyszedł też do pubu. Należał już do przeszłości.

Nigdy więcej o nim nie wspominali.

Gino nabrał nawyku wpadania do pubu „Pod Uciekającą Owieczką” tuż przed zamknięciem i Laura nie musiała już sama wracać do domu.

- Dziękuję - powiedziała pewnego wieczoru.

- Za co?

- Za wszystko - odparła po prostu. Gdy przeszli kawałek dalej, spytała: - Co się stało z tą twoją ponętą dziewczyną?

- Znalazła sobie lepszego faceta. Zostałem pokonany i ustąpiłem pola.

- Rzuciłeś ją?

- Ależ nie - odparł zaszokowany. - Jestem dżentelmenem. Nigdy nie rzucam kobiet. Pozwalam, by same odeszły.

Laura zerknęła na niego z ukosa. Uśmiechał się szeroko.

Gdy wrócili do domu, przy telefonie czekała wiadomość. Dzwonił Mark.

- Mark? - spytał Gino.

- Przyjaciel - odparła niepewnie Laura. - Idź do kuchni i nastaw wodę na herbatę.

- Niedługo zrobisz ze mnie prawdziwego Anglika - zauważył, wykonując posłusznie polecenie.

Kilka minut później Laura weszła do kuchni i oświadczyła, że jutro wieczorem wychodzi.

- Masz randkę? - spytał.
- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu muszę wyjść.
- Z Markiem?
- Przestań mnie wypytywać. Lepiej nalej mi herbaty.
Co za tajemnicza kobieta, pomyślał Gino z uśmiechem, choć poczuł się nieco dotknięty, że ma przed nim sekrety.
- Nazajutrz wieczorem zaproponował, że ją odwiedzi.
- Dziękuję, sama poprowadzę. Dobranoc, Gino - ucięła. Wzięła torebkę z holu i szybko wyszła.
- Claudia i Sadie wracają z wakacji dziś wieczorem - oświadczyła Nikki.
- Raczej w środku nocy - przypomniała jej pani Baxter.
- Wielkie nieba, a co to jest? - zdumiał się Gino.
- Ciasto orzechowe - powiedziała pani Baxter, stawiając ciasto na stole. - Kupiłam je dziś po południu, dla wszystkich.
- Ono jest zrobione z różnych gatunków orzechów - wyjaśniła Nikki. - Pyszności.
- Wieczór upłynął im bardzo przyjemnie. Gdy Nikki poszła spać, pani Baxter wyjęła butelkę sherry.
- Nie zjadłeś ciasta - zwróciła się do Gina.
- Och, byłem zbyt pochłonięty słuchaniem pani opowieści - wyjaśnił. - Ale chętnie zjem teraz.
- Nagle zadzwonił telefon.
- Pani Baxter podniosła słuchawkę.
- Po chwili Gino zauważył, że pobladła.
- Tak, tak, przyjadę natychmiast - zapewniała.
- Co się stało?
- To mój syn. Synowa zaczęła rodzić. O miesiąc wcześniej. Są komplikacje. O Boże, muszę jechać!

- Zadzwońię po taksówkę - powiedział Gino. - A pani niech się spakuje. Zostanę z Nikki. Proszę się o nas nie martwić.

Taksówka podjechała kilka minut później i Gino odprowadził panią Baxter do samochodu.

Dopiero teraz mógł zasiąść i zjeść kawałek ciasta. Było rzeczywiście pyszne. Przez chwilę walczył z własnym łakomstwem, ale w końcu z westchnieniem ukroił sobie następny kawałek.

Miał zamiar zjeść jeszcze kolejną porcję, ale nagle zorientował się, że dzieje się z nim coś dziwnego. Ciasto zaczęło się poruszać... Raz było większe, raz mniejsze. Wyciągnął po nie rękę, ale nie było go na swoim miejscu...

Zrobiło mu się niedobrze. Poczul, że puchnie mu głowa, a gardło zaczyna się zaciskać.

Nie mógł oddychać. Wstał z trudem, przewracając krzesło. Walczył o każdy haust powietrza, a z jego krtani wydobywały się przeraźliwe świsty. Szarpał guziki koszuli, ale to nie przyniosło mu ulgi. Miał wrażenie, że jakieś stalowe palce zaciskają się na jego szyi.

Dopiero gdy uderzył głową o podłogę, zorientował się, że upadł.

Za wszelką cenę musiał doczołgać się do telefonu. Zadzwońić po pomoc. Walenie w głowie stawało się coraz głośniejsze, jakby dudniło w niej tysiące bębnów.

Gino zrozumiał, że umiera.

Ogarnęła go ciemność.

Czyjś rozpaczliwy krzyk częściowo wrócił mu na chwilę świadomość.

- Tato, tato!

Ktoś szarpał go za ramię. Mgła trochę się rozwiąła i przed jego oczami zamajaczył różowy królik.

- Tato!

Zobaczył przerażoną, zalaną łzami twarz Nikki. Przypomniał sobie, że dziewczynka miała piżamę w króliczki... Co ona tu robi? Powinna spać w swoim pokoju na górze...

Mgła zmała mu znowu wzrok, ale wciąż słyszał krzyk:

- Karetkę! Mój tata umiera!

Z każdą chwilą było mu coraz trudniej oddychać.

Nikki siedziała na podłodze obok Gina i płakała.

- Już jadą... Oddychaj spokojnie...

Stopniowo jej głos zaczął docierać do jego świadomości. Po chwili z oddali dobiegł dźwięk syreny, a potem jacyś ludzie ubrani na zielono pojawili się w kuchni. Ktoś założył mu maskę tlenową na twarz. Wtedy ostatecznie odpłynął.

Gdy Laura wróciła do domu, nie zastała nikogo. Na kuchennym stole leżała recepta, na której napisano: „Pani mąż zemdleł. Został zabrany do Canning Hospital. Córka pojechała z nami”.

O tej porze ulice były puste, więc Laura dojechała do szpitala w kilka minut. Gdy weszła na oddział ratunkowy, od razu zobaczyła Nikki. Dziewczynka z rozpaczliwym łkaniem rzuciła się w ramiona matki.

- Co się stało? - spytała zdenerwowana Laura.

- Nie mamy jeszcze pewności - powiedziała młoda, wyraźnie zmęczona lekarka - ale prawdopodobnie pani mąż ma alergię na orzechy.

-Mój...?

- Czy może pani podać nam jego dane? Kiedy córeczka wzywała karetkę, mówiła, że tata...

- To ty wezwałaś karetkę? - Laura popatrzyła na Nikki.

- Obudziłam się, bo usłyszałam hałas. Taki głośny łoskot. Zeszłam na dół. Gino leżał na podłodze, dusił się, a twarz miał w okropnym kolorze.

- Dzielna dziewczynka. Zrobiła to, co należało. Natychmiast wezwała karetkę - wtrąciła lekarka. - Uratowała mu życie. Opuchlizna krtani była tak duża, że omal się nie udusił.

- Pani w telefonie powiedziała, żebym próbowała go uspokoić - wtrąciła Nikki. - Nie wiem, czy mi się udało.

- Bardzo mu pomogłaś - powiedziała lekarka. - Zrobiliśmy tracheotomię i teraz oddycha już spokojnie.

- Wyzdrowieje? - zaniepokoiła się Laura.

- Mamy taką nadzieję. Zrobiłam mu zastrzyk. Gdybyśmy dokładnie wiedzieli, na co jest uczulony, byłoby nam łatwiej.

- Niestety, nie wiem... - Laura zająknęła się.

- Jadł ciasto, mamó. Orzechowe, z mnóstwem różnych orzechów - wtrąciła Nikki. - Leżał na podłodze i trzymał w rękę kawałek.

- Nie jadłby, gdyby wiedział o uczuleniu - powiedziała Laura. - W tym cieście musiało być coś takiego... Sama nie wiem...

- Może mi pani podać jego nazwisko?

- Gino Farnese - odparła oszołomiona. - Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście, ale nie jestem pewna, czy pani córka powinna go teraz oglądać. Nie wygląda najlepiej.

Na te słowa Nikki mocniej przywarła do matki i z uporem zacisnęła usta.

- Przypuszczam, że gdy się dusił, również wyglądał nie-
szczególnie, a mimo to Nikki nie straciła głowy. Myślę, że
chce go zobaczyć.

Gino rzeczywiście wyglądał okropnie. Obrzmiała twarz,
rurka tracheotomijna - Laura z trudem powstrzymała
okrzyk przerażenia.

Gino otworzył oczy. Poruszył opuchniętymi wargami,
próbując coś powiedzieć.

- Nic nie mów - powstrzymała go Laura. - Wszystko
już wiem. Nikki mi opowiedziała.

- Pani Baxter... - wychrypiął. - Dziecko... wcześniej...

- Czekala na swojego pierwszego wnuczka - przypo-
mniała mu Laura. - Urodził się wcześniej? - zgadywała.
- Musiała pojechać?

- Nikki... - wymówił z trudem Gino.

- Nikki wezwała karetkę - dopowiedziała Laura.

Gino zamknął oczy. Był bardzo wyczerpany.

Nikki wdrapała się Laurze na kolana i obie, wtulone
w siebie, w milczeniu patrzyły na łóżko. Teraz, gdy mi-
nął już pierwszy szok, Laura zdała sobie sprawę, jak bliski
śmierci był Gino.

Wszystko stało się tak niespodziewanie, bez ostrzeże-
nia. Jak kruche jest ludzkie życie, myślała przerażona.

- Co z nim będzie? - spytała pielęgniarkę, która weszła,
by sprawdzić wyniki na monitorze.

- Jest coraz lepiej - powiedziała kobieta. - Opuchlizna
się zmniejsza. Wkrótce będziemy mogli wyjąć rurkę.

- Wrócimy tu jutro.

- Och, nie, mamol - zbuntowała się Nikki. - On może
umrzeć, gdy nas tu nie będzie!

- Nie umrę. - Gino odwrócił głowę do Nikki. - Dzięki... tobie.

Nikki ostrożnie odsunęła aparaturę, pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Gina w policzek.

- Dobranoc - powiedziała.

- Dobranoc.

Zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, w pokoju była tylko pielęgniarka. Uśmiechała się do niego.

- Pańska córka ma charakter. Musi pan być z niej bardzo dumny.

Pańska córka... Gino zmarszczył brwi. Czy pielęgniarka naprawdę to powiedziała? - zastanowił się, ale był zbyt zmęczony, by o tym myśleć.

Wkrótce zapadł w niespokojny sen.

W domu na Laurę i Nikki czekały już Claudia i Sadie. Zgodnie z zapowiedzią wróciły z wakacji i były bardzo zadowolone, kiedy nie zastały nikogo w domu.

Laura opowiedziała im całą historię. Obie współczuły Ginowi i były pełne podziwu dla Nikki, jej refleksu i opamiętania.

- Ale teraz już naprawdę czas spać - Laura zwróciła się do córki. - Dochodzi druga, niewiele nocy nam zostało.

Kiedy Nikki leżała już w łóżku, spytała ponownie:

- Ale on wyzdrowieje, prawda?

- Czuje się już lepiej - odpowiedziała Laura, przytulając córeczkę. - Kochanie, naprawdę powiedziałaś im, że to twój tata?

- Chyba tak. To pierwsze, co przyszło mi do głowy, gdy spytali, kto się dusi. A potem podałam adres.

- Kochanie, bardzo cię proszę, nie myśl o Ginie jako o swoim ojcu.

- Ale... byłoby miło...

Laura poczuła ucisk w sercu. To straszne, że jej córeczka nie może dostać od życia tego, czego pragnie najbardziej.

- To się nie zdarzy, kochanie - powiedziała. - Proszę, nie myśl o tym.

- Ale on jest wyjątkowy...

- To prawda. Rzeczywiście jest wyjątkowy. I wiem, że jest twoim najlepszym przyjacielem.

- Twoim też.

- Moim też - przyznała Laura. - Ale on do nas nie należy i nigdy nie będzie należeć.

W końcu Nikki ustąpiła. W wieku dziewięciu lat potrafiła bez buntu pogodzić się z rozczarowaniem, zwłaszcza że życie zdążyło ją do tego przyzwyczać.

Otuliła się kołdrą i uśmiechnęła do matki.

- Ale byłoby miło - powiedziała, zamykając oczy.

- Tak - wyszeptała Laura. - Byłoby miło.

Trzymała Nikki za rękę, aż dziewczynka zasnęła. Gdy cicho wychodziła z pokoju, usłyszała w holu telefon.

Odebrała go Claudia. Wyglądała na zaszokowaną.

- Ze szpitala - zwróciła się Laury. - Oni myślą, że jesteś żoną Gina i chcą, byś jak najszybciej przyjechała. Jego stan się pogorszył.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dobrze było znów znaleźć się w domu. Tak bardzo stęsknił się za purpurowymi zachodami słońca i kolorami Toskanii. I za kochającą rodziną. Za swoim jowialnym, prostodusznym, dowcipnym ojcem, za szorstkim, zamkniętym w sobie Rinaldem o wielkim sercu.

Dlaczego ich zostawił?

Nagle zdał sobie sprawę, że świat nie był już taki jak dawniej. Chciał wrócić do domu, ale tego domu właściwie nie było... Gdzie jest ojciec? Rozglądał się wokół, ale bliski sercu krajobraz przypominał teraz pustynię. A co najdziwniejsze... .. był teraz na jakimś pogrzebie...

Nagle zobaczył Rinalda. Na jego twarzy malowały się wściekłość i wrogość. Dlaczego? I jasnowłosą kobietę, która przyglądała się im obu ponad otwartym grobem. Kim była? Powinien ją znać... Ale przesłaniała ją jakaś tajemnica, której nie potrafił zgłębić.

Jak przez mgłę docierały do niego podekscytowane głosy.

- Temperatura gwałtownie wzrosła...
- Zaraz ją zbijemy...

Nie powinien zakochać się w Alex. Gdy rzucali o nią monetę, to Rinaldo wygrał. Ale początkowo jej nie chciał, a potem było za późno dla nich wszystkich.

Wreszcie rozpoznał kobietę, która chłodnym, krytycznym wzrokiem przyglądała się im ponad grobem. To była Alex. Najpierw rozświetliła mu życie, a potem skazała go na samotność.

Pierwszego dnia, gdy przyjechała, pokazał jej Florencję, a potem wypożyczyli konie. Śmiejąc się, jechała obok niego w promieniach zachodzącego słońca.

Czuł ciepło tych promieni - mocne, gorące, prawie nie do zniesienia. Alex rozkwitała w upale, stawała się Włoszką, odkrywała, że przynależy do tej ziemi.

Zrozumiał, że ją kocha, ale nie tak jak inne swoje „miłości”. Nigdy dotąd nie czuł się tak spełniony.

Potem nie istniała już dla niego żadna inna kobieta. Ta świadomość wypełniała go radością. Alex też była radosna. A przynajmniej tak myślał, aż do chwili, gdy znalazł ich razem, wtulonych w siebie, w łóżku Rinalda.

Próbował się uwolnić od tego bolesnego wspomnienia, ale ono wciąż powracało, jakby ktoś próbował przekazać mu jakąś ważną wiadomość.

Znów zobaczył splecione nagie ciała. Czuł, że nie rozumie czegoś ważnego, a zrozumieć musi, jeśli chce jeszcze kiedykolwiek zaznać spokoju.

Zobaczył twarz Alex, tym razem jakby za mgłą. Wpatrywała się w niego ze smutkiem i niepokojem. Wyglądała tak jak podczas ich ostatniego spotkania, nie w dniu jej ślubu z Rinaldem, ale wcześniej, gdy rozmawiał z nią sam na sam.

- Do diabła z wami obojgiem! - wykrzyknął wtedy w bólu.

Myślała, że on tylko udaje miłość. Tak się tłumaczyła. I na początku to rzeczywiście była prawda.

Potem odkryłem, że naprawdę cię kocham.

Powiedział jej to wtedy i próbował powtórzyć teraz, wyschniętymi, opuchniętymi wargami. Chciał, by zrozumiała.

- Gino... Gino... - Jej głos docierał do niego, jakby odbijał się echem od długich, wąskich korytarzy.

- *Carissima...*

- Gino, obudź się, spójrz na mnie, proszę...

- Uwielbiałem patrzeć na ciebie - powiedział ze smutkiem. - Pamiętasz... ten dzień w stajni... Byłaś taka piękna... Cudowna do bólu.

Milczała, ale czuł, że mocno trzyma go za rękę.

- Chciałem cię wziąć w ramiona - mamrotał. - Tak bardzo cię kocham...

- Naprawdę?

Jej głos zabrzmiał tęsknie. Nie, to tylko gorączka...

- Budziłem się z myślą o tobie i zasypiałem, mając twój obraz przed oczami - wymamrotał. - Śniłem, że trzymam cię w ramionach... Byliśmy nadzy... kochaliśmy się... Nie miałem prawa do takich snów.

- Prawo nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała czule. - Miłość nie wybiera.

- To prawda. Nie potrafiłem cię nie kochać. Powiedziałem, że jesteś moją miłością na zawsze. Wiem, że już nigdy nie powinienem ci tego mówić. Nie mogę spędzić z tobą życia, ale mogę spędzić życie, kochając ciebie.

Jak przez mgłę widział, że kręci głową.

- Czas zapomnieć i znów pokochać - powiedziała.

- Nie rozumiesz... - Poruszył rękami. - Po co miałbym znów się zakochiwać, skoro znalazłem doskonałą kobietę?

- Żadna kobieta nie jest doskonała - odparła, a on do-

znał dziwnego uczucia, że o coś go prosi. - Są inne, które mogą okazać się lepsze.

- Nie dla mnie.

- A jeśli któraś by cię pokochała? Nie chciałbyś być kochanym?

- Tak - wyszeptał. - Chciałbym.

- Czy to nie lepsze niż tracić życie na pogoń za ułudą?

- O wiele lepsze - przyznał. - Tak nakazywałby rozsądek. Ale to nie dla mnie.

Ścisnął mocniej jej dłoń i wolno podniósł do ust.

- *Amore mio* - szepnął. - *Per tutta la vita*. Zawsze będziesz w moim sercu.

Jej ręka gdzieś zniknęła, jakby ją wyrwała; zamglona twarz rozmyła się w nicości. Znow ogarnęła go ciemność.

Kręcił się w niej jak w trąbie powietrznej. Próbował dotknąć ziemi. Bez skutku. Nie było nic, czego mógłby się złapać. Żadnego bezpiecznego punktu w tej strasznej, kołującej ciemności.

W końcu gorączka zaczęła opadać. Jasne kolory Toskanii pobladły. Wolno powracał do szarej rzeczywistości szpitala. Obudził się w zimnym świetle. Zobaczył białą poręcz łóżka, jasnozielone ściany i mnóstwo stalowej aparatury. Bolała go szyja, ale gdy udało mu się trochę przekręcić głowę, zobaczył Laurę stojącą przy oknie.

- Cześć - wykrztusił. Mimo że wyjęto mu rurkę z gardła, głos miał chrapliwy.

Laura odwróciła się z uśmiechem, ale na bladej twarzy malowała się rozpacz.

- Cześć - powiedziała z wysiłkiem. - Zaraz kogoś zawołam.

Wyszła z sali, zanim zdążył coś powiedzieć. Usłyszał, jak mówi do kogoś w korytarzu:

- Odzyskał przytomność.

Po chwili pojawiła się pielęgniarka.

- Ale nam pan napędził stracha - powiedziała, uśmiechając się z ulgą.

- Co się stało?

- Niespodziewanie nastąpił kryzys. Temperatura raptownie podskoczyła. Na wszelki wypadek wezwaliśmy pańską żonę. O, temperatura już spadła. - Pielęgniarka sprawdziła jeszcze inne parametry i wyszła.

Gino zastanawiał się, dlaczego Laura znów stoi przy oknie. Jakby nie chciała być zbyt blisko niego.

- Byłaś tutaj przez cały czas? - spytał.

- Zadzwonili do mnie w nocy. Nikki powiedziała... że jesteś jej ojcem, uznali więc, że jesteście małżeństwem lub...

- Domyśliłem się tego.

- Nie wyprowadzałam ich z błędu.

- Jasne. Cieszę się, że cię zawiadomili. Nie chciałbym umrzeć samotnie.

- Gino, ty nie umrzesz.

- Teraz już nie, ale chyba niewiele brakowało.

Laura skinęła głową.

- Wszyscy się przestraszyliśmy. Chcesz, bym skontaktowała się z twoją rodziną? - Milczał, więc powtórzyła: - Podaj mi numer, to do nich zadzwonię.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł w końcu. - Najgorsze już minęło.

- A gdybyś umarł? Jak miałabym ich zawiadomić?

- Adres jest w moim notesie. Ale nie rób tego. Czuję się

już lepiej. - Mimo że głos miał słaby, przemawiał z taką stanowczością, że musiała uznać ten temat za zamknięty.

- Jak chcesz - powiedziała. - Jak się czujesz?

- Okropnie. Gardło boli mnie tak, jakbym łykał kolce, a w głowie mam pustkę.

- Miałeś okropną gorączkę. Majaczyłeś.

- Dużo mówiłem? - Gino odwrócił wzrok.

- Trochę, ale nie rozumiem po włosku.

Zauważyła, że jego napięcie zmalało.

- Chyba nie powiedziałem czegoś niestosownego? - spytał z pozorną obojętnością.

- Nie odniosłam takiego wrażenia.

Uśmiechnął się zwycięsko.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem cię czymś nie uraziłem, skoro trzymasz się ode mnie z daleka.

Wyciągnął rękę. Laura podeszła, ujęła jego dłoń i przysiadła na brzegu łóżka.

- Która godzina?

- Siódma rano. Chciałabym wrócić do domu, zanim Nikki się obudzi. Wolę, żeby się nie zorientowała, że wychodziłam.

- Zgoda. - Uścisnął jej dłoń. - Biedna Laura. Przeze mnie nie spałaś całą noc...

- To nie twoja wina - powiedziała szorstko.

- Musisz żałować dnia, kiedy mnie poznałaś.

- Wiesz, że tak nie jest. Gdyby coś ci się stało...

- Nikki - powiedział ze zrozumieniem. - Powiedz Nikki, że dzięki niej mam się dobrze.

Uścisnęła jego dłoń i wyszła.

Laura zdążyła dotrzeć do domu, zanim Nikki się obu-

dziła. Ściszym głosem opowiedziała domownikom o wydarzeniach ostatniej nocy. Wszyscy obiecali zachować je w tajemnicy.

- Pójdziemy do szpitala, gdy wrócę ze szkoły? - spytała Nikki przy śniadaniu.

- Oczywiście - zapewniła córeczkę Laura.

Gdy wszyscy wyszli, Laura zabrała się do codziennych prac. Nie mogła jednak przestać myśleć o tym, co usłyszała dzisiaj w nocy.

Amore mio, per tutta la vita... Moja miłości na całe życie.

Ale on powiedział to do Alex. Ona nigdy tych słów nie usłyszy. Gino miał oczy otwarte, ale widział nimi jedyną kobietę, którą kochał i którą zawsze będzie kochać.

Wprawdzie Laura nie zrozumiała wszystkiego, ale dość, by współczuć mu z całego serca. Oczywiście, współczuła mu jak bratu...

Och, dlaczego wspomniała o kobiecie, która być może pewnego dnia odwzajemni jego miłość? Nie miała takiego zamiaru. Te słowa wypłynęły z niej bezwiednie.

Wróciła do pracy, ale wszystko, co robiła, wykonywała mechanicznie. W jej głowie kłębiły się przeróżne, szalone myśli.

Dopiero pod koniec dnia zdołała je nieco uporządkować, ale wtedy poczuła w sercu wielki ciężar. Jak głaz.

Gdy Laura wyszła, Gino leżał spokojnie, jakby zawieszony między dwoma światami. Starał się przypomnieć sobie, co takiego wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut, ale myśli umykały, a wysiłek męczył.

Resztę dnia drzemał. Od czasu do czasu do pokoju

wchodził lekarz albo pielęgniarka. Twierdzili, że jego stan się poprawia, ale przewidywali, że minie jeszcze kilka dni, zanim odzyska siły na tyle, by opuścić szpital.

Gino nigdy nie chorował. Był młodym i silnym mężczyzną, więc teraz własna słabość doprowadzała go do szaleństwa. Musiał jednak wziąć się w garść, by uspokoić przynajmniej Nikki.

Z trudem wstał z łóżka, założył szlafrok, owinał apaszką szyję, by zakryć ranę, i usiadł w fotelu.

Gdy Nikki pojawiła się w drzwiach, zdołał nawet się uśmiechnąć. Rozłożył ramiona, a ona wpadła w nie z radością. Laura ucieszyła się na ten widok, a potem usiadła przy oknie.

- Naprawdę dobrze się czujesz? - spytała Nikki.

- Naprawdę - potwierdził z powagą.

- Zobacz, co ci przyniosłam. - Sięgnęła do torby.

Był to piesek, maskotka, którą dała mu pierwszego dnia.

- Nikki! - powiedziała Laura z uśmiechem. - Gino nie może trzymać w szpitalu zabawek.

- Oczywiście, że mogę - zaprotestował energicznie. -

To mój przyjaciel, dostałem go od Nikki, która też jest moją przyjaciółką.

Postawił zabawkę na szafce obok łóżka. Nikki nie kryła zachwytu. Zaczęła opowiadać, jak spędziła dzień, a zadowolony Gino słuchał w milczeniu aż do chwili, gdy Nikki powiedziała:

- Mamo, czy ty...?

- Cicho, ona zasnęła - szepnął.

Laura zsunęła się trochę z fotela i oparta o ścianę oddychała miarowo.

- Pozwól jej się zdrzemnąć. Tak ciężko pracuje.
Nikki skinęła głową.
- Poza tym dzisiaj płakała.
- Co takiego?
- Gdy wróciłam do domu, była w kuchni. Zauważyłam, że ma czerwone oczy. Gdy weszłam, szybko schowała chusteczkę.

- Mówiła coś?

Nikki pokręciła głową.

- Mama nikomu się nie zwierza, kiedy płacze.

- No tak. Z kim mogłaby rozmawiać?

- Z tobą. Tobie mówi wszystko.

Gino pokręcił głową.

- Wiele ze swoich uczuć zatrzymuje dla siebie. To nie takie proste, maleńka. Twoja mama jest bardzo dzielna i bardzo samotna. Pozwól jej się przespać. Jeszcze nie podziękowałem ci za to, co dla mnie zrobiłaś. Opowiedz mi, jak to było.

Nikki zgodziła się z radością. Gdy kończyła opowieść, do pokoju zajrzała pielęgniarka i oświadczyła, że pora odwiedzin minęła.

- Obudzić mamę? - spytała Nikki.

- Sam to zrobię.

Gino powoli wstał z fotela, ale zachwiał się. Chwycił się ramienia Nikki, by utrzymać równowagę. Podtrzymywany przez dziecko, podszedł do Laury i usiadł naprzeciwko niej.

- Lauro! - Delikatnie potrząsnął ją za ramię.

Nie zareagowała. Zauważył, że jej twarz jest blada ze zmęczenia.

- Czy mama idzie dziś wieczorem do pracy? - spytał Nikki.

- Nie, wracamy do domu.

- To dobrze. Zaopiekuj się nią, Nikki. Dopilnuj, by poszła prosto do łóżka.

Nikki skinęła głową.

- Lauro - powtórzył Gino, dotykając ponownie jej ramienia. - Lauro, obudź się.

Laura powoli otworzyła oczy.

- Cześć - powiedział z uśmiechem. - Nikki zabierze cię do domu.

- Ona zabierze mnie do domu?

- Poprosiłem ją o to. Ona się tobą zaopiekuje. Ktoś to musi zrobić.

Laura z trudem wstała z krzesła.

Gino patrzył, jak odchodziły, a potem powoli wrócił do łóżka. Musiał wiele przemyśleć.

Następnego wieczora Sadie przywiozła Nikki do szpitala.

- Mama niespodziewanie musiała pójść do pracy - wyjaśniła dziewczynka.

- Do pubu?

- Nie, gdzie indziej - powiedziała Sadie. - Też do pubu. Właścicielem jest jakiś Mark.

- Och, to ten! - burknął Gino. - Tak, pamiętam, dzwonił pewnego wieczora.

- Nie sądzę, by Laura należała do stałego personelu. On dzwoni tylko wtedy, gdy jej potrzebują.

- Jak się nazywa to miejsce?

- Nie mam pojęcia. Laura nigdy o tym nie mówi. Ale, zanim zapomnę, mam ci przekazać życzenia powrotu do zdrowia od wszystkich pracowników naszego zakładu. Szef powiedział, żebyś nie martwił się o pracę.

- Wkrótce stąd wyjdę.

- Na pewno jeszcze przez jakiś czas nie będziesz mógł pracować - powiedziała Sadie, przyglądając się mu uważnie. - Nie odzyskasz sił w ciągu dwóch dni. Dostałeś porządnego kopa.

- To prawda - mruknął Gino. - I to nie jednego.

Nazajutrz Laura przyszła do szpitala w porze lunchu. Była sama.

- Nikki jest w szkole - wyjaśniła. - Chciałam się z tobą zobaczyć i przeprosić cię za tamten wieczór. Przyszłam w odwiedziny i zasnęłam.

- Nie musisz mnie przeproszać - powiedział Gino. - To przeze mnie nie spałaś całą noc. Mój dług wobec ciebie i Nikki wzrasta z każdym dniem.

- Myślę, że to my spłacamy dług wobec ciebie.

Pokręcił głową.

- Nikki uratowała mi życie. Podziwiam ją. Chciałbym jej podziękować, odwdziżyć się. Wiesz może, czego ona najbardziej pragnie?

Długo czekał na odpowiedź.

- Tak, wiem - powiedziała w końcu Laura.

- Powiedz mi, postaram się spełnić jej marzenia.

Laura odezwała się jakimś dziwnym głosem:

- To może nie być takie proste.

- Zrobię dla niej wszystko, co w mojej mocy. Powiedz mi, proszę.

- Chyba sam wiesz... Po tym, jak nazwała cię tatą... Wiesz, Gino, ona najbardziej na świecie chciałaby, żebyś był jej ojcem.

- Ale jak?

- Żeniąc się z jej matką.— Laura wzięła głęboki oddech.

- O to właśnie cię proszę, Gino.

Gino wpatrywał się w nią, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

- Nic nie mów - dodała szybko. - Pozwól, że ci wyjaśnię. To nie byłoby prawdziwe małżeństwo, tylko formalne. Rozumiesz? Bez zobowiązań. Mógłbyś mieć swoje dziewczyny, byle tylko Nikki o tym nie wiedziała. Ja obiecuję, że nie będę zadawać pytań. I nie będę zazdrosna.

- Nie wiem, czy to dla ciebie dobry układ - powiedział wymijająco Gino, próbując zebrać myśli.

- Proszę cię tylko, byś uczynił Nikki szczęśliwą - szepnęła Laura. - A dla mnie byłby to cudowny układ. Najlepszy na świecie.

- Nie chcesz od życia niczego dla siebie? - spytał delikatnie.

- Próbowałam, prawda? Sam widzisz, co z tego wyszło. Jeśli nie można zmusić życia, by dało ci to, czego chcesz, trzeba jak najlepiej wykorzystać to, co ci oferuje. A ty jesteś najlepszą szansą dla Nikki. - Ponieważ Gino nic nie mówił, dodała pośpiesznie: - Wiem, że jestem od ciebie trochę starsza...

- Daj spokój. Trzy lata to nic.

- Chciałam cię tylko zapewnić, że nie postawię cię w trudnym położeniu, zakochując się w tobie lub robiąc coś równie głupiego.

- Tak, to byłoby głupie - powiedział z kpina.

- To byłoby bez sensu dla nas obojga, prawda? Co do tego się zgadzamy. I oczywiście nie oczekuję, że ty zakochasz się we mnie. Wiem, że nadal kochasz Alex.

- Skąd? - spytał szybko.

- Gdy leżałeś w gorączce, szeptałeś jej imię.

- Mówiłem po włosku?

- Tak. Dlatego nic nie rozumiałam. - Oby Bóg wybaczył jej kłamstwo! Ujawnienie prawdy postawiłoby ich oboje w niezręcznej sytuacji. - Zrozumiałam tylko imię... I chyba to, że nie możesz się z nią ożenić, ale... Później, gdy poznasz kogoś odpowiedniego, będziemy mogli się rozwieść. Nie stanę ci na drodze.

Gino wpatrywał się w nią zdumiony. W końcu przetarł dłońmi oczy.

- Chyba się pogubiłem. Czy rozwód nie czyni całego tego przedsięwzięcia bezsensownym?

- Och, rozwiedziesz się ze mną, nie z Nikki. Gdy weźmiemy ślub, będzie mogła przyjąć twoje nazwisko, poczuje się jak twoja córka. A tego właśnie pragnie. Ty jej nie zostawisz. Nawet gdy się rozwiedzimy, będzie miała ojca.

- O Boże, Lauro! - zaprotestował. - Jeszcze nie ustaliliśmy daty ślubu, a ty już planujesz rozwód. Może już wybrałaś dla mnie następną żonę?

- Wiem, że to brzmi trochę dziwnie...

- Trochę?

- Wszyscy na tym zyskują. Prócz ciebie.

- Ja też zyskam. Jeśli Nikki będzie odrobinę szczęśliwsza, dla mnie to będzie dużo znaczyć. Nic nie zyskam, mówisz? Zyskam wszystko, czego chcę.

Nastąpiła chwila ciszy.

- A co ze Steve'em? - spytał w końcu.

- On już się nie liczy.

- Przypuśćmy, że nie będzie rozwodu, a ja zechcę pozostać twoim mężem przez wiele lat?

Roześmiała się krótko.

- Będę musiała się do ciebie przyzwyczaić.

- Do mnie i do mojego charakteru.

- To prawda.

- A jeśli co wieczór będę uganiał się za inną kobietą?

- Proszę bardzo. Bylebyś tylko był w domu, gdy Nikki wraca ze szkoły. Noce możesz spędzać, gdzie chcesz. Wymyślmy jakąś bajeczkę.

- Lauro, na litość boską! - wykrzyknął, na wpół śmiejąc się, na wpół złościąc. - Co ty sobie o mnie wyobrażasz!

- Och, myślę o tobie jak najlepiej. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie zamierzam zakuć cię w łańcuchy.

- Ale może powinienem mieć jakieś zobowiązania?

- Słusznie - powiedziała z westchnieniem. - Będą pewne zobowiązania. Och, Gino, wymyśliłam sobie coś szalonego i jeszcze próbuję cię w to wciągnąć. Zapomnij o wszystkim. Muszę już iść.

- Nie tak szybko. - Złapał ją za rękę. - Nie usłyszałaś jeszcze odpowiedzi.

- Nie muszę - rzekła pospiesznie. - Wycofuję prośbę.

- A szkoda, bo zamierzałem powiedzieć „tak”.

- Co takiego?

Nagle głos Gina zabrzmiał bardzo stanowczo:

- Powiedziałem „tak”. Myślę, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Trzy dni później Gino wyszedł ze szpitala. Dopiero w domu powiedzieli o wszystkim Nikki. Zrobili to spokojnie, nawet jednym słowem nie sugerując dziecku, że są zakochani.

Nikki zareagowała tak, jak się spodziewali. Z wielkim entuzjazmem.

- Naprawdę będziesz moim tatą? - Jej oczy błyszczały.
- Naprawdę - zapewnił Gino.
- I nie odejdziesz? - spytała z lekkim niepokojem.
- Nigdy. - Zrozumiał natychmiast. - Nie odejdę.

Ślub miał się odbyć za trzy dni, a jedynymi gośćmi mieli być lokatorzy pensjonatu. Nikki przypadła rola druhny. Przed uroczystością Laura, Nikki i Gino spędzili wspólny dzień, chodząc po sklepach. Kupili dla panny młodej suknię w kolorze kości słoniowej, do tego kapelusz ozdobiony kwiatami, a dla Nikki drugi, zasłaniający czoło.

- To będzie najszczęśliwszy dzień w naszym życiu - powiedziała radośnie dziewczynka.

Gino popatrzył na nią, przechylając głowę na bok.

- Wiesz, gdy ludzie widzą nas razem, mogą pomyśleć, że naprawdę jesteś moją córką. Jesteśmy do siebie podobni. Mamy takie same włosy i oczy.

Nikki stanęła naprzeciwko niego i przyglądała mu się uważnie.

- Tak naprawdę wcale nie jesteśmy podobni.

Oczy Laury wypełniły się łzami. Nie było wątpliwości, co Nikki miała na myśli. Stając naprzeciwko Gina, chciała przypomnieć mu o swojej zdeformowanej twarzy, jakby w ten sposób doradzała mu, by przemyślał swoją decyzję.

Miała zaledwie dziewięć lat.

Gino doskonale wiedział, kiedy słowa nie są potrzebne. Odgarnął włosy z czoła dziewczynki, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Myślę, że jesteśmy bardzo podobni - powiedział. - I jeśli ktoś pomyśli, że jesteś moją córką, będę zaszczycony.

Laura, patrząc na Nikki, wiedziała, że podjęła słuszną decyzję.

Ale nie chodziło wyłącznie o Nikki, choć na razie nie czuła się gotowa, by się z tym zmierzyć. Uświadomiła to sobie nagle i poczuła zdenerwowanie, a nawet strach.

Wizyta w sklepie z używanymi meblami zaowocowała kupnem pojedynczego łóżka, które stanęło obok łóżka Laury oraz wąskiej szafy, którą ledwie wcisnęli do pokoju.

- Twoje rzeczy nie zajmują dużo miejsca - powiedziała Laura.

- Nie martw się. - Gino wzruszył ramionami. - Do ślubu kupię sobie przyzwoity garnitur. I jeszcze o czymś powinniśmy porozmawiać...

Laura, słysząc wahanie, a nawet zażenowanie w jego głosie, rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Myślałam, że już wszystko omówiliśmy - starała się mówić obojętnym tonem.

- Nie. Chodzi o mój wkład w prowadzenie domu. Mogę na przykład gotować. Wiesz, że jestem w tym dobry. Możemy ustalić dyżury i... Dlaczego się śmiejesz?

- Ty i dyżury! Nie wiedziałam, że jesteś taki zorganizowany. Zważywszy stan twojego pokoju...

- To, że jestem nieporządny, nie znaczy, że jestem niezorganizowany.

- Naprawdę? - spytała niewinnie.

- Powinniśmy ustalić jakiś plan - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - Zresztą ty ustal, a ja się dostosuję. Tak będzie najlepiej.

- A co z twoją rodziną we Włoszech? - zapytała, zanim wyszli z pokoju. - Czy ich zaprosisz?

- Nie - odparł krótko. - Chodź, pokażę ci, jak się smaży jajka na bekonie. - I pośpiesznie zszedł na dół.

W ustalonym dniu po krótkiej ceremonii Laura i Gino stali się mężem i żoną.

Sadie zrobiła im mnóstwo zdjęć. Kiedy Laura widziała na nich rozradowaną Nikki, upewniła się, że podjęta przez nią gra, choć ryzykowana, warta jest świeczki.

Jakże ta skromna uroczystość różniła się od jej pierwszego ślubu. Wtedy miała na sobie piękną, satynową suknię wykończoną koronką, a wykwintne przyjęcie weselne odbyło się w ekskluzywnym hotelu w Londynie.

A teraz wrócili do domu, pokroili tort, który dostali w prezencie od Claudii i wzniesli toast szampanem ofiarowanym przez panią Baxter, szczęśliwą babcie nowo narodzonego wnuka.

Po pierwszym ślubie Laura wraz z mężem polecili na Karaiby. Była szaleńczo zakochana, a on ją uwielbiał. Mie-

siąc miodowy minął jak złoty sen. Przyszłość jawiła się jak jedno pasmo szczęścia.

Dzień drugiego ślubu zakończył się pracowitym wieczorem w pubie. Mąż przyszedł po Laureę, a potem w milczeniu przyprowadził ją do domu. Zaparzył herbatę i przez kilka minut rozmawiali o niczym. W końcu zajrzeli do śpiącej Nikki i poszli do swojego pokoju. Tam położyli się do oddzielnych łóżek i leżeli w milczeniu, wpatrując się w ciemność.

Po długiej chwili Gino uniósł się na łokciu. Nasłuchiwał, aż upewnił się, że Laura zasnęła. Wówczas wstał z łóżka, usiadł przy oknie i patrzył na ciemną ulicę i park, w którym jego życie zmieniło się na zawsze.

Zrobiłem to, pomyślał z ironią. Gino-playboy, bożyszczce kobiet. Wreszcie i jego dopadło prawdziwe, głębokie uczucie. Nieodwzajemnione. Zdecydował się na małżeństwo z rozsądku, bo tylko taki związek był dla niego do przyjęcia.

Wiedział, że zaskoczył Laureę, kiedy tak chętnie przyjął jej propozycję. Laura ułatwiła mu sprawę, precyzyjnie określając warunki i dając mu do zrozumienia, że nadal jest zakochana w Stevie Deytonie.

Po katastrofie, jaką zakończyła się jego miłość do Alex, znalazł się na uczuciowej pustyni. Jeśli nie chciał zostać tam na zawsze, musiał odszukać w życiu cel. Bardzo lubił Laureę i wiedział, że uszczęśliwia Nikki. To musiało mu wystarczyć. W każdym razie postara się, żeby wystarczyło.

Następny przystanek - wiek średni, pomyślał ze słabym uśmiechem. Jutro kupię fajkę i kaptcie.

Siedział przy oknie, aż na ulicę spłynęło pierwsze świat-

ło poranka. Wtedy delikatnie, by jej nie obudzić, pocałował swoją żonę w czoło i wrócił do łóżka.

Laura leżała bez ruchu. Miała zamknięte oczy, ale nie spała. Wiedziała, kiedy Gino podszedł do okna. Wyczuwała każdy jego ruch, słyszała każdy oddech.

Przez całą noc miała nadzieję, że Gino zerwie umowę i weźmie ją w ramiona. Kiedy pocałował ją w czoło i położył się do swojego łóżka, wzięła głęboki oddech i pomyślała, że musi być rozsądna.

Ku wielkiej radości Nikki do miasteczka przyjechał cyrk. Claudia i Sadie, które też okazały się wielbicielkami sztuki cyrkowej, kupiły bilety i zaprosiły Nikki na sobotnie przedstawienie. Także pani Baxter wyjechała, by pomóc synowi przy dziecku, a Bert i Fred poszli na mecz. W domu zrobiło się niesamowicie cicho.

Laura tak bardzo się cieszyła, że spędzi ten wieczór sam na sam z Ginem. Gdy zadzwonił telefon, miała nadzieję, że to nic ważnego.

Gino wyszedł do holu odebrać.

- Czy jest Laura? - padło krótkie pytanie, które wyprowadziło Gina z równowagi.

- A kto mówi?

- Mark.

Gino już wcześniej zamierzał spytać Laurę o tajemniczego Marka. Jednak w ostatnim czasie tyle się wydarzyło, że zupełnie o tym zapomniał.

- A o co chodzi? - zapytał.

- To pilne. Czy Laura jest w domu?

- Zaraz ją poproszę - odparł Gino przez zaciśnięte zęby.

- A gdyby cię to przypadkiem interesowało, właśnie rozmawiasz z jej mężem.

W tej samej chwili Laura wyszła z kuchni.

- To Mark - powiedział Gino i dodał znacząco: - Bardzo chce z tobą rozmawiać.

Laura wyrwała mu słuchawkę z ręki.

- Cześć, Mark, co się dzieje? - Gino nawet nie udawał, że nie słucha. - Dziś wieczorem? Nie możesz znaleźć kogoś innego? No, dobrze... Gdzie mam przyjechać? Tak... Czarna koronkowa bielizna wystarczy? W porządku.

Zanotowała coś na kartce, a gdy odłożyła słuchawkę, zauważyła, że Gino patrzy na nią podejrzliwie.

- Wiem, że nasze małżeństwo nie jest normalne - zaczął z udawaną obojętnością - niemniej jednak chyba trochę za wcześnie na randki z innymi mężczyznami?

- Nie idę na randkę.

- Wybacz, może jestem cyniczny, *signora* Farnese, ale gdy moja żona umawia się z innym mężczyzną i pyta, czy ma założyć czarną bieliznę, zaczynam być czujny.

- To zupełnie niewinne spotkanie.

- Czarna koronka? Opowiedz mi o tym.

- Nie rozumiem, dlaczego mam się opowiadać? Uzgodniliśmy coś...

- Ale nasza umowa nie zakładała robienia ze mnie głupka. Jeśli to niewinne spotkanie, po co ta tajemnica?

- Sam robisz wokół tego zamieszanie.

- Zrobię jeszcze więcej, jeśli mi nie powiesz.

Laura westchnęła, poddając się.

- Dorabiam trochę.

- Co ja słyszę!

- To nie jest praca w pubie. Mark to mój stary przyjaciel z okresu, gdy byłam tancerką. Prowadzi małą agencję, która organizuje występy podczas przyjęć. - Laura zawahała się, zdając sobie sprawę, że następny fragment wyjaśnień może być krępujący. - Dostarczam telegramy z życzeniami, karty urodzinowe. Trochę w formie żartu, udając na przykład policjantkę, która przysłała kogoś aresztować. Potem, gdy ofiara zaczyna się denerwować, wyjawiam prawdę.

- A ten seksowny strój ?

- W pewnym momencie należy zdjąć mundur i pokazać ładną bieliznę.

- To znaczy, że się rozbierasz? - spytał z narastającą złością.

- Och, oczywiście, nie do końca. Nie jestem striptizerką.

- Wybacz, ale nie widzę różnicy.

- Rozbieram się do satynowej bielizny.

- Z czarną koronką, jak sądzę? - spytał ironicznie.

- W tym wypadku, tak.

- A w innych?

- Zależy, jaka to okazja.

- Czy Mark dostarcza ci kostiumy?

- Tylko strój wierzchni: mundur policjantki, strażniczki, pielęgniarki. Bieliznę noszę własną.

- Mogłabyś to sprecyzować? - spytał Gino niebezpiecznym tonem.

- Mam na myśli różne okazje... Moja bielizna jest całkiem przyzwoita, nie pokazuje zbyt wiele.

- Lauro, rozbierasz się w tłumie ludzi i twierdzisz, że to nie jest striptiz? W takim razie, co to jest striptiz?

- Striptizerka rozbiera się do naga.

- Nie wiesz, jak pracują umysły mężczyzn. Nieważne, co na sobie zostawiłaś, ważne, że widzieli, jak coś zdejmowałaś. Samo oglądanie, jak się rozbierasz, jest podniecające.

- Jesteś ekspertem od striptizu?

- Nie wykręcaj kota ogonem. Nie życzę sobie, by moja żona rozbierała się przed innymi facetami.

- Nonsens! Robię to od dwóch lat

- I nikt się o tym nie dowiedział?

- Nie robię tego często. Raz, dwa razy w miesiącu. Mam dodatkowe pieniądze, a nic złego się nie dzieje.

- Ale teraz jesteś moją żoną. I nie mów mi tylko, że to nieprawda. W oczach całego świata jesteś nią. A ja jestem Włochem, a nie układowym Anglikiem i nie zgadzam się!

Laura nigdy dotąd nie widziała, żeby był tak bliski wybuchu. Jego ciemne oczy rzucały niebezpieczne błyski, a zaciśnięte wargi stały się ledwo widoczne.

- Nie masz prawa mi zabraniać! - krzyknęła z pasją. - To nie dziewiętnasty wiek!

- Natychmiast z tym skończysz! - powiedział dobitnie.

- Zgoda. Dziś wystąpię ostatni raz.

- Nie. Ani razu więcej.

- Dałam Markowi słowo, nie mogę go zawieść.

Gino patrzył jej w oczy ze złością, ale dzielnie wytrzymała jego spojrzenie. Zbyt długo była samodzielna, by teraz tak łatwo się podporządkować.

Odwrócił się gwałtownie i klnąc pod nosem po włosku, wyszedł z domu.

Gdy wyrzała na ulicę, nie było po nim śladu. Po chwili i ona wyszła i instynktownie skierowała się do parku.

Siedział na tej samej ławce, na której zobaczyła go po

raz pierwszy. Głowę podparł na dłoniach i wpatrywał się w ziemię. Na odgłos jej kroków, podniósł wzrok, ale zobaczywszy, kto idzie, odwrócił się.

- Odejdź - burknął, gdy usiadła obok niego. - Pozwól mi dąsać się w samotności.

Jakie to do niego podobne! Zawsze obracał wszystko w żart.

- Ty nigdy się nie dąsasz - powiedziała. - Nigdy przedtem nie widziałam, żebyś był wściekły.

- A ja nigdy przedtem nie zauważyłem, żebyś była taka głupia.

- Obiecałam ci, że to ostatni raz.

- I dlatego mam się poczuć lepiej?

- Dostarczę tylko kartkę urodzinową.

- Z tobą jako prezentem gotowym do rozpakowania? Coś takiego!

- To tylko żart...

- Żart, gdy rozbierasz się przed tłumem śliniących się facetów? O, *Dio!* Nigdzie nie pójdziesz!

- Pójdę.

- Za kogo ty mnie bierzesz? Myślisz, że będę spokojnie siedział? Że ci pozwolę?

- Nawet gdybyśmy byli prawdziwym małżeństwem, nie prosiłabym cię o pozwolenie. Pamiętaj, nasz związek to tylko umowa. Łamiesz warunki.

- Nie przypominam sobie żadnych warunków dotyczących takiej sytuacji.

- Całkowita wolność - przypomniała mu. - Możesz robić, co chcesz, chodzić, dokąd chcesz, mieć dziewczyny i spędzać noce poza domem.

- A widziałaś, żebym z kimś wychodził albo nie wracał na noc? Czy skorzystałem z tej wolności?

-Ale mogłeś.

- Kiedyś to zrobię i dopiero wtedy będziesz mogła prawić mi kazania.

-Zgoda. Ja nie będę ci prawić kazań, a ty nie będziesz wydawać mi rozkazów. Czy tak zachowujecie się we Włoszech? Jak w średniowieczu?

-Szanująca się włoska żona nigdy nie pomyślałaby o zrobieniu czegoś takiego.

- Na szczęście nie jestem włoską żoną!

- Od dnia naszego ślubu jesteś włoską żoną i proszę cię, zachowuj się stosownie.

- Nie mam czasu na kłótnie - powiedziała. - Muszę się przygotować.

Poderwała się z ławki i pobiegła przez park, nasłuchując, czy Gino nie biegnie za nią. Ale nie usłyszała żadnych kroków.

Męska duma, pomyślała z goryczą. Krzyki i walenie pięścią w klatkę piersiową, jak robią goryle. Ile to warte? Nic. Takie tam puste gesty

Gdy znalazła się z powrotem w domu, podeszła do komody i zaczęła przewracać zawartość szuflady, mrucząc pod nosem:

- Czarna koronka z czarą satyną? Czy czarna koronka z czerwoną satyną? Czerwona... Do tego czarne pończochy, podwiązki i czarne, koronkowe rękawiczki... A może coś zupełnie innego?

Usłyszała na dole trzaśnięcie drzwi, a potem odgłos pospieszonych kroków na schodach.

Chwilę później do pokoju wszedł Gino. Zamknął drzwi, oparł się o nie i patrzył na nią ze złością.

- Czy to jest twój ubiór do pracy? - spytał z pogardą.

- Tak. Przygotowuję się do swojego pożegnalnego występu. Będzie dokładnie taki sam, jak wszystkie poprzednie.

- O, nie, nie będzie taki sam. Tym razem ja pójde z tobą i będę obserwował każdy twój ruch.

- Gino, to nie jest dobry pomysł...

- Nie pytałem cię o zdanie.

Wpatrywała się w niego, jakby go nie poznawała. Czy ten apodyktyczny facet był tym samym miłym chłopakiem, którego, jak jej się wydawało, dobrze zna?

- Masz prosty wybór - ciągnął. - Zawiozę cię na miejsce, a potem przywiozę do domu. Przedstawisz mnie Markowi, a ja mu oznajmię, że to twój ostatni występ.

- Mogę mu to powiedzieć sama.

- Nie jestem pewien, czy będziesz wystarczająco przekonująca. A na przyszłość wybij sobie z głowy, byś mogła zrobić coś wbrew mojej woli!

Laura nie miała najmniejszych wątpliwości. W tym nastroju stawilby opór nawet dwudziestotonowemu czołgowi.

- W taki razie wezmę kąpiel - powiedziała.

Gdy godzinę później wyszła z łazienki, Gino nadal siedział w pokoju.

- Wyjdź - powiedziała stanowczo. - Chcę się ubrać.

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Laura ubierała się z wielką starannością. Miała zadanie do wykonania i musiała wykonać je dobrze. Była to winna Markowi. Okazał się prawdziwym przyjacielem. Przyszedł jej z pomocą, kiedy nie miała pieniędzy.

Ale myślała też o Ginie. Złość mu wcale nie przeszła, chociaż maskował ją teraz ironią.

Powiedział, że jest Włochem, a nie układnym Anglikiem. Zaczynała rozumieć, co miał na myśli.

Założyła czarne, koronkowe majtki, a potem gorset z fiszbinami z czerwonej satyny, wykończony koronką i głęboko wycięty. Potem naciągnęła cienkie, czarne pończochy i podtrzymała je podwiązkami. Na tę erotyczną bieliznę założyła bawełnianą sukienkę, a na wierzch płaszcz.

Gino czekał na dole. Razem poszli do samochodu.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- „Pod Anioła”. To pub po drugiej stronie miasta.

Gdy dojechali na miejsce, Gina ogarnęła jeszcze większą wściekłość. Ze środka pubu dobiegał głośny męski śpiew.

Mark czekał przed wejściem. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku, o wyszukanych manierach aktora. Choć Gino zdążył się nieco odprężyć, w czasie powitania z Markiem zachowywał się z dużą rezerwą.

- Nie wiedziałem, że wyszłaś za męża - zdziwił się Mark.

- Rozumie pan zatem, że dziś moja żona występuje po raz ostatni - powiedział Gino dobitnie.

- Szkoda. Mam już zamówienia na następne występy...

- Znajdzie pan kogoś innego. - Głos Gina był zimny jak arktyczne powietrze.

- Ale być może.

- Decyzja mojej żony jest ostateczna - podkreślił Gino.

W pubie Laura poszła do łazienki i przebrała się w mundur policjantki, który dostarczył jej Mark.

Mark również przebrał się w mundur policyjny.

Gino gdzieś zniknął.

- Dzięki Bogu - powiedział Mark z westchnieniem. - Można się go wystraszyć. A więc dzisiejszy wieczór to twój ostatni raz?

- Tak mówi Gino, ale...

- Cóż, sam się boję. Nie jestem gotowy na śmierć. Widziałś, jak on na mnie patrzył? Chyba nie należy do mafii?

- Oczywiście, że nie.

Ale Mark miał rację. Gino nie przypominał już tego chłopca, którego Laura poznała w parku.

- Tu masz tekst. - Mark podał Laurze notes.

Po chwili podszedł do nich młody mężczyzna.

- Gotowi? - zapytał. - Henry Rufford to ten facet w czerwonej koszuli.

- Idziemy - powiedział Mark.

Z surowymi minami przecisnęli się przez tłum. Kiedy stanęli przed potężnym mężczyzną o ogorzałej twarzy, w pubie zapadła cisza.

- Henry Rufford? - spytał Mark.

- Tak. - Mężczyzna wyglądała na zdenerwowanego.

- Pański samochód stoi na zewnątrz?

- Tak, ale...

- Czy wie pan, że został zgłoszony jako skradziony? Sierżancie, proszę przeczytać raport.

Wyjął spod płaszcza mały magnetofon, a Laura zaczęła czytać surowym, urzędowym tonem.

- Panie Henry, doniesiono nam, że dziś skończył pan dwadzieścia pięć lat - zakończyła Laura. - Z tej okazji zgromadzeni tu przyjaciele życzą panu wszystkiego najlepszego!

Rufford wybuchł śmiechem, a Mark włączył magnetofon. Gdy popłynęła muzyka, Laura przystąpiła do akcji.

Jednym szybkim ruchem zdjęła żakiet, odsłaniając górę czerwonego, satynowego gorsetu. Wśród mężczyzn rozległ się ryk podziwu. Opadła spódnica, odsłaniając resztę gorsetu wykończonego czarną koronką i czarne pończochy.

Powoli zdjęła rękawiczkę, a wtedy ryki mężczyzn stały się jeszcze głośniejsze.

Henry Rufford skoczył na równe nogi, stanął przed nią i głodnymi, wybałuszonymi oczami pożerał jej biust.

Pięść, która wylądowała na jego podbródku, zwałając go z nóg, wyłoniła się niewiadomo skąd. Kiedy nieszczęśnik leżał już rozciągnięty na podłodze, został oblaný zawartością dużego kufła piwa, a lodowaty głos syknął:

- Ciesz się, że żyjesz.
- Gino! - krzyknęła Laura.
- Wychodzimy stąd natychmiast! - warknął.
- Posłuchaj...

Zanim Laura zdążyła się zorientować, podniósł ją do góry, przerzucił przez ramię jak worek kartofli i wypadł z pubu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co ty wprawiasz? - Laura starała się uwolnić, ale ciężka ręka na jej plecach była nieporuszona.

- Powiniennem zrobić to wcześniej.

- Zachowujesz się jak jaskiniowiec. Postaw mnie natychmiast na ziemię!

- Już się robi.

Byli przy samochodzie. Gino otworzył drzwi auta, postawił Laurę i trzymając ją za ramiona, poprosił, by wsiadła.

Laura nie chciała ryzykować sceny na ulicy, więc usiadła posłusznie z tyłu.

Przez całą drogę do domu milczała, zgrzytając zębami.

W domu było ciemno i pusto.

- Myślę, że powinniśmy pójść na górę - powiedziała sucho, gdy zamknęły się za nimi drzwi. - Mamy sporo spraw do omówienia.

- Oczywiście. - Gino wskazał gestem schody. - Pani pierwsza.

Wydarzenia dzisiejszego wieczora bardzo poruszyły Laurę. Czuła się dziwnie niezręcznie. A może dostrzegła w Ginie coś nowego, co sprawiło, że stała się intensywnie świadoma swego ciała?

Gdy już znaleźli się w sypialni, odwróciła się do niego.

- Wystawiłeś mnie na pośmiewisko. I pomyśleć, że uważałam cię za cywilizowanego człowieka.

- Jestem Włochem i trochę inaczej rozumiem słowo „cywilizowany”. Nie zgadzam się, by moja żona rozbiegała się przed tłumem obcych facetów. I nie próbuj mi wmawiać, że to niewinna rozrywka. Widziałem na własne oczy! - Gino oddychał z trudnością. - Każdy z tych facetów w pubie chętnie zerwałby z ciebie wszystko, co miałaś na sobie. Zresztą nie było tego za wiele.

- Nie pozwoliłabym na to! - zaperzyła się.

- Myślisz, że miałabyś coś do powiedzenia? Wystarczyło pociągnąć za sznurówkę przy dekolcie, o tak...

Szybkim ruchem zademonstrował jej, co miał na myśli. Wystarczyłoby jeszcze jedno pociągnięcie i koronkowy gorsecik rozchyliłby się z przodu.

Laura spojrzała na siebie, a potem przeniosła wzrok na Gina. Serce zabiło jej szybciej. On również uważnie ją obserwował.

- Widzisz, jakie to łatwe? - spytał cicho. - Nie byłaś tak bezpieczna, jak ci się zdawało. Wystarczył jeden nieokrzesany facet.

To mówiąc, owijał wokół palca sznurówkę.

Łomot serca niemal odebrał jej dech. Z trudem wykrztusiła:

- Nigdy dotąd nie znałam mężczyzny całkowicie pozbawionego manier.

- No to teraz już znasz - powiedział, nie odrywając oczu od jej piersi. Rozchylił gorset i zsunął go z jej ramion.

Potem podniósł ją do góry, jakby nic nie ważyła i opuszczał powoli, przyciągając do siebie, tak że w końcu jego

twarz znalazła się pomiędzy jej piersiami. Laura ujęła jego głowę w dłonie i poczuła na piersiach jego usta.

Gino położył ją na ziemi i zaczął obsypywać gorącymi pocałunkami.

Przywarła do niego mocniej, odwzajemniając pieszczoty. Do tej pory myślała, że wszelka namiętność w niej umarła, teraz okazało się, że była jedynie stłumiona, a zachłanne pocałunki Gina na nowo ją roznieciły.

Gino przeniósł ją na łóżko i zaczął się rozbierać.

Pożądał jej. Nie potrafił już tego ukryć. Na myśl o tym, co wkrótce nastąpi, jej serce zaczęło walić jak oszalałe.

Nagle Gino znieruchomiał, jakby poczuł na ramieniu rękę aresztującego go policjanta. Usiadł na łóżku, ciężko oddychając. Laura dostrzegła w jego oczach nieme pytanie. Zrozumiała.

Odpowiedziała bez słów; po prostu wyciągnęła rękę. Na twarzy Gina pojawił się wyraz ulgi.

- Jesteś pewna? - szepnął.

- Całkiem pewna.

Teraz już nic go nie powstrzymywało. Przycisnął ciało do jej ciała, ustami przykrył jej usta.

Przywarła do niego z całą siłą.

Od kiedy pragnęła, by Gino znalazł się w jej łóżku? Czy od pierwszego dnia, kiedy zobaczyła go śpiącego na ławce w parku?

Co naprawdę skłoniło ją, by zaproponować mu pokój w pensjonacie?

Sama przed sobą ukrywała prawdę, która teraz wyszła na jaw.

Kiedy w końcu powrócili do rzeczywistości, oboje byli zaskoczeni.

- Nie miałam pojęcia - wymamrotała.
- Ja również...

Gino położył się na plecach, nadal trzymając Laurę za rękę. Potem uniósł się na łokciu i popatrzył na jej nagie ciało, białe i kuszące w przyćmionym świetle.

- Trzymałaś je przede mną w tajemnicy - powiedział cierpko.

- Co takiego?

- Ciało... W tych skromnych, przyzwoitych ubraniach, które nosiłaś...

- Pospolitych i nieeleganckich, to masz na myśli?

- Niektóre nosisz chyba celowo.

- Tak widziałam swoje życie - przyznała, oddychając wolno, aby uspokoić podniecenie. - Ubierałam się stosownie do roli.

- Wprowadziłaś mnie w błąd. Co prawda, mogłem się czegoś domyślić, kiedy stroiłaś się dla Steve'a, ale potem znów nic... Aż do dzisiaj. Powinienem pamiętać, że byłaś tancerką. Poruszasz się z takim wdziękiem. A te kilka kilogramów, o których wspomniałaś. - Położył rękę na jej brzuchu. - O, tutaj... Jesteś miło zaokrąglona. I tutaj... Podejrzewałem to. - Gino zamyślił się na moment. - Ale nie byłem pewien, aż zobaczyłem, jak robisz z siebie przedstawienie dla innych mężczyzn. To mi się nie spodobało.

Gino zdawał sobie sprawę, że nie potrafi wyrazić tego, co działo się z nim naprawdę. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Jeśli w ogóle takie istniały.

Od wyjazdu z Włoch żył jak mnich. W rozpacz i poczuciu samotności. Czasami zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie pożywał kobiety.

Przyjaźń z Laurą była słodkim, niewinnym uczuciem, a to, co dziś się wydarzyło, było dla niego niespodzianką.

- Tak - przyznał. - Byłem zazdrosny. Bardziej niż sobie wyobrażasz. Może nie mam prawa pytać - dodał. - Ale czy ty... i Steve...?

- Nigdy nie spałam ze Steve'em, jeśli o to ci chodzi - odparła natychmiast.

I mówiła prawdę. Spotykała się ze Steve'em, ale nie była to ani miłość, ani namiętność. Może tylko pragnęła złagodzić poczucie samotności i zyskać nadzieję na przyszłość?

- Tak bardzo się cieszę - powiedział Gino i znów zaczął ją pieścić.

Świadomość, że wzbudziła w nim zazdrość, sprawiła Laurze satysfakcję, ale pragnęła więcej, o wiele więcej. Teraz jednak nie mogła o tym spokojnie myśleć, bo ogarnęła ją fala pożądania.

Gino był subtelnym, wspaniałym kochankiem. Poddała się jego pieszczotom i ponownie odczuła rozkosz całkowitego spełnienia.

Gdy Gino przewrócił się na plecy, usiadła i przyglądała mu się w skupieniu.

- Co się stało? - Szturchnęła go delikatnie. - Dlaczego się uśmiechasz?

- Przypominam sobie swoje niedawne refleksje na temat wchodzenia w wiek średni. Zamierzałem kupić fajkę i kapcie.

Laura wybuchła śmiechem.

- Wiek średni? - wykrztusiła, zakrywając twarz poduszką. - Nie pasuje do ciebie to określenie, *signore*.

- Cieszę się, że tak uważasz, *signora*. - A potem dodał złośliwie: - Oczywiście, z tobą to co innego, ty jesteś starsza ode mnie.

- Ach, tak - powiedziała z melodyjnym westchnieniem. - To wkrótce będzie problem, nieprawdaż? Powinam o tym pamiętać.

- Żartowałem! - Natychmiast odczuł niepokój.

- Wiem - powiedziała ze smutkiem. - Ale to rzeczywiście problem. No cóż, przyzwyczaję się.

- Lauro, proszę, nie chciałem sprawić ci przykrości - tłumaczył się zdesperowany.

Gdy podniosła głowę znad poduszki, widać było, że ledwie powstrzymuje śmiech.

- Nie zrobiłeś mi przykrości - zachichotała.

- Poczekaj! - Wziął ją w ramiona. - Moje będzie na wierzchu.

- To obietnica?

- Obietnica.

- Do tej pory dobrze ci szło jak na mężczyznę w średnim wieku, ale trzy razy w ciągu jednej nocy, to chyba trochę za dużo.

Kochali się z wielką namiętnością, gwałtownie i radośnie. Gdy w końcu oderwali się od siebie, Gino natychmiast zasnął i Laura znowu poczuła się dziwnie samotna.

To nie powinno się zdarzyć, pomyślała z bólem. Patrzyła na jego uśpioną twarz i mimo niedawnej bliskości spostrzegła, że pod wieloma względami nadal pozostał dla niej obcy.

Właściwie go nie znała. Nic o nim nie wiedziała poza tym, co ujawnił w gorączce w szpitalu, gdy trzymając ją za rękę, wyznawał jej miłość do innej kobiety. Wprawdzie dziś kochał się z nią, ale sercem był gdzie indziej.

Od miesięcy mieszkali w tym samym domu, śmieli się z tych samych dowcipów, zwierzali z kłopotów, choć to raczej ona zwierzała mu się ze swoich, a wiedziała o nim tylko tyle, ile chciał wyjawić. Dzisiejszego wieczoru zrzucił maskę. Poznała mężczyznę kapryśnego i nieprzewidywalnego, niebezpiecznego uwodziciela. Nie mogła wprost uwierzyć, że tak długo traktowała go jak brata.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. Gdy wtulała się w poduszkę, przemknęło jej przez głowę, że to dopiero początek. Rodziła się nadzieja na przyszłość.

Pozornie nic się nie zmieniło. Sprawiali wrażenie dobrego małżeństwa, które ciężko pracuje i wie dzie powściągliwe, cnotliwe życie rodzinne.

Ale za zamkniętymi drzwiami sypialni wszystko wyglądało inaczej. Nie było ani spokojnie, ani powściągliwie. I, jak to z rozbawieniem powiedział Gino, cnotliwie tylko w tym sensie, że ich związek sankcjonowało prawo.

Jedno się nie zmieniło. Dla obojga nadal najważniejsza była Nikki. Gino okazał się wspaniałym ojcem. Laura nie miała wątpliwości, że uczynił Nikki szczęśliwą.

W sobotę byli w domu sami. Oglądali razem telewizję i nagle Laura usłyszała głos, którego nie spodziewała się już nigdy usłyszeć.

Gdy zobaczyła Jacka Graya, poczuła się tak, jakby zobaczyła ducha. Od dnia, w którym odszedł, rozmawiała

z nim zaledwie dwa razy, i to przez telefon. Rozwód przeprowadzili *per prokura*.

Teraz zobaczyła go na ekranie, starszego o kilka lat i trochę pełniejszego, ale nadal bardzo przystojnego. Było za późno, by zmienić kanał. Nikki już wpatrywała się w ekran jak zahipnotyzowana. Kiedy dziennikarz zwrócił się do Jacka po nazwisku, Gino zerknął na Nikki, a potem na Laurę. Z rozpaczą w oczach skinęła głową.

Od czasów pamiętnej sceny, kiedy to zdesperowana Nikki upierała się, że jej ojciec nie żyje, ani razu o nim nie wspomnieli. Wydawało się im, że Nikki też o wszystkim zapomniała. Laura nie odważyła się powrócić do tematu w obawie, że dziewczynka znów się zdenerwuje.

Teraz trudno byłoby zaprzeczać prawdzie. Program prezentował agentów teatralnych, którzy robią karierę. Rozmawiano o nowej żonie Jacka i jego dziecku. Trzymał je na kolanach. Była to urocza, śliczna dziewczynka.

Laura wstrzymała oddech, obserwując z niepokojem Nikki. Ale Nikki, o dziwo, była spokojna.

W pewnej chwili poruszyła się lekko i przesunęła się w stronę Gina. Oparła się o niego, a on wziął ją za rękę. Siedzieli tak przez chwilę w ciszy, aż w końcu Nikki spytała obojętnym tonem:

- Czy mogę zrobić sobie grzanki?
- Może ja ci zrobię?
- Tak, proszę, tato.

I to wszystko.

Laura byłaby szczęśliwa, gdyby mogła wyznać Ginowi, że go kocha. Nocami tulił ją w ramionach, obdarzając cie-

płem i rozkoszą, w dzień też odnosił się do niej czule, ale nigdy nie powiedział, że ją kocha.

Usiłowała wmówić sobie, że jego zachowanie świadczy o miłości, jednak bezskutecznie. Był po prostu serdecznym człowiekiem, miał dobry charakter. Dawał jej z siebie tyle, ile mógł. Wiedziała, że nie może oczekiwać niczego więcej.

Próbowała się nie zamartwiać, aby nie zniszczyć tego, co mimo wszystko wygrała, lecz nocami z zazdrością nasłuchiwała, czy przypadkiem nie wymawia przez sen imienia swojej ukochanej.

Pewnego wieczora, mimo ulewnego deszczu, Gino wyszedł na spacer. Nie było go bardzo długo. Wrócił kompletnie przemoczony, gdy Laura leżała już w łóżku.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedział, siadając na brzegu łóżka i przeczesując palcami włosy.

Nie przyznała się, że się niepokoiła. Nie chciała, by poczuł się kontrolowany czy ograniczany.

- Napijesz się czegoś? - spytała uprzejmie.

- Nie, dziękuję. Lauro, chciałbym, żebyś rzuciła pracę w pubie. Za dużo pracujesz.

- Ale potrzebujemy pieniędzy...

- Postanowiłem sprzedać połowę Belluny.

- Twój majątek w Toskanii? - Laura usiadła na łóżku.

- Moją część majątku. Myślę, że Rinaldo chętnie ją kupi.

- Dużo za nią dostaniesz? - spytała, a gdy wymienił sumę, wykrztusiła zdumiona: - Ile?! Och, myślałam, że jesteś biedny jak mysz kościelna...

- Na razie jestem biedny.

- Ale czy twój brat zdobędzie tyle pieniędzy? Czy majątek rolników nie leży w ziemi?

- To prawda, ale Alex może je zdobyć. Miała w Londynie mieszkanie, które zapewne sprzedała. Jeśli mnie spłaca, sprawa się zakończy i nigdy tam nie wrócę.

- Naprawdę tego chcesz, Gino? Odciąć się od rodzinnego domu na zawsze?

Zawahał się tylko na ułamek sekundy.

- Teraz tutaj jest mój dom - powiedział.

- Miło mi to słyszeć, ale nie sądzę, by to była do końca prawda. Toskania to twoja ojczyzna. Tam się urodziłeś i wychowałeś. Jakaś część ciebie zawsze będzie tam należeć.

- Wszystko jedno - powiedział. - Najlepiej jeśli tam nie wrócę.

Powinna na tym poprzestać. Czuła, że w miarę jak zbliżała się do jego sekretu, on się wycofuje. Ale nie mogła się pohamować.

- Dlaczego? - nalegała.

- Czy to ma znaczenie?

- Och, Gino, dla mnie ma. Nie wiesz nawet, jak duże. Opowiedz mi.

- Nie mogę. Zresztą sam nie znam odpowiedzi.

- Myślę, że znasz.

Gino popatrzył na Laurę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wolałbym o tym nie mówić - powiedział niespodziewanie twardym tonem.

- Nie mogę tego tak zostawić. To ważne - nalegała. - Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? Czego się boisz?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czego się boisz?

Te słowa zawisły pomiędzy nimi jak ostre noże.

Laura pożałowała ich w momencie, kiedy je wypowiedziała, ale było za późno. Gino wstał, posyłając jej spojrzenie pełne gorzkiego wyrzutu.

- Dlaczego to robisz? - spytał. - Dlaczego przez swoje bezsensowne obawy narażasz na szwank to, co mamy?

- Bezsensowne?

- Lauro, dla naszego dobra, zamilcz. Są sprawy, o których lepiej nie mówić. Ułożyłem sobie życie z tobą i Nikki. Dobre życie. Jestem szczęśliwszy, niż mogłem się spodziewać.

- Szczęśliwszy... To nie to samo co szczęśliwy.

- Nie rozumiem takich subtelnych różnic.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, wiem. I błagam cię, nie mów nic więcej.

- Czy to coś zmieni, jeśli będę milczeć? Czy prawda, której tak się boisz, zniknie?

- Są pewne pytania, których nie chcę zadać. Ale nie dlatego, że boję się odpowiedzi, ale być może dlatego, że nie ma na nie odpowiedzi. Chcę chronić to, co mamy, Lauro. Na litość boską, nie utrudniaj mi tego!

- Nie wiem, co mamy. - Nagle w jej oczach zabłyśły łzy.
- Ale jeśli będziemy się kłócić, wszystko stracimy. Nie rozumiesz?

Wciąż czekała na odpowiedź. Nadaremnie. Gino przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł.

Dlaczego nie zachowywała się rozsądnie? Dlaczego naciskała? Dostała od losu o wiele więcej, niż oczekiwała.

Miłość na tych warunkach to nie miłość, podpowiadało jej serce. Takie uczucie przypomina raczej patchwork utkany ze starych kawałków. To nie wystarczy.

Gino nie wrócił do sypialni. Po raz pierwszy od ślubu nie spali w jednym pokoju.

Nazajutrz powitał ją pocałunkiem i uśmiechem, ale nie wspomniał już o sprzedaży ziemi. Laura oddałaby wszystko, by poznać jego myśli.

Pewnego dnia powiedział:

- Czy już złożyłaś wymówienie w pubie?
- Nie. Myślałam, że zmieniłeś zdanie.
- Nie. Zawiadam ich, że odchodzisz. Napisałem do Rinalda, że chcę sprzedać swoją część Belluny. Czekam na odpowiedź.

Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon, Laura podskakiwała, ale dni mijały, a odpowiedź nie nadchodziła. Gino żył w coraz większym napięciu. Laurę ogarniały złe przeczucia.

Wreszcie przyszedł list. Laura wyjęła go ze skrzynki, gdy Gino był w pracy. Na widok włoskiego znaczka poczuła gwałtowne bicie serca. Położyła list na kominku i usiłowała o nim nie myśleć.

Po południu zadzwonił Gino z zapytaniem, czy ma coś kupić w supermarkecie obok fabryki.

- Przyszedł list z Włoch - powiedziała.

W słuchawce zapadła długa cisza. Laura wiele by dała, by zobaczyć teraz jego twarz.

- Doskonale - usłyszała w końcu. - Do zobaczenia.

Gdy Gino wrócił do domu, Laura podała mu list. Patrzyła, jak czyta i robi się coraz bledszy.

- Co się stało? Odmówili?

- To nie od Rinalda - odparł wolno. - To od Alex.

- Co napisała? - Laura starała się ukryć napięcie.

- Píše, że Rinaldo nie może sobie pozwolić, by mnie spłacić, ale ona ma pieniądze ze sprzedaży londyńskiego mieszkania, więc odkupi moją połowę. Chciałyby się z nami spotkać, żeby to omówić.

- Z nami?

- Tak. Chce, bym razem z tobą i Nikki przyjechał do Toskanii. Jak pisze, nadszedł czas, byśmy się spotkali jak rodzina. Jest urażona, że nie zaprosiłem ich na ślub.

- Gino, czy ty dopiero teraz zawiadomiłeś ich o ślubie?
- spytała zdumiona.

Skinał głową.

- Tak bardzo się z nimi pokłóciłeś?

- To nie była kłótnia. Chodziło o to, że... nie mogliśmy mieszkać blisko siebie. Potrzebowałem dystansu.

- Nadal go potrzebujesz?

- Nadszedł czas na spotkanie - odparł wymijająco. - Im szybciej to nastąpi, tym lepiej. - Macie paszporty?

- Ale ja nie mogę pojechać. Kto poprowadzi pensjonat?

- Nasi przyjaciele poradzą sobie sami.

Lokatorzy byli tego samego zdania, więc Laura nie miała wymówki. Nie mogła się wycofać.

Nikki była zachwycona perspektywą podróży do Włoch. Wkrótce znała całą trasę na pamięć.

- Polecimy samolotem do Pizy - recytowała. - Tam jest najbliższe lotnisko. A potem wsiądziemy w pociąg do Florencji. .

- Myślę, że ktoś odbierze nas z lotniska - powiedział Gino z uśmiechem.

Tego samego dnia wieczorem zadzwonił do Włoch i Laura usłyszała, że rozmawia z bratem.

- Zarezerwowałem bilety na samolot - powiedział jej. - Lecimy pojutrze. Ktoś wyjedzie po nas na lotnisko.

- Ktoś?

- Nie wiem kto - odparł szybko. - To czas winobrania.

- Potem zwrócił się do Nikki: - Zabieraj się za pakowanie, *capisci?*

- *Capisco!* - Nikki zasalutowała i pobiegła do pokoju.

W całym domu zapanowało radosne podniecenie. Wydawało się, że wszyscy cieszyli się z ich podróży. Sadie osobiście załatwiła dla Gina zwolnienie z pracy.

- Praca poczeka - powiedziała. - Chociaż nie sądzę, byś chciał do niej wrócić.

- Gdy sprzeda część swego majątku, nie będzie musiał pracować w fabryce - powiedziała Laura.

A gdy Sadie wyszła, Nikki dodała melodramatycznym tonem:

- Mają nadzieję, że nie wrócimy.

- Kochanie, co ty opowiadasz?

- Podśledzałam ich rozmowę. Wszystko już zaplanowa-

li. Jeśli zostanieie we Włoszech, chcą się złożyć i kupić ten dom, bo lubią tu mieszkać.

- Przyznaj się, wymyśliłaś to?

- Naprawdę! - upierała się Nikki. - Chcą założyć komunę.

- Na pewno to wymyśliłaś.

- Tak mówi Claudia.

- Ich nadzieje się nie ziszczą. Gino sprzeda swoją połowę ziemi i wracamy.

- Czy papa naprawdę to zrobi?

- Papa? Odkąd go tak nazywasz?

- Tak mówią włoskie dzieci. On też tak mówił do swojego ojca. Powiedział mi.

Laurę znów ogarnął niepokój. Przecież decyzja już została podjęta. Gino pojedzie do Włoch, a potem wróci, by resztę życia spędzić w Anglii.

Czyżby to było przeznaczenie?

Potem przypomniała sobie Alex - prawdziwą miłość Gina, kobietę, którą stale nosił w sercu, i straciła humor.

Dlaczego, och, dlaczego nalegała, by pojechał do Toskanii? Teraz tego żałowała.

Nagle uświadomiła sobie, że jej słowa nie miały znaczenia. Gino wracał na wezwanie Alex.

Pomimo deszczu Nikki tryskała energią. W drodze na lotnisko podskakiwała i bombardowała „papę” pytaniami zadawanymi po włosku, którego bardzo szybko i bardzo chętnie się uczyła.

W samolocie przykleiła się do okna.

- Czy już jesteśmy nad Włochami? - pytała raz po raz.

- To jeszcze Francja - odpowiadał Gino. - Potem będzie Szwajcaria. Dopiero za Alpami zaczną się Włochy.

Gino zamówił szampana. Stuknęli się z Laurą kieliszkami. Pierwszy raz podróżowali i mogli przecież udawać, że to ich podróż poślubna.

Laura żałowała teraz, że poprosiła Gina, żeby się z nią ożenił. Była w nim zakochana i z każdym dniem stawała się coraz bardziej zazdrosna o jego uczucia. Ale zawarli układ...

- Czy to już Alpy? - dopytywała się Nikki.

- *Si, piccina*. To Alpy.

Niebawem samolot zaczął zniżać lot. Jakiś czas kołysał się nad morzem, aż wreszcie wylądował w Pizie.

Gino miał wrażenie, jakby oglądał jeszcze raz ten sam film. Był czas winobrania, złota pora roku, gdy plantatorzy obliczali zyski.

W zeszłym roku popełnili błąd, zbyt szybko zbierając winogrona. Rinaldo chciał wcześniej zdobyć pieniądze, by spłacić Alex dług hipoteczny. Uznał, że tylko w ten sposób, gdy nie będzie pomiędzy nimi żadnych zobowiązań finansowych, zdoła przekonać ją o szczerości swych uczuć.

Podczas święta winobrania wyznali sobie miłość. W tym samym dniu Gino stracił ich oboje.

Czas zatoczył koło.

- Ktoś do ciebie macha - zauważyła Laura, wskazując wysokiego mężczyznę.

Gino zobaczył Toniego, zarządcę Belluny.

- Nie martw się o Nikki - szepnął do Laury. - Powiedziałem bratu, a on wszystkich uprzedził.

Załadowali bagaże do samochodu i ruszyli na północ. Nikki usiadła z tyłu obok matki. Laura spodziewała się, że mężczyźni będą rozmawiać po włosku, ale po kilku zdaniach rozmowa urwała się. Gino wyglądał przez okno i Laura mogła się tylko domyślać, co czuje, gdy przed jego oczami przesuwa się znajomy krajobraz Toskanii.

Po jakimś czasie odwrócił się i powiedział:

- Zaraz zobaczysz Bellunę.

Jasne światło słoneczne ożywiało kolory i Laura przypomniała sobie, jak Gino nie znosił angielskiego deszczu. Jak mógł porzucić to urocze, słoneczne miejsce?

- Już widać dom - odezwał się znowu Gino.

Laura nie mogła uwierzyć własnym oczom. Różowy budynek przypominał pałac.

- Wiele lat temu to był naprawdę wspaniały dom - wyjaśnił Gino. - Spójrz, tam w oknie stoi nasza gosposia.

Starsza kobieta wychylała się i machała do nich ręką. Gdy samochód zatrzymał się przed domem, na ganku pojawił się jakiś mężczyzna.

To musiał być brat Gina. Starszy, mocniej zbudowany, ale Laura od razu zauważyła podobieństwo.

Wolno zszedł ze schodów i przyglądał się bratu, którego nie widział od roku. Gino zachowywał się dokładnie tak samo. Laura miała wrażenie, że obaj są zakłopotani. Dopiero po chwili Rinaldo otworzył ramiona, a Gino w nie wpadł. Długą chwilę trwali w serdecznym uścisku.

Wreszcie Rinaldo odsunął brata na długość ramienia.

- Wydoroślałeś - powiedział po angielsku.

- A ty przeciwnie, odmłodniałeś - odparł Gino.

- Trzymałeś swoje szczęście w tajemnicy - powiedział Ri-

naldo, wskazując na Laurę. - A szczęściem trzeba się dzielić.

Witam panią - zwrócił się do Laury. - Witam w rodzinie.

Pocałował ją w oba policzki.

- Dziękuję - odparła. - Naprawdę cieszę się, że mogę poznać rodzinę Gina.

Gino stanął za plecami Nikki.

- A oto moja córeczka - powiedział. - *La mia figlia*.

Rinaldo i Nikki wymienili uścisk dłoni.

- *Buongiorno, signore* - powiedziała Nikki.

- Ona uczy się włoskiego - rzekł Gino z dumą.

Rinaldo uśmiechnął się z aprobatą.

- Ma pani wspaniałą córkę - zwrócił się do Laury. - Proszę, wejdźcie do domu.

Laura odczuwała ogromne napięcie na myśl o spotkaniu Gina z Alex.

Weszli do salonu. W drzwiach do sąsiedniego pokoju stała kobieta. Laura ledwie zauważyła jej sylwetkę, od razu przeniosła wzrok na Gina, który przystanął z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Alex? - wyszeptał.

- Nie tylko ty trzymałeś coś w tajemnicy - powiedział z uśmiechem Rinaldo. - Pogratuluj nam. Nasze dziecko przyjdzie na świat w przyszłym miesiącu.

Nadal oszołomiony Gino podszedł do bratowej i ujął jej dłoń.

-Gino, kochany, zostaniesz wujkiem - powiedziała z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy. - Obydwoje bardzo się cieszymy, że przyjechałeś do domu na czas.

- Rinaldo miał rację - rzekł Gino. - Z rodziną trzeba dzielić sekrety. Zwłaszcza te radosne. Cieszę się waszym

szczęściem. - Pocałował ją w policzek i pociągnął za rękę.

- Poznaj moją żonę, Laureę.

Kobiety wymieniły uścisk dłoni, przyglądając się sobie z zainteresowaniem.

- Rinaldo i ja byliśmy bardzo zadowoleni, gdy dowiedzieliśmy się o waszym ślubie - powiedziała Alex. - Z całego serca życzymy wam szczęścia.

Laura odpowiedziała uprzejmie. Próbowwała porównać tę spokojną kobietę z wyobrażeniem, jakie o niej miała. Gino wspomniał, że w Londynie pracowała jako księgowka i Laura zbudowała sobie w wyobraźni obraz chłodnej, pedantycznej i eleganckiej Angielki. Tymczasem Alex była zupełnie inna. Jasne, opadające na ramiona włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą przeczesane były grzebieniem, a luźne, powiewne ubranie nosiła zapewne nie tylko z powodu ciąży.

Alex ucałowała Laureę.

- Pokażę wam pokoje - powiedziała. - Umieściłam was w dawnym pokoju Gina, a Nikki tuż obok.

Wzięła dziewczynkę za rękę i ruszyła w głąb domu. Nikki rozglądała się wokół z uśmiechem.

Mężczyźni poszli za nimi, niosąc ciężkie walizki. Laura zauważyła, że po schodach Rinaldo szedł tuż za żoną i nie spuszczał z niej wzroku.

Dawny pokój Gina był przestronny. Sufit podtrzymywały ciężkie, drewniane belki, a orzechowe meble pięknie błyszczały w słońcu.

- Popatrz, mamó! - zachwycała się Nikki. - Jak tu ładnie!

Dom stał na niewielkim wzgórzu, z którego rozciągał się widok na uroczą dolinę porośniętą sosnami.

- A co tam jest? - spytała Nikki, wskazując budynek na przeciwległym zboczach. - Kto tam mieszka?

- Nikt. Rinaldo proponował ten dom naszym pracownikom. Jest duży, nawet dla dwóch rodzin. Ale podobno nawiedzony. Nikt nie chce tam zamieszkać.

- Nawiedzony? Naprawdę są tam duchy?

- Ludzie tak mówią - odpowiedziała rozbawiona Alex.

- Nikki uwielbia horrory - powiedziała Laura.

Nikki znalazła w swoim pokoju prezent na powitanie - układankę przedstawiającą Ponte Vecchio nad rzeką Arno.

- Pojedziemy go zobaczyć - obiecała Alex. - Gdy się rozpakujecie, zejdźcie na dół, musimy coś przekąsić.

Rinaldo czekał na żonę w drzwiach. Laura zauważyła, że wziął Alex pod ramię i ostrożnie sprowadził ze schodów.

- On bardzo się o nią troszczy - szepnęła.

Gdy nie usłyszała odpowiedzi, podniosła wzrok. Gino stał przy oknie i jak urzeczony wpatrywał się w krajobraz.

- Tutaj nie pada - powiedziała cicho.

- Czasami też pada, ale... inaczej - odpowiedział. Wyglądał jak człowiek budzący się z pięknego snu. - Przepraszam, co mówiłaś?

- Mówiłam, że Rinaldo bardzo troszczy się o Alex. Sprawia wrażenie silnego, opiekuńczego faceta.

- Właśnie taki jest - potwierdził Gino. - Jego pierwsza żona umarła przy porodzie. Bardzo to przeżył. Nic dziwnego, że teraz tak się boi.

Posiłek był prawdziwą ucztą. Stół udekorowano kwiatami i świecami, a potrawy należały do kanonu tokańskiej kuchni.

Gdy zapadł wieczór, Nikki poszła do swego pokoju,

a dorośli przenieśli się na patio. Nagle pomiędzy drzewami podjazdu mignęły światła nadjeżdżającego samochodu.

- Nasi przyjaciele chcą was powitać - wyjaśnił Rinaldo.

- Nikomu nie powiedzieliśmy ani słowa, ale znasz tutajsze zwyczaje - dodała Alex, zwracając się do Gina.

W ciągu kilkunastu minut przybyło z dwieście osób. Wszyscy witali Laurę uprzejmie, nie kryjąc ciekawości. Ale ciekawości towarzyszyła prawdziwa serdeczność.

Gdy zwabiona hałasem Nikki zeszła na dół i stanęła w drzwiach, powitano ją radośnie. Na jej wygląd nikt nie zwracał uwagi.

Laura zaczęła lepiej rozumieć męża. Był ciepły, serdeczny i naturalny, ponieważ wychowywał się w takim otoczeniu. Gdy kiedyś powiedział, że jest Włochem, a nie mdłym Anglikiem, myślała, że wie, co miał na myśli. Teraz zdała sobie sprawę, że to oznaczało o wiele więcej.

Odwróciła się z uśmiechem, by powiedzieć mu o swoim odkryciu.

Ale nie było go przy niej. Siedział na uboczu z Alex.

Był tak zaabsorbowany, jakby zapomniał o całym świecie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nikomemu nie spieszyło się z załatwieniem formalności. Rinaldo stwierdził, że Gino powinien przyjrzeć się gospodarstwu, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Przez kilka dni bracia objeżdżali posiadłość i wracali późno do domu.

Laura i Alex zostały skazane na swoje towarzystwo. Gdy po raz pierwszy wsiadły razem do samochodu, Rinaldo zatrzymał je i gorączkowo dopytywał się, czy Laura umie prowadzić.

- Robię to od lat - zapewniła go.

- Rinaldo, przestań denerwować Laurę - zbeształa go Alex. - Ja poprowadzę.

- Ale jeśli coś się stanie...

- Mam wyznaczony termin porodu dopiero za trzy tygodnie.

Rinaldo spojrzał na żonę spode łba.

- Zmęczysz się - burknął.

- Wtedy ja poprowadzę - powiedziała Laura.

Przeniósł rozżłoszczone spojrzenie na nią.

- Tutaj jeździmy po prawej stronie drogi. Nie jesteś do tego przyzwyczajoną.

- Rinaldo, przecież na naszej wsi nie ma ani prawej, ani lewej strony, dobrze wiesz - wtrąciła Alex z uśmiechem.

- Proszę, przestań się denerwować. Wszystko jest w porządku.

Rinaldo ustąpił z wyraźnym oporem.

- Masz komórkę? - spytał jeszcze.

- Tak.

- Ale czy Laura ma mój numer?

Laura zapisała numer.

- Już, załatwione.

- Mam też numer Gina, a on ma mój.

- Ja też mam numer Alex - wtrącił Gino, podchodząc do brata. - A Nikki ma numery nas wszystkich.

Wszyscy prócz Rinalda wybuchli śmiechem.

- Wiem, że twoim zdaniem zachowuję się jak stuknięty.

Alex dotknęła jego twarzy.

- Nie martw się.

Rinaldo odburknął coś pod nosem i odsunął się od samochodu, pozwalając Alex uruchomić silnik. Laura z uśmiechem pomachała mężczyznom na pożegnanie, starając się nie przywiązywać wagi do tego, co przed chwilą usłyszała.

Jakie to miało znaczenie, że Gino i Alex wymienili numery telefonów, a ona o tym nie wiedziała?

Tego dnia pojechały obejrzeć „nawiedzony dom”. Miał około stu lat, był solidnie zbudowany i wielki jak stodoła.

- Czy w nim naprawdę straszy? - spytała Laura.

- Pewna kobieta wiele lat temu zamordowała tu niewiernego kochanka - wyjaśniła Alex. - Teraz ponoć pojawia się w nocy i jęczy. Jeśli to prawda, Nikki z pewnością ją znajdzie. Ale nawet jeśli żaden duch tu nie straszy, to urocze miejsce - podkreśliła Alex. - Oczywiście dom

wymaga remontu. Nie ma elektryczności, bieżącej wody, ale to łatwo zainstalować. Pomyśl, jak pięknie go można odrestaurować.

Laura nic nie odpowiedziała. Alex wyraźnie sugerowała, że ona i Gino mogą wrócić i zamieszkać w tym domu.

Taki miała plan. Rinaldo wydawał się konfliktowym człowiekiem; być może małżeństwo z nim już ją rozczarowało. Teraz żałowała, że odepchnęła od siebie Gina i pragnęła, by powrócił.

Laura zebrała się w sobie, by zachować zdrowy rozsądek. Ileż razy potrzebowała go podczas tego krótkiego pobytu? Zbyt często. Wczoraj wieczorem Alex i Gino byli pochłonięci swoim towarzystwem, a dzisiaj okazało się, że mają jakieś sekrety.

A czego się spodziewała? Przecież znała prawdę.

Nazajutrz Nikki z Rinaldem i Ginem pojechali oglądać winobranie, a Alex zabrała Laurę do Florencji.

- Najpierw muszę zobaczyć się z moim pracodawcą - powiedziała.

- Z pracodawcą?

- Nie mogę być tylko żoną swojego męża. W Anglii pracowałam jako księgowa, a teraz uczę się tutejszych przepisów pod okiem Tomasa Andanisi. Czasami daje mi do domu jakąś pracę. Dziś muszę mu coś odwieźć.

Zatrzymała się przed kamienicą przy via Bonifacio Lupi. Przedstawiła Laurę panu Andanisi jako swoją szwagierkę.

Podano kawę i ciasteczka. Gdy Alex przejrzała z szefem dokumenty, pan Andanisi osobiście oprowadził Laurę po zabytkowym budynku.

Gdy wrócili do biura, Alex rozmawiała cicho przez korytarz. Laura usłyszała urywki rozmowy: „*Ciao, Gino... Nie, jeszcze nic nie powiedziałam... Muszę poczekać na właściwy moment... Nie, caro. Sama jej to wyjaśnię... Obiecuj, że mi pozwolisz*”.

Laura straciła humor.

Na szczęście zjadły lunch z przyjaciółmi Alex i nie musiały zbyt wiele ze sobą rozmawiać. Spotkanie przeciągnęło się do późnego popołudnia. W drodze do domu rozmawiały jedynie o lunchu.

W domu Nikki opowiadała, jak spędziła dzień. Laura słuchała uważnie, starając się nie patrzeć na Gina i Alex. Znowu siedzieli na uboczu i rozmawiali.

Laura jeszcze nigdy nie czuła takiej zazdrości.

Wieczorem Alex była zmęczona. Gdy tylko zjedli kolację, Rinaldo zasugerował, by poszła do łóżka. Zgodziła się z uśmiechem.

Laura też powiedziała dobranoc i zabrała Nikki na górę. Gdy położyła córkę spać, wróciła do swego pokoju i usiadła przy oknie.

Z dołu dobiegały odgłosy rozmowy Gina i Rinalda. Bracia sprawiali wrażenie zadowolonych.

Czy Rinaldo wie? - zastanawiała się. Czy coś już zaczął podejrzewać?

Po pewnym czasie głosy ucichły. Usłyszała kroki na schodach, potem trzask otwieranych drzwi i Gino wszedł do pokoju.

- Jeszcze się nie położyłaś? - spytał.

- Czekałam na ciebie. Przyglądałam się nocy. Jest inna niż w Anglii, bardziej czarna i aksamitna.

Gino rozbierał się powoli.

- Masz rację. Jest piękna. Czy znasz tak piękne miejsce jak Toskania?

- Nie - odpowiedziała cicho.

Gino rozebrał się do naga.

- Cieszę się, że jeszcze nie śpisz - powiedział, obejmując ją i wtulając usta w jej szyję.

- Chciałam z tobą porozmawiać. - Próbowwała zignorować podniecenie.

- O czym?

- Jak możesz pytać? Przyjechaliśmy tu z określonego powodu. Aby sprzedać twoją część majątku, prawda? Mam rację?

- Tak - mruknął prosto w jej włosy.

- Od kilku dni rozmawiasz ze swoim bratem. Doszłście już do porozumienia? - Trudno jej było mówić, gdy jej dotykał.

- Nie jest łatwo wycenić ziemię przed zbiorami - wymamrotał. - Będziemy musieli zostać tu trochę dłużej. Myślałem, że polubiłaś Bellunę?

- To naprawdę piękne miejsce, ale... Gino, muszę cię o coś spytać...

- Nie teraz - wyszeptał. - Myślałem o tym przez cały dzień.

A więc „o tym”, nie o niej...

- Gino...

- Proszę, pocałuj mnie...

Powinna być silna i odmówić, ale jego usta były już na jej wargach i odwzajemniała pocałunki niezależnie od swojej woli.

Znów kochał się z nią z niespotykaną żarliwością i Laura nie była w stanie o niczym myśleć.

Dopiero potem, gdy zasnął, a ona leżała samotna i smutna, zastanawiała się jaki przewrotny plan kryje się za tym wszystkim.

Z przerażeniem myślała, że jutro znów będzie musiała się uśmiechać. Na szczęście łaskawy los zesłał jej trochę samotności. Rinaldo i Gino pojechali do Florencji, Alex odpoczywała, a Nikki w kuchni uczyła się gotować.

Laura wzięła samochód i pojechała na przejażdżkę po okolicy. Przy strumieniu zatrzymała się i poszła na spacer.

Wróciła do samochodu umocniona na duchu. Czy Alex i Gino sądzili, że będzie siedzieć beczynn timer, gdy oni decydowali o jej losie? Czy uważali ją za idiotkę? Dość tego, pora wziąć się w garść.

Gdy wróciła, samochód Rinalda stał już przed domem.

Na werandzie Gino z ponurym wyrazem twarzy siedział w towarzystwie Alex. Uśmiechnęli się na jej widok, ale zauważyła, że poczuli się niezręcznie.

- Chcę wracać do domu - powiedziała Laura wprost.
- Trzeba zająć się pensjonatem, a Nikki musi iść do szkoły. Dziękuję za miłą gościnę. - Skinęła głową w stronę Alex.
- Na nas pora... jeśli Gino ze mną wyjedzie.

Gino, wyraźnie skonsternowany, wstał.

- Lauro, proszę, błagam cię, porzuć ten pomysł. Wiem, że chcesz mieszkać tylko w Anglii, ale miałem nadzieję, że zdołam ci wyjaśnić...

- Nie trzeba nic wyjaśniać - odparła z oczami pałającymi oburzeniem. Potem zwróciła się do Alex: - Przyjazd

Gina tutaj nie jest przypadkowy, prawda? Zawsze chciałaś, by tu zamieszkał?

- To prawda - przyznała Alex bez cienia skruchy, uśmiechając się wesoło.

Laura spodziewała się wszystkiego, ale nie tak bezczelnego, otwartego przyznania się do winy. Wciągnęła głęboko powietrze, przygotowana na najgorsze.

- To nie przypadek - ciągnęła Alex. - Zawsze chciałam, by Gino zamieszkał tu z tobą i z Nikki. Mieliliśmy nadzieję, że pokochasz tę ziemię. Być może czekaliśmy zbyt długo. Wiele razy chciałam ci to wyznać.

- Go wyznać? - spytała Laura powoli, ponieważ w głosie Alex zabrzmiała jakaś niepokojąca nuta.

- Że ogromnie martwię się o Rinalda... Wkrótce urodzi się dziecko...

- Gino wspomniał mi o jego pierwszej żonie i dziecku. Czy o to chodzi?

- Tak, ale jest jeszcze coś - wyjaśniła Alex gorączkowo. - Dziecko ciągle przekręca się w niewłaściwą stronę. Lekarze obawiają się porodu pośladowego. Wiem, wiele dzieci rodzi się pośladowo, to nic wielkiego, ale...

Laura zaczynała rozumieć.

- Ale może być coś wielkiego, prawda?

- Właściwie nie. Chodzi o to, och... Gdyby coś się stało, och, Lauro... tak się cieszę, że ty i Gino tu jesteście. Gdyby coś mi się przytrafiło, Rinaldo nie zniósłby tego. Udaję twardziela, ale naprawdę taki nie jest... Bardzo mnie kocha. Gdyby coś się ze mną stało, rozpaczliwie potrzebowałby swego brata.

- Alex, ty nie umrzesz! - przerwała jej Laura.

- Och, nie wierzę w to... Ale przeraża mnie myśl, że mogłabym zostawić go samego.

W jej oczach widać było gorącą prośbę. Laurze zakręciło się w głowie. Wreszcie Alex powiedziała coś, co ją zszokowało:

- A gdyby mnie tu nie było, zgodziłabyś się zamieszkać we Włoszech, prawda?

- Alex, co ty mówisz? - spytała Laura z gwałtownym westchnieniem.

- Wiem, że to brzmi strasznie, ale muszę wszystko ustalić na wypadek... - Na zewnątrz rozległy się kroki. - To Rinaldo - szepnęła Alex. - Gino, proszę.

Gino wyszedł natychmiast i Laura usłyszała, jak zatrzymuje brata, a potem razem zawracają.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała Alex. - Chcę ci powiedzieć, że gdyby cokolwiek się stało, Rinaldo będzie potrzebował rodziny. A wtedy, wtedy już nie będziesz musiała się mnie bać.

- Nie boję się ciebie - odparła stanowczo Laura.

- Naprawdę nie musisz.

- Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy - powiedziała Laura bez przekonania.

- Widziałam, jak obserwujesz Gina i rozmyślasz. Znasz naszą historię. - Alex westchnęła. - Może jestem samolubna, ale chciałam sprowadzić Gina do domu ze względu na Rinalda. Nie wiedziałam jednak, co się dzieje w jego sercu. Nie chciałam go zranić. Dopiero gdy nadszedł ten list, w którym pisał o tobie, wiedziałam już, że wszystko jest w porządku.

- To nie takie proste - westchnęła Laura. - Sytuacja między mną a Ginem jest bardziej skomplikowana - po-

wiedziała. - Tutaj zrozumiałam, że nadal macie wspólne tajemnice.

- Nie takie, jak myślisz. Pierwszego wieczoru wszystko mu wyjaśniłam. Powinniśmy ci już wtedy powiedzieć, ale bałiśmy się, że odmówisz. Chcieliśmy, żebyś najpierw zakochała się w Toskanii i sama zapragnęła tu zostać. - Alex roześmiała się cicho. - Wydawało mi się, że jestem bardzo sprytna, ponieważ to ja wymyśliłam. Widocznie nie mam zdolności do intryg. - Wzięła Laurę za rękę. - Nie powiesz o tym Rinaldowi, prawda? Nie chcę, by się jeszcze bardziej martwił.

- Ani słowa - obiecała Laura. - Alex, posłuchaj, nic ci nie będzie. Urodzisz zdrowe dziecko i będziecie szczęśliwi.

- I wtedy wyjedziesz? To chcesz powiedzieć?

Laura zawahała się.

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziała w końcu. - Po prostu nie wiem.

Nie wracały już więcej do tego tematu. Laurze nie pozostało nic innego, jak czekać na narodziny dziecka i odpowiedni moment do wyjazdu.

Do tego czasu postanowiła dowiedzieć się wszystkiego o Bellunie i jej mieszkańcach. Przynajmniej decyzja, którą podejmie, będzie całkowicie świadoma.

Alex obwoziła ją po posiadłości. Pewnego dnia zatrzymała się przed małym kościołem i poprowadziła Laurę w głąb cmentarza, gdzie stał samotny nagrobek. Laura nie zrozumiała napisu, ale odczytała nazwisko i domyśliła się, kto tam leży.

Farnese...

- Była ukochaną Rinalda z dzieciństwa - powiedzia-

ła Alex.- Niestety, ich szczęście trwało zaledwie dwa lata. Maria zmarła przy porodzie, a ich synek godzinę później. Rinaldo nadal tu przychodzi.

- Nie jesteś zazdrosna? - Laura nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Oczywiście, że nie. - Alex miała zaskoczoną minę. - To przecież przeszłość. Nie można być zazdrosnym o przeszłość. Ona też go kochała. Czasami przychodzę tu, by ją zapewnić, że dobrze się nim opiekuję. - Alex spojrzała na oszołomioną twarz Laury i wybuchła śmiechem. - Naprawdę nie jestem szalona, chociaż dla prawdziwej Angielki to mogło tak zabrzmieć. Kiedyś też taka byłam. Teraz jestem Włoszką, a tu jest inaczej.

- Jak?

- Tu jest inne powietrze... inna atmosfera. We Włoszech więzi rodzinne są bardzo silne. Ludzie nawet po śmierci pozostają członkami rodziny. Tak jakby wcale nie umarli... Rozmawiam z Marią, jakbym ją dobrze знаła. Dała mi swego męża pod opiekę i pewnego dnia opowiem jej, jak wywiązałam się z tego zadania.

Wprawdzie Alex nie dodała, że to może stać się całkiem niedługo, ale te słowa zawisły w powietrzu.

Gdy wychodziły z cmentarza, Alex powiedziała radosnym tonem:

- Dziś na kolację będziemy mieć wspaniałą niespodziankę.

- Mam nadzieję - odparła z lekkim niepokojem Laura.
- Niklu naprawdę polubiła gotowanie.

- Nie martw się. Gospodyni jej przypilnuje i wszystko znakomicie się uda.

- Nawet nie wiem, co szykują - przyznała Laura. - Zamknęły się w kuchni z samego rana, a gdy zajrzałam, Nikki oznajmiła, że to wielka tajemnica.

- Nie mogę się doczekać. - Alex roześmiała się.

Nagle przystanęła i ciężko oddychając, chwyciła się najbliższego nagrobka.

- Alex, co się stało?

- Chyba odeszły mi wody - odpowiedziała głuchym głosem.

- Wkrótce zaczną się skurcze - oceniła Laura. - Gdzie masz telefon? Zadzwonimy po karetkę.

Alex chwyciła ją za rękę.

- Lepiej sama zawieź mnie do szpitala. Na via Bonifacio Lupi do Florencji, znasz drogę.

- Dobrze.

Laura pomogła Alex zająć miejsce z tyłu, gdzie było jej wygodniej, a sama usiadła za kierownicą.

- To chyba trochę za wcześnie? - rzuciła przez ramię, wyjeżdżając na drogę.

- Termin mam na przyszły tydzień, ale jak widać dziecko samo wybrało czas... - Alex z jękiem wypuściła powietrze.

- Jak długo po odejściu wód zaczynają się skurcze?

- To zależy - odpowiedziała Laura. - Czasami nawet po całej dobie. U mnie zaczęły się po trzech godzinach. Mogą jednak pojawić się szybciej.

- Ale chyba nie zaraz?

- Poczekaj... - Laura wpadła w panikę. - Jadę tak szybko, jak mogę. Na szczęście te wiejskie drogi są puste... Nie zdawałam sobie sprawy, że Belluna jest taka duża.

Nagle Alex głośno krzyknęła.

- Nie możesz mieć jeszcze skurczów. Musisz wytrzymać.

- Powiedz to dziecku! Och, Boże...

Laura błyskawicznie podjęła rozpaczliwą decyzję.

- Dlaczego się zatrzymałaś?! - krzyknęła Alex.

- Do szpitala dojedziemy dopiero za godzinę, a chyba nie mamy tyle czasu.

- Jesteś pewna?

- Gdy rodziłam Nikki, coś podobnego przytrafiło się kobiecie leżącej obok. Opowiadała, że urodziła dziecko w karetce.

- Myślisz, że to właśnie się dzieje? Och!

Laura przesiadła się do tyłu. Roztrzęsiona Alex odnalazła w torbie komórkę i zadzwoniła do Rinalda.

- Rodzę, kochanie! Wszystko dzieje się bardzo szybko... Zatrzymałyśmy samochód przy... - Zaczęła opisywać miejsce, ale jej słowa przerwał długi jęk.

Laura wyjęła jej telefon z ręki.

- Rinaldo? Tylko się nie denerwuj. Z Alex wszystko w porządku. Potrzebujemy natychmiast karetki...

Rinaldo był bardzo zdenerwowany.

- Już wzywam pomoc. Wiem, gdzie jesteście.

- Nie martw się, dam sobie radę do ich przyjazdu.

Laura starała się mówić pewnie i stanowczo, choć tak naprawdę była przerażona. Musiała jednak uspokoić i Alex, i Rinalda.

- Karetka wkrótce nadjedzie - zwróciła się do Alex, której twarz wykrzywił grymas bólu.

- Nie ma już czasu... och!

- Proszę, Alex, postaraj się...

Co mogła zrobić? Powstrzymać dziecko przed urodze-

niem? Maleństwo pojawi się na świecie już za chwilę. Obie o tym wiedziały.

Nie było czasu na strach.

Laura zdjęła Iniany żakiet. Ostrożnie pomogła Alex ułożyć się na tylnym siedzeniu, modląc się w duchu, żeby karetka dojechała jak najprędzej.

- Nie zapomnisz? - wyszeptała Alex. - Gdyby coś mi się stało.

- Nic się nie stanie, prócz tego, że urodzisz zdrowe dziecko - przerwała jej ostro Laura. - I to znacznie szybciej niż inne matki. Och! - krzyknęła, bo Alex ścisnęła ją bardzo mocno za rękę. - Przyj! - nakazała. - O, następny skurcz. Wszystko idzie dobrze, widzę już główkę... Dziecko jest prawidłowo ułożone.

Pomimo bólu Alex uśmiechała się z ulgą. Dziesięć minut później dziecko wylądowało bezpiecznie w dłoniach Laury.

- Dziewczynka - powiedziała Laura, opatulając maleństwo w swój żakiet.

Alex podniosła wzrok na Laurę.

- Dziękuję... - wyszeptała. - Gdyby nie ty...

Nagle oczy Laury przysłoniła mgła. Wytarła łzy, a gdy znów podniosła wzrok, zobaczyła nadjeżdżający szybko samochód.

- To Rinaldo i Gino!

Rinaldo zahamował z piskiem opon i wyskoczył z samochodu.

- Na litość boską! - krzyknął z rozpaczą w głosie.

- Bez paniki. Dziecko właśnie się urodziło. Jest zdrowe i bezpieczne.

Rinaldo pobiegł do Alex.

- Dobrze się czujesz? - Gino przyglądał się Laurze z niepokojem.

- Tak. Alex też. Ale musi pojechać do szpitala. Urodziła dziewczynkę. Wspaniałą dziewczynkę. - Laura roześmiała się nieco histerycznie. - To nie był poród pośladowki. Niepotrzebnie się martwili.

- Och, gdyby ciebie tu nie było, mogłoby dojść do tragedii.

Te słowa ją przestraszyły.

- Tak... Nie pomyślałam o tym. Na szczęście już po wszystkim.

Gino popatrzył na nią z czułością.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia po tym, jak zostałam bohaterką?

- Najbardziej wystraszoną bohaterką w dziejach ludzkości - skomentowała. - Będę się cieszyć, gdy nadjedzie karetka. O, już jest!

Podeszli do samochodu. Rinaldo siedział na tylnym siedzeniu i tulił w ramionach małą córeczkę. Kiedy podniósł na chwilę głowę, zobaczyli, że płacze ze szczęścia.

Alex jedną ręką obejmowała dziecko, a drugą głaskała męża po głowie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tego wieczora cała rodzina, oprócz Alex, świętowała radosne wydarzenie przy kolacji przygotowanej przez Nikki. Posiłek okazał się triumfem kulinarnym. Nikki zaczęła robić już plany na przyjęcie z okazji powrotu Alex i maleńkiej Laury ze szpitala.

Nie było żadnych wątpliwości co do imienia nowo narodzonego dziecka. Historia porodu obiegła już całą Bellunę. Wszyscy witali Laurę z niezwykłą serdecznością.

Stała się częścią Belluny. Zasłużyła sobie na szacunek ludzi. Nie była już obca.

Rinaldo, spokojny o bezpieczeństwo żony, przestał być opryskliwy; Dosłownie zwariował na punkcie córki, a szwagierkę traktował jak boginię.

- Wszyscy mężczyźni w tej rodzinie mają miękkie serca - powiedziała Alex do Laury pewnego wieczora, gdy już położyła maleństwo do łóżeczka. - Kiedy byłam w ciąży, Rinaldo ciągle zadawał mi tysiące pytań, by upewnić się, czy dobrze się czuję. Sama słyszałaś. Teraz bez przerwy dopytuje się o małą Laurę. Zaczynam schodzić na drugi plan, wyobrazasz to sobie?

- To się rozumie - powiedziała Laura.

Alex roześmiała się. Emanowała z niej niezwykła pew-

ność siebie - pewność żony i matki. Tego Laura najbardziej jej zazdrościła.

Kilka dni później Laura zadała Alex pytanie:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nie jesteśmy ci już potrzebni? Wszystko dobrze się układa, zbiory były obfite, niebezpieczeństwo minęło...

Alex zawahała się.

- Właściwie... - zaczęła.

- Tak? - zachęciła ją Laura.

- Chodziło nam o coś więcej... Rinaldo od początku pragnął powrotu Gina. Tak bardzo chciał odbudować Kochającą się rodzinę. On potrzebuje swojego brata, mała Laura potrzebuje wujka, a ja... cóż, przypuszczam, że chcę się upewnić, że nie wyrządziłam mu krzywdy. - Alex popatrzyła na Laure z nadzieją.

Laura skinęła głową, ale milczała.

- Lauro, tak bardzo byśmy chcieli, żebyście zostali - powiedziała Alex z wyraźną prośbą w głosie. - Dom Gina jest tutaj, w Bellunie. Nie sądzę, by był szczęśliwy gdziekolwiek indziej. Chociaż może się mylę. Widzę, jak bardzo się zmienił w ciągu ostatniego roku. Stał się bardziej odpowiedzialny. Znalazł z tobą inne życie i być może Belluna nie jest mu już potrzebna - dodała w zamyśleniu.

- Nie - odpowiedziała Laura natychmiast. - Nie mylisz się. Zanim przyszedł list od was, namawiałam go, by tu przyjechał. Tak się bałam, że wszystko sprzeda, a potem, gdy będzie już za późno, odkryje, że popełnił błąd.

- Ty tak dobrze go rozumiesz. Na pewno nie dopuściłabyś, by popełnił poważny błąd.

- Jesteś bardzo miła - powiedziała Laura sucho. - Ale

mylisz się... Nasze małżeństwo nie jest takie, jak myślisz. Czy powiedział ci, że to ja mu się oświadczyłam?

- Nie. - Alex patrzyła na nią z lekkim zdziwieniem. - Wiem, że to częściowo z powodu Nikki podjęłaś tę decyzję. Ale co z tego? - Wzruszyła ramionami jak prawdziwa Włoszka. - *Non e importante.*

- Oczywiście, że to ważne - zaprotestowała Laura. - Powinno być odwrotnie.

Alex znów wzruszyła ramionami.

- Z małżeństwami różnie bywa. Na przykład Rinaldo zwlekał z oświadczynami, bo najpierw chciał spłacić hipotekę. Czy kiedykolwiek słyszałaś coś równie absurdalnego? Tak bardzo mu się spieszyło, że zebrał winogrona zbyt wcześnie i okazały się niewiele warte. Mężczyźni czasami są tacy głupi!

- Ale to ja poprosiłam Gina, żeby się ze mną ożenił, ponieważ Nikki chciała mieć ojca.

-I to był jedyny powód? Nie kochałaś go? Może dopiero potem straciłaś głowę? Bo chyba nie zaprzeczysz, że go kochasz?

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem Laura. - Oczywiście, że go kocham. Jaka kobieta mogłaby go nie pokochać? Och, przepraszam, nie powinnam była tego powiedzieć.

Alex roześmiała się.

- Zgadzasz się z tobą. Ja też go kocham. On jest taki uroczy. Ale to nie jest taka miłość jak do Rinalda. Kocham Gina jak młodszego brata.

- Na początku też go tak traktowałam - powiedziała Laura w zadumie. - A przynajmniej tak mi się wydawało. Teraz myślę, że już wtedy go kochałam, ale zanim się do

tego przyznałam, byliśmy już małżeństwem. Teraz nie do-
wiem się już, co on do mnie czuje.

- Nigdy o tym nie rozmawiacie?

- O czym tu rozmawiać? - spytała szczerze Laura. -
Gdy się wychodzi za mąż bez miłosnych wyznań, później
ten temat jakoś nigdy nie wraca.

- Przypuszczam więc, że nie powiedział ci, co napisał
w liście do Rinalda?

- Nie.

- A powinnaś wiedzieć. - Alex wyjęła z szuflady kartkę
niebieskiego papieru.

Laura rozpoznała swoją papeterię.

Kiedy przeczytała pierwsze słowa, pokręciła głową.

- Nie znam włoskiego. A poza tym... - walczyła z po-
kusą - nie wiem, czy w ogóle powinnam czytać list Gina
bez jego wiedzy.

- Oczywiście, że powinnaś - zdecydowała Alex. - Jak
by wyglądał świat, gdyby wszyscy robili to, co powinni?
Przetłumaczę ci.

Laura poddała się. W gruncie rzeczy paliła ją ciekawość.

- Chciałbym ci o czymś powiedzieć - czytała Alex. -
Mówiliście mi, że znajdzie kogoś, z kim połączy mnie taka
miłość, jaka was połączyła. Nie wierzyłem wam, ale tak się
stało. Ona ma na imię Laura i gdyby wiedziała, że piszę
o niej w ten sposób, byłaby zaskoczona, a być może na-
wet zła. Kilka tygodni temu wzięliśmy ślub. To były naj-
szczęśliwsze tygodnie mojego życia. Wiem, że Laura poślu-
biła mnie ze względu na swoją córkę, Nikki, urocze dziecko,
które pokochało mnie jak ojca. Tak naprawdę Laura kocha
innego, ale zerwała z nim, ponieważ obraził Nikki.

Laura odwróciła się, by ukryć emocje.

- Powoli budujemy nasz związek - Alex czytała dalej - który, w co wierzę, będzie szczęśliwym małżeństwem, choć na pewno minie trochę czasu, zanim Laura całkiem mnie zaakceptuje. - Alex opuściła list i spojrzała na Laure. - Czy on ma rację? - spytała. - Kochasz kogoś innego?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Laura z ożywieniem. - Steve był tylko... - Zrobiła bezradny gest. - Chodziliśmy trochę ze sobą, to prawda. Może nawet wyszłabym za niego, by zyskać poczucie bezpieczeństwa. Ale gdy odszedł... nagle okazało się, że wcale mnie nie obchodzi.

- Czy Gino o tym wie?

- Nigdy nie rozmawiamy o uczuciach. Gdy mu się oświadczyłam, zapewniłam go, że może robić, co chce, nawet mieć dziewczyny, byle był dobrym ojcem dla Nikki. Tylko to się liczy.

- O Boże! - Alex wybuchła śmiechem. - I dziwisz się, że ten biedak jest kompletnie zdezorientowany i nie rozmawia z tobą o uczuciach? Nadal myśli, że robisz to wyłącznie dla dobra dziecka. Ja to oczywiście rozumiem. - Odwróciła się do kołyski. - Zrobiłabym wszystko dla mojego małżeństwa. Myślę, że Gino również to rozumie, ponieważ ma serce ojca. - Uśmiechnęła się. - Powiedziałas mu już?

- Nie... Czekam na odpowiedni moment. Miałam nadzieję, że da mi jakiś znak, że mnie kocha...

- Myślisz, że tego nie zrobił? A o czym był ten list?

- Ale przede mną się nie ujawnił.

- Być może to dla niego zbyt trudne - zauważyła Alex.

- Ostatni raz wyznał miłość kobiecie tutaj, w Bellunie, podczas święta winobrania. Padł na kolana i powiedział

o swojej miłości wobec tłumu ludzi, ale jego wybranka odrzuciła go i poślubiła jego brata.

- Wiem.

- Myślę, że nawet gdyby był pewien twoich uczuć, miałby trudności.

- Powinnam była mu powiedzieć. - Laura pokiwała głową i popadła w zadumę.

- Najwyższy czas na wyjaśnienia - rzekła Alex stanowczo. - Będziesz musiała mi wybaczyć, ale znów zamierzam wtrącić się w twoje życie. Chyba mam naturę swatki.

Laura spojrzała na szwagierkę i na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- Co masz na myśli? - spytała.

Gino spędził dzień we Florencji na spotkaniach z miejscowymi plantatorami winogron. Wrócił do Belluny, gdy zapadał już zmierzch.

- Gino...

Rozejrzał się za Laurą, ale na półpiętrze stała Alex.

- Gdzie jest Laura? - spytał.

- Nie wiem. Zrobisz coś dla mnie?

- Oczywiście. Ale najpierw chciałbym zobaczyć się z Laurą.

- Chyba gdzieś pojechała.

- Nie wiesz dokąd? Robi się ciemno.

- Poszukamy jej później. Pojedź tam, Gino - wskazała palcem na dom po drugiej stronie doliny. - Zostawiłam tam dzisiaj torebkę.

Nie potrafił jej odmówić, choć nie miał ochoty wychodzić z domu.

- Dobrze, pojedę - zgodził się. - Ale muszę porozmawiać z Laurą.

- Ciekawe, o czym - wtrąciła Alex z ironią, której nie mógł nie zauważyć. - Unikasz przecież najważniejszych tematów.

- Alex, co z tobą? - Było coś dziwnego w jej zachowaniu.

- Już dawno powinienes wyznać Laurze, że ją kochasz - powiedziała bez ogródek. - Ale skoro zabrakło ci odwagi, zrobiłam to za ciebie.

- Co zrobiłaś?

- Powiedziałam jej, że bardzo ją kochasz. Z początku nie uwierzyła, więc przeczytałam jej twój list.

- Jak mogłaś?

- Drogi chłopcze, zrobiłabym dla was wszystko. Z tym drugim facetem to kompletna bzdura. Ona nigdy go nie kochała. Powiedziała mi też wiele innych rzeczy, ale to już powtórzy ci sama. Ja zrobiłam tylko pierwszy krok, reszta należy do ciebie.

Zszokowany Gino wskoczył na schody.

- Alex, Alex, moja najdroższa siostró!

Pocałowała go czule.

- No, idź już.

- Gdzie ją znajde?

- Miałaś pojechać po moją torbę.

- Ach, prawda.

Zbiegł po schodach jak wariat i wskoczył do samochodu.

Rinaldo obserwował go, stojąc w drzwiach.

- Co ty knujesz? - spytał, spoglądając podejrzliwie na żonę.

- Ja coś knuję? Nie wiem, o czym mówisz.

- Dziesięć minut temu widziałem twoją torebkę.
 - Naprawdę? Musiało ci się przywidzieć.
 - Nie przywidziało mi się. Co ty knujesz, kochanie?
- Alex uśmiechnęła się.
- Doszłam do wniosku, że po tym wszystkim, co Laura dla nas zrobiła, nadszedł czas, by się jej odwdziżyć.

Gino zawsze uważał, że ma szybki refleks, ale dopiero dwieście metrów od domu zorientował się, że w ogóle ruszył w drogę.

Zatrzymał auto i przez chwilę nie spuszczał wzroku z domu rysującego się w oddali. Nagle dojrzał światło w jednym z okien, jakby ktoś postawił tam zapaloną lampę.

Gdyby był zabobonny, pomyślałby, że to duchy, a że był zakochany, miał prawo pomyśleć, że ktoś czeka niecierpliwie na jego powrót.

Długo nie dopuszczał myśli, że jest zakochany w Laurze. Z powodu uporu i dumy? A może tchórzostwa? Pragnął jej tak bardzo, że budził się w środku nocy, by znów się z nią kochać.

Nagle powróciło wspomnienie nocy, kiedy znalazł Alex i Rinalda razem w łóżku. Rinaldo spał z głową wtuloną w jej piersi, a ona obejmowała go czule ramieniem.

W przeszłości Gino wzdygał się na to wspomnienie, ale tym razem było inaczej. Wreszcie wszystko zrozumiał.

Rinaldo przytulał się do Alex jak człowiek szukający schronienia, ona zaś, obejmując go ramionami, dawała mu bezpieczną przystań. Pod twardą zewnętrzną skorupą ten silny mężczyzna był całkowicie bezbronny. Tylko Alex o tym wiedziała.

Z Ginem było na odwrót. Jego śmiech i beztroska zwo-
dziły ludzi. Uważali go za niedojrzałego młodzieniaszka.
W gruncie rzeczy to on był silniejszym z braci.

Bardzo długo pozostawał pod wrażeniem urody i wdzięku
Alex, ale teraz już wiedział, że nie byłby z nią szczęśliwy. Była
zbyt niezależna, by zaspokoić jego opiekuńcze uczucia.

Wrażliwość, delikatność i pewna kruchość Laury prze-
mówiły do niego od pierwszej chwili, choć zrozumienie te-
go zajęło mu trochę czasu. Wprawdzie Laura też potrafiła
być silna i zaradna, jednak w codziennym życiu potrzebo-
wała wsparcia. A on mógł jej to zapewnić. Przy niej doszła
do głosu lepsza część jego natury.

Gino uruchomił samochód i podjechał pod dom.

Gdy wchodził po schodach, już wiedział, kto na niego
czeka.

- Witaj - powiedziała z uśmiechem.

- Cześć - odpowiedział.

Wyglądała uroczo w słabym świetle lampy. Gdy wyciągnę-
ła do niego rękę, ujął ją delikatnie i zaczął pieścić palce.

- O co chodzi? - spytała, gdy na jego twarzy pojawił się
wyraz nagłej czujności.

Podniósł jej prawą dłoń, by przyjrzeć się temu, co przy-
kuło jego uwagę. Na środkowym palcu Laury błyszczał
skromny pierścionek.

- Nikki mi go dała - wyjaśniła. - Wygrała na loterii.
Widziałeś go już tysiąc razy.

- Tak, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy...

Nagle znów znalazł się w szpitalu. Opowiadał coś gorącz-
kowo siedzącej obok kobiecie, która ciepłym, pełnym nadziei
głosem powtarzała: „Czas zapomnieć, czas znów pokochać”.

Gdy zaprzeczała, pytała: „Nie chciałbyś być kochanym? Są inne kobiety, które mogą okazać się lepsze”.

Przyciągnął jej rękę i musnął wargami i wtedy wyczuł pierścionek na palcu. Ten sam pierścionek.

- To byłaś ty, prawda? - spytał. - Wtedy w szpitalu.

- Tak. To byłam ja.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

- Nie mogłam. Tak bardzo kochałeś Alex.

- Tak mi się wtedy zdawało. Kogo miałaś na myśli, mówiąć mi o kobiecie, która może mnie pokochać?

- Przecież wiesz, kogo.

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Lauro, powiedz mi, że mnie kochasz, proszę.

- Kocham cię - powiedziała po prostu. - Od dawna. I zawsze będę kochała.

- A ja pokochałem cię zaraz po naszym ślubie - przyznał. - Nie wiedziałem jednak, że aż tak bardzo. Musiałem tu wrócić i zobaczyć Alex, by zdać sobie z tego sprawę. To nie ona, lecz ty jesteś treścią mojego życia. Całym moim życiem, teraz i na zawsze. Ty i Nikki. Nasza trójka.

Laura przyłożyła rękę do brzucha.

- Czwórka - powiedziała.

Gino chwycił ją w ramiona.

- Tyle chciałem ci powiedzieć - przyznał. - Ale nie mogłem zapomnieć, że wysłaś za mnie tylko ze względu na Nikki.

- Tak sobie wmawiałam. To była tylko tarcza ochronna. Nawet przed sobą bałam się przyznać, jak bardzo cię kocham. Nie mogłam uwierzyć, że cokolwiek dla ciebie znacę.

- Miałas rację. - Pocałował ją. - Musiałem tu wrócić, by

to zrozumieć. Okazałaś się mądrzejsza ode mnie. Wiedziałaś, że trzeba uporać się z przeszłością.

Ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w nią z niepokojem.

- I co teraz będzie?

- Dziś po południu zadzwoniłam do Anglii. Powiedziałam im, że mogą kupić dom. Pieniądze wykorzystamy na remont.

- Wszystko ustalone, prawda?

- Zostało ustalone, zanim tu przyjechalśmy. Alex już dawno wybrała dla nas to miejsce. A wiesz dlaczego? Popatrz!

Laura podniosła lampę i podeszła do okna. Po drugiej stronie doliny widniały zarysy domu, który Gino przed chwilą opuścił. W oknach było ciemno, ale w jednym zauważył światełko, jakby i tam ktoś postawił lampę.

- Zawsze będziemy blisko - powiedziała Laura. - Wyjrzemy w ciemności i zobaczymy ich światła, a oni zobaczą nasze. Musimy zamieszkać tutaj, nigdzie indziej.

Podniosła lampę i przesunęła nią w prawo i w lewo.

- Kto tam jest?

- Alex, oczywiście.

- Zostałyście przyjaciółkami?

- Przyjaciółkami i sojuszniczkami, jak siostry. Spójrz.

Znów poruszyła lampą, z ciemności nadeszła odpowiedź: Witajcie w domu.